

KATHY REICHS

# DZIEŃ ŚMIERCI

(Przekład: Agnieszka Paschke)

# 1

Gdyby ciał tam nie było, nie mogłabym ich odnaleźć.

Na zewnątrz wyl wiatr. W starym kościele słycać było tylko skrobanie mojej kielni i szum przenośnego generatora i grzejnika, niesamowitym echem odbijające się w pustej, ogromnej przestrzeni. Wysoko nad nami sękatę gałęzie drapały w zabite deskami okna.

Reszta grupy stała za mną; ściśnięci, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie. Słyszałam, jak przestępują z nogi na nogę, podnosząc kolejno jedną stopę, potem drugą. Zmarznięta ziemia skrzypiała pod butami. Nikt nic nie mówił. Zimno odbierało nam mowę.

Patrzyłam na ziemię, która przesypywała się przez gęstą siatkę, kiedy delikatnie rozsypywałam ją za pomocą kielni. Bałam się, że na całej głębokości wykopu znajdę tylko zmarzlinę, ale wkrótce okazało się, że pod jej cienką warstwą wierzchnią znajduje się ziarniste podglebie. Dwa ostatnie tygodnie w Quebecu były wyjątkowo ciepłe; śnieg stopniał i ziemia rozmarzła. Znowu miałam szczęście. Chociaż arktyczne podmuchy szybko przepłoszyły nieśmiałe podrygi wiosny, ziemia nie zdążyła jeszcze zmarznąć i łatwo było kopać. Dopóki w nocy temperatura nie spadła do czternastu stopni poniżej zera. I choć ziemia jeszcze nie zmarzła, to powietrze było mroźne. Palcami już prawie nie mogłam ruszać.

To był nasz drugi wykop. I znowu tylko kamyki i drobne kawałki skały na siatce. Na tej głębokości trudno jest się czegokolwiek spodziewać, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie widziałam jeszcze ekshumacji, której przebieg mógł być dokładnie zaplanowany.

Obróciłam się w stronę mężczyzny w czarnej kurtce na futrze i czapce kanadyjce na głowie. Na nogach miał wysokie, sznurowane do kolan buty ze skóry, z których wystawały dwie pary skarpet. Jego twarz miała kolor zupy pomidorowej.

- Jeszcze kilka centymetrów.

Ręką wykonałam kilka ruchów przypominających głaskanie kota. Powoli. Bez pośpiechu.

Mężczyzna skinął głową i wsunął łopatę w ziemię, mruczając przy tym jak Monica Seles przy pierwszym serwisie.

- *Par pouces!* - krzyknęłam, łapiąc za łopatę.

Kilka centymetrów! Powtórzyłam ruch łopatą, który pokazywałam cały ranek.

- Chcemy wykopywać ziemię cienkimi warstwami.

Powtórzyłam to wolno, po francusku.

On najwyraźniej nie pochwalał mojego sentymentu. Może czynność wydawała mu się nudna, może myślał o wykopywaniu zmarłych. Chciał zrobić swoje i sobie pójść.

- Guy, proszę, spróbuj jeszcze raz - powiedział jakiś mężczyzna stojący za mną.

- Dobrze, ojcze - wymamrotał kopiący.

Potrząsając głową zaczął od początku, nabierając ziemię tak, jak mu pokazałam, i rzucając ją na siatkę. Spojrzałam na wykop mając nadzieję, że zobaczę coś, co będzie oznaczało, że za chwilę znajdziemy trumnę.

Rozpoczęliśmy kilka godzin temu i wyraźnie wyczuwałam napięcie. Zakonnice coraz częściej przestępowały z nogi na nogę. Odwróciłam się, by spojrzeć na nie i, jak mi się wydawało, tym samym dodać im otuchy. Moje usta były zbyt sztywne, by cokolwiek powiedzieć.

Sześć ściągniętych z zimna i niepokoju twarzy zwróciło się w moją stronę. Przed każdą z nich pojawił się i natychmiast zniknął mały obłoczek pary. Sześć uśmiechów popłynęło w moją stronę. Czułam, że modlą się żarliwie.

Półtorej godziny później byliśmy ponad metr głębiej. Podobnie jak w pierwszym przypadku, nie znaleźliśmy nic prócz ziemi. Byłam pewna, że mam odmrożone palce u nóg, a Guy miał ochotę skorzystać z koparki. Czas się przegrupować.

- Ojcze, chyba będziemy musieli jeszcze raz sprawdzić księgi pogrzebów.

Zawahał się, a potem powiedział:

- Tak. Oczywiście. Oczywiście. Przydałyby się też kawa i kanapki.

Ksiądz ruszył w kierunku drewnianych drzwi, które znajdowały się po drugiej stronie opuszczonego kościoła, a za nim szły zakonnice, ze zwieszonymi głowami, ostrożnie stąpając po nierównym gruncie. Ich białe welony odznaczały się identycznie na czarnych, wełnianych płaszczach. Pingwiny. Kto tak powiedział? The Blues Brothers.

Wyłączyłam przenośne reflektory i nie odrywając oczu od ziemi podążyłam za nimi, ze zdziwieniem patrząc na fragmenty kości w podłożu wokoło. Świetnie. Kopaliśmy w jedynym miejscu w całym kościele, w którym nie było trumien.

Ojciec Menard otworzył drzwi i rzędkiem wyszliśmy na dwór. W pierwszym momencie poraziło nas światło dnia. Niebo w kolorze ołowiu zdawało się otulać wieże i iglice budynków zakonu. Owiewający równinę ostry wiatr łopotał kołnierzami i welonami.

Pochyleni do przodu ruszyliśmy w kierunku pobliskiego budynku, który, podobnie jak kościół, zbudowany był z szarego kamienia. Po schodach weszliśmy na ozdobną, drewnianą werandę i przez boczne drzwi do środka.

Wewnątrz było sucho i ciepło, przyjemnie, unosił się zapach herbaty, naftaliny i

smażonego jedzenia.

Nie odzywając się ani słowem, kobiety zdjęły buty, każda się do mnie uśmiechnęła, a potem zniknęły za drzwiami po prawej stronie, a w tej samej chwili do foyer powłócząc nogami weszła filigranowa zakonnica w ogromnym narciarskim swetrze, na którym widniał brązowy renifer. Mrugnęła oczami za grubymi szklami okularów i wyciągnęła rękę, by wziąć ode mnie moją kurtkę. Zawahałam się: waga kurtki mogłaby okazać się ponad jej siły. Ale ona gwałtownie skinęła głową, jakby mnie poganiając, więc zdjęłam kurtkę i razem z czapką i rękawiczkami podałam zakonnicy. Nigdy nie widziałam osoby w tak podeszłym wieku.

Poszłam za ojcem Menard długim, źle oświetlonym korytarzem do małego gabinetu. Tutaj pachniało starym papierem i pastą do podłogi, która przypomniała mi zapach szkolnego budynku. Nad monstrualnej wielkości biurkiem wisiał krzyż. Ciemna, dębowa boazeria sięgała nieomal do sufitu. Postacie o posępnych twarzach spoglądały z góry na pokój.

Ojciec Menard usiadł na jednym z krzeseł przy biurku, gestem wskazał mi drugie. Szelest sutanny i uderzające o siebie koraliki różańca na chwilę przeniosły mnie z powrotem do St. Barnabas. I gabinetu. Na dywanik... Przestań, Brennan. Skończyłaś już czterdziestkę, jesteś profesjonalistką. Antropologiem sądowym. Ci ludzie potrzebują twojej wiedzy.

Ksiądz wziął z biurka oprawioną w skórę księgę, otworzył ją na stronie zaznaczonej zieloną zakładką i położył między nami. Wziął głęboki oddech, zacisnął usta i wypuścił powietrze przez nos.

Znałam ten diagram: siatka z rzędami podzielona na prostokątne kawałki, niektóre oznaczone numerami, niektóre imionami. Poprzedniego dnia spędziliśmy nad nim całe godziny, porównując opisy i zapiski na grobach z ich miejscami na siatce. Potem, mierząc kościół krokami, znajdowaliśmy ich dokładne położenia.

Siostra Elisabeth Nicolet powinna leżeć w drugim rzędzie wzdłuż północnej ściany kościoła, trzeci grób od zachodniego końca. Tuż obok matki Aurelie. Ale jej tam nie było. Nie było też Aurelie.

Wskazałam grób w tej samej ćwiartce, ale siedem rzędów w dół i nieco w prawo.

- Tu się zgadza. Raphael tam jest. Potem dalej w tym samym rzędzie:

- I Agathe, Veronique, Clement, Marthe, Eleonore. To są groby z lat czterdziestych ubiegłego stulecia, zgadza się?

- *C' est ca.*

Przesunęłam palcem na część diagramu odpowiadającą południowo-zachodniej części kościoła.

- A to są najmłodsze groby. Ślady, które znaleźliśmy, odpowiadają zapiskom.

- Tak. Te są ostatnie, wkrótce potem kościół został zamknięty.
  - To był tysiąc dziewięćset cztertnasty.
  - Tysiąc dziewięćset cztertnasty. Tak, tysiąc dziewięćset cztertnasty.
- Miał zwyczaj powtarzać słowa i całe frazy.
- Elisabeth zmarła w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym?
  - *C'est ca*, tysiąc osiemset osiemdziesiąty ósmy. Mere Aurelie sześć lat później.

To nie miało sensu. Te groby powinny tam być. Zwłaszcza że pozostały ślady po pogrzebach z lat czterdziestych ubiegłego wieku. Testy wykonane w tym miejscu ujawniły obecność fragmentów wełny i kawałków metalowych części trumny. W chronionym otoczeniu kościoła, w takiej ziemi, wydawałoby się, że szkielety powinny być w niezłym stanie. Więc gdzie były Elisabeth i Aurelie?

Weszła stara zakonnica niosąc tacę z kawą i kanapkami. Para z kubków pokryła jej okulary, dlatego szła stawiając małe kroki, prawie nie odrywając stóp od podłogi.

Ojciec Menard uniósł się, by odebrać tacę.

- Merci, siostra Bernardo. To bardzo miło ze strony siostry. Bardzo miło.

Zakonnica skinęła głową i wyszła, nawet nie otarła okularów. Patrzyłam na nią biorąc swoją kawę. Jej ramiona wydawały się niezwykle wąskie.

- Ile lat ma siostra Bernarda? - zapytałam sięgając po rogalika. Sałatka z łososia i zwiędła sałata.

- Dokładnie nie wiadomo. Była już w zakonie, kiedy zacząłem tu przychodzić jako dziecko, przed wojną. Drugą wojną. Potem wyjechała na misje.

Długo przebywała w Japonii, następnie w Kamerunie. Chyba ma dziewięćdziesiąt kilka lat.

Pociągnął łyk kawy. Siorbacz.

- Urodziła się w małej wiosce w Saguenay, twierdzi, że wstąpiła do zakonu, kiedy miała lat dwanaście.

Siorbnięcie.

- Dwanaście. Wtedy nie prowadzono zbyt dokładnych zapisków w rolniczym Quebecu. Dokładnych nie.

Odgryzłam kawałek kanapki i zmarznięte palce owinęłam wokół ciepłego kubka. Cudowne takie ciepło.

- Ojczy, może są jeszcze jakieś inne zapiski? Stare listy, dokumenty, cokolwiek, czego jeszcze nie sprawdziliśmy?

Poruszałam palcami. Żadnego czucia.

Wykonał ruch ręką w kierunku papierów, które pokrywały biurko, i wzruszył ramionami.

- To jest wszystko, co dała mi siostra Julienne. Ona zajmuje się archiwum klasztoru.

- Tak, wiem.

Korespondowałyśmy ze sobą i rozmawiały od dawna. To właśnie ona opowiedziała mi o projekcie. Od samego początku mnie zaintrygował. Tym razem nie chodziło o zwykłą pracę dla koronera, to nie miał być ktoś, kto zmarł niedawno.

Archidiecezja prosiła, bym przeprowadziła ekshumację i analizę szczątków świętej. No, może nie była naprawdę święta. Ale o to właśnie chodziło. Elisabeth Nicolet miała być beatyfikowana. Poproszono, bym znalazła jej grób i sprawdziła, czy znajdujące się w nim kości należały właśnie do niej. Miały zostać wysłane do Watykanu.

Siostra Julienne zapewniła mnie, że zapiski były pewne. Wszystkie groby w kościele były skatalogowane i zaznaczone na planie. Ostatni pogrzeb miał miejsce w tysiąc dziewięćset jedenastym. Po pożarze trzy lata później kościół został zamknięty. Wybudowano drugi, większy, który miał go zastąpić, i stary już nigdy nie był używany. Opuszczone miejsce. Dobra dokumentacja. Małe piwo.

No to gdzie była Elisabeth Nicolet?

- Moglibyśmy jeszcze zapytać. Może siostra Julienne nie powiedziała ojcu o wszystkim, bo uznała, że nie jest to ważne.

Zaczął coś mówić, ale zmienił zdanie.

- Jestem pewien, że powiedziała mi o wszystkim, ale mogę iść zapytać. Spędziła nad tym mnóstwo czasu. Mnóstwo.

Odprowadziłam go wzrokiem do drzwi, skończyłam swoją kanapkę i wzięłam następną. Usiadłam po turecku, wsuwając stopy pod siebie i potarłam palce u nóg. Nieźle. Wracało czucie. Popijając kawę wzięłam do ręki list, który leżał na biurku.

Już go czytałam. Czwarty sierpnia, tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty. Epidemia ospy w Montrealu. Elisabeth Nicolet napisała do biskupa Eduarda Fabre błagając, by nakazał szczepić parafian, których nie dotknęła jeszcze choroba, i umieścić chorych w szpitalach miejskich. Charakter pisma precyzyjny, francuski staromodny, ale oryginalny.

Klasztor Nieskalanego Poczęcia Notre-Dame nie odpowiedział. Zamyśliłam się. Przyszły mi na myśl inne ekshumacje. Policjant w St-Gabriel. Na tamtejszym cmentarzu trumny zakopywane były po trzy, jedna nad drugą. W końcu znaleźliśmy monsieur Beauvre cztery groby dalej, niż to było zapisane w dokumentach, trumna zwrócona była dnem do góry. I był ten człowiek w Winston-Salem, który nie leżał w swojej trumnie. Znaleźliśmy w

niej kobietę w długiej sukni w kwiatki. Problem był podwójny: Gdzie był ten mężczyzna i kim była kobieta w jego trumnie? Rodzina nie mogła przenieść szczątków dziadka do Polski i tam ich pochować, a prawnicy skakali sobie do gardeł, kiedy wyjechałam.

Gdzieś daleko usłyszałam bicie dzwonu, zaraz potem szuranie w korytarzu. Stara zakonnica szła w moim kierunku.

- *Serviettes* - zaskrzeczała.

Podsłoczyłam i wylałam sobie na rękaw kawę. Jak tak mała osoba mogła wydawać tak głośne dźwięki?

- *Merci*.

Wyciągnęłam rękę, by wziąć od niej serwetki.

Zignorowała mnie, podeszła bliżej i zaczęła pocierać plamę. Z prawego ucha wystawał maleńki aparat słuchowy. Czułam jej oddech i widziałam białe włoski na jej brodzie. Pachniała wełną i wodą różaną.

- Eh, *voilà*. Trzeba to wyprać, kiedy wróci pani do domu. W zimnej wodzie.

- Tak, siostrze. - Odruch.

Spojrzała na list w mojej ręce. Na szczęście nie wylała się na niego kawa. Pochyliła się nad nim.

- Elisabeth Nicolet to była wspaniała kobieta. Oddana Bogu. Taka czysta. Taka skromna.

Gdyby litery listu Elisabeth mogły przemówić, to powtórzyłyby to za nią.

- Tak, siostrze. - Znowu miałam dziewięć lat.

- Ona zostanie świętą.

- Tak, siostrze. Dlatego właśnie próbujemy odnaleźć jej kości. Żeby można je było odpowiednio potraktować. - Nie byłam pewna, jak się traktuje kości świętego, ale zabrzmiało dobrze.

Pokazałam jej diagram.

- To jest stary kościół. - Przesunęłam palcem wzdłuż ściany północnej i wskazałam prostokąt. - A to jej grób.

Zakonnica dłuższą chwilę wpatrywała się w diagram, nieomalże wodząc po nim nosem.

- Jej tam nie ma - zagrzmiała.

- Słucham?

- Nie ma jej tam. - Sękatym palcem postukała w prostokąt. - To nie jest to miejsce.

Wtedy wrócił ojciec Menard. Wraz z nim przyszła wysoka zakonnica z czarnymi

brwiami, które łączyły się nad nosem. Ksiądz przedstawił siostrę Julienne, a ona uniosła złożone dłonie i uśmiechnęła się.

Nie musiałam powtarzać tego, co powiedziała siostra Bernarda. Słyszeli ją, kiedy szli korytarzem. Słysząc ją chyba było w Ottawie.

- To nie jest to miejsce. Szukacie w złym miejscu - powtórzyła.

- Co siostra ma na myśli? - zapytała siostra Julienne.

- Szukają w złym miejscu. Tam jej nie ma.

Ojciec Menard i ja spojrzeliśmy na siebie.

- To gdzie ona jest, siostrze? - zapytałam.

Znowu się pochyliła nad diagramem i palcem popukała w południowo-wschodni róg kościoła.

- Ona leży tutaj. Razem z mere Aurelie.

- Ale sio...

- Zostały przeniesione. Dano im nowe trumny i położono pod specjalnym ołtarzem.

Tam.

Znowu wskazała południowo-wschodni róg.

- Kiedy? - zapytaliśmy jednocześnie.

Siostra Bernarda zamknęła oczy. Pomarszczone, stare wargi poruszały się w niemej kalkulacji.

- W tysiąc dziewięćset jedenastym. Wtedy przyszedłam tutaj jako nowicjuszką. Pamiętam to, bo kilka lat później kościół spłonął i okna zostały zabite deskami. Moim obowiązkiem było chodzenie tam i stawianie kwiatów na ołtarzu. Nie lubiłam tego. Bałam się chodzić tam sama. Ale obiecałam Bogu.

- Co się stało z ołtarzem?

- Zabrano go jeszcze w latach trzydziestych. Stoi w kaplicy Dzieciątka Jezus w nowym kościele. - Złożyła serwetkę i zaczęła zbierać naczynia. - Była kiedyś tablica przy tych grobach, ale już jej nie ma. Nikt już tam nie chodzi. Tablicy też już nie ma.

Znowu popatrzyliśmy na siebie z księdzem. Lekko wzruszył ramionami.

- Siostrze - poprosiłam - czy mogłaby nam siostra pokazać, gdzie leży Elisabeth?

- *Bien sur.*

- Teraz?

- Czemu nie? - Porcelana zadzwęczała o porcelanę

- Proszę zostawić naczynia - powiedział ojciec Menard. - Niech siostra włoży płaszcz i buty i pójdziemy do kościoła.



Dziesięć minut później znowu byliśmy w starym kościele. Pogoda się nie poprawiła, było nawet zimniej i bardziej mokro niż rano. Wiatr nadal wiał. Gałęzie nadal stukały o deski.

Siostra Bernarda niepewnie szła przez kościół, oboje z księdzem trzymaliśmy ją pod rękę. Przez warstwy ubrania wydawała się krucha i lekka.

Za nami szły zakonnice, siostra Julianne trzymała w ręku blok i długopis do stenografii. Na końcu pochodu szedł Guy.

Zakonnica zatrzymała się przed niszą w południowo-wschodniej części. Na głowie miała ciągle robioną na drutach, wiązaną pod brodą czapkę. Zaczęła się rozglądać, poszukując śladów i starając się ustalić miejsce. Wszystkie oczy skierowane były w jedną stronę w ponurym wnętrzu kościoła.

Gestem przywołałam Guya ze światłem. Siostra nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Po chwili odsunęła się nieco od ściany Głowa w lewo, głowa w prawo, potem znowu w lewo. W górę. W dół. Znowu sprawdziła swoje położenie i obcasem wyznaczyła w piasku linię.

- Ona leży tutaj. - Piskliwy głos odbił się echem od kamiennych ścian.

- Jest siostra pewna?

- To tutaj. - Nie brakowało jej pewności siebie.

Wszyscy popatrzyli na linię.

- Leżą w małych trumnach. Nie takich zwykłych. Zostały tylko kości, więc wszystko zmieściło się do małych trumien. - Wyciągnęła drobne ręce, by pokazać ich długości. Jedna z rąk się trzęsła.

Guy skierował światło na miejsce u jej stóp.

Ojciec Menard podziękował wiekowej zakonnicy i poprosił dwie siostry, by odprowadziły ją do klasztoru. Spojrzałam za nimi. Wyglądała jak dziecko, którego brzeg płaszcza ciągnie się po podłodze.

Poprosiłam Guya, by przyniósł jeszcze jeden reflektor. Przyniosłam moją sondę, koniec przyłożyłam w miejscu, które wskazała siostra Bernarda, i pchnęłam rączkę w kształcie litery T. Ani drgnęła. W tym miejscu ziemia nie była tak rozmrożona. Nie chciałam, by cokolwiek, co mogło znajdować się pod ziemią, zostało uszkodzone, a zaokrąglony czubek nie chciał gładko przejść przez częściowo zmrożoną warstwę ziemi. Spróbowałam znowu, tym razem mocniej.

Spokojnie, Brennan. Oni nie będą zadowoleni, jeżeli uszkodzisz trumnę albo zrobisz dziurę w czaszce siostry.

Zdjęłam rękawiczki, owinęłam palce wokół rączki i znowu pchnęłam. Tym razem ziemia ustąpiła i sonda wsunęła się w podglebie. Choć drżałam z niecierpliwości, sprawdziłam ziemię, z zamkniętymi oczami wyczuwając tę drobną zmianę w jej strukturze. Mniejszy opór mógł oznaczać obszar powietrza tam, gdzie coś uległo rozkładowi. Większy mógł być dowodem na to, że pod powierzchnią znajdowała się kość lub artefakt. Nic. Wyciągnęłam sondę i powtórzyłam czynność.

Przy trzeciej próbie poczułam opór. Spróbowałam piętnaście centymetrów dalej. I znowu coś. Niezbyt głęboko pod powierzchnią znajdował się jakiś przedmiot.

Uniosłam kciuk w kierunku księdza i zakonnic i poprosiłam Guya, by przyniósł siatkę. Odłożyłam sondę, wzięłam do ręki szufłę o płaskich brzegach i zaczęłam nabierać nią niewielkie ilości ziemi. Grudka po grudce rzucałam ją na siatkę, patrząc to na nią, to na wykop. Minęło pół godziny, kiedy wreszcie dostrzegłam to, czego szukałam. Wykopywana ziemia zrobiła się ciemna, nieomal czarna.

Zamieniłam szufłę na kielnię, pochyliłam się nad wykopem i ostrożnie wygładziłam jego dno, usuwając luźne grudki. Niemal natychmiast pojawił się owalny kształt. Zabarwiony kawałek ziemi miał jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów długości. Nie byłam pewna szerokości, bo częściowo pokrywała go odkopana ziemia.

- Tu coś jest - oznajmiłam prostując się. Mój oddech zamieniał się w obłok pary unoszący się tuż przed moją twarzą.

Jak jeden mąż wszyscy zbliżyli się i spojrzeli w dziurę w podłożu. Rączką kielni nakreśliłam owalny kształt. W tym samym momencie przyłączyła się do nas eskorta siostry Bernardy.

- To może być trumna, chociaż jest to raczej mała. Kopałam nieco w lewo, więc będę musiała tę część rozebrać. - Wskazałam miejsce, gdzie kucnęłam. - Odkryję go z zewnątrz i odkopię wzdłuż i w głąb. W ten sposób otrzymamy przekrój grobu. Tak będzie łatwiej kopać. Będzie nam też łatwiej wyjąć trumnę z boku.

- Skąd to zabarwienie ziemi? - zapytała młoda zakonnica o twarzy harcerki.

- Kiedy coś organicznego ulega rozkładowi, ziemia robi się o wiele ciemniejsza. To może być spowodowane przez drewno trumny albo zakopane z nią kwiaty. - Nie chciałam opisywać procesu rozkładu. - Takie zabarwienie to pierwszy znak grobu.

Dwie zakonnice przeżegnały się.

- To Elisabeth czy mere Aurelie? - zapytała starsza siostra. Jej dolna powieka drgnęła.

Rozłożyłam ręce w geście "nie mam pojęcia". Założyłam rękawiczki i zaczęłam usuwać ziemię z prawego kawałka ciemnej plamy, poszerzając wykop, by odkryć owal i

półmetrowy pas ziemi po jego prawej stronie.

Nikt nic nie mówił, aż w końcu usłyszałam:

- Tu chyba coś jest - Najwyższa z sióstr wskazała siatkę.

Podniosłam się, by spojrzeć, wdzięczna za stworzenie mi okazji do wyprostowania się.

Siostra wskazywała mały, czerwono-brązowy kawałek.

- Oczywiście, siostró. To chyba drewniany kawałek trumny.

Miałam ze sobą zapas papierowych toreb. Jedną z nich zaopatrzyłam w datę, miejsce i kilka innych informacji, umieściłam ją przy siatce, a inne położyłam na ziemi. W palcach nie miałam już wcale czucia.

- To do pracy. Siostró Julienne, proszę zapisywać wszystko, co znajdziemy. Niech siostra pisze na torbie i do dziennika, tak, jak ustaliśmy. Jesteśmy na głębokości - spojrzałam w wykop - sześćdziesięciu centymetrów. Siostra Marguerite będzie robić zdjęcia.

Zakonnica skinęła głową i uniosła aparat.

Gotowe były do pracy po tylu godzinach obserwowania. Ja usuwałam ziemię, siostry Powieka i Harcerka przesypywały ją przez siatkę. Pojawiło się więcej kawałków i wkrótce dostrzeżliśmy zarys czegoś w ciemnej ziemi. Drewno. W złym stanie. Niedobrze.

Kielnią i gołymi rękami zaczęłam odkrywać coś, co miałam nadzieję było trumną. Chociaż było bardzo zimno i nie miałam czucia ani w palcach rąk, ani nóg, pod kurtką oblewał mnie pot. Proszę, niech to będzie ona. I kto tu się modlił?

Przedmiot stawał się coraz szerszy. Wreszcie było już wyraźnie widać, że ma kształt sześciokąta. Kształt typowy dla trumny. Musiałam się powstrzymać, by nie krzyknąć "Alleluja!". Słowo pasowałoby do miejsca, ale zachowałabym się bardzo nieprofesjonalnie.

Garść po garści odrzucałam ziemię, w końcu górna część przedmiotu była już wyraźnie widoczna. To była mała trumna i odkrywałam ją w kierunku głowy. Odłożyłam kielnię i wzięłam do ręki pędzel. Napotkałam wzrok jednej z moich pomocnic przy siatce. Uśmiechnęłam się. Ona też. Jej prawa powieka zadrgała.

Jednym pociągnięciem pędzla za drugim usuwałam zeskorupiałą ziemię. Już nikt nie pracował, wszyscy przyglądali się temu, co robię. Wreszcie na wieku pojawił się wypukły kształt. Dokładnie tam, gdzie powinna być tabliczka. Serce mi zatańczyło.

Oczyściłam ją dokładnie i była już wyraźnie widoczna. Owalna, metaliczna, ze zdobieniami na brzegach. Żeby dokładnie oczyścić powierzchnię, potrzebowałam szczoteczki do zębów. Pojawiły się litery.

- Czy może mi siostra podać latarkę? Jest w plecaku. Pochyliły się jednocześnie.

Pingwiny u wodopoju. Światło latarki skierowałam na tabliczkę. "Elisabeth Nicolet 1846-1888. *Femme contemplative.*"

- Mamy ją.

- Alleluja! - krzyknęła Harcerka. Wystarczy tej kościelnej etykiety.

Ekshumacja szczątków Elisabeth zajęła kolejne dwie godziny. Tak zakonnice jak i ojciec Menard okazali entuzjazm cechujący studentów w czasie ich pierwszego wykopaliska. Habity i sutanna wirowały wokół mnie, kiedy ziemia była przesypywana, torebki wypełniane i oznaczane, a cały proces utrwalany na filmie. Guy wciąż niechętnie, ale pomagał. Nigdy jeszcze nie miałam takiej dziwnej ekipy.

Nie było łatwo wyjąć trumnę. Choć była mała, drewno było mocno zniszczone, a jej wnętrze tak pełne ziemi, że ważyła chyba tonę. Miałam rację kopiąc z boku, choć okazało się, że potrzebujemy jeszcze więcej miejsca. Trzeba było powiększyć wykop o ponad pół metra, bym mogła wsunąć pod trumnę sklejkę. W końcu zdołaliśmy unieść wszystko za pomocą liny.

O piątej trzydzieści wykończeni piliśmy kawę w klasztornej kuchni, a nasze palce, stopy i twarze stopniowo odzyskiwały czucie. Elisabeth Nicolet, jej trumna i mój sprzęt umieszczone zostały w furgonetce archidiecezji. Na drugi dzień Guy miał zawieźć ją do Laboratorium Medycyny Sądowej w Montrealu, gdzie pracowałam jako antropolog sądowy prowincji Ouebecu. Ponieważ przypadki takie jak ten nie są zaliczane do sądowych, aby wykonać badania w Laboratorium, trzeba było uzyskać specjalną zgodę Biura Koronera. Na analizy miałam dwa tygodnie.

Odstawiłam kubek i pożegnałam się. Znowu. Siostry mi podziękowały, znowu, spięte twarze wykrzywiając w uśmiechach, już zaniepokojone tym, co mogę odkryć. Wspaniale się uśmiechały.

Ojciec Menard odprowadził mnie do samochodu. Zrobiło się ciemno i padał lekki śnieg. Czułam, że płatki padające na moje policzki były dziwnie gorące.

Ksiądz jeszcze raz zapytał, czy na pewno nie chcę zostać na noc w klasztorze. Śnieg skrzył się w świetle padającym z werandy. Jeszcze raz odmówiłam. Jeszcze tylko kilka ostatnich wskazówek jak jechać i już wyjeżdżałam.

Po dwudziestu minutach jazdy po dwupasmowej szosie zaczęłam żałować swojej decyzji. Płatki śniegu, które do tej pory od niechcienia unosiły się w światłach samochodu, zaczęły zacinać ukośnie. Szosa i drzewa po obu stronach pokrywała coraz grubsza warstwa bieli.

Mocniej ścisnęłam kierownicę, dłonie w rękawiczkach zwilgotniały. Jechałam sześćdziesiątką. Potem zwolniłam do pięćdziesięciu. Co kilka minut sprawdzałam hamulce. Mieszkając w Ouebecu przez wiele lat nigdy nie przyzwyczyłam się do jazdy samochodem zimą. Niełatwo mnie przestraszyć, ale posadźcie mnie za kierownicą, kiedy pada śnieg, i zmieniam się w Królową Tchorzy. Na burzę śnieżną reaguję jak typowy mieszkaniec Południa. O, śnieg! No to, oczywiście, nie wychodzimy. Mieszkańcy Quebecu patrzą na mnie i się śmieją.

Strach ma jedną zaletę: usuwa zmęczenie. Chociaż byłam zmęczona, nie przestawałam być czujna, zacisnęłam zęby, wyciągnęłam szyję i napięłam mięśnie. Wschodnia Autostrada nie była o wiele lepsza niż boczna droga. Normalnie do Montrealu jadę dwie godziny. Tym razem jechałam prawie cztery.

Tuż po dziesiątej znalazłam się w mieszkaniu, wykończona, ale zadowolona, że jestem w domu. W domu w Quebecu. W Północnej Karolinie byłam prawie dwa miesiące. Bienvenue. Znowu zaczęłam myśleć po francusku.

Włączyłam ogrzewanie i sprawdziłam lodówkę. Pusto. Do mikrofalówki wrzuciłam mrożone burrito i zjadłam popijając piwem korzennym o temperaturze pokojowej. Kuchnia niezbyt wyszukana, ale sycąca.

Torby, rzucone przeze mnie we wtorek wieczorem, leżały nie rozpakowane w sypialni. Nawet mi przez myśl nie przeszło, by się rozpakować. Jutro. Padłam na łóżko i postanowiłam, że będę spać przez co najmniej dziewięć godzin. Telefon obudził mnie po niecałych czterech.

- *Qui*, tak - wymamrotałam niepewna, który język usłyszę.

- Temperance. Mówi Pierre LaManche. Przepraszam, że dzwonię o tej porze.

Nic nie odpowiedziałam. Pracowałam dla niego siedem lat, był szefem laboratorium, ale po raz pierwszy zadzwonił do mnie o trzeciej nad ranem.

- Mam nadzieję, że poszło dobrze w Lać Memphremagog. - Chrząknął. - Miałem właśnie telefon z biura koronera. W St-Jovite pali się dom. Strażacy nadal starają się go opanować. Rano wejdą specjaliści od podpaień, a koroner chce, byśmy też tam byli. - Znowu chrząknięcie. - Jeden z sąsiadów twierdzi, że mieszkańcy tego domu są w środku. Ich samochody stoją na podjeździe...

- Po co jestem potrzebna? - zapytałam w końcu.

- Ogień jest wyjątkowo duży. Jeżeli znajdziemy ciała, będą bardzo poparzone. Może zostaną tylko kości i zęby. To może być trudne.

Cholera. Tylko nie jutro.

- O której?

- Przyjadę po ciebie o szóstej rano.

- Dobrze.

- Temperance. To może być trudne. Tam mieszkały dzieci.

Nastawiłam budzik na piątą trzydzieści.

*Bienvenue.*

Całe moje dorosłe życie mieszkałam na Południu. Nie przeszkadza mi największy upał. Uwielbiam plażę w sierpniu, lekkie sukienki, wiatraki na suficie, zapach przepoconych włosów dziecinnych, brzęczenie owadów zaplątanych w zasłony okienne. Ale lata i szkolne wakacje spędzam w Quebecu. W czasie roku akademickiego latam z Charlotte w Północnej Karolinie, gdzie pracuję na wydziale antropologii na uniwersytecie, do pracy w laboratorium sądowo-lekarskim w Montrealu. To mniej więcej tysiąc dziewięćset kilometrów. Na północ.

Zimą, kiedy właśnie miałam wychodzić z samolotu, często wdawałam się w rozmowę z samą sobą. Będzie zimno, ostrzegam samą siebie. Będzie bardzo zimno. Ale się odpowiednio ubiorę i przygotuję. Tak. Będę gotowa. Nigdy nie jestem. Za każdym razem wychodzę z terminalu i pierwszy oddech zaskakuje swoim zimnem.

O szóstej rano dziesiątego marca termometr na moim patio wskazywał siedemnaście stopni poniżej zera. Założyłam na siebie tyle rzeczy, ile tylko mogłam. Gruba bielizna, dżinsy, dwa swetry, wysokie buty i wełniane skarpety, które kiedyś sprytnie podszyłam materiałem, jaki został wyprodukowany dla astronautów, by było im ciepło, kiedy latali na planetę Pluton. Zjadłam coś równie prowokującego jak wczoraj wieczorem. Chyba będzie mi ciepło.

Kiedy usłyszałam klakson samochodu LaManche'a, zapięłam kurtkę, założyłam rękawice i narciarską czapkę i wybiegłam z holu. Chociaż nie byłam tym wszystkim zachwycona, nie chciałam, by czekał. I już było mi gorąco.

Spodziewałam się, że przyjedzie czarnym sedanem, ale pomachał mi ze sportowego samochodu. Napęd na cztery koła, jasnoczerwony, z wyścigowymi pasami.

- Fajny samochód - zauważyłam, kiedy wsiadłam.

- *Merci.*

Ręką wskazał półkę, na której stały dwa kubki i firmowa torebka z Dunkin' Donuts. Niech cię Bóg błogosławi. Wybrałam chrupiące ciastko z jabłkami.

Po drodze do St-Jovite LaManche opowiedział mi o sprawie tyle, ile sam wiedział. Praktycznie powtórzył to, co usłyszałam o trzeciej. Para mieszkająca naprzeciwko widziała, jak mieszkańcy wchodzili do domu o dziewiątej wieczorem. Potem sąsiedzi wyszli odwiedzić przyjaciół, u których zostali do późna. Kiedy wracali koło drugiej, już z daleka zauważyli łunę i płomienie wydobywające się z budynku. Innej sąsiadce wydawało się, że tuż po północy słyszała hałas, ale nie była pewna i poszła spać. To dosyć odległa okolica i niezbyt

gęsto zamieszкана. Straż pożarna przyjechała o drugiej trzydzieści i zaraz zawołano posiłki. Dwie brygady gasiły pożar przez ponad trzy godziny. LaManche rozmawiał z koronerem za kwadrans szósta. Wiadomo na pewno, że są dwa trupy, może być więcej. Jest jeszcze zbyt gorąco i niebezpiecznie, by przeszukać dom. To mogło być podpalenie.

Wciąż było ciemno, gdy jechaliśmy na północ, zbliżając się do podnóży Gór Wawrzyńca. LaManche prawie się nie odzywał, co mi odpowiadało. Nie jestem rannym ptaszkiem. On z kolei ma obsesję na tle słuchania i ani na chwilę nie przestawaliśmy słuchać muzyki z kaset. Stare przeboje, pop, nawet country, bez przerwy. Może to miało uspokajać, jak ta ogłupiająca muzyka puszczana w windach i poczekalniach. Zrobiłam się nerwowa.

- Jak daleko jeszcze do St-Jovite?

Wzięłam sobie ciastko z podwójną czekoladą polaną miodem.

- Ze dwie godziny. St-Jovite leży jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Mont Tremblant. Jeździłaś tu na nartach?

Miał na sobie kurtkę na futrze sięgającą kolan, w kolorze wojskowej zieleni, z obszytym futrem kapturem. Ze swojego miejsca widziałam tylko czubek jego nosa.

- Aha, pięknie.

Na Mont Tremblant prawie nabawiłam się odmrożenia. To były moje pierwsze narty w Quebecu i ubrałam się wtedy jak na wycieczkę w góry Blue Ridge. Na szczycie wiał wiatr tak zimny, że mógłby zamrozić płynny wodór.

- Jak poszło w Lac Memphremagog?

- Nie znaleźliśmy grobu tam, gdzie się spodziewaliśmy, ale to nic nowego. Najprawdopodobniej została ekshumowana i pochowana ponownie w tysiąc dziewięćset jedenastym. Dziwne jest to, że nikt nigdzie tego faktu nie odnotował.

Bardzo dziwne, pomyślałam popijając letnią kawę. I słuchając Springsteena. "Urodzonego w USA". Spróbowałam odsunąć to od siebie.

- W końcu ją znaleźliśmy. Szczątki dziś będą dostarczone do laboratorium.

- Fatalnie wyszło z tym pożarem. Wiem, że liczyłaś na to, że w czasie tego weekendu popracujesz przy analizach.

W Quebecu zimy antropologa sądowego są długie. Temperatura rzadko sięga wyżej zera. Rzeki i jeziora przykrywa lód, ziemia jest twarda jak skała i wszędzie leży śnieg. Robaki znikają i padlinożercy chowają się przed mrozem. W rezultacie ciała nie ulegają rozkładowi, jeśli zostają na powierzchni. Nie ściąga się łodzi z rzeki Świętego Wawrzyńca. Ludzie się też chowają. Na polach i w lasach nie widać myśliwych, autostopowiczów i wielbicieli pikników, a ciała zmarłych poprzedniego sezonu znajduje się dopiero w czasie



wiosennych roztopów. Między listopadem a kwietniem drastycznie spada liczba przypadków, które trafiają do mnie.

Nie dotyczy to jednak pożarów, których zimą jest więcej. Większość spalonych ciał przechodzi przez ręce odontologa, który stara się je zidentyfikować na podstawie testów dentystycznych. Adres i nazwisko lokatora są z reguły znane, więc można te testy porównać z tymi, które zrobione były za życia ofiary. Jestem wzywana, gdy pojawi się niezidentyfikowane, zwęglone ciało.

Albo w trudnych sytuacjach. LaManche miał rację. Liczyłam na trochę swobody i nie byłam zachwycona tym wyjazdem do St-Jovite.

- Nie wiadomo, czy będę zajmowała się analizami. - Zabrzmiało "Siedzę na szczycie świata". - Prawdopodobnie będą mieli zapiski rodzinne.

- Prawdopodobnie.

Dotarcie na miejsce zabrało mniej niż dwie godziny. Słońce już wstało i zalało okolice zimnymi kolorami świtu. Skręciliśmy na krętą, dwupasmową szosę prowadzącą na zachód. Minęły nas dwa samochody-platformy, zmierzające w odwrotnym kierunku. Jeden wiozł zniszczoną szarą hondę, drugi czerwonego plymoutha voyagera.

- Widzę, że już skonfiskowali samochody - powiedział LaManche.

Obserwowałam znikające wozy w bocznym lusterku. Na tylnym siedzeniu plymoutha dostrzegłam foteliki dziecięce, a na zderzaku naklejkę z żółtą uśmiechniętą buźką. Wyobraziłam sobie dziecko patrzące przez okno, z wytkniętym językiem i palcami w uszach, robiące miny. Mówiliśmy na to z siostrą "podkręcone oczy". Niewykluczone, że mieliśmy znaleźć to dziecko, nie do rozpoznania, leżące gdzieś w pokoju na górze.

Kilka minut później byliśmy na miejscu. Samochody policyjne, wozy strażackie, ciężarówki, samochody należące do prasy, karetki pogotowia i wozy prywatne wypełniały całą przestrzeń wysypanego żwirem podjazdu.

Stojący grupkami reporterzy rozmawiali ze sobą i przygotowywali sprzęt. Inni siedzieli w samochodach, w ciepłe oczekując na rozwój wypadków. Zimno i wczesna pora sprawiły, że było zaskakująco mało przyglądających się. Przejeżdżające samochody po chwili wracały. Krążący gapie. Później będzie ich więcej.

LaManche włączył migacz i skręcił na podjazd, gdzie zatrzymał nas oficer w mundurze. Miał na sobie oliwkowozieloną kurtkę z czarnym kapturem z futrem, ciemnooliwkowy szalik i oliwkową czapkę z nausznikami związanymi na czubku. Jego uszy i nos przybrały kolor malinowy; kiedy mówił, para leciała z jego ust. Chciałam mu poradzić, by zakrył uszy, momentalnie poczułam się jak matka, ale tego nie zrobiłam. To duży

chłopiec. Jeżeli mu odpadną, to już jego sprawa.

LaManche pokazał dokumenty i strażnik pozwolił nam wjechać, wskazując, byśmy zaparkowali za niebieską furgonetką ekipy zabezpieczającej miejsce zbrodni. Czarny napis na niej głosił: ODDZIAŁ IDENTYFIKACJI SĄDOWEJ. Ekipa była już na miejscu. Chłopcy od podpaleń też, jak sądziłam.

Założyliśmy czapki i rękawice i wyszliśmy z samochodu. Niebo miało kolor lazuru, śnieg, który spadł tej nocy, błyszczał w słońcu. Powietrze było, kryształowe i wszystko widać było ostro i wyraźnie. Samochody, budynki, drzewa i słupy telegraficzne rzucały ciemne cienie o ostrych konturach, jak obrazki na kontrastowym filmie.

Rozejrzałam się. Podjazd prowadził do grupy budynków, na którą składały się nietknięty garaż, teraz czarne zgliszcza domu i mała przybudówka, wszystkie w tanim stylu alpejskim. Wydeptane w śniegu ścieżki trójkątnie łączyły te trzy miejsca. Wokół pozostałości domu rosły sosny, ich gałęzie ugięły się pod ciężarem śniegu. Na jednej z nich dostrzegłam wiewiórkę, która po chwili zniknęła w czeluści dziupli. Poruszony śnieg spadł na ziemię, znacząc białą powierzchnię pod drzewem.

Wysoki dach domu pokryty był czerwopomarańczowymi dachówkami, teraz ciemnymi i przysypanymi śniegiem. Ta część fasady, która nie spłonęła, otynkowana była w kolorze kremowym. Okna straszyły czarnymi i pustymi otworami, strzaskanymi szybami i turkusowym obramowaniem spalonym i brudnym od sadzy.

Najbardziej ucierpiała lewa strona budynku. Widać było szerniałe belki, które stanowiły miejsce złączenia dachu i ściany. Z tyłu jeszcze się trochę paliło.

Front nie został aż tak bardzo zniszczony. Wciąż istniała okalająca parter drewniana weranda i małe balkony na piętrze. Zarówno weranda jak i balkony wykonane były z różowych palików, na górze zaokrąglonych, z wrytymi co kawałek serduszkami.

Za mną, dalej wzdłuż podjazdu, stał podobny domek, ozdobiony na czerwono i niebiesko. Przed nim stała para, z rękami w rękawiczkach założonymi pod pachy. Patrzyli w milczeniu, mrużąc oczy w oślepiającym świetle poranka i patrząc ponuro spod identycznych myśliwskich czapek w kolorze pomarańczowym. Sąsiedzi, którzy zawiadomili o pożarze. Przyjrzałam się ulicy. W zasięgu wzroku nie było innych domów. Ktokolwiek słyszał jakiś hałas, musiał mieć dobry słuch.

Ruszyliśmy w kierunku domu. Minęliśmy tuziny strażaków, kolorowy tłum w żółtych uniformach, czerwonych hełmach, niebieskich pasach z narzędziami i czarnych gumowych butach. Niektórzy z nich nosili na plecach zbiorniki z tlenem. Chyba już zbierali sprzęt.

Podeszliśmy do stojącego przy werandzie oficera. Podobnie jak strażnik, był z

francuskiego departamentu policji w Quebecu, z posterunku w St-Jovite albo w okolicy. Policja Prowincji Quebec ma jurysdykcję wszędzie poza wyspą Montreal i miastami, które utrzymują swą własną policję. St-Jovite było na to zbyt małe, więc został powiadomiony departament. Oni z kolei zawiadomili specjalistów od podpaień z naszego laboratorium. Sekcję Pożarów i Materiałów Wybuchowych. Zastanawiałam się, kto zdecydował, by zawiadomić koronera. De ofiar znajdziemy? W jakim będą stanie? Nie najlepszym, tego byłam pewna. Serce zaczęło mi szybciej bić.

LaManche pokazał swoją odznakę i policjant się jej przyjrzał.

- *Un instant, Docteur, s'il vous plait* - powiedział, unosząc dłoń w rękawicze.

Krzyknął do jednego ze strażaków, powiedział coś i pokazał na swoją głowę. Chwilę później mieliśmy już sztywne hełmy i maski, które założyliśmy.

- Attention! - oficer kiwnął głową w kierunku domu. Pozwolił nam wejść.

O, tak. Będę ostrożna.

Drzwi frontowe były szeroko otwarte. Kiedy przekroczyliśmy próg, temperatura spadła o jakieś dwadzieścia stopni. Powietrze w środku było wilgotne i czuć było zwęglone drewno, mokry tynk i materiał. Wszędzie leżała kleista substancja.

Przed nami wznosiły się schody sięgające pierwszego piętra, po obu ich stronach ziała czeluść, do niedawna zapewne salon i jadalnia. To, co zostało z kuchni, znajdowało się z tyłu domu.

Widziałam już niejednego spalony budynek, ale niewiele było aż tak zniszczonych. Dookoła leżały zwęglone deski, jak rumowisko zgromadzone pod stromym stokiem nad brzegiem morza. Przykrywały splątane ze sobą szkielety krzesła i kanapy, piętrzyły się na schodach, pod ścianami i drzwiami. To, co zostało z mebli, leżało w stosach na ziemi. Ze ścian i sufitu zwisały kable i poskręcane rury. Ramy okienne, poręcze schodów, deski, wszystko to zdobiły osmolone sople.

Dom pełen był ludzi w hełmach, którzy rozmawiali, mierzyli, robili zdjęcia, kręcili kamerami wideo, zbierali dowody i zapisywali coś na kartkach na podkładkach. Rozpoznałam dwóch specjalistów od podpaień z naszego laboratorium. Każdy trzymał koniec miary, jeden kuczał, a drugi krążył, co kilkadziesiąt centymetrów zapisując dane.

LaManche wypatrzył kogoś z biura koronera i ruszył w jego kierunku. Podążyłam za nim, omijając poskręcane metalowe półki, potłuczone szkło i coś, co wyglądało jak śpiwór, z którego ktoś wyjął cały środek.

Koronier był bardzo tłusty i cały zarumieniony. Nieco się na nasz widok wyprostował, wypuścił z ust kłęb pary, wydał dolną wargę i rękawiczką z jednym palcem wskazał na

otaczające nas zniszczenie.

- A te dwie ofiary, panie Hubert? - spytał LaManche. On i Hubert całkowicie się od siebie różnili. Patolog był wysoki i szczupły, o twarzy długiej jak pysk charta. Koroner był wszędzie okrągły. Myślałam o nim w kategoriach poziomych, o LaManche'u w pionowych. Hubert skinął głową, a spod szalika wyskoczyły trzy podbródki.

- Na górze.

- I tylko te dwie?

- Nie wiem, bo nie skończyliśmy jeszcze nawet parteru. Ogień był większy w tylnej części domu. Prawdopodobnie zaczęło się w pokoju przy kuchni. Cały się spalił, a podłoga zawałiła się do piwnicy.

- Widział pan ciała?

- Jeszcze nie. Czekam, aż da się tam wejść. Strażacy chcą być pewni, że jest tam bezpiecznie.

Absolutnie się z nimi zgadzałam.

Staliśmy w milczeniu, przyglądając się całemu rozgardiaszowi. Mijał czas. Poruszałam palcami rąk i nóg, nie chcąc, by mi zeszywniały. Wreszcie z góry zeszło dwóch strażaków. Byli w hełmach i maskach i wyglądali, jakby mieli szukać broni chemicznej.

- W porządku - powiedział ten, który zszedł ostatni, zdejmując maskę. - Można wejść na górę. Tylko ostrożnie i proszę założyć hełmy. Cały cholerny sufit może runąć. Ale podłogi wyglądają bezpiecznie. - Podeszedł do drzwi, ale zawrócił. - Są w pokoju po lewej stronie.

Hubert, LaManche i ja ruszyliśmy na górę, a szkło i gruz chrzęściły pod naszymi stopami. Mój żołądek był już ściśnięty i coś we mnie wzbierało. Chociaż to moja praca, to nigdy nie stałam się nieczuła na widok okrutnej śmierci.

Na górze były drzwi prowadzące na lewo, na prawo i jedno na wprost, do łazienki. Chociaż wszystko było tu brudne od sadzy, to jednak w porównaniu z parterem nie wyglądało tu tak źle.

Przez drzwi po lewej stronie widziałam krzesło, biblioteczkę i fragment podwójnego łóżka. Na nim leżały nogi. Weszliśmy tam z LaManchem, Hubert poszedł do pokoju po prawej.

Tyłna ściana była częściowo spalona, a miejscami spoza tapety wychodziły drewniane belki, szerniałe, chropowate i nierówne jak skóra krokodyla. Chłopcy od podpaleń mówią na to "aligatorka". Podłogę pokrywały zwęglone gruzy, wszędzie pełno było sadzy.

LaManche długo się rozglądał, w końcu z kieszeni wyjął mały dyktafon. Nagrał datę,

godzinę i miejsce i zaczął opisywać ofiary.

Ciała leżały na bliźniaczych łóżkach, które ustawione były w kształcie litery L w odległym kącie pokoju, między nimi stał mały stolik. Oba ciała były ubrane, zwęglenie uniemożliwiło jednak rozpoznanie płci. Ofiara leżąca wzdłuż tylnej ściany miała na sobie tenisówki, ta druga nie miała butów. Zauważyłam, że jedna ze sportowych skarpet była częściowo ściągnięta, odkrywając osmoloną kostkę. Palce skarpety wisiały bezwładnie. Obie ofiary były dorosłe. Jedna z nich była wyraźnie tęższa.

- Ofiara numer jeden... - kontynuował LaManche. Musiałam się zmusić, by podejść bliżej. Ofiara numer jeden miała uniesione ramiona, jakby gotowe do walki. Pozycja pięściarza. Ogień, który wspiał się po tylnej ścianie, chociaż nie trwający długo i niewystarczająco gorący, by strawić ciało, zdołał "ugotować" górne kończyny i spowodował kurcz mięśni. Ręce poniżej łokci były nienormalnie szczupłe. Fragmenty spalonej tkanki otaczały kości. W miejscu rąk sterczały szerniałe kikuty.

Twarz przypomniała mi mumię Ramzesa. Warg już nie było, a widoczne zęby pokrywało ciemne i popękane szkliwo. Na jednym z siekaczy delikatnie lśniła złota otoczka. Spalony nos został zgnieciony, nozdrza sterczały jak ryjek nietoperza. Wyraźnie widziałam pojedyncze włókna mięśni ułożone kuliście i pasmami w poprzek kości policzkowych i żuchwę, jak linię w rysunku anatomii. Gałki oczne leżały wyschnięte w oczodołach. Nie było włosów. Ani czubka głowy.

Druga ofiara nie była aż tak okaleczona. Skóra w kilku miejscach była szerniała i popękana, ale jej powierzchnia w większości została jedynie osmalona. Z kącików oczu rozchodziły się cienkie białe linie, a uszy w środku i poniżej płatków były białe. Na głowie została kępa poskręcanych włosów. Jedna ręka leżała płasko, druga odrzucona, jakby szukając uścisku ręki pierwszej ofiary. Z tej ręki została tylko czarna kość.

LaManche kontynuował swój monotony, posepny komentarz opisujący pokój i dwoje jego nieżywych mieszkańców. Słuchałam jednym uchem, z ulgą myśląc, że nie będę potrzebna. A może będę? Miały tu być dzieci. Gdzie? Przez otwarte okno widziałam blask słońca. Sosny i błyszczący bielą śnieg. Na zewnątrz płynęło życie.

Cisza, która zapadła, wyrwała mnie z zamyślenia. LaManche już nie dyktował i wełniane rękawiczki zastąpił lateksowymi. Zaczął badać drugą ofiarę, uniósł powieki, zbadał wnętrze nosa i ust. Potem przetoczył ciało pod ścianę i uniósł dolną część koszuli.

Zewnętrzna warstwa skóry pękła i krawędzie się skrzyły. Złuszczający się naskórek był półprzezroczysty, przypominał delikatną błonkę ze środka jajka. Jasnoczerwona tkanka pod naskórkiem pokryta była białymi plackami w miejscach, gdzie stykała się ze zmiętym

prześcieradłem. LaManche palcem w rękawiczce nacisnął na mięsień pleców i na ciele pojawiła się biała plamka.

Hubert dołączył do nas w chwili, gdy LaManche przewracał ciało z powrotem do pozycji na wznak. Popatrzeliśmy na koronera wyczekująco.

- Pusto.

Nie zmieniliśmy wyrazu twarzy.

- Są tam dwa łóżeczka. To musi być pokój dziecienny. Sąsiedzi twierdzą, że było tu dwoje dzieci. - Oddychał ciężko. - Chłopcy, bliźnięta. Nie ma ich tam.

Wyjął chusteczkę i wytarł spierzchniętą twarz. Pot i arktyczne powietrze to nie jest dobra kombinacja.

- Macie coś tutaj?

- To oczywiście będzie wymagało pełnej sekcji zwłok - wyjaśnił typowym dla siebie melancholijnym basem LaManche. - Ale z tego, co tu mamy, wnioskuję, że ci ludzie żyli, kiedy wybuchł pożar. A na pewno ten. - Wskazał ciało numer dwa. - Potrzebuję pół godziny, potem możecie ich zabrać.

Hubert skinął głową i wyszedł poinformować grupę zajmującą się transportem.

LaManche zajął się pierwszym ciałem, potem wrócił do drugiego. Patrzyłam w milczeniu, chuchając na palce w rękawiczkach. Wreszcie skończył. Nawet nie musiałam pytać.

- Dym - wyjaśnił. - Wokół nozdrzy, w nosie i w górnej części dróg oddechowych.

Spojrzał na mnie.

- Czyli że wciąż oddychali, kiedy się paliło - powiedziałam.

- Tak. Coś jeszcze?

- Siność. Wiśniowy kolor. To wskazuje na obecność denku węgla we krwi.

- I...?

- Te jasne plamy, które powstają pod naciskiem. Nie wystąpiło jeszcze zsinienie. Plamy pojawiają się po kilku godzinach, ale najpierw występuje siność.

- No tak. - Popatrzył na zegarek. - Jest teraz po ósmej. Ten mógł żyć jeszcze o trzeciej albo czwartej nad ranem. - Ściągnął lateksowe rękawiczki. - Mógł żyć, ale strażacy byli tu o drugiej trzydzieści, więc umarł wcześniej. Ze zsinieniem różnie bywa... Co masz jeszcze?

Nie odpowiedziałam. Usłyszeliśmy jakieś zamieszanie i kroki na schodach. W drzwiach pojawił się strażak, zaczerwieniony i dyszący.

- *Estidecolistabernac!*

Takiego słowa nie znałam. Spojrzałam na LaManche'a. Ale zanim on mi

przetłumaczył, mężczyzna zapytał:

- Czy ktoś tu nazywa się Brennan?

Znowu coś mi się w środku zrobiło.

- Mamy ciało w piwnicy. Oni mówią, że ten Brennan będzie nam potrzebny.

- To ja jestem Tempe Brennan.

Patrzył na mnie przez chwilę, trzymając hełm pod pachą, z przechyloną głową. Potem wytarł nos wierzchem dłoni i znowu spojrzał na LaManche'a.

- Może pan tam zejść, jak tylko dowódca oczyści przejście. I lepiej wziąć ze sobą łyżkę. Z tego niewiele zostało.

### 3

Strażak ochotnik zaprowadził nas w dół schodami i na tył domu; Nie było tu części dachu i do ponurego środka wpadało słońce. W zimnym powietrzu tańczyły cząsteczki sadzy i kurzu.

Zatrzymaliśmy się w drzwiach prowadzących do kuchni. Po lewej stronie zauważyłam to, co zostało z kontuaru, zlewu i kilku większych sprzętów. Otwarta zmywarka straszyla czarnym wnętrzem. Wszędzie leżały zwęglone deski, te same, co we frontowych pomieszczeniach.

- Proszę chodzić przy ścianach - rozkazał strażak i gestykulując zniknął za drzwiami.

Zaraz potem znowu się pojawił, przedzierając się wzdłuż zachodniej ściany pokoju. Tuż za nim blat zwijał się jak wielki kawał lukrecji. Wbiły się w niego fragmenty strzaskanych butelek wina i niezidentyfikowane bryły różnej wielkości.

Szliśmy z LaManchem posuwając się najpierw wzdłuż ściany, potem skręciliśmy i ruszyliśmy wzdłuż kontuaru. Trzymaliśmy się z dala od środka pomieszczenia, idąc między gruzami, zgniecionymi metalowymi pojemnikami i przypalonymi zbiornikami z propanem.

Zatrzymałam się przy strażaku i plecami zwrócona do kontuaru starałam się oszacować zniszczenia. Kuchnia i przylegający do niej pokój zostały zniszczone przez ogień. Nie było sufitów, a ze ściany przedzielającej pomieszczenia zostało trochę zwęglonego drewna. Czarna dziura ziejąca pod naszymi stopami była kiedyś podłogą. Wystawała z niej zwrócona w naszą stronę składana drabina. W dole widać było mężczyzn w hełmach, którzy podnosili z podłogi różne przedmioty i albo je odrzucali, albo odnosili w miejsce, którego stąd nie widziałam.

- Tam jest ciało - powiedział mój przewodnik, robiąc ruch głową w kierunku dziury. - Znaleźliśmy je oczyszczając podłogę z gruzów.

- Tylko jedno? - zapytałam.

- A cholera wie. To nawet nie wygląda na człowieka.

- Dorosły czy dziecko?

Popatrzył na mnie, jakby chciał zapytać: "Zgłupiała pani, czy co?"

- Kiedy będę mogła tam zejść?

Przeniósł wzrok na LaManche'a, potem znowu spojrzał na mnie.

- To zależy od szefa. Oni tam wciąż sprzątają. Nie chcielibyśmy, by cokolwiek roztrzaskało pani śliczną główkę.



Uśmiechnął się w jego mniemaniu ujmująco. Pewnie ćwiczył przed lustrem.

Patrzyliśmy, jak strażacy przerzucali deski i chodzili tam i z powrotem przenosząc tony gruzu. Słyszałam, jak sobie żartują, pracując nad usuwaniem zniszczeń.

- Czy oni wiedzą, że mogą niszczyć dowody? - zapytałam.

Strażak spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie zasugerowała, że w dom uderzyła kometa.

- To tylko deski podłogowe i całe to gówno, które spadło razem z tą podłogą.

- To "gówno" mogłoby się przydać przy ustalaniu kolejności wypadków - odparłam głosem tak zimnym jak sople za nami. - Albo pozycji ciała.

Przybrał surowy wyraz twarzy.

- Tam mogą być jeszcze punkty zapalne, proszę pani. Nie chciałaby pani, by jeden z nich wybuchnął pani prosto w twarz, prawda?

Musiałam przyznać mu rację.

- A jemu i tak już wszystko jedno - dodał.

Czułam, jak mi coś zaczyna pulsować w mojej ślicznej główce.

- Jeżeli ofiara jest tak poparzona, jak pan sugeruje, to możliwe że pańscy koledzy właśnie niszczą główne części ciała.

Zacisnął szczęki i poszukał poparcia u LaManche'a. Ten nic nie odpowiedział.

- Szef i tak was tam nie wpuści.

- Muszę tam wejść, by zabezpieczyć to, co tam zostało. Zwłaszcza zęby. - Pomyślałam o chłopcach. Miałam nadzieję, że znajdę zęby. I wszystkie należące do dorosłych. - Jeżeli jeszcze jakieś zostały.

Strażak zmierzył mnie od stóp do głów, oceniając moje sto sześćdziesiąt pięć centymetrów i sześćdziesiąt kilogramów. Chociaż kilkuwarstwowe ubranie szczelnie skrywało moje kształty, a hełm przykrywał moje długie włosy, zobaczył wystarczająco dużo, by przekonać się, że nie tu było moje miejsce.

- Ona tam chyba nie wejdzie...? - Szukał w LaManche'u sprzymierzeńca.

- Doktor Brennan po to tu jest

- *Estidecolistabernac!*

Tym razem nie potrzebowałam tłumaczenia. Strażak macho sądził, że ta praca wymagała faceta z jajami.

- Punkty zapalne to nie problem - stwierdziłam patrząc mu prosto w oczy. - Ja właściwie wolę pracować w płomieniach. Jest mi wtedy cieplej.

Bez słowa chwycił się drabiny i zjechał na dół, nawet nie dotykając stopami szczebli.

Świetnie. Umie też robić sztuczki. Mogłam sobie wyobrazić, co mówił swojemu szefowi.

- Tacy są ochotnicy - LaManche prawie się uśmiechnął. - Muszę skończyć tu na górze, ale zaraz do ciebie dołączę.

Patrzyłam, jak idzie do drzwi, pochylając swoją wielką sylwetkę w skupieniu. Chwilę później na drabinie pojawił się dowódca. To był ten sam mężczyzna, który skierował nas na górę.

- Pani jest doktor Brennan? - zapytał po angielsku.

Gotowa do walki skinęłam głową.

- Luc Grenier. Dowodzę ochotniczą brygadą w St-Jovite.

Odpiął pasek pod brodą i pozwolił mu zawisnąć. Był starszy od swojego szowinistycznego kolegi.

- Będziemy potrzebowali jeszcze dziesięciu albo piętnastu minut by zabezpieczyć dolny poziom. Tu dotarliśmy na końcu, więc nadal mogą tu być punkty zapalne. - Kiedy mówił, pasek podskakiwał. - Tutaj była toaleta i nie chcemy wybuchu. - Wskazał miejsce za mną. - Widzi pani te zdeformowane rury?

Obejrzałam się, by spojrzeć.

- To jest miedź. Topnieje dopiero w temperaturze tysiąca stu stopni. - Potrząsnął głową i pasek zakołysał się w przód i w tył. - To naprawdę była toaleta.

- Czy wie pan, jak to się zaczęło?

Wskazał na zbiornik z propanem stojący u moich stóp.

- Do tej pory znaleźliśmy takich dwanaście. Albo ktoś wiedział, co robi, albo naprawdę spieprzył rodzinnego grilla. - Nieco się zaczerwienił. - Przepraszam.

- Podpalenie?

Dowódca Grenier wzruszył ramionami i uniósł brwi.

- To już nie moja działka. - Zapiął pasek i chwycił drabinę. - My tylko usuwamy zgliszczka, aby się upewnić, że cały ogień jest zgaszony. W tej kuchni było mnóstwo śmieci. Dlatego wszystko poszło przez podłogę. Będziemy uważać na miejsce wokół kości. Zagwizdzą, kiedy będzie już bezpiecznie.

- Nie lejcie wody na szczątki - poprosiłam.

Zasalutował i zniknął w czeluści.

Wpuścili mnie po trzydziestu minutach. W tym czasie poszłam do furgonetki po swój sprzęt i zamówiłam fotografa. Znalazłam Pierra Gilberta i poprosiłam, by zniósł siatkę i reflektor.

Piwnica była jedną ogromną przestrzenią, ciemną, wilgotną i było tam zimniej niż w

Yellowknife w styczniu. W odległym końcu pomieszczenia stał piec, odchodzące od niego rury były czarne i sękaty jak konary ogromnego martwego dębu. Przypomniała mi się inna piwnica, w której nie tak dawno byłam. Ukrywał się w niej seryjny morderca.

Ściany były zbudowane z pustaków. Większy gruz został już uprzątnięty i leżał pod ścianami, odsłaniając ubitą z gliny podłogę. W kilku miejscach ogień zmienił jej kolor na czerwonobrazowy. Na większości powierzchni była czarna i twarda jak skała, jak wypalony w piecu kafelek. Wszystko pokrywała cienka warstwa szronu.

Grenier zaprowadził mnie na miejsce zawałiska. Powiedział, że nigdzie więcej nie znaleźli innych ofiar. Miałam nadzieję, że ma rację. Myśl, że miałabym przesiewać całą piwnicę, prawie doprowadziła mnie do łez. Życzył mi powodzenia i wyszedł, by dołączyć do swojej brygady.

Słońce nie docierało aż tak daleko, więc wzięłam swoją latarkę o dużej mocy i poświeciłam dookoła. Jeden rzut oka i adrenalina podskoczyła. Nie tego się spodziewałam.

Szczałki zostały porozrzucane na powierzchni o długości co najmniej trzech metrów. Były w bardzo złym stanie i wykazywały różny stopień zwęglenia.

W jednym miejscu dostrzegłam głowę otoczoną fragmentami o różnych kształtach i wielkościach. Niektóre z nich, jak na przykład czaszka, były czarne i błyszczące. Inne, białe jak kreda, wyglądały tak, jakby się za chwilę miały rozpaść. Tak właśnie by się stało, dlatego należało się z nimi obchodzić we właściwy sposób. Kość, która miała kontakt z ogniem, jest lekka jak piórko i wyjątkowo delikatna. Tak. Ten przypadek miał być wyjątkowo trudny.

Półtora metra dalej kręgosłup, żebra i kości długie leżały mniej więcej w pozycji anatomicznej. Też były białe i spalone. Sądząc po ułożeniu kręgosłupa i kości rąk szczątki leżały na wznak, z jedną ręką ułożoną w poprzek klatki piersiowej, a drugą nad głową.

Poniżej rąk i klatki piersiowej leżała czarna masa w kształcie serca z dwiema złamanymi długimi kośćmi wystającymi od osi ciała. Miednica. Dalej we fragmentach leżały zwęglone kości nóg i stóp.

Poczułam ulgę, ale i lekki niepokój. To była jedna, dorosła ofiara. Naprawdę? Kości małego dziecka są drobne i wyjątkowo delikatne. Z łatwością mogły zostać przysypane. Modliłam się, by żadnych nie znaleźć, gdy będę przesiewać popiół i osad.

Zrobiłam notatki i zdjęcia polaroidem, następnie zaczęłam usuwać ziemię i popiół za pomocą miękkiego pędzla ze szczeciny. Powoli odkrywałam coraz więcej kości, ostrożnie sprawdzając, co kryło rumowisko, i zbierając je do dalszych badań.

LaManche dołączył do mnie, kiedy oczyszczałam ostatnią partię ziemi, która leżała bezpośrednio przy kościach. Przyglądał mi się w milczeniu, kiedy ze swojego zestawu

brałam cztery paliki, sznurek i trzy wyciągane miary.

Jeden palik wbiłam w ziemię tuż nad czaszką i przyczepiłam końce dwóch miar do gwoździa, który w niego wbiłam. Jedną z miar poprowadziłam na południe i przyczepiłam do drugiego palika.

LaManche przytrzymał taśmę przy drugim paliku, kiedy wróciłam do pierwszego, i poprowadziłam drugą taśmę prostopadle, trzy metry na wschód. Za pomocą trzeciej wyznaczyłam przeciwprostokątną o długości czterech metrów i dwudziestu czterech centymetrów od palika LaManche do północno-wschodniego rogu. Tam, gdzie spotykały się taśmy druga i trzecia, wbiłam trzeci palik. Dzięki Pitagorasowi wyszedł idealny trójkąt prostokątny o przyprostokątnych długości trzech metrów.

Odczepiłam drugą taśmę od pierwszego palika, przymocowałam ją do północno-wschodniego palika i poprowadziłam ją trzy metry w kierunku na południe. LaManche poprowadził swoją trzy metry na wschód. Czwarty palik wbiłam w miejscu, gdzie się spotkały.

Cztery paliki otoczyłam sznurkiem, zamykając szczątki na powierzchni czworokąta o boku trzech metrów i kątach dziewięćdziesiąt stopni. Podczas pomiarów podzieliłam go na trójkąty. Jeżeli zaszłoby taka potrzeba, mogłam go podzielić na ćwiartki albo na mniejsze kwadraty dla bardziej szczegółowych badań.

Dwaj technicy pozyskiwania dowodów przybyli w chwili, kiedy umieszczałam północną strzałkę tuż przy czaszce. Mieli na sobie niebieskie kombinezony chroniące przed arktycznymi mrozami z napisem ODDZIAŁ IDENTYFIKACJI SĄDOWEJ na plecach. Zazdrościłam im. Zimno w piwnicy było niczym nóż, przechodzący przez moje ubranie i przenikający do ciała.

Pracowałam z Ciaudem Martineau już wcześniej. Tego drugiego technika nie znałam. Zostaliśmy sobie przedstawieni i ustawili siatkę i przenośny reflektor.

- Praca nad tym zajmie trochę czasu - powiedziała wskazując zaznaczony kwadrat. - Chciałam zlokalizować zęby, jakie mogły zostać, i je utrwalić. Może też będę musiała się zająć łonem i fragmentami żeber, jeżeli jakieś znajdę. Kto ma robić zdjęcia?

- Halloran już jedzie - odparł Sincennes, drugi technik.

- W porządku. Dowódca Grenier twierdzi, że tam już nikogo nie ma, ale nie zaszkodziłoby obejrzenie piwnicy.

- Podobno miały być w tym domu jakieś dzieci - twarz Martineau była bardzo poważna. Miał dwoje swoich dzieci.

- Proponowałabym zrobić użytek z siatki. Popatrzyłam na LaManche'a. Zgodził się

bez słowa.

- Zgoda - odparł Martineau.

Obaj technicy włączyli światelka na swoich hełmach i ruszyli w głąb piwnicy. Chodzili w tę i z powrotem równolegle, najpierw z północy na południe, potem ze wschodu na zachód. Kiedy skończyli, każdy centymetr podłogi był dwukrotnie sprawdzony.

Zrobiłam jeszcze kilka zdjęć polaroidem i przystąpiłam do oczyszczania kwadratu. Za pomocą kielni, dłuta dentystycznego i plastikowej szufelki poruszyłam i usunęłam ziemię, która pokrywała szkielet, zostawiając kości na swoich miejscach. Przez siatkę przeszła każda najmniejsza ilość ziemi. Potem oddzieliłam osad, popiół, materiał, paznokcie, drewno i tynk od fragmentów kości, które następnie umieściłam na bawelnie chirurgicznej w zamkniętych plastikowych pojemnikach, zapisując ich pochodzenie w moim notesie. W pewnej chwili przyszedł Halloran i zaczął robić zdjęcia.

Co jakiś czas spoglądałam na LaManche'a. Przyglądał się bez słowa, przybrawszy swój zwykły w takich chwilach uroczysty wyraz twarzy. Jak długo go znałam, rzadko widziałam, by jego twarz wyrażała jakiegokolwiek uczucia. Widział już tak wiele, może sentyment kosztował go zbyt wiele...? Po chwili przemówił:

- Jeżeli nie ma tu już nic dla mnie, Temperance, pójdę na górę.

- Jasne - odparłam, myśląc o ciepłe słońca. - Ja tu przez chwilę zostanę.

Spojrzałam na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Z tyłu za nim widziałam, jak Sincennes i Martineau chodzą ramię w ramię, z głowami pochylonymi, jak górnicy poszukujący obfitej żyły.

- Będiesz czegoś potrzebować?

- Będzie mi potrzebna torba do przeniesienia ciała, z czystym prześcieradłem wewnątrz. Upewnij się, proszę, że podłożą pod nią płaską deskę albo nosze na kółkach. Kiedy już wydobędę te fragmenty, nie chcę, żeby wszystko się zmieszało podczas transportu.

- Oczywiście.

Powróciłam do przesiewania. Było mi tak zimno, że cała się trzęsłam i co chwilę musiałam przerywać, by ogrzać dłonie. W pewnej chwili zespół zajmujący się przewożeniem zwłok do kostnicy przyniósł mi nosze i torbę. Wyszedł ostatni strażak. W piwnicy zrobiło się cicho.

W końcu odkryłam cały szkielet. Zrobiłam notatki i naszkicowałam jego pozycję, a Halloran zrobił zdjęcia.

- Mogę zrobić sobie przerwę na kawę? - zapytał, kiedy skończyliśmy.

- Jasne. W razie czego krzyknę. Teraz zajmę się przenoszeniem kości.

Wyszedł, a ja zaczęłam przenosić szczątki do torby, począwszy od stóp, w kierunku głowy. Miednica była w dobrym stanie. Uniosłam ją i umieściłam na prześcieradle. Spojenia kości łonowych otaczała zwęglona tkanka. Ich nie trzeba będzie utrwać.

Kości rąk i nóg nadal tkwiły w osadzie. Zdecydowałam, że na razie niech je zlepią, aż do chwili, kiedy będę je mogła oczyścić i posortować w pomieszczeniu, gdzie przeprowadza się sekcje zwłok. Tak samo postąpiłam z kośćmi klatki piersiowej, delikatnie przenosząc je po kawałku szuflą o płaskim sztychu. Z wnętrza klatki piersiowej nic nie pozostało, więc nie musiałam się martwić, że uszkodzę końcówki. Na razie nie ruszałam czaszki.

Kiedy już usunęłam szkielet, zaczęłam przesiewać zewnętrzną warstwę osadu, zaczynając przy paliku południowo-zachodnim i posuwając się na północny-wschód. Właśnie kończyłam pracę przy ostatnim rogu kwadratu, gdy zauważyłam ją, mniej więcej czterdzieści pięć centymetrów na wschód od czaszki, na głębokości pięciu centymetrów. Ścisnął mi się żołądek. Jest!

Szczęka. Ostrożnie odsunęłam ziemię i popiół, by odkryć całe prawe rozwidlenie kości, część lewego rozwidlenia i kawałek części żuchwowej, w której tkwiło siedem zębów.

Zewnętrzną kość, cienką i białą, pokrywała siateczka pęknięć. Gąbczaste wnętrze było jasne i delikatne, jakby każde włókienko uprządlililipuci pająk. Szkliwo na zębach już odpadało i zdawałam sobie sprawę, że wszystko się rozpadnie, jeżeli nie będę ostrożna.

Wzięłam z mojego zestawu buteleczkę z płynem, potrząsnęłam nią i upewniłam, że w roztworze nie został ani jeden kryształek. Wyciągnęłam też garść jednorazowych pięciomilimetrowych pipetek.

W pozycji na czworakach otworzyłam butelkę i zanurzyłam w niej pipetkę. Ścisnęłam gruszkę, by wypełnić pipetkę roztworem i kropla za kroplą zmoczyłam każdy fragment szczęki, dokładnie, aby płyn przeniknął każdą część. Zgubiłam rachubę czasu.

- Cóż za figura! - To był nowy głos.

Ręka mi drgnęła, spryskując rękaw mojej kurtki kroplami Vinacu. Zesztywniały mi plecy, kolana i kostki nóg nie czułam, więc nie mogłam opuścić tylnej części ciała. Wolno przykucnęłam. Nawet nie musiałam się oglądać.

- Miły jesteś, Ryan...

Obszedł siatkę dookoła i spojrzał na mnie z góry. Nawet w ciemnej piwnicy widziałam, że jego oczy były tak niebieskie, jak w moich wspomnieniach. Miał na sobie czarny kaszmirowy płaszcz i czerwony wełniany szalik.

- Dawno się nie widzieliśmy - zauważył.

- Tak. Dawno. Kiedy to było?

- W sądzie.

- Sprawa Fortiera.

Oboje zeznawaliśmy w tej sprawie.

- Nadal spotykasz się z Perry Masonem?

Zignorowałam to pytanie. Zeszłej jesieni przez krótki czas spotykałam się z pełnomocnikiem obrony, którego spotkałam na kursie Tai Chi.

- Ładnie to tak bratać się z wrogiem?

I tym razem nic nie odpowiedziałam. Najwyraźniej moje życie seksualne było bardzo popularnym tematem w wydziale zabójstw.

- Jak się masz?

- Świetnie. A ty?

- Nie mogę narzekać. Nawet gdybym to robił, nikt by nie słuchał.

- Kup sobie psa.

- Mógłbym spróbować. Co jest w tej pipecie? - zapytał, ręką w skórzanej rękawiczce wskazując na moją rękę.

- Vinac. Roztwór żywicy syntetycznej i metanolu. Żuchwa miała kontakt z ogniem i chciałabym, żeby pozostała w takim stanie, w jakim jest.

- I to ma ci pomóc?

- Jeżeli kość jest sucha, ten roztwór przeniknie w głąb i utrzyma wszystko w jednym kawałku.

- A jeżeli nie jest sucha?

- Vinac nie miesza się z wodą, więc utrzyma się na powierzchni i zrobi się biały. Kości będą wyglądały tak, jakby zostały spryskane lateksem.

- Jak to długo schnie?

Poczułam się jak Pani Ekspert.

- Schnie szybko przez odparowanie alkoholu, zwykle trwa to trzydzieści do sześćdziesięciu minut. Ale ta arktyczna temperatura na pewno tego nie przyspieszy.

Sprawdziłam fragmenty szczęki, jeden z nich jeszcze skropiłam i odłożyłam pipetkę na zakrętkę butelki. Ryan podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Chwyciłam ją i wyprostowałam się, obejmując się rękami i dłonie wkładając pod pachy. Straciłam czucie w palcach i podejrzewałam, że mój nos przybrał kolor szalika Ryana. I pewnie właśnie dostałam kataru.

- Cholernie zimno tutaj - zgodził się, przyglądając się piwnicy. Jedną rękę trzymał z tyłu pod dziwnym kątem. - Jak długo tu jesteś?

Spojrzałam na zegarek. Nic dziwnego, że straciłam czucie. Było piętnaście po

pierwszej.

- Ponad cztery godziny.

- Chryste. Trzeba ci będzie zrobić transfuzję. I wtedy przypomniałam sobie, że on przecież pracował w wydziale zabójstw.

- Więc to jednak podpalenie?

- Prawdopodobnie.

Zza pleców wyciągnął białą torbę, a z niej styropianowy kubek i kanapkę z automatu i pomachał mi nimi przed nosem.

Rzuciłam się na nie, aż się cofnął.

- Mam w tobie dłużnika.

- Masz jak w banku.

Rozciapana bulka i letnia kawa. Obłąd.

Rozmawialiśmy, a ja jadłam.

- Powiedz, dlaczego sądzisz, że to było podpalenie. - Mówiłam i żułam.

- Jeśli powiesz mi, co tu masz...

No cóż. Zasłużył sobie.

- Jedna osoba. Może młoda, ale to nie jest małe dziecko.

- Żadnych niemowlaków?

- Żadnych. Teraz ty.

- Wygląda na to, że ktoś użył wypróbowanego sposobu. Ogień wypalił ślady ku dołowi między deskami podłogi. Tam, gdzie nadal są deski, oczywiście. To wskazuje na substancję, która powoduje rozprzestrzenienie się ognia, prawdopodobnie była to benzyna. Znaleźliśmy mnóstwo pustych kanistrów.

- To wszystko?

Skończyłam kanapkę.

- Ogień powstał w kilku miejscach - dodał. - Kiedy się zaczęło, paliło się jak diabli, bo ogień trafił na największą na świecie domową kolekcję zbiorników z propanem. Każdy z nich wybuchał z hukiem. Kolejny zbiornik, kolejne bum.

- Ile?

- Czternaście.

- Zaczęło się w kuchni?

- I w sąsiadującym z nią pokoju. Cokolwiek tam było. Trudno to powiedzieć.

Zastanowiłam się nad tym.

- To wyjaśnia głowę i szczękę.



- Co za głowę i szczękę?

- Leżały jakieś półtora metra od reszty ciała. Jeżeli zbiornik z propanem wpadł do pomieszczenia, gdzie już leżała ofiara, i eksplodował później, to mógł sprawić, że głowa została oderwana od już spalonego ciała. To samo ze szczęką.

Skończyłam kawę żałując, że nie ma więcej kanapek.

- Czy zbiorniki mogły wybuchnąć przez przypadek?

- Wszystko jest możliwe.

Strzepnęłam okruchy z kurtki i pomyślałam o ciastkach LaManche'a. Ryan wyciągnął z torby chusteczkę i mi ją podał.

- No dobrze. Ogień zaczął się w kilku miejscach i znaleźliście substancję rozprzestrzeniającą. A więc podpalenie. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Wskazał torbę ze szczątkami. - Kto to jest?

- Też nie mam pojęcia.

Ruszył na górę, a ja powróciłam do pracy. Szczęka jeszcze nie wyschła, więc zajęłam się czaszką.

Mózg zawiera duże ilości wody. Pod wpływem ognia zaczyna się gotować i zwiększa swoją objętość, budując w czaszce ciśnienie hydrostatyczne. Przy odpowiednio wysokiej temperaturze sklepienie czaszki może pęknąć albo nawet eksplodować. W tym przypadku nie było aż tak źle. Chociaż nie było twarzy i kość zewnętrzna uległa zwęgleniu i złuszczeniu, większe segmenty czaszki zostały zachowane. Trochę mnie to dziwiło, ogień był przecież tak potężny.

Kiedy usunęłam błoto i popiół i przyjrzałam się bliżej, znalazłam wytłumaczenie. Przez chwilę nie mogłam oderwać wzroku. Odwróciłam czaszkę i zbadłam kość czołową.

Słodki Jezu...!

Wspięłam się po drabinie i wystawiłam głowę w kuchni. Ryan stał przy kontuarze i rozmawiał z fotografem.

- Lepiej zejść na dół - powiedziałam.

Obaj unieśli brwi i wskazali na siebie.

- Obaj chodźcie.

Ryan odstawił styropianowy kubek.

- Co jest?

- Ten już nie żył, kiedy wybuchł pożar.

Gdy ostatnia kość została spakowana i przygotowana do transportu, było już późne popołudnie. Ryan przypatrywał się, kiedy ostrożnie uniosłam i owinęłam fragmenty czaszki i włożyłam je do plastikowych pojemników. Ja miałam zanalizować szczątki w laboratorium. Reszta śledztwa to już jego działka.

Kiedy wyszłam z piwnicy, zapadał już zmierzch. Gdybym powiedziała, że było mi zimno, to byłoby tak, jakbym stwierdziła, że Lady Godiva była niekompletnie ubrana. Drugie popołudnie z rzędu kończyłam bez czucia w palcach. Miałam nadzieję, że amputacja nie okaże się konieczna.

LaManche już pojechał, do Montrealu zabrali mnie więc Ryan i jego partner Jean Bertrand. Siedziałam z tyłu i drżącym z zimna głosem błagałam o więcej ogrzewania. Oni z przodu się pocili i co jakiś czas zdejmowali z siebie pojedyncze sztuki odzieży.

Docierały do mnie fragmenty ich rozmowy. Byłam wyczerpana i pragnęłam tylko gorącej kąpieli i mojej flanelowej koszuli nocnej. Spać przez miesiąc. Pozwoliłam myślom odpłynąć. Przyszły mi do głowy niedźwiedzie. To był pomysł. Zwinąć się w kłębek i spać do wiosny

Myśli przelatywały mi przez głowę. Ofiara w piwnicy. Skarpeta wisząca nad sztywnymi palcami. Tabliczka na trumnie. Naklejka z uśmiechniętą buzią.

- Brennan.

- Tak?

- Dzień dobry, gwiazdeczko. Ziemia mówi "Cześć".

- Co?

- Jesteś w domu.

Spałam głęboko.

- Dzięki. Pogadamy w poniedziałek.

Wygramoliłam się z samochodu i wpelzłam po schodach mojego domu. Drobny śnieg przykrywał okolicę jak lukier ciastko. Skąd się bierze tyle śniegu?

Zaopatrzenie w artykuły spożywcze się raczej nie zmieniło, więc zjadłam krakersy z masłem orzechowym i popiłam zupą z małży. Znalazłam w spiżarni pudełko czekoladek, gorzka czekolada, moja ulubiona. Były stare i twarde, ale nie mogłam sobie pozwolić na grymasy.

Kąpiel spełniła moje oczekiwania. Potem postanowiłam, że rozpalę w kominku. Było

mi już ciepło, ale czułam się bardzo zmęczona i samotna. Czekolada trochę mi poprawiła nastrój, ale było mi mało.

Tęskniłam za córką. Rok szkolny Katy podzielony był na cztery części, mój uniwersytet pracował w systemie semestralnym, więc nasze przerwy wiosenne się nie nakładały. Nawet Birdie został tym razem na południu. Nienawidził podróży samolotem i głośno to obwieszczał w czasie każdego lotu. Tym razem miałam zostać w Quebecu nie dłużej niż dwa tygodnie, więc dałam sobie spokój i z kotem, i z samolotem.

Kiedy zapalałam pierwszą zapalkę, zastanowiłam się nad ogniem. Oswoił go *homo erectus*. Od prawie miliona lat używamy go do polowania, gotowania, ogrzewania i oświetlania sobie drogi. Na ten temat był mój ostatni wykład przed przerwą. Pomyślałam o moich studentach w Północnej Karolinie. Kiedy szukałam Elisabeth Nicolet, oni zdawali swój egzamin międzysemestralny. Małe niebieskie książeczki przyjadą tutaj ekspresową pocztą, a studenci pójdą na plażę.

Wyłączyłam lampę i patrzyłam, jak płomień liżąc drewno tańczy między szczapami. Po całym pokoju płały cienie. Czułam zapach sosny i słyszałam, jak wilgoć syczała i cichutko strzelała na powierzchni drewna. Właśnie dlatego ogień ma taki urok: działa na tyle zmysłów.

Przypomniałam sobie Gwiazdki i letnie obozy z mojego dzieciństwa. Ogień, niebezpieczne błogosławieństwo. Przynosi pocieszenie i wspomnienia. Ale może też zabić. Tego wieczoru nie chciałam myśleć o St-Jovite.

Na parapecie przybywało śniegu. Moi studenci już pewnie zaplanowali sobie dzień na plaży. Kiedy ja walczyłam z odmrożeniami, oni myśleli o opalaniu. O tym też nie chciałam myśleć.

Przyszła mi na myśl Elisabeth Nicolet. Była odludkiem. "*Femme contemplative*" głosiła tabliczka. Od stu lat już o niczym nie rozmyśla. A jeżeli znaleźliśmy nie tę trumnę? Znowu coś, o czym nie miałam ochoty myśleć. W każdym razie nie tego wieczoru. Nie miałam z Elisabeth wiele wspólnego.

Spojrzałam na zegarek. Za dwadzieścia dziesiąta. Na drugim roku Katy wygrała w konkursie "Piękności Wirginii". Chociaż nigdy nie schodziła poniżej średniej 3,8 na fakultetach z angielskiego i psychologii, nigdy nie spędzała piątkowych wieczorów w domu. Z natury jestem optymistką, więc sięgnęłam po telefon i wykręciłam numer do Charlottesville.

Katy odebrała po trzecim sygnale.

Spodziewając się jej głosu na sekretarce, wyjąkałam coś niezrozumiałego.

- Mama? To ty?

- Tak. Cześć. Co ty robisz w domu?

- Na nosie wyskoczył mi wielki pryszcz. Jestem taka brzydka, że nie mogę nigdzie wyjść. A ty co robisz w domu?

- Na pewno nie jesteś brzydka. O pryszczu się nie wypowiem. - Oparłam się o poduszkę i stopy grzał mi ogień z kominka. -A ja dwa dni spędziłam wygrzebując zwłoki i jestem zbyt zmęczona, by wychodzić.

- Nawet nie będę pytać. - Usłyszałam szelest celofanu. - Ten pryszcz jest naprawdę paskudny.

- Wszystko minie. Jak się ma Cyrano?

Katy miała dwa szczury o imionach Templeton i Cyrano de Bergerac.

- Lepiej. Dostałam lekarstwo w sklepie dla zwierzaków i dawałam mu używając do tego zakraplacza do oczu. Już tak nie kicha.

- To dobrze. Zawsze był moim ulubieńcem.

- Templeton jest tego chyba świadomy.

- Postaram się być bardziej dyskretna. Co jeszcze nowego?

- Niewiele. Raz umówiłam się z facetem o imieniu Aubrey. Był fajny. Następnego dnia przysłał mi róże. A jutro jadę na piknik z Lynwoodem Deaconem. Jest na pierwszym roku prawa.

- To tak ich wybierasz?

- Jak?

- Patrzysz na imiona. Które ciekawsze.

Zignorowała to.

- Dzwoniła ciocia Harry.

- O?

Kiedy ktoś wspominał imię mojej siostry, zawsze robiłam się trochę niespokojna.

- Chyba sprzedaje swój balonowy interes. Dzwoniła, bo chciała ciebie znaleźć.

Wydawała się czymś zaniepokojona.

- Zaniepokojona? - To był stan typowy dla niej.

- Powiedziałam, że jesteś w Quebecu. Pewnie jutro zadzwoni.

- Okej. - Tylko tego było mi trzeba.

- Aha, tata kupił mazdę RX-7. Piękna! Ale i tak nie pozwoli mi poprowadzić.

- Tak, wiem. - Mój mąż, w którym byłam w separacji, przechodził właśnie kryzys wieku średniego.

Wyczułam lekkie wahanie.

- Właśnie wychodziliśmy na pizzę.
- A co z twoim pryszczem?
- Dorysuję do niego uszy i ogon i powiem wszystkim, że to tatuaż.
- Niezły pomysł. W razie czego używaj innego imienia.
- Kocham cię, mammo.
- Ja ciebie też kocham. Odezwę się jeszcze.

Skończyłam czekoladki i umyłam zęby. Dwa razy. Potem padłam na łóżko i spałam jedenaście godzin.

Resztę weekendu spędziłam rozpakowując się, sprzątając, robiąc zakupy i oceniając egzamin. Moja siostra zadzwoniła w niedzielę wieczorem, żeby mi powiedzieć, że sprzedała swój balon. Poczulałam ulgę. Przez ostatnie trzy lata robiłam co mogłam, by Katy do niego nie wsiadła, bojąc się, że któregoś dnia moja córka poszybuje w powietrze. Teraz mogłam tę twórczą energię spożytkować na coś innego.

- Jesteś w domu? - zapytałam.
- Aha.
- Ciepło jest? - Na parapecie było coraz więcej śniegu.
- W Houston jest zawsze ciepło.

Niech ją szlag.

- A więc dlaczego sprzedajesz swój interes?

Harry zawsze była poszukiwaczem. Przez ostatnie trzy lata miała fioła na punkcie lotów balonem. Jeżeli nie brała udziału w latającym safari nad Teksasem, to razem ze swoją załogą pakowali się do furgonetki i przemierzali cały kraj, by wziąć udział w zawodach balonowych.

- Rozchodzę się ze Strikerem.
- O.

Miała też fioła na punkcie Strikera. Poznali się na zawodach w Albuquerque i pięć dni później wzięli ślub. To było dwa lata temu.

Przez chwilę żadna z nas nic nie mówiła. Ja przerwałam ciszę.

- I co teraz?
- Chyba poszukam jakichś konsultacji.

Tym mnie zaskoczyła. Moja siostra rzadko zajmowała się rzeczami oczywistymi.

- To by ci mogło pomóc przejść to wszystko.

- Nie. Nie. Już dawno nie układało nam się ze Strikerem. Ja za nim nie płacę. Bez przesady. - Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko, wypuściła powietrze. - Słyszałam o takim kursie. Można po ukończeniu doradzać ludziom w sprawach zdrowia, uwalniania się od stresu i tego typu rzeczy. Ma być o ziołach, medytacji i metafizyce, podoba mi się. Chyba byłabym w tym dobra.

- Harry, to jest trochę szalony pomysł. - Ile razy już to mówiłam?

- Jasne, że to najpierw sprawdzę. Nie jestem idiotką.

Nie, nie była idiotką. Ale kiedy Harry czegoś chce, to chce tego bardzo. I nie można jej przekonać, by czegoś nie zrobiła.

Odłożyłam słuchawkę trochę poruszona. Myśl, że Harry miałyby pomagać ludziom, rozwiązywać ich problemy, nieco mnie wytrąciła z równowagi.

Koło szóstej zrobiłam sobie obiad - podsmażona pierś kurczaka, czerwone ziemniaki z masłem i szczypiorkiem i gotowane na parze szparagi. Do tego pasowałby kieliszek Chardonnay. Ale nie dla mnie. Nie piłam już od siedmiu lat. Ja też nie jestem idiotką. Na pewno nie wtedy, gdy jestem trzeźwa. Ale nawet bez wina mój obiad bił na głowę krakersy, które jadłam poprzedniego wieczora,

Jadłam i myślałam o mojej małej siostrze. Harry i formalna edukacja nigdy do siebie nie pasowały. Wyszła za mąż za swojego ukochanego ze szkoły średniej jeden dzień przed ukończeniem szkoły, potem było jeszcze trzech innych. Hodowała psy rasy Bernardyn, kierowała Pizza Hut, sprzedawała markowe okulary słoneczne, oprowadzała wycieczki po Jukatanie, zajmowała się public relations dla Houston Astros, założyła i szybko zamknęła firmę zajmującą się czyszczeniem dywanów, sprzedawała nieruchomości i w końcu latała balonami.

Kiedy ja miałam trzy lata, a ona rok, złamałam jej nogę przejeżdżając po niej moim trzykołowym rowerkiem. To jej nie zatrzymało na miejscu. Nauczyła się chodzić ciągnąc po ziemi gips. Wkurzająca i ujmująca, Harry braki w wykształceniu i zdolności koncentracji nadrabia niespożyтыми zasobami energii. Nic jej nie wyczerpie.

O dziewiątej trzydzieści włączyłam telewizor i obejrzałam mecz hokeja. Był koniec drugiej części i Habs przegrywali cztery do zera z St. Louis. Don Cherry grzmiał na temat braku kompetencji kanadyjskiego związku hokejowego, a jego okrągła twarz czerwieniała nad wysokim kołnierzykiem koszuli. Wyglądał bardziej jak tenor niż jak komentator sportowy. Patrzyłam i myślałam, że miliony słuchają go co tydzień. Kwadrans po dziesiątej wyłączyłam telewizor i poszłam spać.

Wstałam wcześniej i pojechałam do laboratorium. Dla większości badaczy medycznych poniedziałek jest pełen pracy. Przypadkowe akty okrucieństwa, bezsensowna brawura, poczucie odrazy względem siebie typowe dla samotnych i niepohamowany czas wolny sprawiają, że w weekendy wzrasta ilość przypadków śmiertelnych. Przywożone zwłoki czekają w kostnicy do poniedziałkowych autopsji.

Ten poniedziałek nie należał do wyjątkowych. Wzięłam kawę i poszłam na spotkanie w biurze LaManche'a. Natalie Ayers przebywała w Val-d'Or w związku z procesem w sprawie morderstwa, ale reszta patologów przybyła na spotkanie. Jean Pelletier właśnie zakończył zeznania w Kuujjuaq, w północnej części Quebecu. Pokazywał Emiły Santangelo i Michaelowi Morinowi zdjęcia. Pochyliłam się nad nimi.

Kuujjuaq wyglądało, jakby je wybudowano poprzedniej nocy.

- Co to jest? - zapytałam wskazując budynek z prefabrykatów na zewnątrz wyłożony plastykiem.

- Centrum sportów wodnych. - Pelletier wskazał czerwony sześciokątny znak, nad nim nieznane postacie, pod nim białe litery układające się w wyraz *Arret*. - Wszystkie napisy są w języku francuskim i Inuktitut. - Jego akcent był tak silny, że z trudem rozpoznawałam francuski. Nawet nasza długoletnia znajomość mi tego nie ułatwiła. Wskazał kolejny budynek. - To jest sąd.

Wyglądał jak tamten basen, ale bez zewnętrznego plastyku. Poza miastem rozciągała się szara i ponura tundra, jak równina Serengeti w Tanzanii, skały i mech. Przy drodze leżał bielejący szkielet karibu.

- Czy to się często zdarza? - zapytała Emily patrząc na karibu.

- Tylko wtedy, kiedy tam padną.

- Dziś mamy osiem sekcji - oznajmił LaManche, rozdając harmonogram.

Omówił wszystkie przypadki. Dziewiętnastolatek został potrącony przez pociąg, jego tułów został przepołowiony. Stało się to na zagrodzonym torowisku, które często odwiedzali nastolatki.

Pług śnieżny znalazł dwa ciała na Lac Megantic. Podejrzenie upojenia alkoholowego.

Ciało noworodka w stanie rozkładu zostało znalezione w łóżeczku. Matka, która spokojnie oglądała teleturniej w telewizji, kiedy przyjechały władze, twierdziła, że dziesięć dni wcześniej Bóg kazał jej przestać karmić dziecko.

W kampusie McGill, za pojemnikiem na śmieci znaleziono ciało niezidentyfikowanego białego mężczyzny.

Trzy ciała znalezione w spalonym domu w St-Jovite.

Pelletier dostał noworodka. Od razu zaznaczył, że może poprosić o poradę antropologiczną. Tożsamość dziecka była znana, ale ustalenie powodu i czasu zgonu mogło okazać się trudne.

Santangelo miała się zająć ciałami z Lać Megantic, Morin sprawami ofiary pociągu i ciała z campusu. Ofiary z sypialni w St-Jovite mogły zostać poddane normalnej autopsji. Miał je wykonać LaManche.

Ja miałam się zająć kośćmi z piwnicy.

Po spotkaniu poszłam do swojego biura i otworzyłam dossier przenosząc informacje z porannego wykazu na formularz sprawy antropologicznej. Imię: inconnu. Nieznane. Data urodzenia: pusto. Numer sprawy Laboratorium Medycyny Sądowej, czyli LMS: 31013. Numer w kostnicy: 375. Policyjny numer sprawy: 89041. Patolog: Pierre LaManche. Koroner: Jean-Claude Hubert. Oficerowie śledczy: Andrew Ryan i Jean Bertrand, Escouade de Crimes Con-tre la Personne, Wydział Policji w Quebecu.

Dopisałam datę i wsunęłam formularz do teczki. Każdy z nas używa innego koloru. Różowy to odontolog Marc Bergeron. Zielony to Martin Levesque, radiolog. LaManche używa czerwonego. Teczka jasnozielona to antropologia.

Wpisałam się do komputera i windą zjechałam do piwnicy. Tam poprosiłam technika, by LMS 31013 przeniósł do pokoju numer trzy i poszłam przebrać się w strój chirurga.

Cztery gabinety Laboratorium Medycyny Sądowej, w których wykonuje się autopsje, znajdują się tuż przy kostnicy. LMS kontroluje gabinety, Biuro Koronera kostnicę. Gabinet numer dwa jest duży i stoją tam trzy stoły. W pozostałych jest po jednym. W numerze czwartym zainstalowano specjalną wentylację. Często tam pracuję, bo wiele z przypadków, którymi się zajmuję, nie należy do najświeższych. Dzisiaj w gabinecie numer dwa Pelletier pracuje nad noworodkiem. Zwęglone ciała nie posiadają wstrętnego zapachu.

W trójce już czekały na mnie czarna torba i cztery plastikowe pojemniki leżące na noszach na kółkach. Zdjęłam pokrywkę z pojemnika, wyjęłam kawałek bawełnianej wyściółki i sprawdziłam stan fragmentów czaszki. Zniosły podróż bez uszczerbku.

Wypełniłam kartę identyfikacyjną sprawy, otworzyłam torbę i wyciągnęłam materiał, w który owinięte były kości i gruz. Zrobiłam kilka zdjęć polaroidem i wszystko poszło do pracowni rentgena. Chciałam na samym początku zidentyfikować zęby i kawałki metalu, jeżeli jakiegokolwiek były.

Czekając myślałam o Elisabeth Nicolet. Jej trumna zamknięta była w lodówce trzy metry ode mnie. Korciło mnie, by zajrzeć do środka. Tego ranka wśród wiadomości była jedna od siostry Julienne. Zakonnice też czekały niecierpliwie.



Po półgodzinie Lisa przyprowadziła nosze na kółkach z rentgena i wręczyła mi kopertę z kliszami. Założyłam kilka na ekran, najpierw zdjęcia szczątków, które leżały na skraju.

- Dobrze są? - zapytała Lisa. - Nie byłam pewna, jak je ustawić, więc zrobiłam kilka ujęć.

- Są dobre.

Patrzyłyśmy na bezkształtną masę otoczoną dwoma cienkimi białymi liniami: zawartość torby i metalowy zamek. Zawartość mieszała się z gruzem, tu i tam, na neutralnym tle jaśniały kawałki kości.

- Co to jest? - Lisa wskazała biały przedmiot.

- Wygląda jak gwóźdź.

Założyłam następną partię zdjęć. Ziemia, kamyki, kawałki drewna, paznokcie. Widać było kości nogi i biodra ze zwęglonym ciałem. Miednica wyglądała na nietkniętą.

- To wygląda na kawałki metalu w kości udowej - wskazałam kilka białych plamek. - Musimy być ostrożne. Później zrobimy jeszcze kilka zdjęć.

Na następnych kliszach widać było kości żebrowe w kawałkach, tak, jak je pamiętałam. Kości ramieniowe były w lepszym stanie, chociaż popękane i wymieszane. Kilka kręgów dałoby się uratować. Na prawo od klatki piersiowej widać było kolejny kawałek metalu. To nie wyglądało na gwóźdź.

- Na to też trzeba będzie uważać.

Lisa kiwnęła głową.

Następnie zajęłyśmy się plastikowymi pojemnikami. Nic niezwykłego. Dolna szczeka była w całości, wąskie korzenie zębów solidnie trzymały się kości. Nawet korony były w całości. W dwóch zębach trzonowych jaśniały plamki. Bergeron będzie ucieszony. Gdyby były testy dentystyczne, plomby przydadzą się w ustalaniu tożsamości.

Wtedy zauważyłam kość czołową. Pokrywały ją drobne białe plamki, jakby ktoś posypał ją solą.

- Tej części też zrób mi jeszcze jedno zdjęcie - rzekłam cicho, przypatrując się nieprzezroczystym fragmentom tuż przy lewym oczodole.

Lisa spojrzała na mnie dziwnie.

- Dobrze. Wyjmijmy go - zdecydowałam.

- Albo ją.

- Albo ją.

Moja asystentka rozłożyła prześcieradło na stole i na zlewie umieściła siatkę. Z jednej

z szuflad w kontuarze ze stali nierdzewnej wyjęłam papierowy fartuch, założyłam go przez głowę i zawiązałam wokół pasa. Na twarz założyłam maskę, na ręce naciągnęłam chirurgiczne rękawiczki i odsunęłam zamek torby.

Zaczynając od stóp, wyjęłam największe i najłatwiejsze do zidentyfikowania przedmioty i kawałki kości. Potem wróciłam do tego samego miejsca i zaczęłam przesiewać resztę, by zlokalizować mniejsze rzeczy czy fragmenty kości, które mogłam wcześniej pominąć. Każdą garść Lisa umieszczała pod bieżącą wodą i wymyte przedmioty kładła na kontuarze, ja natomiast układałam fragmenty szkieletu na materiale.

W południe Lisa wyszła na lunch. Ja pracowałam bez przerwy do drugiej trzydzieści, kiedy wreszcie skończyłam. Na kontuarze leżała kolekcja gwoździ, metalowych nakrętek, jedna wystrzelona kula i mała plastikowa buteleczka, w której umieściłam coś, co jak podejrzewałam, było kawałkiem materiału. Przed sobą miałam zwęglony rozczłonkowany szkielet z półkuliście rozłożonymi kośćmi czaszki.

Spis, czyli identyfikacja każdej kości i orzeczenie, czy pochodziła z lewej czy też z prawej strony, zajął godzinę. Następnie zastanowiłam się nad tym, o co zapytałby Ryan. Wiek. Płeć. Rasa. Kto to jest?

Wzięłam do ręki miednicę i fragmenty kości udowych. Ogień zmienił miękką tkankę w czarną warstwę o twardości wyprawionej skóry. To i dobrze i źle. Ochroniło to kości, ale wydostanie ich spod spodu mogło okazać się dość trudne.

Obróciłam miednicę. Ciało po lewej stronie strawił ogień i rozszczępił kość udową. Widać było idealny przekrój stawu panewkowego biodra. Zmierzyłam średnicę główki kości udowej. Była drobna, zwężająca się z jednej strony.

Przyjrzałam się wewnętrznej budowie czaszki tuż pod powierzchnią stawową. Na fragmentach kości występował typowy dla dorosłych wzór plastra miodu, bez grubej linii, która wskazywałaby na niedawno zakończony proces wzrostu. To by się zgadzało z rozwiniętymi korzeniami zębów trzonowych, które zauważyłam już wcześniej. To nie było dziecko.

Przyjrzałam się obu zewnętrznym krawędziom wklęsłości stawu biodrowego i dolnej części nasady kości udowej. Kształt obu kości przypominał ten, jaki tworzy świeca, po której skapał воск. Artretyzm. To nie była młoda osoba.

Zaczęłam podejrzewać, że ofiara była kobietą. Pozostałości kości długich miały małą średnicę, tu i ówdzie widać było resztki mięśni gładkich. Skupiłam swoją uwagę na fragmentach czaszki.

Małe kości skroniowe i łuki brwiowe. Ostre krawędzie oczodołów. Kość z tyłu

czaszki była gładka, a czaszka mężczyzny byłaby szorstka i o nierównej powierzchni.

Zbadałam kość czołową. Górne końce dwóch kości nosa były na swoim miejscu. Schodziły się pod szerokim kątem wzdłuż linii środkowej, jak wysoka wieża kościoła. Dostrzegłam dwa kawałki górnej kości szczękowej. Dolna krawędź otworu nosowego kończyła się ostro kawałkiem kości wystającym na środku. Nos był wąski i wydatny, twarz symetryczna. Zlokalizowałam kość skroniową i poświeciłam latarką w otwór ucha. Dostrzegłam mały okrągły otwór, przejście do ucha wewnętrznego. Cechy typowe dla rasy białej.

Kobieta. Biała. Dorosła. Starsza.

Powróciłam do miednicy mając nadzieję, że potwierdzą się moje przypuszczenia co do płci i będę mogła precyzyjniej określić wiek. Interesowało mnie zwłaszcza miejsce z przodu, w którym spotykały się obie połówki.

Delikatnie usunęłam zwęgloną tkankę i odkryłam staw łączący kości łonowe, spojenie łonowe. Same kości były szerokie, podobnie jak kąt poniżej. Brzeg każdej wznosił się i kierował w poprzek. Dolna część każdej z nich była smukła i delikatnie odchylona do tyłu. Cechy typowe dla kobiety. Odnotowałam je na formularzu i zrobiłam jeszcze kilka zdjęć polaroidem.

Wysoka temperatura spowodowała skurczenie się chrząstki łączącej i rozdzielenie się kości łonowych wzdłuż linii środkowej. Okręcałam i przekręcałam zwęgloną masę próbując zajrzeć przez otwór. Wyglądało na to, że powierzchnie spoiniowe zostały nienaruszone, ale trudno było ustalić jakiegokolwiek szczegóły.

- Wyjmijmy kości łonowe - powiedziałam do Lisy.

Kiedy piła w parę sekund przecięła spojenia łączące kość łonową z resztą miednicy, poczułam zapach palonego ciała.

Staw spojeniowy był pojedynczy, ale łatwo dostrzegalny. Na zadnej z obu kości nie było bruzd. Właściwie obie były porowate, a ich zewnętrzne krawędzie zostały zmienione przez chorobę. Nierówne wyrostki kości wystawały z przodu każdej części. Dostrzegłam też skostnienie w otaczającej miękkiej tkance. Ta pani długo żyła.

Odwróciłam je. Brzuszną część każdej znaczyła głęboka bruzda. I urodziła dziecko.

Znowu sięgnęłam po kość czołową. Światło jarzeniówki ukazało okropny szczegół, którego istnienia domyślałam się już w piwnicy, a potwierdziły to zdjęcia rentgenowskie.

W tym momencie zasmuciłam się nad losem istoty ludzkiej na moim stole. Zastanowiłam się też nad tym, co jej się stało.

Ta kobieta miała co najmniej siedemdziesiąt lat, na pewno była matką, może babcią.

Dlaczego ktoś strzelił jej w głowę i zostawił, by spłonęła w domu w górach?

W południe we wtorek kończyłam swój raport. Poprzedniego wieczoru skończyłam sporo po dziewiątej; wiedziałam dobrze, że Ryan będzie chciał znać odpowiedzi na kilka pytań. Dziwne, ale nawet chciałam się z nim spotkać.

Przeczytałam to, co napisałam, i sprawdziłam błędy. Czasami wydaje mi się, że zgoda rodzajów i znaczków akcentów to frankofońskie przekleństwa, wymyślone specjalnie, by utrudnić moje życie. Staram się jak mogę, ale zawsze coś przeoczę.

Oprócz biologicznego profilu ofiary raport zawierał analizę obrażeń. W czasie sekcji udało mi się ustalić, że nieprzezroczyste fragmenty kości udowej spowodowało uderzenie zadane po śmierci. Małe kawałki metalu utkwiły w kości prawdopodobnie wskutek eksplozji zbiornika z propanem. Większość innych uszkodzeń spowodował ogień.

Ale nie wszystkie. Przeczytałam swoje streszczenie.

*Rana A jest okrągła, jej większa część jest zachowana. Znajduje się na środku części frontowej, w przybliżeniu dwa centymetry nad gładką częścią kości czołowej między brwiami i 1,2 centymetra na lewo od linii środkowej. Średnica rany wynosi 1,4 centymetra i widać wyraźne, charakterystyczne wgłębienie. Wzdłuż skrajów rany widoczne jest zwęglenie. Rana A odpowiada postrzałowej ranie wlotowej.*

*Rana B jest okrągła, z charakterystycznym wybrzuszeniem powierzchni zewnętrznej. Średnica od strony wewnątrzczaszkowej wynosi 1,6 centymetra, a 4,8 centymetra od strony zewnątrzczaszkowej. Rana znajduje się w kości potylicznej - 2,6 centymetra powyżej i 0,9 centymetra na lewo od linii ciemieniowej. Miejscowe zwęglenie znajduje się na lewym, prawym i wewnętrznym brzegu rany. Rana B odpowiada postrzałowej ranie wylotowej.*

Uszkodzenia spowodowane przez ogień uniemożliwiły rekonstrukcję, ale byłam w stanie poskładać części sklepienia na tyle, by zinterpretować uszkodzenia między ranami wlotową i wylotową.

Klasyczny przypadek. Otrzymała strzał w głowę. Kula przeszła środkową część czoła, przeszła przez mózg i wyszła z tyłu. To dlatego czaszka nie rozpadła się pod wpływem płomieni. Ujście dla ciśnienia wewnątrzczaszkowego powstało, zanim zadziało ciepło.

Zaniósłam raport do sekretariatu; kiedy wróciłam, zastałam w moim pokoju Ryana siedzącego naprzeciwko mojego biurka i wpatrującego się w okno za moim krzesłem. Nogi

wyciągnął na całą długość pokoju.

- Ładny widok - powiedział.

Pięć pięter pod nami oba brzegi rzeki Świętego Wawrzyńca łączył ze sobą most Jacquesa Cartiera. Maluteńkie samochody pelzły po jego grzbiecie. To był ładny widok.

- Pozwala mi zapomnieć o tym, jak małe jest to biuro. - Prześliznęłam się obok niego, wokół biurka i usiadłam na swoim krześle.

- Rozproszona uwaga może być niebezpieczna.

- Pokryte siniakami golenie sprowadzają na ziemię. - Obróciłam się na krześle i oparłam skrzyżowane nogi o półkę pod oknem. - To stara kobieta, Ryan. Strzał w głowę.

- W jakim wieku?

- Powiedziałabym, że co najmniej siedemdziesięcioletnia. Może nawet siedemdziesięciopięcioletnia. Spojenia łonowe dosyć słabe, ale to cecha indywidualna. Zaawansowany artretyzm i osteoporoza.

Opuścił brodę i unióś brwi.

- Mów po ludzku, Brennan. Opuść sobie żargon medyczny.

Jego oczy miały odcień niebieskiego typowy dla ekranu Windows 95.

- O-ste-o-po-ro-za - przesylabizowałam. - Rentgen wykazał, że kość korowa jest cienka. Nie widać żadnych złamań, ale mam tylko części kości długich. Starsze kobiety często łamią kości biodrowe, bo na nich spoczywa duży ciężar. Jej są w porządku.

- Rasa biała?

Przytaknęłam.

- Co dalej?

- Prawdopodobnie urodziła kilkoro dzieci. - Laserowy błękit swoich oczu utkwiał w mojej twarzy. - Z tyłu każdej kości łonowej ma rysę wielkości Orinoko.

- Świetnie.

- Jeszcze jedno. Wydaje mi się, że kiedy wybuchł pożar, to ona już była w piwnicy.

- Jak do tego doszłaś?

- Pod ciałem nie było gruzów. A między nią a gliną znalazłam kilka drobnych skrawków materiału. Musiała leżeć bezpośrednio na podłodze. Zamyślił się na chwilę.

- A więc twierdzisz, że ktoś babcię zastrzelił, zawlókł na dół do piwnicy i pozwolił, by się usmażyła.

- Nie tak. Twierdzę, że babcia dostała kulkę w głowę. Nie wiem, kto pociągnął za spust. Może ona sama. To już twoja działka, Ryan.

- Znalazłaś przy niej broń?

- Nie.

W tej chwili w drzwiach stanął Bertrand. Zgięcia na jego ubraniu rażąco kontrastowały ze schludnym i odprasowanym ubraniem Ryana. Jasnioletowa koszula pasowała do kolorów kwiecistego krawata, lawendowoszarej tweedowej marynarki i wełnianych spodni w kolorze o pół tonu ciemniejszym od marynarki.

- Co masz? - zapytał Ryan.

- Nic, o czym dotąd nie wiedzieliśmy. Jakby ci ludzie przylecieli z kosmosu. Nikt tak naprawdę nie wie, kto tam, u diabła, mieszka! Nadal próbujemy namierzyć w Europie faceta, do którego ten dom należy. Sąsiedzi z naprzeciwka czasami widzieli starszą panią, ale ona nigdy z nimi nie rozmawiała. Twierdzą, że para z dziećmi była tam przez kilka miesięcy. Rzadko ich widzieli, nie znali ich imion. Inna mieszkanka przy tej ulicy myślała, że należą do jakiejś grupy fundamentalistycznej.

- Brennan twierdzi, że nasz trup to kobieta. Wiekowa.

Bertrand spojrzał na niego.

- I miała siedemdziesiąt lat.

- Czyżby starsza pani?

- Z kulką w głowie.

- Serio?

- Serio.

- Ktoś ją stuknął i podpalił dom?

- Albo babcia rozpałała grilla i pociągnęła za spust. Ale, w takim razie, gdzie jest broń?

Kiedy poszli sobie, sprawdziłam, czy nie nadeszło nic do skonsultowania.

Było. Do miasta Quebec dotarł słój z prochami starszego człowieka, który umarł na Jamajce. Rodzina oskarżała krematorium o oszustwo i zawiozła prochy do Biura Koronera. Chciał poznać moją opinię.

W wąwozie niedaleko cmentarza Côte des Neiges znaleziono czaszkę. Była sucha i jasna, prawdopodobnie pochodziła ze starego grobu. Koroner chciał się upewnić.

Pelletier chciał, bym rzuciła okiem na niemowlę i stwierdziła, czy istnieją dowody na to, że było głodzone. To wymagało użycia mikroskopu. Cienkie odcinki kości należało rozkruszyć, nasycić substancją ułatwiającą obserwację pod mikroskopem i umieścić na slajdach, abym mogła je obejrzeć w powiększeniu. Kości niemowląt ulegają zmianom, więc należało szukać rzadko spotykanej porowatości i niezwykłych zmian w mikroanatomii.

Do laboratorium histologii wysłano próbki. Obejrzałam też zdjęcia rentgenowskie i

szkielet, ale było jeszcze za wcześnie na usunięcie ciała, które uległo rozkładowi. Kości dziecka są zbyt delikatne, by można zaryzykować wygotowanie.

A więc nic pilnego. Mogłam otworzyć trumnę Elisabeth Nicolet.

Zjadłam kanapkę z lodówki i jogurt w kafeterii i ruszyłam do kostnicy. Poprosiłam o przeniesienie szczątków do trójki i poszłam się przebrać.

Wydawało mi się, że trumna była większa, w rzeczywistości miała mniej niż metr długości. Lewa strona zgniła i wieko się zapadło. Usunęłam luźną ziemię i zrobiłam zdjęcia.

- Potrzebujesz łomika? - Lisa stała w drzwiach.

To nie była sprawa LMS, więc miałam pracować sama, ale wiele osób chciało mi pomóc. Najwyraźniej Elisabeth fascynowała nie tylko mnie.

- Wchodź.

Zdjęcie wieka nie zajęło nam nawet minuty. Drewno było miękkie i kruche, gwoździe łatwo puściły. Wygarnęłam ze środka ziemię, aby odsłonić wyłożone ołowiem wnętrze zawierające drugą drewnianą trumnę.

- One wszystkie są takie małe? - zapytała Lisa.

- To nie jest oryginalna trumna. Elisabeth Nicolet była ekshumowana i ponownie pochowana mniej więcej na przełomie wieków, więc potrzebowali jedynie trochę miejsca na jej kości.

- Myślisz, że to ona?

Zmroziłam ją wzrokiem. Wychodząc dodała:

- Daj mi znać, jeżeli będziesz czegoś potrzebować.

Dalej wygarniałam ziemię, aż doszłam do pokrywy wewnętrznej trumny. Nie było na niej tabliczki, ale była bardziej ozdobna niż zewnętrzna, z kunsztownie rzeźbionym brzegiem, równoległym do sześciokątnego zewnętrznego brzegu. Podobnie jak ta wierzchnia, trumna wewnętrzna była z jednej strony zapadnięta i pełna ziemi.

Po dwudziestu minutach powróciła Lisa.

- Jestem przez chwilę wolna, jeżeli potrzebowałabyś zdjęć rentgenowskich.

- Niemożliwe z powodu ołowiu - odparłam. - Ale możemy już otworzyć część wewnętrzną.

- Nie ma sprawy.

I tutaj drewno było miękkie, i gwoździe wyszły z niego z łatwością.

Znowu ziemia. Wyjęłam tylko dwie garście, kiedy zauważyłam czaszkę. Jest! Ktoś tu jest!

Powoli wyłaniał się cały szkielet. Kości nie były ułożone anatomicznie, ale leżały



równoległe, jakby je ktoś przed włożeniem do środka związał. To ułożenie przypomniało mi odkrycia archeologiczne na początku mojej pracy. W czasach przed Kolumbem pewne grupy tubylców wystawiały zmarłych na platformach, aż zostawały czyste kości, a wtedy je zakopywali. Tak zakopano Elisabeth.

Uwielbiałam archeologię. Nadal uwielbiam. Żałowałam, że tak mało się nią zajmuję, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat moja kariera poszła w innym kierunku. Praca na uniwersytecie i antropologia sądowa wypełniały cały mój czas. Dzięki Elisabeth Nicolet mogłam na krótko wrócić do moich korzeni i zajmowałam się tym przypadkiem z wielką przyjemnością.

Wyjęłam i ułożyłam kości, tak jak poprzedniego dnia. Były suche i delikatne, ale ta osoba była w o wiele lepszym stanie niż babcia z St-Jovite.

Okazało się, że brakowało tylko jednej kości śródstopia i sześciu paliczków środkowych palców. Nie znalazłam ich przesiewając ziemię, ale umiejscowiłam kilka siekaczy i kieł, włożyłam je więc na miejsce.

Zastosowałam swoją zwykłą procedurę, wypełniając formularz, jakbym się zajmowała sprawą dla koronera. Zaczęłam od miednicy. Kości były kobiece. Nie miałam co do tego wątpliwości. Spojenia łonowe wskazywały na wiek między trzydzieści pięć a czterdzieści pięć lat. Siostry będą szczęśliwe.

Mierząc kości długie zauważyłam niezwykle spłaszczenie kości piszczelowej, tuż pod kolanem. Sprawdziłam kości śródstopia. Miejsce połączenia palców ze stopą kości zmienił artretyzm. Hura! Powtarzające się ruchy pozostawiły ślady na szkielecie. Elisabeth musiała spędzać lata na modlitwach, klęcząc na kamiennej podłodze w swojej klasztornej celi. Kiedy klęczała, nacisk na kolana i nadmierne zginanie palców stóp spowodował to, co właśnie oglądałam.

Przypomniałam sobie coś, co zauważyłam, kiedy zdjęłam z siatki zęb i wzięłam do ręki szczękę. Każdy z środkowych siekaczy dolnej szczęki miał małe, ale zauważalne wyżłobienie na brzegu gryzącym. Odszukałam górne siekacze. To samo. Kiedy nie modliła się i nie pisała listów, Elisabeth szyla. Jej hafty nadal wisiały w klasztorze w Lać Memphremagog. Jej zęby nosiły ślady po latach wyciągania nitki i trzymania między nimi igły. Byłam wniebowzięta.

Potem odwróciłam czaszkę częścią twarzą ku górze i zrobiłam dwa zdjęcia. Stałam tak, patrząc na nią, kiedy wszedł LaManche.

- A więc to jest nasza święta?- zapytał.

Podszedł do mnie z boku i spojrzał na czaszkę.

- Mon Dieu.

Tak, analiza idzie dobrze. - Byłam w swoim biurze, rozmawiałam z ojcem Menard. Czaszka z Memphremagog leżała na korkowym okręgu na moim stole do pracy. - Kości są niezwykle dobrze zachowane.

- Czy będzie pani mogła poświadczyć, że to jest Elisabeth? Elisabeth Nicolet?

- Chciałabym zadać ojcu jeszcze kilka pytań.

- Czy jest jakiś problem?

Tak. Może jest.

- Nie, nie. Chciałabym jeszcze kilka informacji.

- Tak?

- Czy są jakieś oficjalne dokumenty dotyczące rodziców Elisabeth?

- Jej ojcem był Alain Nicolet, a matką Eugenie Belanger, w tamtych czasach bardzo znana śpiewaczka. Jej wuj, Louis-Philippe Belanger, był radnym i wybitnym lekarzem.

- A czy zachowała się metryka urodzin?

Przez chwilę milczał. Potem rzekł:

- Nie udało nam się jej zlokalizować.

- A czy wiadomo, gdzie się urodziła?

- Myślę, że urodziła się w Montrealu. Jej rodzina mieszkała tutaj od pokoleń. Elisabeth była potomkiem Michela Belanger, który przybył do Kanady w tysiąc siedemset pięćdziesiątym ósmym, w ostatnich latach Nowej Francji. Rodzina Belanger zawsze odgrywała ważną rolę w sprawach dotyczących miasta.

- A czy istnieje zapis szpitalny albo świadectwo chrztu, albo jakikolwiek oficjalny zapis dotyczący jej narodzin?

Znowu cisza.

- Urodziła się ponad sto pięćdziesiąt lat temu.

- Czy sporządzono zapis?

- Tak. Siostra Julianne sprawdziła. Ale w tak długim okresie wiele może zaginać.

Wiele może zaginać...

- Oczywiście.

Zamilkliśmy oboje. Już miałam mu podziękować, kiedy rzekł:

- Dlaczego pani o to pyta, doktor Brennan? Zawahałam się. Jeszcze nie teraz. Mogłam się mylić. Może miałam rację, ale to nic nie znaczyło.

- Chciałam się dowiedzieć nieco więcej o jej przeszłości,

Ledwie co odłożyłam słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

- *Oui*, doktor Brennan.

- Tu Ryan. - W jego głosie wyczułam napięcie. - To było podpalenie. I ktokolwiek to zaplanował, upewnił się, że dom stanie w płomieniach. Proste, ale skuteczne. Podłączył spiralę grzewczą do mechanizmu zegarowego, takiego, jakiego się używa do włączania światła, kiedy się wyjeżdża do sanatorium...

- Nie jeżdżę do sanatorium, Ryan.

- Chcesz wiedzieć jak?

Nie odpowiedziałam.

- Mechanizm włączył grzejnik. To wywołało ogień, który zapalił zbiornik z propanem. Większość mechanizmów została zniszczona, ale kilka udało się uratować. Wygląda na to, że zostały nastawione na włączanie z przerwami, ale kiedy ogień się rozprzestrzenił, zajęło się wszystko.

- Ile podłączył tych zbiorników?

- Czternaście. Znaleźliśmy jeden cały mechanizm na podwórku. Pewnie był niesprawny. Można taki kupić w każdym sklepie żelaznym. Spróbujemy z odciskami palców, chociaż trudno polegać na tej metodzie.

- Co przyspieszyło rozprzestrzenienie się ognia?

- Benzyna, tak jak podejrzewałem.

- Po co dwie substancje łatwopalne?

- Bo jakiś czubek chciał, aby dom uległ zniszczeniu, i nie chciał spieprzyć roboty.

Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że nie będzie miał drugiej okazji.

- Skąd o tym wiesz?

- LaManche zdołał wydobyć z ciał znalezionych w sypialni próbki płynów. Toksykolog znalazł straszne ilości Rohypnolu.

- Rohypnolu?

- On ci o tym opowie. Mówią na to narkotyk gwałtu na randce czy jakoś tak, bo nie jest wyczuwalny przez ofiarę i rozkłada na kilka godzin.

- Ja wiem, co to jest Rohypnol, Ryan. Jestem tylko zdziwiona. Nie tak łatwo go dostać.

- Zgadza się. To może być ślad. Jest zakazany w Stanach i w Kanadzie. Pomyślałam, że kokaina też.

- Jest jeszcze coś dziwnego. Ci w tej sypialni to wcale nie byli Ward i June Cleaver. LaManche mówi, że on miał dwadzieścia kilka lat, a ona dobiegała pięćdziesiątki.

Wiedziałam o tym. LaManche poprosił mnie o opinię podczas autopsji.

- I co teraz?

- Pojedziemy tam, aby przeszukać pozostałe dwa budynki. Nadal czekamy na informację od właściciela. To jakiś pustelnik, który zaszył się gdzieś na belgijskim zadupiu.

- Powodzenia.

Rohypnol. Gdzieś już się z tym spotkałam, ale kiedy próbowałam sobie przypomnieć, nic nie przychodziło mi do głowy.

Sprawdziłam, czy gotowe były slajdy zagłodzonego niemowlaka Pelletiera. Technik histologii powiedział, że będą gotowe jutro.

Godzinę spędziłam badając prochy. Umieszczone były w słoju, na którym umieszczono kartkę z wypisanymi ręcznie nazwiskiem nieboszczyka, nazwą krematorium i datą kremacji. Niezbyt to typowe dla Ameryki Północnej, ale nie znałam się na tego typu praktykach obowiązujących na Karaibach.

Największy kawałek nie miał nawet centymetra. Typowe. Prawie żadna kość nie oparła się proszkowaniu stosowanemu w nowoczesnych krematoriach. Za pomocą silnego mikroskopu zidentyfikowałam kilka rzeczy, między innymi całą kosteczkę słuchową. Znalazłam też małe kawałki poskręcane metalu, które mogły być kawałkami protezy dentystycznej. Zatrzymałam je dla dentysty.

Ciało dorosłego mężczyzny po spaleniu i sproszkowaniu zostaje zredukowane przeciętnie do 3,500 centymetrów sześciennych prochu. W tym słoju było mniej więcej 360. Sporządziłam krótki raport stwierdzający, że były to prochy dorosłego człowieka i że nie były kompletne. Identyfikację osoby mógł przeprowadzić Bergeron.

O szóstej trzydzieści spakowałam się i pojechałam do domu.

Szkielec Elisabeth nie dawał mi spokoju. To, co widziałam, było nieprawdopodobne, ale nawet LaManche to zauważył. Bardzo chciałam rozwiązać tę zagadkę, ale następnego dnia rano moją uwagę pochłonęły drobne kości leżące przy zlewie w laboratorium histologii. Były też gotowe slajdy, więc kilka godzin spędziłam nad sprawą noworodka Pelletiera.

Kiedy już zakończyłam wszelkie konsultacje, o dziesiątej trzydzieści zadzwoniłam do siostry Julienne, aby uzyskać wszystko co się da na temat Elisabeth Nicolet. Zadałam jej te same pytania, które usłyszał ojciec Menard, i usłyszałam podobne odpowiedzi. Elisabeth była „*pure laine*”. Czystej krwi Kanadyjka. Ale nie było żadnych dokumentów dokładnie precyzujących urodzenie i rodziców.

- A może poza klasztorem, siostrze? Czy sprawdziła siostra inne archiwa?

- Och, *oui*. Przeszukałam wszystkie archiwa w archidiecezji. Nasze biblioteki rozsięte są po całej prowincji. Zdobyłam materiały z wielu klasztorów.

Widziałam niektóre z tych materiałów. Większość w formie listów i osobistych dzienników zawierających odniesienia do rodziny. Kilka osób próbowało swych sił w kronikarstwie, ale mój dziekan nie nazwałby ich „źródłami naukowymi”. Wiele z nich było czysto anegdotycznymi sprawozdaniami, złożonymi w większości z pogłosek.

Spróbowałam z innej strony.

- Do niedawna kościół odpowiedzialny był za wszystkie metryki urodzin, prawda?

Wyjaśnił mi to ojciec Menard.

- Tak. Aż do niedawna.

- Ale nie znaleziono metryki Elisabeth?

- Nie. - Ucichła na moment. - To przez pożary. Siostry z Notre Dame zbudowały piękny dom na stoku Mount Royal. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym. Niestety, spalił się trzynaście lat później. Nasz został zniszczony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym. W czasie tych pożarów spłonęło mnóstwo bezcennych dokumentów.

Przez chwilę obie milczałyśmy.

- Siostrze, czy jest jeszcze jakieś miejsce, gdzie mogłabym uzyskać informację o urodzeniu Elisabeth? Albo o jej rodzicach?

- Ja... cóż, chyba mogłaby pani spróbować w świeckich bibliotekach. Albo w towarzystwie historycznym. Albo na jednym z uniwersytetów. We francuskiej historii Kanady wiele było ważnych osobistości o nazwiskach Nicolet i Belanger. Na pewno są

opisani w dokumentach historycznych.

- Dziękuję, siostrze. Tak zrobię.

- Na uniwersytecie McGill jest pani profesor, która zajmowała się naukowo naszym archiwum. Moja siostrzenica ją zna. Ona studiuje ruchy religijne, ale też interesuje się historią Quebecu. Nie pamiętam, czy jest antropologiem, czy historykiem. Ona mogłaby pani pomóc. - Zawahała się. - Jej źródła będą oczywiście inne niż nasze.

Tego byłam pewna, ale nic nie powiedziałam.

- Czy pamięta siostra jej nazwisko?

Nastała dłuższa przerwa. Po drugiej stronie linii telefonicznej słyszałam głosy, z daleka, jakby dochodzące z drugiego brzegu jeziora. Ktoś się zaśmiał.

- Tyle czasu minęło. Przykro mi. Jeżeli pani chce, mogłabym zapytać siostrzenicę.

- Dziękuję, siostrze. Pójdę tym śladem.

- Pani doktor, jak pani myśli, kiedy pani skończy z tymi kośćmi?

- Wkrótce. Skończę raport w piątek, pod warunkiem, że nie zdarzy się nic nieoczekiwanego. Spiszę informacje dotyczące wieku, płci i rasy, inne obserwacje, jakich dokonałam, i skomentuję, jak moje obserwacje mają się do faktów dotyczących Elisabeth. Siostry same uznają, co z tego podać do wniosku, jaki złożony zostanie w Watykanie.

- Sama pani zadzwoni?

- Oczywiście. Jak tylko skończę.

Tak naprawdę to już skończyłam i nie miałam wątpliwości, co będzie w moim raporcie. Dlaczego im nie powiedziałam tego teraz?

Wymieniłyśmy pożegnania, rozłączyłam się, poczekałam na sygnał i wykręciłam numer. Po drugiej stronie miasta zadzwonił telefon.

- Mitch Denton.

- Cześć, Mitch. Tempe Brennan. Nadal jesteś tam u siebie szefem? Mitch był szefem wydziału antropologii, który zatrudnił mnie na pół etatu, kiedy pierwszy raz przyjechałam do Montrealu. Od tamtej pory byliśmy przyjaciółmi. Specjalizował się w paleolicie.

- Nadal tu siedzę. Może poprowadziłabyś u nas letni kurs w tym roku?

- Nie, dzięki. Mam do ciebie pytanie.

- Strzelaj.

- Pamiętasz tę historyczną sprawę, o której ci opowiadałam? Tę nad którą pracuję dla archidiecezji?

- Ta przyszła święta?

- Zgadza się.

- Pewnie. Jedna z lepszych rzeczy, nad którymi zdarzyło ci się pracować. Znalazłaś ją?

- Tak, ale zauważyłam coś dziwnego i chciałabym się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

- Dziwnego?

- Niespodziewanego. Posłuchaj, jedna z sióstr powiedziała mi, że ktoś z McGill zajmuje się badaniami związanymi z religią i historią Quebecu. Czy coś ci to mówi?

- To na pewno chodzi o naszą Daisy Jean.

- Daisy Jean?

- Dla ciebie doktor Jeannotte. Profesor nauk religijnych i najlepsza przyjaciółka studentów.

- Daj spokój, Mitch.

- Nazywa się Daisy Jeannotte. Oficjalnie jest na Wydziale Nauk Religijnych, ale uczy też na kursach historycznych. "Ruchy religijne w Quebecu". "Starożytne i nowoczesne systemy wiary". Tego typu sprawy.

- A dlaczego Daisy Jean? - dociekałam.

- Tak ją tu czule nazywamy. Ale nie zwracamy się tak do niej. Ona jest czasami nieco... dziwna, że tak powiem.

- Dziwna?

- Nieprzewidywalna. Ona jest z Dixie, wiesz?

Zignorowałam to. Mitch przeniósł się z Vermont. Ciągle się czepiał mojego południowego pochodzenia.

- Dlaczego mówisz, że jest najlepszą przyjaciółką studentów?

- Daisy cały swój wolny czas spędza ze studentami. Zabiera ich na wycieczki, daje im rady, podróżuje z nimi, zaprasza ich do domu na obiad. Pod jej drzwiami ciągle stoi kolejka dusz potrzebujących pocieszenia i rady.

- Godne podziwu.

Zaczął coś mówić, ale się powstrzymał.

- Chyba tak.

- Czy doktor Jeannotte będzie wiedziała coś o Elisabeth Nicolet albo o jej rodzinie?

- Jeżeli ktokolwiek może ci pomóc, to tylko ona.

Dał mi jej numer i obiecał mi, że wkrótce się spotkamy.

Sekretarka poinformowała mnie, że doktor Jeannotte ma dyżur od pierwszej do trzeciej, więc postanowiłam, że wpadnę po lunchu.

Aby zrozumieć, gdzie i kiedy wolno parkować w Montrealu, trzeba posiadać zdolności analityczne godne co najmniej tytułu inżyniera. Uniwersytet McGill leży w samym sercu Centre-Ville, więc nawet jeśli zrozumie się, gdzie można zaparkować, to znalezienie miejsca graniczy z niemożliwością. Znalazłam miejsce na Stanley, wykombinowałam, że można tu parkować między dziewiątą a piątą, od pierwszego kwietnia do trzydziestego pierwszego grudnia, z wyjątkiem godziny między pierwszą a drugą po południu we wtorki i czwartki. Zgoda sąsiedztwa nie była wymagana.

Po pięciu zmianach kierunku i karkołomnych manipulacjach kierownicą zdołałam wcisnąć swoją mazdę między pikapa toyotę a oldsmobila cutlass. Nieźle jak na taką pochyłość. Kiedy wysiadłam, byłam mokra od potu mimo chłodu na zewnątrz. Sprawdziłam zderzaki. Miałam dobre pół metra zapasu. W sumie.

Nie było już tak zimno, ale nieco wyższa temperatura spowodowała wzrost wilgotności. Na miasto spadła chmura zimnego, wilgotnego powietrza, a niebo przybrało kolor starej cyny. Kiedy zesłam w dół do Sherbrooke i skręciłam na wschód, zaczął padać ciężki i mokry śnieg. Pierwsze płatki topniały w zetknięciu z chodnikiem, ale nadlatywały już następne.

Wspięłam się na McTavish i weszłam na teren uniwersytetu przez zachodnią bramę. Campus rozciągał się pode mną i nade mną, na wzgórzu od Sherbrooke do Docteur-Penfield wznosiły się budynki z szarego kamienia. Mijający mnie ludzie szli szybko, pochyleni w obronie przed zimnem i wilgocią, chroniąc książki i pakunki przez śniegiem. Minęłam bibliotekę i skręciłam za Redpath Museum. Wyszłam przez bramę wschodnią, skręciłam w lewo i wspięłam się ulicą Universitie, a łydki bolały mnie tak, jakbym przeszła pięć kilometrów na nartach. Przed Birks Hali prawie zderzyłam się z wysokim młodym mężczyzną, który siedł ze spuszczoną głową, a jego włosy i okulary pokrywały płatki śniegu wielkości dużej ćmy amerykańskiej.

Birks, ze swoją gotycką architekturą, rzeźbionymi ścianami i meblami z drewna, i ogromnymi katedralnymi oknami, jest jakby z innego świata. W takim miejscu należy szeptać, a nie ucinać sobie pogawędki i wymieniać się notatkami, jak to ma zwykle miejsce w budynkach uniwersyteckich. W przypominającym pieczarę holu wiszą portrety poważnych mężczyzn patrzących z góry wzrokiem pełnym uczonej zarozumiałości.

Jak i inni wchodzący do budynku, zachlapałam marmurową posadzkę topniejącym śniegiem i podeszłam bliżej, by przyjrzeć się dostojnym obrazom. *Thomas Cranmer, Arcybiskup Cantenbury*. Dobra robota. Tom. *John Bunyan, Nieśmiertelny Marzyciel*. Czasy się zmieniły. Za moich czasów na uniwersytecie, jeżeli ktoś został złapany na bujaniu w



obłokach, zostawał natychmiast przywołany do porządku, a czasami wręcz upokorzony.

Wspięłam się po krętych schodach, minęłam dwoje drewnianych drzwi na drugim piętrze: jedno prowadzące do kaplicy, drugie do biblioteki i weszłam przez trzecie. Tutaj elegancję holu zastąpiły wyraźne znaki zaniedbania. Farba płatami schodziła ze ścian i z sufitu, gdzieś tam brakowało płytek.

Na szczycie schodów przystanąłam, by się zorientować, gdzie mam iść. Było dziwnie cicho i ponuro. Po lewej stronie miałam wnękę z dwójgiem drzwi wychodzących na balkon w kaplicy. Po obu stronach wnęki zaczynały się korytarze z drewnianymi drzwiami po każdej stronie. Skręciłam w ten za wnęką.

Ostatnie biuro po lewej stronie było otwarte, ale nikogo tam nie zauważyłam. Na tabliczce na drzwiach delikatnymi literami napisane było "Jeannotte". W porównaniu z moim biurem, ten pokój wyglądał jak Kaplica Świętego Józefa. Był długi i wąski, z oknem w kształcie dzwonu na końcu. Przez witrażowe okno widziałam budynek administracji i podjazd prowadzący do Strathcona Medical-Dental Complex. Deptana niezliczoną ilością studenckich stóp podłoga przybrała kolor żółtawy.

Na każdej ścianie znajdowały się półki pełne książek, czasopism, zeszytów, kaset video, pojemników na slajdy i stosów papierów i przedruków. Przy oknie stało drewniane biurko, po jego prawej stronie znajdowało się stanowisko do pracy na komputerze.

Spojrzałam na zegarek. Za kwadrans pierwsza. Przyszłam za wcześnie. Wróciłam do korytarza i zaczęłam oglądać zdjęcia na jego ścianach. Szkoła Teologii, klasa absolwentów w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, trzydziestym ósmym i trzydziestym dziewiątym. Sztywne sylwetki. Ponure twarze.

Doszłam do czterdziestego drugiego, kiedy pojawiła się młoda kobieta. Miała na sobie dzinsy, golf i wełnianą koszulę w kratę, która sięgała jej do kolan. Blond włosy sięgały linii szczęki, a gęsta grzywka zakrywała brwi. Na twarzy ani śladu makijażu.

- W czym mogę pomóc? - zapytała. Przechyliła głowę i grzywka się zakolysała.
- Szukam doktor Jeannotte.
- Pani doktor jeszcze nie przyszła, ale zaraz powinna być. Czy ja mogę w czymś pomóc? Jestem jej asystentką. - Szybkim gestem założyła włosy za prawe ucho.
- Dziękuję. Chciałabym zadać doktor Jeannotte kilka pytań. Poczekam, jeżeli można.
- No cóż, dobrze. Chyba nic się nie stanie... Ale, hm, pani doktor nie pozwala nikomu wchodzić do swojego gabinetu. - Spojrzała na mnie, przez otwarte drzwi i znowu na mnie. - Byłam na ksero.
- W porządku. Poczekam na korytarzu.

- Nie, to może trochę potrwać. Ona się często spóźnia. Ja... - Obróciła się i sprawdziła korytarz. - Może pani zostać w gabinecie. - Znowu gest za ucho. - Ale nie jestem pewna, czy jej się to spodoba.

Nie potrafiła podjąć decyzji.

- Tutaj jest w porządku. Naprawdę.

Znowu spojrzała gdzieś za mną, a potem z powrotem na mnie. Zagryzła wargę i znowu założyła włosy. Ona była za młoda na studentkę kolegium. Wyglądała, jakby miała dwanaście lat.

- Jak pani się nazywa?

- Doktor Brennan. Tempe Brennan.

- Czy pani wykłada?

- Tak, ale nie tutaj. Pracuję w Laboratorium Medycyny Sądowej.

- To znaczy na policji? - Między oczami pojawiła się zmarszczka.

- Nie. Zajmujemy się badaniami medycznymi.

- Och. - Pociągnęła językiem po wargach i spojrzała na zegarek. To była jej jedyna biżuteria.

- Cóż, proszę wejść i usiąść. Ja tutaj jestem, więc chyba nic się nie stanie. Byłam tylko na ksero.

- Nie chciałabym sprawiać...

- Nie ma żadnego problemu. - Skinieniem głowy zaprosiła mnie do środka i sama weszła. - Proszę wejść.

Usiadłam na małej kanapie, którą mi wskazała. Minęła mnie, poszła na drugi koniec pokoju i zajęła się czasopismami na półkach.

Słyszałam szum elektrycznego silnika, ale nigdzie nie widziałam żadnego urządzenia. Rozejrzałam się. Nigdy nie widziałam, aby książki zajmowały aż tak wiele miejsca w pomieszczeniu. Przejrzałam tytuły na półce naprzeciwko.

*Elementy tradycji celtyckiej. Manuskrypty z Morza Martwego i Nowy Testament. Tajemnice masonerii. Szamanizm: archaiczne techniki ekstazy. Królewskie rytuały Egiptu. Komentarze Peake'a na temat Biblii. Nadużycia niektórych kościołów. Reforma myśli i psychologia fatalizmu. Armageddon w Waco. Gdy czas się dopełni: Przepowiednie w nowoczesnej Ameryce.* Eklektyczna kolekcja.

Minuty się wlokły.

W gabinecie było zbyt ciepło i czułam, że przy podstawie czaszki zaczyna się ból głowy. Zdjęłam kurtkę.

Przyjrzałam się sztychowi, który wisiał na prawo. Nagie dzieci ogrzewały się przy palenisku, ich skóra błyszczała od ognia. Napis poniżej głosił *Po kąpieli*, Robert Peel, 1892. Ten obrazek przypomniiał mi podobny z muzycznego pokoju mojej babki.

Sprawdziłam czas. Dziesięć po pierwszej.

- Jak długo pracuje pani dla doktor Jeannotte?

Pochyliła się nad biurkiem, ale na dźwięk mojego głosu natychmiast się wyprostowała.

- Jak długo? - Skonsternowana.

- Jest pani jedną z jej byłych studentek?

- Nie, ja jeszcze studiuje.

Jej sylwetkę oświetlało światło z okna. Nie widziałam rysów twarzy, ale wydawała się spięta.

- Słyszałam, że ma świetne kontakty ze studentami.

- Dlaczego pani mnie o to pyta?

Dziwna odpowiedź.

- Byłam po prostu ciekawa. Ja rzadko kiedy mam czas dla moich studentów poza wykładami. Podziwiam ją.

Chyba ją przekonałam.

- Doktor Jeannotte dla wielu z nas jest czymś więcej niż tylko nauczycielem.

- Co skłoniło panią do wyboru nauk religijnych jako specjalizacji?

Przez chwilę nie odpowiedziała. Kiedy pomyślałam, że nie usłyszę odpowiedzi, powiedziała wolno:

- Spotkałam doktor Jeannotte, kiedy zapisałam się na seminarium. Ona... - Znowu długa przerwa. Światło padające z okna sprawiało, że nie mogłam widzieć wyrazu jej twarzy.

- ...zainspirowała mnie.

- W jaki sposób?

Kolejna przerwa.

- Sprawiała, że chciałam robić wszystko dobrze. Nauczyć się, jak robić wszystko dobrze.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale tym razem nie musiałam jej zachęcać, by mówiła.

- Zdałam sobie sprawę, że napisano już wiele odpowiedzi. Musimy się tylko nauczyć je znajdować. - Wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze.

- To jest naprawdę trudne, ale zrozumiałam, jaki bałagan robią ludzie na świecie i że tylko kilku oświeconych...

Lekko się obróciła i znowu widziałam jej twarz. Oczy otworzyła szeroko, a usta zacisnęła.

- Doktor Jeannotte. My tylko rozmawialiśmy.

W drzwiach stała kobieta. Nie miała więcej jak metr pięćdziesiąt wzrostu. Ciemne włosy ściągnięte do tyłu i związane. Jej cera przybrała kolor skorupki jajka, dokładnie takiego, jak kolor ściany z tyłu.

- Wcześniej byłam na ksero. Nie było mnie tylko kilka sekund.

Kobieta się nawet nie poruszyła.

- Nie zostawiłam tej pani tu samej. Nie zrobiłabym tego. - Studentka zgryzła wargę i spuściła wzrok.

Daisy Jeannotte nie drgnęła.

- Pani doktor, ta pani chce zadać kilka pytań, więc wydawało mi się, że nic się nie stanie, jeżeli zaczeka. Zajmuje się badaniami medycznymi. - Głos jej prawie drżał.

Jeannotte nie spojrzała w moim kierunku. Nie miałam pojęcia, co się dzieje.

- Ja... ja układałam czasopisma. My tylko rozmawialiśmy. - Nad jej górną wargą pojawiły się kropelki potu.

Po dłuższej chwili Jeannotte przeniosła na mnie swój wzrok.

- Wybrała pani niezbyt stosowną chwilę, panno...? - Miętko. Tennessee, może Georgia.

- Doktor Brennan. - Wstałam.

- ...doktor Brennan.

- Przepraszam, że przyszłam tak nieoczekiwanie. Pani sekretarka powiedziała mi, że o tej godzinie ma pani dyżur.

Przez chwilę bacznie mi się przyglądała. Miała głęboko osadzone oczy, a tęczęwki tak jasne, że prawie bezbarwne. Podkreślała to przyciemniając brwi i rzęsy. Jej włosy były też nienaturalnie ciemne.

- Cóż - odezwała się w końcu - skoro pani już tu jest. Co chciałaby pani wiedzieć? - Stała nieruchomo przy drzwiach. Należała do ludzi, którzy nigdy nie tracą spokoju.

Opowiedziałam jej o siostrze Julienne i o sprawie z Elisabeth Nicolet, nie podając przyczyny mojego zainteresowania.

Myślała przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na swoją asystentkę. Młoda kobieta bez słowa odłożyła czasopisma i pośpiesznie opuściła biuro.

- Proszę wybaczyć mojej asystentce. Jest bardzo nerwowa. - Roześmiała się cicho i potrząsnęła głową. - Ale świetna jako studentka.

Podeszła do krzesła naprzeciwko mnie i obie usiadłyśmy.

- Tę część popołudnia zazwyczaj rezerwuję dla studentów, ale zdaje się, że dziś nikt nie przyjdzie. Może herbaty? -W jej głosie zabrzmiała słodycz typowa dla pań z koła gospodyń.

- Nie, dziękuję. Właśnie jadłam lunch.

- A więc zajmuje się pani badaniami medycznymi?

- W pewnym sensie. Jestem antropologiem sądowym, na wydziale Uniwersytetu Północnej Karoliny w Charlotte. Tutaj prowadzę konsultacje dla koronera.

- Charlotte to cudowne miasto. Często tam bywam.

- Dziękuję. Nasz campus bardzo się różni od McGill, jest architektonicznie nowoczesny. Zazdroszczę pani tego wspaniałego gabinetu.

- Tak, jest zachwycający. Birks powstał w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym i na początku nazwano go Katedrą Teologii. Budynek należał do Zespołu Kolegiów Teologicznych, zanim McGill nie nabył go w czterdziestym ósmym. Czy wie pani, że Szkoła Teologii to jeden z najstarszych wydziałów McGill?

- Nie miałam pojęcia.

- Oczywiście teraz nazywamy się Wydziałem Nauk Religijnych. A więc interesuje panią rodzina Nicolet. - Skrzyżowała nogi w kostkach i oparła się wygodnie. Niepokoiły mnie te bezbarwne oczy.

- Tak. A zwłaszcza miejsce narodzin Elisabeth i co robili w tym czasie jej rodzice. Siostra Julienne nie zdołała odnaleźć jej metryki urodzenia, ale jest pewna, że miało to miejsce w Montrealu. Uważała, że pani mogłaby mi i pomóc.

- Siostra Julienne. - Znowu się zaśmiała, zabrzmiało to jak woda spływająca po skałach. Po chwili spoważniała. - Istnieje sporo zapisków o nich i tych sporządzonych przez członków rodzin Nicolet i Belanger. W naszej bibliotece znajduje się bogate archiwum dokumentów historycznych. Na pewno znajdzie pani tam wiele informacji. Mogłaby pani także spróbować w Archiwum Prowincji Quebec, w Kanadyjskim Stowarzyszeniu Historycznym i Publicznym Archiwum Kanady. - Miękkie, południowe tony zabrzmiały niemal mechanicznie. Czułam się jak studentka drugiego roku pracująca nad referatem.

- Warto by przejrzeć czasopisma, na przykład *Raport Kanadyjskiego Stowarzyszenia Historycznego*, *Doroczny Przegląd Kanadyjski*, *Raport Archiwów Kanadyjskich*, *Kanadyjski Przegląd Historyczny*, *Transakcje Literackiego i Historycznego Stowarzyszenia Quebecu*, *Raport Archiwów Prowincji Quebec*, albo *Transakcje Królewskiego Stowarzyszenia Kanady*.  
- Zabrzmiała jak z taśmy. - I oczywiście istnieją setki książek. Ja sama wiem niewiele o tym

okresie historycznym.

Wyraz mojej twarzy musiał odzwierciedlać moje myśli.

- Proszę się nie zniechęcać. Trzeba tylko znaleźć trochę czasu.

Nigdy nie znalazłabym tyle czasu, by przebrnąć przez taki materiał. Spróbowałam z innej strony.

- Czy wie pani coś o okolicznościach towarzyszących narodzinom Elisabeth?

- Niewiele. Jak już mówiłam, nie zajmowałam się tymi czasami. Wiem kim ona jest, oczywiście, i wiem o jej pracy w czasie epidemii ospy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. - Przerwała na moment, by jeszcze staranniej dobrać słowa. - Ja zajmowałam się ruchami mesjanistycznymi i nowymi systemami wierzeń, a nie tradycyjnymi religiami eklezjastycznymi.

- W Quebecu?

- Nie tylko. - Wróciła do rodziny Nicolet. - Rodzina w swoich czasach była dobrze znana, więc może zainteresowałaby się pani historiami ze starych gazet. Wychodziły wtedy cztery anglojęzyczne dzienniki: *Gazette*, *Star*, *Herold* i *Witness*.

- Znajdę je w bibliotece?

- Tak. I, oczywiście, była prasa francuska, *La Minerye*, *Le Monde*, *La Patrie*, *L'Etendard* i *La Presse*. Gazety francuskie były nieco mniej popularne i jakby cieńsze niż angielskie, ale na pewno we wszystkich zamieszczano obwieszczenia o narodzinach.

Nie pomyślałam wcześniej o zapiskach prasowych. To wydawało się łatwiejsze.

Wyjaśniła mi, gdzie znajdę mikrofilmy z gazetami, i obiecała sporządzić dla mnie listę źródeł. Przez chwilę rozmawiałyśmy o innych sprawach. Zaspokoiliam jej ciekawość co do mojej pracy. Porównałyśmy doświadczenia, dwie profesorki w zdominowanym przez mężczyzn uniwersyteckim świecie. W końcu pojawiła się studentka. Jeannotte popukała w zegarek i pokazała jej pięć palców, młoda kobieta zniknęła.

Wstałyśmy równocześnie. Podziękowałam jej, założyłam kurtkę i szalik. Byłam już w drzwiach, kiedy zatrzymała mnie pytaniem.

- Czy należy pani do jakiegoś kościoła, doktor Brennan?

- W dzieciństwie należałam do kościoła rzymskokatolickiego, ale obecnie nie należę do żadnego.

Niesamowite oczy spojrzały w moje.

- Czy wierzy pani w Boga?

- Doktor Jeannotte, są dni, kiedy nie wierzę, że nadejdzie jutro.

\*\* \*

Kiedy rozstałam się z doktor Jeannotte, spędziłam godzinę w bibliotece, przeglądając historyczne książki, w indeksach szukając nazwisk Nicolet albo Belanger. Znalazłam je w kilku z nich i sprawdziłam, wykorzystując przywileje wykładowcy.

Kiedy wyszłam, już się ściemniało. Padał śnieg, zmuszając przechodniów do chodzenia po ulicy albo ostrożnego stapania po wąskich wydeptanych szlakach na chodniku, w obawie przed głębokim śniegiem. Ruszyłam za parą, dziewczyna szła na przedzie, chłopak za nią, jego ręce spoczywały na jej ramionach. Paski przy ich chlebakach kołysały się w przód i w tył wraz z balansem bioder, kiedy starali się nie wyjść poza wąski przesmyk chodnika wolny od śniegu. Czasami dziewczyna zatrzymywała się, by językiem schwytać płatek śniegu.

Po zmroku spadła temperatura i kiedy doszłam do samochodu, przednią szybę pokrywał lód. Znalazłam skrobaczkę i walcząc z lodową powłoką przeklinałam mój instykt wędrowca. Gdybym miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, byłabym teraz na plaży.

Jadąc do domu przywołałam scenę z gabinetu Jeannotte, starając się odgadnąć powód dziwnego zachowania asystentki. Dlaczego była taka nerwowa? Wydawało się, że czuje respekt przed Jeannotte, znacznie przekraczający szacunek okazywany przez studentów. O swoim pobycie na ksero wspomniała trzy razy, ale kiedy ją spotkałam na korytarzu, nie miała nic w ręku. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie wiem nawet, jak miała na imię.

Myślałam też o Jeannotte. Była taka wytworna, tak całkowicie opanowana, jakby przyzwyczajona do tego, że to ona panuje nad innymi, ktokolwiek by to nie był. Przywołałam penetrujące oczy, tak kontrastujące z drobnym ciałem i miękkim sposobem mówienia z charakterystycznym przeciąganiem samogłosek. Sprawiała, że czułam się jak studentka. Dlaczego? No tak. Podczas rozmowy nie spuściła ze mnie wzroku. Ani razu nie przerwała kontaktu wzrokowego. W połączeniu z niesamowitymi tęczęwkami dawało to niepokojącą kombinację.

W domu czekały na mnie dwie wiadomości. Pierwsza nieco mnie zaniepokoiła. Harry zapisała się na swój kurs i właśnie stawała się guru nowoczesnego zdrowia psychicznego.

Druga wiadomość przejęła mnie zimnym dreszczem. Słuchałam, obserwując śnieg zbierający się pod płotem mojego ogrodu. Nowe białe płatki spadały na te już leżące, szare, jak nowo narodzona niewinność na zeszłoroczne grzechy.

- *Brennan, odbierz, Jeżeli tam jesteś. To ważne.* - Przerwa. - *Ruszyła sprawa z St-Jovite.* - Głos Ryana zabarwił smutek. - *Przeszukując budynki gospodarcze znaleźliśmy jeszcze cztery ciała za klatką schodową.* - Słyszałam, jak wciąga w płuca dym i wypuszcza

wolno. - *Dwoje dorosłych i dwójka dzieci. Nie są spaleni, ale to potworne. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale mamy nową aferę i pełno w niej gówna. Do zobaczenia jutro.*



Nie tylko Ryan czuł odrazę. Widziałam już dzieci maltretowane i zagłodzone na śmierć. Widziałam dzieci pobite, zgwałcone, uduszone, zadreęczane, ale nigdy czegoś takiego jak to, co zrobiono dzieciom w St-Jovite.

Do innych wiadomość też już dotarła. Kiedy przyjechałam kwadrans po ósmej, kilka furgonetek prasowych stało przed Wydziałem Policji, ich szyby były zaparowane, a z rur wydechowych wydobywały się kłęby spalin.

Chociaż dzień pracy zwykle zaczyna się o ósmej trzydzieści, duży pokój do autopsji pełen był ludzi. Był tam Bertrand, kilku innych detektywów z Wydziału i fotograf z OIS, Oddziału Identyfikacji Sądowej. Ryan jeszcze nie przyjechał.

Oględziny zewnętrzne nadal trwały i na biurku koronera leżały zdjęcia polaroidowe. Ciało zabrano na prześwietlenie, a LaManche coś notował, kiedy wszłam. Przerwał i podniósł wzrok.

- Temperance, cieszę się, że cię widzę. Może będziemy potrzebowali pomocy przy ustalaniu wieku dzieci.

Skinęłam głową.

- I może będzie niezwykle... - szukał odpowiedniego słowa, napięcie malowało się na jego długiej twarzy basseta - ...narzędzie.

Znowu skinęłam i poszłam się przebrać w strój chirurga. Ryan uśmiechnął się i zasalutował, kiedy mijałam go na korytarzu. Oczy miał załzawione, a nos i policzki czerwone, jakby długo szedł na mrozie.

W szatni przygotowałam się na to, co miało nadejść. Dwoje zamordowanych dzieci było samo w sobie horrorem. Co miał na myśli LaManche mówiąc o niezwykłym narzędziu?

Bardzo przeżywam sprawy, w których pojawiają się dzieci. Kiedy moja córka była mała, po każdym morderstwie dziecka miałam ochotę przywiązać ją do siebie i zawsze mieć na oku.

Teraz Katy jest dorosła, ale nadal boję się widoku zmarłych dzieci. Ze wszystkich ofiar one są najbardziej bezbronne, najbardziej urnę i najbardziej niewinne. Bardzo przeżywam każde ich pojawienie się w kostnicy. Nic nie ukryje nagiej prawdy o upadku ludzkości. Współczucie przynosi tylko trochę pocieszenia.

Wróciłam do pokoju autopsji myśląc, że byłam gotowa. A potem zobaczyłam drobne ciało leżące na nierdzewnej stali stołu.

Lalka. Takie było moje pierwsze wrażenie. Naturalnej wielkości lateksowe dziecko, które z upływem czasu poszarzało. Kiedyś takie miałam, najpierw było różowe i pachniało gumą. Karmiłam je przez mały, okrągły otworek w ustach i zmieniałam pieluszkę, kiedy nasiąkała wodą.

Ale teraz patrzyłam nie na zabawkę. Dziecko leżało na brzuszku, z wyciągniętymi na boki rękami, ze zgiętymi palcami rąk. Pośladki były spłaszczone, a białe smugi przecinały siną plamę na plecach. Głowa pokryta była rudym meszkiem włosów. Noworodek był nagi, wokół prawego nadgarstka miał bransoletkę z miniaturowych krążków. Obok lewej łopatki dostrzegłam dwie rany.

Na stole obok leżały śpioszki z niebieskimi i czerwonymi samochodzikami uśmiechającymi się z flaneli. Przy nich leżała brudna pielucha, bawełniany podkoszulek zapinany w kroczu, sweterek z długimi rękawami i para białych skarpetek. Na wszystkim były plamy krwi.

LaManche mówił do dyktafonu.

- *Bebe de race blanche, bien developpe et bien nourri...*

Dobrze rozwinięte i dobrze karmione, ale martwe, pomyślałam, coraz bardziej oburzona.

- *Le corps est bien preserve, avec une legere maceration epidermique...*

Patrzyłam na małe zwłoki. Tak, były dobrze zachowane, oprócz lekkich otarć na rękach.

- Chyba nawet specjalnie się nie broniły...

Obok mnie stanął Bertrand. Nie odpowiedziałam. Nie miałam ochoty na żarty w kostnicy.

- W chłodni jest jeszcze jedno - poinformował mnie.

- Też już wiem - odparłam szorstko.

- Tak, ale Jezu, to są małe dzieci.

Nasze spojrzenia spotkały się i poczułam wstyd. On nie chciał być zabawny. Wyglądał tak, jakby to jego dziecko umarło.

- Małe dzieci. Ktoś je zabił i ukrył w piwnicy. Z zimną krwią. Gorzej. Ten łobuz je prawdopodobnie znał.

- Niby dlaczego?

- Na to wychodzi. Dwoje dzieci, dwoje dorosłych, prawdopodobnie rodzice. Ktoś załatwił całą rodzinę.

- I spalił dom, aby zatrzeć ślady?

- Możliwe.

- To mógł być nieznajomy.

- Mógł być, ale wątpię. Poczekajmy. Zobaczymy. - Skupił się na autopsji, splatając ręce z tyłu.

LaManche przestał mówić do dyktafonu i zawołał technika. Lisa wzięła z kontuaru miarę i rozciągnęła ją na długość ciała dziecka.

- Cinquante-huit centimetres. - Pięćdziesiąt osiem centymetrów.

Ryan patrzył na to wszystko z drugiej strony pokoju, z rękami skrzyżowanymi, prawym kciukiem pocierając tweed okrywający lewe przedramię. Co chwilę zaciskał szczęki i jabłko Adama wędrowało w górę i w dół.

Usa zmierzyła obwód główki, klatki piersiowej i pasa, głośno odczytując wymiary. Następnie uniosła ciało i umieściła je na wiszącej wadze. Zwykle używana jest do ważenia poszczególnych organów. Szala się lekko zakołysała i Lisa ją zatrzymała. Widok ścisnął serce. Martwe dziecko w kołysce z nierdzewnej stali.

- Sześć kilogramów.

W chwili śmierci dziecko ważyło tylko sześć kilogramów. Trzyście funtów.

LaManche nagrał wagę, Lisa zdjęła z wagi drobne zwłoki i położyła na stole. Kiedy się odsunęła, poczułam zimno w krtani. Spojrzałam na Bertranda, ale wpatrywał się w swoje buty.

To był mały chłopiec. Leżał na plecach, nogi i stopy miał powykręcane w stawach. Jego oczy były szeroko otwarte i okrągłe, a tęczęwki zmętniało i szare. Główka przechylona była na bok i jeden okrągły policzek oparty o lewy obojczyk.

Dokładnie poniżej policzka zobaczyłam w klatce piersiowej dziurę, mniej więcej wielkości mojej pięści. Brzegi rany były poszarpane, a wokół powstało fioletowe zgrubienie. Otwór otaczały nacięcia, każde długości jednego centymetra lub dwóch. Niektóre głębokie, inne powierzchniowe. W kilku miejscach jedno nacięcie krzyżowało się z drugim, tworząc kształty przypominające litery L albo V.

Uniosłam rękę na wysokość piersi i żołądek mi się zacisnął. Obróciłam się do Bertranda, niezdolna do sformułowania pytania.

- Uwierzycie w to? - powiedział ponuro. - Ten drań wyciął mu serce.

- Zginęło?

Przytaknęłam.

Przełknęłam ślinę.

- A drugie dziecko?

Znowu skinął.

- Już człowiek myśli, że widział wszystko, a tu się okazuje, że wcale nie.

- Jezu. - Zrobiło mi się zimno. Miałam wielką nadzieję, że kiedy to się stało, te dzieci były nieprzytomne.

Spojrzałam na Ryana. Patrzył na scenę przy stole, a z twarzy zniknęły wszelkie uczucia.

- A co z dorosłymi?

Bertrand potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że kilka razy zostali pchnięci nożem, podcięto im gardła, ale nikt nie zabrał ich organów.

LaManche nadal mówił, opisywał zewnętrzne rany. Nie musiałam słuchać. Wiedziałam, co oznacza obecność zakrzepłej krwi. Tkanka sinieje tylko wtedy, kiedy krąży krew. To dziecko żyło, kiedy wykonywano nacięcia. Te dzieci...

Zamknęłam oczy, aby zwalczyć pragnienie opuszczenia pokoju. Weź się w garść, Brennan. Zrób swoje.

Podeszłam do stołu i przyjrzałam się ubraniu. Wszystko było takie malutkie, takie znajome. Patrzyłam na śpioszki ze stopkami i miękkim, wełnistym kołnierzem i mankietami. Katy miała takich pełno. Pamiętam, jak odpinałam i zapinałam zatrzaski zmieniając jej pieluszkę, a ona kopała swoimi małymi tłustymi nóżkami jak szalona. Jak się te rzeczy nazywały? Miały specjalną nazwę. Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie mogłam się skupić. Może mój umysł chciał mnie ochronić, chcąc, bym przestała przywoływać osobiste wspomnienia i zabrała się do roboty, nim się zupełnie rozkleję,

Krwotok powstał, kiedy dziecko leżało na lewym boku. Prawy rękaw i ramię śpioszków były poplamione, ale krew wsiąkła po lewej stronie, zmieniając kolor flaneli na ciemnoczerwony i brązowy. Podobnie podkoszulek i sweterek.

- Trzy warstwy - powiedziałam, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - I skarpetki.

Bertrand zbliżył się do stołu.

- Ktoś zatroszczył się o to, aby nie było mu zimno.

- Chyba tak - zgodził się.

Kiedy patrzyliśmy na ubranie, podszedł do nas Ryan. W każdej sztuce odzieży widniała poszarpana dziura, otoczona małymi rozdarciami, odpowiadającymi ranom na piersi dziecka. Pierwszy przemówił Ryan:

- Ten mały był ubrany.

- Tak - odparł Bertrand. - Ale ubranie nie przeszkodziło w tym okrutnym rytuale.

Nic nie odpowiedziałam.

- Temperance - powiedział LaManche - weź lupę i chodź tutaj. Coś znalazłem.

Zebraliśmy się wokół patologa, a on wskazał na małe przebarwienie nieco w lewo i poniżej rany. Gdy podałam mu szkło, pochylił się, obejrzał siniak i oddał mi lupę.

Kiedy sama się przyjrzałam, nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Ta plamka nie wykazywała typowego dla siniaka żyłkowania. W powiększeniu dostrzegłam wyraźny wzór w ciele dziecka, w środku jakby krzyż, z pętelką na końcu, jak krzyż koptyjski albo maltański. Obramowane to było tworzącą prostokąt łamaną linią. Wręczyłam szkło Ryanowi i pytająco spojrzałam na LaManche'a.

- Temperance, to najwyraźniej jest jakaś rana. Tkanka musi być zachowana. Nie ma dzisiaj doktora Bergerona, więc byłbym wdzięczny, gdybyś mi asystowała.

Marc Bergeron, odontolog w LMS, opracował metodę przenoszenia i utrwalania ran w miękkiej tkance. Najpierw miało to służyć identyfikacji śladów zębów na ciałach ofiar przemocy seksualnej. Potem metoda ta zaczęła być równie skuteczna w procesach usuwania i zachowywania tatuaży i ran na skórze. Widziałam wiele razy, kiedy to robił, asystowałam przy kilku zabiegach.

Z szafki w pierwszym pokoju do autopsji wzięłam sprzęt Bergerona, wróciłam do dwójki i rozłożyłam narzędzia na wózku z nierdzewnej stali. Kiedy założyłam rękawiczki, fotograf już skończył pracę i LaManche był gotowy. Skinął głową dając mi znak, że mogę zaczynać. Ryan i Bertrand obserwowali.

Odmierzyłam pięć łyżeczek różowego proszku z plastikowej butelki i wsypałam go do szklanej fiolki, następnie dodałam dwadzieścia centymetrów sześciennych przejrzystego płynnego monomeru. Wymieszałam i w ciągu minuty mikstura zgęstniała i wyglądem zaczęła przypominać różową glinę. Uformowałam z niej krąg i położyłam go na małej piersi, idealnie obejmując nim siniak. Akryl był ciepły, kiedy lekko go przycisnęłam do skóry dziecka.

Aby przyspieszyć proces twardnienia, na kręgu umieściłam mokrą szmatkę i poczekałam. Nie więcej niż minutę później akryl był już zimny. Brzegi kręgu polałam przezroczystym płynem z tuby.

- Co to jest? - zaniepokoił się Ryan.

- Cyjanoakrylat.

- A wygląda jak Super Glue.

- Bo tak jest.

Delikatnie pociągnęłam za krąg, by sprawdzić, czy klej już wysechł. Jeszcze kilka kropli, chwila oczekiwania i krąg już się solidnie trzymał. Naniiosłam na niego datę, numer sprawy i kostnicy i określiłam górę, spód, stronę prawą i lewą w odniesieniu do piersi dziecka.

- Gotowe - powiedziałam i odsunęłam się.

Za pomocą skalpela LaManche przeciął skórę wokół akrylowego kręgu, tnąc głęboko, aby wyciąć też podskórną tkankę tłuszczową. Krąg podtrzymywał skórę jak okrągła różowa rama. LaManche włożył to wszystko do słoja z przezroczystym płynem, który przygotowałam.

- A to co? - znowu zapytał Ryan.

- Dziesięcioprocentowy roztwór formaliny. Za dziesięć, dwanaście godzin tkanka się utrwali. Krąg ma zapobiec jakimkolwiek zniekształceniom, a później, kiedy poznamy narzędzie zbrodni, będziemy mogli porównać je z raną i sprawdzić, czy pasują do siebie. I, oczywiście, będziemy mieli zdjęcia.

- Same zdjęcia nie wystarczą?

- To nam umożliwi prześwietlenie.

- Prześwietlenie?

Naprawdę nie miałam ochoty na wygłaszanie wykładu, więc uprościłam to, jak mogłam.

- Tkanek można podświetlić i zobaczyć, co się dzieje pod skórą. Często można zobaczyć drobne rzeczy niedostrzegalne na powierzchni,

- Jak pani myśli, czym to zrobiono? - zapytał Bertrand.

- Nie mam pojęcia - odparłam zamykając słoje i wręczając go Lisie.

Kiedy się odwracałam, poczułam przejmujący smutek i, nie mogąc się powstrzymać, uniosłam drobną rączkę. Była miękka i chłodna. Obróciłam krążki na nadgarstku.

M-A-T-H-I-A-S.

Przykro mi, Mathias.

Uniosłam wzrok i dostrzegłam patrzącego na mnie LaManche'a. W jego oczach odbijała się podobna mojej rozpacz. Odsunęłam się, a on zaczął dalsze badania. Wiedziałam, że wytnie i wyśle na górę końcówki wszystkich kości przeciętych przez mordercę, ale nie wiązałam z tym zbyt wiele nadziei. Chociaż nigdy nie szukałam śladów narzędzi zbrodni u tak malej ofiary, to jednak podejrzewałam, że żebra niemowlęcia są zbyt drobne, aby zachowane na nich zostały jakiegokolwiek szczegóły.

Ściągnęłam rękawiczki i obróciłam się do Ryana w chwili, kiedy Lisa w piersi

dziecka wykonała nacięcie w kształcie litery Y.

- Czy są tutaj zdjęcia z miejsca zbrodni?

- Jedyne kopie zapasowe.

Podał mi dużą brązową kopertę z kompletem polaroidów. Podeszłam z nimi do biurka koronera.

Na pierwszym był największy z budynków gospodarczych w St-Jovite. Stylem przypominał główny dom. Następne zdjęcie zrobiono wewnątrz, ze szczytu schodów w dół. Przejście było wąskie i ciemne, z obu stron ograniczone ścianami, z drewnianymi poręczami przytwierdzonymi do ścian, na każdym ze stopni pod ścianami leżały stosy śmieci.

Było też kilka zdjęć piwnicy, różne ujęcia. Pomieszczenie było słabo oświetlone, jedyne światło padało przez małe kwadratowe okna pod sufitem. Linoleum na podłodze. Ściany z sosnowych desek pełnych sęków. Balie. Bojler. Jeszcze więcej śmieci.

Kilka zbliżeń bojlera i miejsca między nim a ścianą. Nisza pełna była czegoś, co wyglądało jak stare dywany i plastikowe torby. Na następnym zdjęciu leżały na linoleum, najpierw zamknięte, potem otwarte, by widać było, co kryją w środku.

Dorośle ofiary zawinięte były w duże płachty przezroczystej folii, zawinięte w dywany i umieszczone za bojlerem. Na ciałach widać było opuchliznę w okolicach brzucha i uszkodzenia skóry, ale poza tym zwłoki były nieźle zachowane.

Ryan stanął obok mnie.

- Bojler musiał być wyłączony - stwierdziłam, podając mu zdjęcie. - Gdyby działał, ciepło spowodowałoby rozkład.

- Oni chyba nie korzystali z tego budynku.

- Co to było?

Wzruszył tylko ramionami.

Wróciłam do zdjęć.

Mężczyzna i kobieta byli ubrani, ale nie mieli butów. Podcięto im gardła i krew przesiąkła ubrania i poplamiała plastikowe całuny. Jedna ręka mężczyzny leżała odrzucona i widać było głębokie nacięcia na dłoni. Rany zadane przy próbie samoobrony. Próbował się uratować. Albo swoją rodzinę.

Boże. Na chwilę zamknęłam oczy.

Z dziećmi poszło łatwiej. Zawinięto je w plastik, umieszczono w workach na śmieci i umieszczono nad dorosłymi.

Popatrzyłam na gładkie rączki, knykcie z dołeczkami. Bertrand miał rację. Te dzieci się nie broniły. Znowu żal i gniew.

- Chcę dostać tego sukinsyna. - Spojrzałam Ryanowi w oczy.

- Tak.

- Chcę, żebyście go znaleźli. Ja nie żartuję. Chcę go dostać. Zanim znajdziecie kolejne niemowlę. Jak możemy pomagać innym, jeżeli nie jesteśmy w stanie zapobiec takim rzeczom?

Spojrzał na mnie błękitnymi oczami.

- Znajdziemy go, Brennan. Nie ma wątpliwości.

Resztę dnia spędziłam jeżdżąc windą między moim biurem a pokojami autopsji. Sekcje zwłok miały potrwać co najmniej dwa dni, skoro LaManche zajmował się wszystkimi czterema ofiarami. To standardowa procedura w przypadku morderstwa wielokrotnego. Jeden patolog to spójność sprawy i w przypadku rozprawy sądowej spójność zeznań.

Kiedy zajrzałam o pierwszej, Mathias leżał już w chłodni i trwała autopsja drugiego dziecka. Powtórzono scenę poranną. Ci sami aktorzy. To samo miejsce. Tylko że ten miał bransoletkę z napisem M-A-LA-C-H-Y

Do czwartej trzydzieści brzuszek Malach'ego zamknięto, z powrotem założono pokrywę czaszki i twarz odzyskała wyraz. Z nacięciami w kształcie litery Y i uszkodzonymi klatkami piersiowymi, dzieci mogły być pochowane. Nadal jednak nie mieliśmy pojęcia gdzie. Ani przez kogo.

Ryan i Bertrand też krążyli tego dnia. Zdjęto odciski ze stóp obu chłopców, ale ponieważ wszelkie odciski w szpitalnych świadectwach urodzin są zazwyczaj nieczytelne, Ryan nie bardzo liczył na to, że będzie można je porównać.

Kości ręki i nadgarstka stanowią ponad dwadzieścia pięć procent wszystkich kości szkieletu. Człowiek dorosły ma dwadzieścia siedem w każdej ręce. Noworodek o kilka mniej, w zależności od wieku. Obejrzałam zdjęcie rentgenowskie, aby stwierdzić, jakie kości były i w jakim stopniu się rozwinęły. Wiek Mathiasa i Malachy'ego w chwili śmierci oceniłam na jakieś cztery miesiące.

Umieszczono komunikat w mediach, ale z wyjątkiem kilku typowych w takich przypadkach pomyleńców, nie było prawie żadnego oddźwięku. Mieliśmy nadzieję, że lepiej nam pójdzie z dorosłymi. Wiedzieliśmy, że jeżeli ich zidentyfikujemy, to damy sobie radę z identyfikacją dzieci. Na razie byli to mały Malachy i mały Mathias.



W piątek nie widziałam ani Ryana, ani Bertranda. LaManche spędził cały dzień na dole, pracując nad ciałami z St-Jovite. W laboratorium histologii stały szklane pojemniki z żebrami dzieci. Jakiegokolwiek rowki czy prążkowania byłyby tak drobne, że nie chciałabym ich uszkodzić gotując albo zdrapując, nie chciałam też zrobić skalpelem albo nożyczkami żadnych zadraśnień, więc wszystko, co mogłam zrobić, to co jakiś czas zmieniać wodę w pojemnikach i usunąć ciało.

Nareszcie mogłam trochę odetchnąć i zająć się kończeniem raportu w sprawie Elisabeth Nicolet, skoro obiecałam, że skończę go na piątek. W poniedziałek miałam wracać do Charlotte, więc planowałam, że żebrami zajmę się w weekend. Pomyślałam, że jeżeli nie wyskoczy, wszystkie pilne prace zrobię przed poniedziałkiem. Nie przewidziałam wtedy, że o dziesiątej trzydzięci zadzwoni telefon.

- Przykro mi, że muszę pani przeszkodzić, doktor Brennan. - Powiedziane to było wolno, ostrożnie dobierane słowa.

- Siostra Julienne, jak miło siostrę słyszeć.

- Przepraszam za te telefony.

- Telefony? - Przejrzałam różowe karteczki na moim biurku. Wiedziałam, że dzwoniła w środę, ale znalazłam jeszcze dwie karteczki z jej imieniem i numerem telefonu.

- To ja przepraszam. Cały dzień wczoraj byłam zajęta i nie przejrzałam wiadomości. Przykro mi.

Nic nie odpowiedziała.

- Właśnie piszę raport.

- Nie, nie, to nie to. To znaczy, tak, oczywiście, to jest bardzo ważne. Wszyscy niecierpliwie czekamy...

Zawahała się, a ja wyobraziłam sobie, jak jej ciemne brwi pogłębiają troskę, która zwykle maluje się na jej twarzy. Siostra Julienne zawsze wyglądała na zmartwioną.

- Czuję się niezręcznie, ale nie wiem, do kogo się zwrócić. Modliłam się, oczywiście, i wiem, że Bóg słucha, ale czuję, że sama powinnam coś zrobić. Poświęcam się swojej pracy, opiekuję się archiwum, ale, cóż, mam też swoją rodzinę tu, na ziemi. - Starannie formułowała słowa, jak dobry piekarz pracujący nad swym ciastem.

Znowu długa przerwa. Przeczekałam ją cierpliwie.

- On pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

- Tak.
- Chodzi o moją siostrzenicę, Annę. Annę Goyette. Mówiłam pani o niej w środę.
- Siostry siostrzenica? - Nie mogłam sobie tego wyobrazić.
- To jest córka mojej siostry.
- Rozumiem.
- Ona... Nie wiemy, gdzie ona jest
- Aha.
- To bardzo dobre dziecko, sumienne, zawsze dzwoni.
- Aha. - Zaczynałam rozumieć.

Wreszcie to powiedziała.

- Anna nie wróciła do domu wczoraj wieczorem i moja siostra szaleje ze zmartwienia. Mówiłam jej, żeby się modliła, oczywiście, ale, cóż... - Urwała w pół zdania.

Nie byłam pewna, co mam powiedzieć. Nie spodziewałam się, że może chodzić o coś takiego.

- Zaginęła siostry siostrzenica?

- Tak.

- Może powinna siostra zadzwonić na policję.

- Moja siostra dzwoniła już dwa razy. Powiedzieli jej, że w przypadku młodych osób czekają od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin.

- W jakim wieku jest siostry siostrzenica?

- Anna ma dziewiętnaście lat.

- I studiuje na uniwersytecie McGill?

- Tak. - W jej głosie brzmiało ogromne napięcie.

- Siostro, ja naprawdę nic...

Usłyszałam cichy płacz.

- Wiem, wiem, i naprawdę przepraszam, że sprawiam pani tyle kłopotu, pani doktor. - Między słowami wciągała powietrze i brzmiało to tak, jakby miała czkawkę. - Wiem, że jest pani zajęta, wiem, ale moja siostra ma skłonności do hysterii i nie wiem, co mam jej mówić. Dwa lata temu straciła męża i teraz Anna jest jej całym życiem. Virginie dzwoni do mnie co pół godziny i żąda, bym jej pomogła odszukać córkę. Ja wiem, że to nie należy do pani obowiązków i nie zadzwoniłabym, gdybym wiedziała, co mam robić. Modliłam się, ale, och...

Z przerażeniem usłyszałam, jak wybuchają płaczem. Łzy zatępiły i pochłonęły słowa. W głowie miałam zamęt. Co mam powiedzieć?

Płacz ucichł i usłyszałam, jak wyciąga chusteczkę i wyciera nos.

- Ja... Ja... Proszę mi wybaczyć. - Głos drżał.

Nigdy nie umiałam doradzać. Nawet wobec najbliższych nie potrafię stawić czoła emocjom. Wolę działać.

- Czy już kiedyś coś takiego się zdarzyło? - Pomóż jej.

- Chyba nie. Ale my nie zawsze z siostrą... dobrze się rozumiałyśmy. - Znowu była spokojna i znowu ostrożna w doborze słów.

- Czy miała jakieś problemy z nauką?

- Nie sędzę.

- Z przyjaciółmi? Może z chłopakiem?

- Nie wiem.

- Czy zmieniła ostatnio swoje zachowanie?

- Co ma pani na myśli?

- Jadła coś innego? Spała mniej albo więcej niż zwykle? Trudno było się z nią porozumieć?

- Przykro mi. Od kiedy poszła na uniwersytet, nie widuję się z nią tak często jak kiedyś.

- Czy chodzi na zajęcia?

- Nie jestem pewna. - Ostatnie słowo powiedziała bardzo cicho. Zdawała się bardzo wyczerpana.

- A jak się jej układa z matką?

Długa przerwa.

- Ich stosunki są nieco napięte, jak zwykle, ale wiem, że Anna kocha matkę.

Bingo.

- Siostró, Anna mogła chcieć spędzić nieco czasu sama. Jestem pewna, że jeżeli zaczekacie dzień lub dwa, na pewno albo wróci, albo zadzwoni.

- Tak, chyba ma pani rację, ale czuję się taka bezsilna w stosunku do Virginie. Zupełnie oszalała. Nie mogę jej przemówić do rozsądku, więc pomyślałam, że jeżeli mogłaby pani jej powiedzieć, że policja szuka, może by się... uspokoiła.

Wyciągnęła znowu chusteczkę i znowu popłynęły łzy.

- No dobrze, zadzwonię. Nie jestem pewna, czy to coś da, ale spróbuję. Podziękowała mi i się rozłączyła. Siedziałam przez chwilę, zastanawiając się, jakie mam możliwości. Pomyślałam o Rynie, ale McGill leży na wyspie Montreal. Miejski Wydział Policji w Montrealu. MWP. Odetchnęłam głęboko i wykręciłam numer. Kiedy odebrała recepcjonistka,

poprosiłam o połączenie.

- Monsieur Charbonneau, *s'il vous plait*.

- *Un instant, s'il vous plait*.

Kiedy wróciła, oznajmiła mi, że Charbonneau tego popołudnia nie ma.

- Czy mam połączyć z monsieur Claudelem?

- Tak. - Równie mocno pragnęłam wrzodów. Cholera.

- Claudel - odezwał się inny głos.

- Monsieur Claudel. Mówi Tempe Brennan.

Wyobraziłam sobie czubiasty nos Claudela i papuzią twarz, zwykle przyobleczoną w wyraz niechęci do mojej osoby. Lubiłam go równie mocno jak czyraki. Ale ponieważ sama nie zajmuję się uciezkami nieletnich, nie byłam pewna, do kogo się zwrócić. Kiedyś pracowaliśmy razem przy kilku sprawach i zaczął mnie nawet tolerować, więc miałam nadzieję, że chociaż mi powie, do kogo mam się zwrócić.

- Oui?

- Monsieur Claudel, mam raczej niezwykłą prośbę. Zdaję sobie sprawę, że nie należy to do pana obowiązków...

- O co chodzi, doktor Brennan? - Krótko. Claudel należał do tych ludzi, w ustach których nawet francuski brzmiał zimno. Może konkretnie, pani kochana.

- Właśnie dzwoniła do mnie kobieta, która martwi się o swoją siostrzenicę. Dziewczyna jest studentką na uniwersytecie McGill i wczoraj wieczorem nie wróciła do domu. Myślałam...

- Trzeba wypełnić raport zaginięcia.

- Powiedziano matce, że nie można nic zrobić, dopóki nie minie od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Wiek?

- Dziewiętnaście lat.

- Nazwisko.

- Anna Goyette.

- Mieszka w kampusie?

- Nie wiem. Chyba nie, chyba mieszka z matką.

- Czy była wczoraj na zajęciach?

- Nie wiem.

- Gdzie widziano ją po raz ostatni?

- Nie wiem.

Kolejna przerwa. Po chwili:

- Wygląda na to, że mało pani wie. To może wcale nie być sprawa dla MWP i na razie to absolutnie nie jest sprawa dla wydziału zabójstw. - Widziałam, jak puka czymś w jakiś przedmiot, ze zniecierpliwieniem na twarzy.

- Tak. Po prostu nie wiem, z kim mam się skontaktować - odparowałam. Nie lubię, jak ktoś sprawia, że czuję się nieprzygotowana. I psuje mi koncept. Jak zwykle, nie wypadłam przed nim najlepiej, zwłaszcza że jego krytyka mojej metodologii nie była zbyt uzasadniona.

- Niech pani spróbuje w wydziale osób zaginionych.

Usłyszałam sygnał.

Wciąż byłam wściekła, kiedy telefon znowu zadzwonił.

- Doktor Brennan - warknęłam w słuchawkę.

- Wybrałam chyba nie najlepszą chwilę...? - Miękki akcent z Południa silnie kontrastował z nosowym francuskim Claudela.

- Doktor Jeannotte?

- Tak. Ale proszę mi mówić Daisy.

- Wybacz mi, Daisy. Ja... to było kilka ciężkich dni. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Znalazłam kilka ciekawych materiałów na temat rodziny Nicolet dla ciebie. Nie chciałabym wysyłać ich przez kuriera, bo kilka z nich to stare i prawdopodobnie wartościowe egzemplarze. Może byś wpadła po nie?

Rzuciłam okiem na zegarek. Było po jedenastej. Do diabła, czemu nie. Może kiedy będę w kampusie, popytam o Annę. Będę miała coś dla siostry Julienne.

- Podjadę przed dwunastą. Może być?

- Świetnie.

Znowu byłam za wcześnie. Znowu drzwi były otwarte, a w biurze młoda kobieta przerzucała czasopisma. Zastanawiałam się, czy to ten sam stos, który asystentka Jeannotte porządkowała w środę.

- Halo, szukam doktor Jeannotte.

Kobieta obróciła się i jej wielkie kolczyki w kształcie kół zakołysały się i błysnęły w słońcu. Była wysoka, może metr osiemdziesiąt, z ciemnymi, krótko obciętymi włosami.

- Zeszła na chwilę na dół. Czy jest pani umówiona?

- Jestem trochę za wcześnie. Nie szkodzi.

W biurze znowu było tak ciepło. Zdjęłam kurtkę i wetknęłam rękawiczki do kieszeni.

Kobieta wskazała mi wieszak i powiesiłam na nim kurtkę. Przyglądała mi się bez słowa.

- Ona ma mnóstwo czasopism - zagadnęłam, wskazując stos na biurku.

- Wydaje mi się, że pół życia spędzam sortując je. - Bez wstawania położyła jedno z nich na półce nad swoją głową.

- Ale wzrost się tu pani przydaje - zagadnęłam.

- Czasami tak.

- Poznałam asystentkę doktor Jeannotte w środę. Też układała czasopisma.

- Aha. - Dziewczyna wzięła do ręki kolejne i spojrzała na jego grzbiet

- Jestem doktor Brennan.

Wsunęła egzemplarz na półkę na wysokości oczu.

- A pani to...? - nie ustępowałam.

- Sandy O'Reilly - odparła nie odwracając się.

Zastanawiałam się, czy może uraziłam ją tymi uwagami o wzroście.

- Na pewno zapamiętam, Sandy. Ale wtedy w środę, imienia tamtej asystentki nie poznałam...

Wzruszyła ramionami.

- Anna tym się na pewno nie przejęła.

Zdrętwiałam. Nie mogłam mieć aż tak dużo szczęścia.

- Anna? - zapytałam. - Anna Goyette?

- Tak. - Wreszcie się do mnie obróciła. - Zna ją pani?

- Nie, niezupełnie. Studentka o tym nazwisku jest spokrewniona z jedną z moich znajomych i zastanawiałam się, czy to nie będzie ta sama osoba. Jest tutaj dzisiaj?

- Nie. Chyba jest chora. Dlatego ja pracuję. Zwykle mnie tu nie ma w piątki, ale Anna nie mogła przyjść, więc doktor Jeannotte poprosiła mnie, abym ją zastąpiła.

- Chora?

- Tak, chyba tak. Właściwie to nie wiem. Wiem tylko, że znowu jej nie ma. Ale to nic. Przyda mi się ta kasa.

- Znowu?

- No tak. Zawala coś ostatnio. Wtedy zwykle ja tu ląduję. Niby dobrze jest zarobić trochę dodatkowego grosza, ale przez to nie mogę poświęcić pisaniu mojej pracy tyle czasu, ile bym chciała. - Zaśmiała się, ale w jej głosie wyczułam irytację.

- Czy Anna ma problemy ze zdrowiem?

Sandy przechyliła głowę i spojrzała na mnie.

- Dlaczego pani tak się nią interesuje?

- Nie, nie interesuję się nią. Przyjechałam tu po materiały, które ma dla mnie doktor Jeannotte. Ale jestem przyjaciółką ciotki Anny i wiem, że jej rodzina niepokoi się, bo nie widzieli jej od wczoraj rana.

Pokręciła głową i sięgnęła po kolejne czasopismo.

- Powinni się o nią martwić. To dziwaczka.

- Dziwaczka?

Położyła gazetę na półkę i obróciła twarz w moją stronę. Jej oczy długo mi się przyglądały, jakby mnie oceniała.

- Jest pani przyjaciółką rodziny?

- Tak. - W pewnym sensie.

- Nie jest pani detektywem, reporterką ani nikim takim?

- Jestem antropologiem. - To była prawda, choć może niezbyt dokładna. - Pytam, bo ciotka Anny dzwoniła do mnie dziś rano. A kiedy okazało się, że mówimy o tej samej osobie...

Sandy przeszła przez biuro i wyjrzała na korytarz, a potem oparła się o ścianę tuż obok drzwi. Było oczywiste, że nie przejmuje się swoim wzrostem. Nosiła głowę wysoko, a jej ruchy były długie i powolne.

- Nie chciałabym powiedzieć nic, co mogłoby kosztować Annę jej pracę. Albo mnie. Proszę nie mówić nikomu, skąd pani to wie, a zwłaszcza doktor Jeannotte. Nie podobałoby jej się to, że rozmawiam o jej studentce.

- Masz moje słowo.

Wzięła głęboki oddech.

- Anna się chyba w coś wplątała i trzeba jej pomóc. I to nie tylko dlatego, że muszę za nią pracować. Kiedyś byłyśmy przyjaciółkami, a przynajmniej dużo czasu spędzałyśmy razem w zeszłym roku. Potem się zmieniła. Odplynęła. Myślałam o tym, czy nie zadzwonić do jej matki. Ktoś powinien wiedzieć...

Przełknęła ślinę i przerzuciła ciężar ciała na drugą nogę.

- Anna spędza dużo czasu w poradni, bo jest nieszcześliwa. Znika na całe dni, a kiedy się pojawia, nie ma w niej żadnego życia, tylko się tu kręci. I zawsze jest podenerwowana, jakby była gotowa skoczyć z mostu.

Przerwała i znowu spojrzała mi w oczy, jakby nie mogąc się zdecydować. I dodała:

- Przyjaciółka powiedziała mi, że Anna się w coś wplątała.

- Tak?

- Nie mam bladego pojęcia, czy to prawda i czy powinnam o tym mówić. To nie w

moim stylu powtarzać plotki, ale jeżeli Anna ma kłopoty, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że nic nie powiedziałam... - Urwała.

Poczekalam.

- A jeżeli to prawda, to ona może dużo ryzykować.

- Jak myślisz, w co mogła się wplątać?

- To jest takie dziwne. - Potrząsnęła głową i kolczyki dotknęły jej policzków. - Słyszysz o takich rzeczach, ale to nigdy nie dotyczy kogoś, kogo się zna.

Znowu przełknęła ślinę i wyrzała przez ramię na korytarz.

- Przyjaciółka powiedziała mi, że Anna przyłączyła się do sekty. Grupa wyznawców szatana. Nie wiem, czy...

Słyszając skrzypienie desek podłogi Sandy przeszła na koniec biura i wzięła do ręki kilka gazet. Kiedy Daisy Jeannotte pojawiła się w drzwiach, Sandy pochłonięta była pracą.



Przepraszam - Daisy uśmiechała się ciepło. - Zawsze musisz na mnie czekać. Poznałyście się z Sandy? - Włosy znowu związane miała w ten sam nienaganny kok.

- Tak. Właśnie rozmawialiśmy o urokach układania czasopism.

- Często proszę je o to. Kopiowanie i segregowanie. Wiem, to bardzo nudne. Ale prawdziwe badania też są nudne. Moi studenci i pomocnicy są wobec mnie bardzo cierpliwi.

Zwróciła swą uśmiechniętą twarz ku Sandy, ta odpowiedziała na swój sposób i wróciła do gazet. Zdziwiło mnie to, jak inaczej Jeannotte odnosiła się do tej studentki w porównaniu z tym, co widziałam w środe.

- Pozwól, że pokażę ci, co znalazłam. Chyba ci się spodoba. - Uczyniła gest w kierunku kanapy.

Usiadłyśmy, a ona wzięła z małego stolika z mosiądzu stos materiałów i spojrzała na dwustronicowy wydruk. Jej przedziałek dzielił włosy jasną linią.

- To są tytuły książek o dziewiętnastowiecznym Quebecu. Na pewno w wielu z nich znajdziesz coś o rodzinie Nicolet.

Podawała mi listę, na którą zerknęłam, ale nie w głowie mi teraz była Elisabeth Nicolet.

- A to jest książka o epidemii ospy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. Może znajdziesz w niej coś o Elisabeth i jej pracy. A na pewno da ci pojęcie o atmosferze tamtych czasów i ogromie cierpienia, jakiego doświadczyli wtedy mieszkańcy Montrealu.

Książka była nowa i w idealnym stanie, jakby jej jeszcze nikt nie czytał. Przejrzałam kilka stron, nic nie widząc. Czego to Sandy nie zdążyła mi powiedzieć?

- Ale te chyba najbardziej ci się spodobają. - Podawała mi trzy woluminy, które wyglądały jak księgi rachunkowe i oparła się, nie przestając się uśmiechać, ale i przyglądając mi się badawczo.

Miały szare okładki, z ciemnoczerwoną oprawą i grzbietem. Otworzyłam ostrożnie pierwszą i przewróciłam kilka stron. Pachniała stęchlizną, jak coś, co przez lata leżało w piwnicy albo na strychu. To nie była księga rachunkowa, ale pamiętnik, napisany zdecydowanym, wyraźnym pismem. Spojrzałam na pierwszą datę: pierwszy stycznia tysiąc osiemset czterdziesty czwarty. Ostatniego zapisu dokonano dwudziestego trzeciego grudnia tysiąc osiemset czterdziestego szóstego.

- Napisał je Louis-Philippe Belanger, wuj Elisabeth. Wiadomo jest, że miał wielki talent do prowadzenia pamiętnika, więc sprawdziłam w dziale rzadkich dokumentów i

przecucie mnie nie myliło. Nie wiem, gdzie są pozostałe zapiski, jeżeli w ogóle się zachowały, ale mogłabym się dowiedzieć. Zabiją mnie, jeżeli coś się tym papierom stanie. - Zaśmiała się. - Pożyczyłam te, które obejmują okres czasu sięgający narodzin Elisabeth i krótkiego okresu po nich.

- To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe - powiedziałam, na chwilę zapominając o Annie Goyette. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że będziesz ich pilnować jak oka w głowie.

- To mogę je wziąć?

- Tak. Ufam ci. Na pewno docenisz ich wartość i odpowiednio je potraktujesz.

- Daisy, zaskoczyłaś mnie. To o wiele więcej, niż się spodziewałam.

Uniosła rękę w geście "nie ma o czym mówić".

Przez chwilę żadna z nas nic nie mówiła. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy wyjdę i będę mogła się zająć dziennikami. Przypomniałam sobie jednak o siostrzenicy siostry Julienne. I o słowach Sandy.

- Daisy, czy mogłabym zapytać cię o coś, co dotyczy Anny Goyette?

- Oczywiście. - Nie przestała się uśmiechać, ale w oczach pojawiła się nieufność.

- Jak wiesz, pracuję z siostrą Julienne, która jest ciotką Anny.

- Nie wiedziałam, że są spokrewnione.

- Tak. Siostra dzwoniła do mnie, aby mi powiedzieć, że Anna nie wróciła od wczoraj do domu i jej matka się martwi.

Przez cały czas naszej rozmowy byłam świadoma obecności Sandy, która zajęta była czasopismami. Nagle znieruchomiała, co zauważyłyśmy obie z Jeannotte.

- Sandy, na pewno jesteś zmęczona. Zrób sobie małą przerwę.

- Czuję się świe...

- Proszę.

Nasze spojrzenia z Sandy spotkały się, kiedy, zmierzając w kierunku wyjścia, przechodziła tuż obok. Ale nic nie wyczytałam z jej twarzy.

- Anna to bardzo zdolna dziewczyna - ciągnęła Jeannotte. - Nieco nerwowa, ale świetny umysł. Na pewno nic jej nie jest - orzekła.

- Jej ciotka twierdzi, że takie znikanie nie jest dla Anny typowe.

- Prawdopodobnie potrzebowała trochę czasu dla siebie. Wiem, że zaistniała pewna różnica zdań między nią a jej matką. Pewnie wyjechała na kilka dni.

Sandy wspomniała, że Jeannotte była w stosunku do swoich studentów opiekuńcza. Czego ja tu teraz szukałam? Czy ona wiedziała o czymś, o czym nie chciała mi powiedzieć?

- Przypuszczam, że reaguję trochę zbyt nerwowo, ale w mojej pracy widzę wiele młodych kobiet, którym coś się przytrafia...

Jeannotte spojrzała na swoje dłonie. Przez chwilę siedziała nieruchomo, a potem powiedziała z uśmiechem:

- Anna Goyette próbuje uwolnić się od wpływu, jaki ma na nią sytuacja w domu. Tylko tyle mogę powiedzieć, ale zapewniam cię, że wszystko z nią w porządku i jest szczęśliwa.

Dlaczego jest taka pewna? Czy ja też powinnam być? Do diabła. Nie dałam za wygraną, bo chciałam zobaczyć jej reakcję.

- Daisy, wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale słyszałam też, że Anna wplątała się w jakąś sektę satanistyczną.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nawet nie zapytam, skąd masz takie informacje. Nie dziwi mnie to. - Potrząsnęła głową. - Molestujący dzieci. Mordercy psychopaci. Zdeprawowani mesjasze. Prorocy zapowiadający dzień Sądu Ostatecznego. Sataniści. Zły sąsiad, który w Halloween rozdaje dzieciom słodczyce z arsenikiem.

- Ale takie rzeczy się naprawdę zdarzają. - Ze zdziwieniem uniosłam brwi.

- Rzeczywiście? A może to tylko miejskie legendy? Memoraty nowoczesnych czasów?

- Memoraty? - Zastanawiałam się, co Anna może mieć z tym wspólnego.

- Pojęcie używane przez ludoznawców określające sposób, w jaki ludzie łączą swoje obawy z popularnymi legendami. W ten sposób tłumaczone są niecodzienne doświadczenia, Wyraz mojej twarzy świadczył o tym, że wciąż nic nie rozumiałam.

- Każda kultura ma swoje bajki i ludowe legendy, które są wyrazem powszechnych obaw i niepokojów. Strach przed upiorami, obcymi, kosmitami. Zniknięcia dzieci. Jeżeli dzieje się coś, czego nie rozumiemy, tworzymy nowe wersje starych baśni. Czarownica porwała Jasia i Małgosię. Człowiek w centrum handlowym porwał dziecko które odeszło od matki. W ten sposób niesamowite historie stają się prawdopodobne. Ludzie opowiadają o porwaniach przez UFO, o tym, że ktoś widział Elvisa, o zatruciach w Halloween. To się zawsze przydarza przyjaciółce przyjaciółki, kuzynowi albo synowi szefa.

- To nie było zatrucie podczas Halloween?

- Pewien socjolog przejrzał relacje prasowe z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i odkrył, że w tym czasie zdarzyły się tylko dwa otrucia, w obu przypadkach sprawcami okazali się członkowie rodziny. Nie udokumentowano prawie żadnych innych przypadków.

Ale legenda urosła, bo występują tu głęboko zakorzenione lęki: utrata dzieci, strach przed nocą i nieznanymi...

Pozwoliłam jej mówić, czekając, kiedy wróci do Anny.

- Słyszałaś o mitach wywrotowych? Antropolodzy uwielbiają dyskutować o takich sprawach.

Sięgnęłam w pamięci do mojego seminarium na temat mitologii.

- Zrzucanie winy. Historie, które mają na celu znalezienie kozła ofiarnego w przypadku problemu.

- Dokładnie tak. Winni to autsajderzy - rasowe, etniczne albo religijne grupy, które niepokoją innych. Rzymianie oskarżali pierwszych chrześcijan o kazirodztwo i ofiary z dzieci. Późniejsi chrześcijanie oskarżali siebie wzajemnie, a potem Żydów. Przy okazji zginęły tysiące ludzi. Pomyśl o polowaniach na czarownice. Albo o Holokauście. A to nie są stare historie. Po buntach studentów we Francji w późnych latach sześćdziesiątych żydowscy sklepikarze oskarżani byli o porywanie nastolatek z przebierańni w butikach.

Coś sobie o tym przypomniałam.

- A ostatnio chodziło o tureckich i północnoafrykańskich imigrantów. Kilka lat temu we Francji rodzice oskarżali ich o porywanie, zabijanie i patroszenie dzieci, chociaż prawie nie notowano wtedy żadnych zaginięć. I mit się utrzymuje, nawet tutaj, w Montrealu, tylko że teraz chodzi o wampira, który jako część rytuału stosuje mordowanie dzieci. - Pochyliła się ku mnie i szerzej otwierając oczy wręcz wyszczała: - To właśnie sataniści.

Nigdy nie widziałam, żeby była aż tak ożywiona. Pod wpływem jej słów w moim umyśle pojawiły się obrazy. Malachy leżący na stole z nierdzewnej stali...

- To naprawdę nie jest nic dziwnego - ciągnęła. - Zaabsorbowanie demonologią zawsze się zwiększa, kiedy zachodzą jakieś ważne zmiany społeczne. Albo pod koniec tysiąclecia. A tym razem chodzi o szatana.

- Czy w dużej mierze to nie zasługa Hollywood?

- Nie robili tego specjalnie, to oczywiste, ale zapewne się przyczynili. Ludzie w Hollywood chcą po prostu robić kasowe filmy. Ale istnieje odwieczne pytanie: czy sztuka kształtuje swoje czasy, czy je tylko odzwierciedla? *Dziecko Rosemary, Omen, Egzorcysta*. Co robią te filmy? Za pomocą demonicznych obrazów tłumaczą niepokoje społeczne. A ludzie oglądają i słuchają...

- Ale czy nie jest to częścią zwiększającego się zainteresowania mistycyzmem, obserwowanego w kulturze amerykańskiej w ciągu ostatniego trzydziestolecia?

- Jasne, że tak. A jaki jest drugi trend typowy dla ostatniego pokolenia? Czulałam się,

jakbym brała udział w jakimś quizie. Co to wszystko miało wspólnego z Anną? Pokręciłam głową.

- Wzrost popularności fundamentalistycznego chrześcijaństwa. Miała na to wpływ ekonomia, oczywiście. Zwolnienia. Zamykanie fabryk. Redukcje miejsc pracy. Ubóstwo i niepewność finansowa są bardzo stresogenne. Ludzie biedni zaniepokojeni są zmieniającymi się normami społecznymi. Zmieniły się relacje między kobietami i mężczyznami, między członkami rodzin i pokoleniami.

Wymieniała to na palcach.

- Stare tłumaczenia już się nie sprawdzają, a nowe się jeszcze nie przyjęły. Kościoły fundamentalistyczne przynoszą pocieszenie poprzez proponowanie prostych odpowiedzi na trudne pytania.

- Jak szatan.

- Jak szatan. Całe zło tego świata przypisuje się szatanowi. Nastolatki wciągane są w sekty. Dzieci są porywane i zabijane podczas demonicznych rytuałów. W całym kraju zabijane są zwierzęta, które składa się w ofierze szatanowi. Logo firmy Proctor and Gamble zawiera ukryty szatański symbol. W tych plotkach zamyka się cała frustracja, która jeszcze to wszystko podsyca.

- A więc uważasz, że kult szatana nie istnieje?

- Tego nie powiedziałam. Jest kilka, powiedzmy, popularnych zorganizowanych grup satanistycznych, jak ta Antona LaVeya.

- Kościół Szatana w San Francisco.

- Zgadza się. Ale to są małe, maleńkie grupy. Większość "satanistów" - w powietrzu wzięła słowo w cudzysłów - to prawdopodobnie tylko białe dzieciaki ze średniej klasy bawiące się w wyznawanie szatana. Od czasu do czasu posuwają się nieco za daleko i demolują kościelne cmentarze i torturują zwierzęta, ale raczej zajmują się rytuałami i wybierają się na wycieczki śladami legend.

- Wycieczki śladami legend?

- Tak to określają socjologowie. Odwiedzanie strasznych miejsc, jak cmentarze albo domy, w których straszy. Rozpalają ogniska, opowiadają historie o duchach, zaklinają, trochę demolują. To wszystko. Potem, kiedy policja znajduje graffiti, przewrócony nagrobek, wygaszone ognisko, może zdechłego kota, stwierdzają, że lokalna młodzież należy do sekty. Prasa zaczyna o tym pisać, księża podnoszą alarm i nowa legenda zaczyna krążyć.

Jak zawsze była bardzo spokojna, ale teraz jej nozdrza drgały, kiedy mówiła, zdradzając napięcie, jakiego jeszcze u niej nie widziałam. Czekałam, co jeszcze powie.

- Moim zdaniem zagrożenie ze strony satanizmu jest bardzo przesadzone. Kolejny wywrotowy mit, jakby powiedzieli twoi koledzy.

Nagle i bez ostrzeżenia podniosła głos, aż podskoczyłam.

- David! To ty?

Ja nie usłyszałam ani jednego dźwięku.

- Tak, proszę pani. - Głos był stłumiony. W drzwiach pojawiła się wysoka postać, której twarz całkowicie zakrywał kaptur kurtki i ogromny szalik okręcony dokoła szyi.

- Przepraszam na minutę.

Wstała i zniknęła za drzwiami. Nie słyszałam, o czym mówili, ale on był poruszony, a jego głos to wznosił się, to opadał, jak płacz dziecka. Jeannotte często mu przerywała. Wtrącała się na krótko, a jej głos był tak stały, jak jego zmienny. Zrozumiałam tylko jedno słowo. "Nie". Powtórzyła je kilka razy.

Nagle zapadła cisza. Chwilę później Jeannotte wróciła, ale już nie usiadła.

- Ci studenci - westchnęła, śmiejąc się i potrząsając głową.

- Niech zgadnę. Potrzebuje więcej czasu na dokończenie swojej pracy.

- Nic się nie zmienia. - Spojrzała na zegarek. - Cóż, Tempe, mam nadzieję, że pomogłam ci w twojej pracy. Będziesz uważać na te dzienniki? One są bardzo cenne. - Najwyraźniej się ze mną zegnała.

- Oczywiście. Zwrócę je najpóźniej w poniedziałek. - Wstałam, włożyłam materiały do teczki i sięgnęłam po kurtkę i torebkę. Jej uśmiech odprowadził mnie do drzwi.

\* \* \*

Zimą niebo w Montrealu ubiera się w szare barwy, wybierając z palety od gołębiego, koloru żelaza, ołowiu, aż do cyny. Kiedy wyszłam z Birks Hali, na niebie wymieszały się ołów z cyną.

Przewiesiłam sobie teczkę i torebkę przez ramię i skierowałam się w dół pagórka, pokonując ostry, zimny wiatr. Momentalnie zaczęły mi łzawić oczy, zacierając obraz. Kiedy tak szłam, gdzieś w głowie pojawiła się Fripp Island. Palmy karłowate. Trawa morska. Słońce iskrzące na bagnach.

Przestań, Brennan. W wielu miejscach na ziemi marzec jest wietrzny i zimny. Karoliny nie są najlepszym odniesieniem, jeżeli porównuje się klimaty różnych miejsc. Mogłoby być gorzej. Mogłoby padać. Tylko zdążyłam o tym pomyśleć, a już pierwszy wielki płatek usiadł mi na policzku.

Otwierając drzwi samochodu zauważyłam wysokiego, młodego człowieka, który patrzył na mnie z daleka. Poznałam kurtkę i szalik. To był David, nieszczęsny student

Jeannotte.

Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały, a wściekłość w jego oczach przestraszyła mnie. David bez słowa odwrócił się i ruszył wzdłuż budynku. Wytrącona z równowagi wsiadłam do samochodu i zamknęłam drzwi, z ulgą myśląc, że to problem Jeannotte, nie mój.

Po drodze do laboratorium mój umysł zajął się tym, co miało nadejść, i tym, co wciąż miałam do zrobienia. Gdzie była Anna? Czy należało traktować poważnie słowa Sandy na temat sekty? Czy Jeannotte miała rację? Że sekty to jedynie wygłupy młodzieży? Dlaczego nie zmusiłam Jeannotte do wyjaśnienia jej uwagi, że z Anną wszystko jest w porządku? Nasza rozmowa była tak fascynująca, że nie zdołałam uzyskać więcej wiadomości o dziewczynie. A może o to chodziło? Może Daisy specjalnie coś ukrywa? A jeżeli tak, to co i dlaczego? Czy to tylko dlatego, że chce uchronić swoich studentów przed ludźmi z zewnątrz, którzy wtrącają się w ich sprawy prywatne? Co to była ta "sytuacja w domu"? Dlaczego David zachowywał się w ten sposób?

Jak ja zdążę przejrzeć te dzienniki do poniedziałku? Miałam samolot o piątej po południu. Czy zdołałabym ukończyć raport dotyczący Nicolet dzisiaj, dotyczący dzieci jutro i popracować nad dziennikami w niedzielę? Nic dziwnego, że nie prowadzę życia towarzyskiego.

Kiedy dotarłam do rue Parthenais, równomiernie padający śnieg pokrył ulicę. Znalazłam miejsce tuż przed drzwiami i w duchu zmówiłam modlitwę prosząc, aby mi go śnieg dokładnie nie zasypał.

Hol był duszny i przesycony zapachem mokrej wełny. Otrzepałam energicznie buty, powiększając kałużę stopniałego śniegu na podłodze, i poszłam do windy. Po drodze na górę starałam się usunąć smugi tuszu do rzęs z dolnych powiek.

Na biurku zastałam dwie różowe karteczki. Dzwoniła siostra Julienne. Na pewno chodziło o raporty w sprawie Anny i Elisabeth. Nie byłam gotowa do rozmowy na żaden z tych tematów. Druga karteczka to był Ryan.

Wykręciłam numer i odebrał.

- Długi lunch.

Sprawdziłam czas. Za kwadrans druga.

- Płacą mi od godziny. Co jest?

- Wreszcie znaleźliśmy właściciela domu w St-Jovite. Nazywa się Jacques Guillion. Pochodzi z Ouebecu, dawno temu przeniósł się do Belgii. Nie wiadomo, gdzie się podziewa, ale jego belgijska sąsiadka twierdzi, że Guillion wynajmował dom w St-Jovite starszej pani, która nazywa się Patrice Simonnet. Ona uważa, że najemca jest z Belgii, ale nie jest pewna.

Podobno Guillion udostępnia swoim lokatorom też samochody. Sprawdzamy.

- Nieźle poinformowana sąsiadka.
- Najwyraźniej utrzymywali bliskie stosunki.
- To spalone ciało z piwnicy to może być ta Simonnet.
- Może być.
- Dostaliśmy dobre zdjęcia rentgenowskie zębów. Ma je Bergeron.
- Przekazaliśmy dane Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Oni współpracują z

Interpolem. Jeżeli to Belgijka, to ją znajdą.

- A co z tymi dwoma ciałami w domu i tymi dorosłymi, i dziećmi?
- Pracujemy nad tym.

Przez moment oboje trwaliśmy w zamyśleniu.

- Całkiem duży dom jak na jedną starszą panią.
- Wygląda na to, że nie była tak całkiem sama.

Następne dwie godziny spędziłam w laboratorium histologii pracując nad ostatnimi fragmentami ciała przy żebrach i obserwując je pod mikroskopem. Moje obawy okazały się słuszne, nie znalazłam żadnych nacięć czy innych śladów na kościach. Mogłam jedynie powiedzieć, że morderca użył bardzo ostrego noża o nie ząbkowanym ostrzu. Źle dla śledztwa. Dobrze dla mnie. Raport będzie krótki.

Ryan znowu zadzwonił, kiedy tylko wróciłam do swojego biura.

- A może by tak małe piwko? - zapytał.
- Nie trzymam piwa w swoim biurze, Ryan. Gdyby tak było, wypiłabym je.
- Ale ty nie pijesz...
- No to dlaczego mówisz o piwie?
- Mówię, bo może byś się chciała napić. Pod koniczynkę,
- Co?
- To ty nie pochodzisz z Irlandii, Brennan?

Rzuciłam okiem na kalendarz wiszący na ścianie. Siedemnasty marca. Kilka razy tego dnia nieźle zaszalałam. Chciałam o tym zapomnieć.

- To już nie dla mnie.
- Ja tylko chciałem powiedzieć "zrobmy sobie przerwę".
- Zapraszasz mnie na randkę?
- Właśnie.
- Z tobą?
- Nie, z moim księdzem spowiednikiem.



- Nie mów. To on łamie swoje zasady?

- Brennan, chcesz się ze mną spotkać i coś wypić dziś wieczorem? Coś bezalkoholowego?

- Ryan, ja...

- To dzień świętego Patryka. A poza tym piątek wieczór i pada jak cholera. Masz jakąś lepszą propozycję?

Nie miałam. Tak naprawdę to nie miałam żadnych propozycji. Ale my za często razem pracowaliśmy nad sprawami, a ja miałam zasadę oddzielania od siebie spraw zawodowych i prywatnych.

Zawsze. I już. Żyłam w separacji, sama, jakieś dwa lata tak minęły. I nie mogłam narzekać na nadmiar męskiego towarzystwa.

- Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

Nastąpiła dłuższa przerwa. A po chwili:

- Mamy coś o Simonnet. Interpol to znalazł. Urodzona w Brukseli, wyprowadziła się stamtąd dwa lata temu. Nadal płaci podatki za posiadłość na wsi. Lojalna starsza kobitka, całe życie chodziła do tego samego dentysty. Ten facet prowadził praktykę już w epoce kamiennej i trzyma wszystkie papiery. Właśnie faksują dokumenty. Jeżeli będą pasować, to dostaniemy oryginały.

- Kiedy ona się urodziła?

Usłyszałam, jak przerzuca papiery.

- Tysiąc dziewięćset osiemnasty.

- Pasuje. Rodzina?

- Sprawdzamy.

- Dlaczego wyjechała z Belgii?

- Może chciała zmienić otoczenie...? Słuchaj, jeżeli się jednak zdecydujesz, to znajdziesz mnie u Hurleya po dziewiątej. Jeśli będzie kolejka, to użyj mojego nazwiska,

Siedziałam chwilę, zastanawiając się, dlaczego mu odmówiłam. Pete i ja doszliśmy do porozumienia. Nadal się kochaliśmy, ale nie mogliśmy razem żyć. Będąc w separacji znowu byliśmy przyjaciółmi. Już od lat nie mieliśmy tak dobrego układu. On chodził na randki, ja też mogłam to robić. O Boże. Randki...! Czas trądziku i aparatu korekcyjnego na zębach.

Mówiąc szczerze, to Andrew Ryan bardzo mi się podobał. Żadnych pryszczycy czy krzywych zębów. Bardzo dobrze. A technicznie to wcale razem nie pracowaliśmy. Ale czasami był bardzo wkurzający. I nieprzewidywalny. Nie. Ryan oznacza kłopoty.

Kończyłam raport w sprawie Malachy'ego i Mathiasa, kiedy znowu zadzwonił telefon. Uśmiechnęłam się. Dobrze, Ryan. Wygrałeś.

Strażnik poinformował mnie, że na dole ktoś na mnie czeka. Spojrzałam na zegarek. Dwadzieścia po czwartej. Kto to mógł być o tej porze? Nie umawiałam się chyba z nikim.

Zapytałam o nazwisko. Kiedy mi powiedział, poczułam się niewyraźnie.

- O nie. - Nie mogłam się powstrzymać.

- *Est-ce qu'il y a un probleme?*

- *Non. Pas de probleme.* - Powiedziałam, że już schodzę.

Żaden problem? Kogo chciałam oszukać?

Powtórzyłam to w windzie.

O nie.

Co ty tutaj robisz?

- Mogłabyś się ucieszyć na mój widok, starsza siostró.

- Oczywiście, że się cieszę, Harry. Jestem tylko zaskoczona. - Nie zdziwiłabym się bardziej, gdyby strażnik zaanonsował Teosia Roosevelta.

Prychnęła.

- To naprawdę miło z twojej strony.

Siedziała w holu otoczona firmowymi torbami od Niemana Narcusa i płóciennymi workami różnych kształtów i wielkości. Miała na sobie czerwone buty kowbojskie haftowane w białe i czarne pętelki i zygżaki, a do tego skórzaną kurtkę z frędzlami. Kiedy wstała, zobaczyłam też dzinsy tak obcisłe, że chyba nie płynęła jej krew w nogach. Wszyscy to zobaczyliśmy.

Objęła mnie w pełni świadoma, ale bynajmniej nie skrepowana wrażeniem, jakie robiła na innych. Zwłaszcza na tych z chromosomem Y.

- Ależ tam na zewnątrz jest zimno! Sama mogłabym zamrozić tequilę. - Objęła ramionami swój korpus.

- Tak. - Nie zauważyłam analogii.

- Mój samolot miał lądować w południe, ale wstrzymywał nas ten cholerny śnieg. No co jest, starsza siostró...?

Wyciągnęła przed siebie ręce, a frędzle jej kurtki zakotłosały się. Kompletnie nie pasowała do tego miejsca. Amarillo w tundrze.

- Jest okej. Niespodzianka super. Tak. Ja... Cóż cię sprowadza do Montrealu?

- Wszystko ci opowiem. To coś cudownego. Kiedy o tym usłyszałam, nie mogłam w to uwierzyć. To wszystko tutaj w Montrealu i w ogóle.

- Co za "to", Harry?

- Seminarium, które ukończyłam. Mówiłam ci o tym, kiedy dzwoniłam w zeszłym tygodniu. Zrobiłam to. Zapisalam się na ten kurs w Houston i teraz z tego korzystam. Nigdy nie byłam taka nakręcona. Przeszłam przez pierwszy stopień. Przebiegłam. Niektórzy ludzie potrzebują lat, by zdać sobie sprawę ze swojej realności, a ja to zrobiłam w ciągu kilku tygodni. Uczę się terapeutycznych strategii i zaczynam kontrolować swoje życie. A kiedy zaprosili mnie na te warsztaty drugiego stopnia, właśnie tu, gdzie mieszka moja starsza siostra, spakowałam się i ruszyłam na północ.

Patrzyła na mnie niebieskimi oczami w czarnej, tuszowej otoczce.

- Przyjechałaś tu na warsztaty?

- Właśnie tak. Oni płacą za wszystko. No, prawie za wszystko.

- Zaraz mi wszystko opowiesz - powiedziałam, mając cichą nadzieję, że kurs będzie krótki. Nie byłam pewna, czy Prowincja Quebec i Harry zniosą siebie nawzajem.

- To naprawdę coś cudownego - powtórzyła, jakby to miało wystarczyć za wszelkie informacje.

- Chodźmy na górę, pozbieram swoje rzeczy. A może wolałabyś poczekać tutaj?

- Cholera, nie. Chcę zobaczyć, gdzie wielka pani doktor pracuje. Prowadź.

- Będziesz musiała pokazać jakiś dokument ze zdjęciem, żeby otrzymać przepustkę dla gości - wyjaśniłam, wskazując strażnika przy biurku.

Cały czas nas obserwował, uśmiechając się nieznacznie, i odezwał się, zanim którakolwiek z nas się poruszyła.

- *Votre soeur?* - zagrzemiał na cały hol, wymieniając spojrzenia z innymi strażnikami.

Przytaknęłam. Wszyscy najwyraźniej wiedzieli, że Harry jest moją siostrą, i uważali, że to bardzo zabawne.

Strażnik machnął ręką w kierunku wind.

- *Merci* - wymamrotałam i rzuciłam mu karcące spojrzenie.

- Taak - powiedziała przeciągle Harry, obdarzając każdego ze strażników promiennym uśmiechem.

Zebrałyśmy pakunki i pojechałyśmy na piąte piętro, gdzie zostawiłam wszystko na korytarzu przed moimi drzwiami. W środku się to nie zmieści. Patrząc na to wszystko bałam się nawet myśleć, jak długo ma zamiar zostać.

- Kurczę, wygląda tu, jakby huragan przeleciał. - Chociaż nie była wysoka i miała figurę modelki, wydawała się wypełniać małą przestrzeń.

- Nie przesadzaj, że aż tak. Wyłączę tylko komputer i wezmę kilka rzeczy. I pójdziemy.

- Nie spiesz się, ja mam czas. Pogadam sobie z twoimi przyjaciółmi. Spojrzała w górę na rząd czaszek, tak wysoko zadzierając głowę, aż końcówki jej włosów sięgnęły dolnego rzędu frędzli kurtki. Włosy miała jaśniejsze niż kiedykolwiek.

- Się masz - powiedziała do pierwszej. - Mówisz, że lepiej się wycofać, kiedy jeszcze ma się głowę, co?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Jej przyjaciel-czaszka pozostał poważny. Harry przeszła dalej, a ja wyłączyłam komputer i spakowałam książki i dzienniki od Daisy

Jeannotte. Zamierzałam wrócić rano, więc nie zabrałam moich nie dokończonych raportów.

- No co jest? - Moja siostra rozmawiała z czwartą czaszką. - Obrażamy się? Jesteś taki seksowny, kiedy jesteś w złym humorze...

- Ona jest zawsze w złym humorze. - W drzwiach stał Andrew Ryan.

Harry obróciła się i wzrokiem zmierzyła detektywa z góry na dół. Powoli. A potem niebieskie oczy spotkały niebieskie oczy.

- A to kto?

Uśmiech, jakim obdarzyła strażników, to było nic w porównaniu z tym, który rzuciła Ryanowi. W tym momencie wiedziałam, że nie umkniemy katastrofy.

- Właśnie wychodziłyśmy - oznajmiłam, zamykając mojego laptopa.

- I?

- I co, Ryan?

- Towarzystwo spoza miasta?

- Dobry detektyw zawsze zauważy to, co oczywiste,

- Harriet Lamour - powiedziała moja siostra wyciągając rękę. - Jestem młodszą siostrą Tempe. - Jak zwykle podkreśliła kolejność narodzin.

- Chyba nie jesteś stąd - rzekł przeciągle Ryan.

Frędzle zakołysały się, kiedy podali sobie ręce.

- Lamour? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Z Houston. To w Teksasie. Byłeś tam kiedyś?

- Lamour? - powtórzyłam. - Co się stało z Crone?

- Raz albo dwa razy. Piękne miejsce. - Ryan nadal ją czarował.

- A co z Dawood? To zwróciło jej uwagę.

- A dlaczego miałabym używać nazwiska tego psychola? Pamiętasz jeszcze Estebana? Esteban Dawood był jej trzecim mężem. Nie mogłam sobie przypomnieć jego twarzy.

- I już się rozwiodłaś ze Strikerem?

- Nie. Ale poszedł w odstawkę i nie używam już tego idiotycznego nazwiska. Crone? Co ja sobie myślałam? Kto przyjdzie po poradę do kogoś, kto się tak nazywa? Czy takie nazwisko można dać swoim dzieciom? Pani Crone? Kuzyn Crone?<sup>1</sup>

Włączył się Ryan:

- Nie jest tak źle, jeżeli jest się bogatą wdową Crone...

Harry zachichotała.

- Tak, ale ja nie chcę być na starość Crone.

---

<sup>1</sup> Crone (ang.) - starucha

- Dobrze. Wychodzimy. - Sięgnęłam po kurtkę.

- Bergeron mówi, że nasze przypuszczenie jest słuszne - rzekł nagle Ryan.

- Simonnet?

Przytaknęła.

- A te ciała na piętrze?

- On uważa, że prawdopodobnie też pochodzili z Europy. Albo przynajmniej tam leczyli zęby. Chodzi o sprawy dentystyczne. Interpol szukał w Belgii, przez ten związek z Simonnet, ale nic nie znaleźli. Starsza pani nie miała rodziny, a więc ślepy zaułek. Kanadyjska Konna na nic nie trafiła. Żadnych powiązań ze Stanami.

- Tutaj jest trudno dostać Rohypnol, a oni byli tym nafaszerowani. Powiązania z Europą mogłyby to wytłumaczyć.

- Mogłyby.

- LaManche twierdzi, że w ciałach z budynku gospodarczego nie znaleziono ani narkotyków, ani alkoholu. Ciało Simonnet było zbyt spalone, aby można było wykonać testy.

Ryan bardzo dobrze o tym wiedział. Ja tylko głośno myślałam.

- Jezu, Ryan, to już tydzień, a my nadal nie mamy pojęcia, kim oni są!

- Zgadza się. - Uśmiechnęła się do Harry, która się przysłuchiwała.

Tym flirtowaniem zaczęli mnie już denerwować.

- Nie znaleźliście żadnych tropów w domu?

- A nie słyszałaś o małej awanturze we wtorek? Strzelanina między Maszynami Rocka a Aniołami Piekła. Jeden z Maszyn nie żyje, trzej inni ciężko ranni. Jak widzisz, mieliśmy inne zajęcia.

- Patrice Simonnet dostała kulkę w głowę.

- Zmotoryzowani chłopcy zabili też dwunastoletniego chłopca, który przypadkiem szedł na hokeja.

- Boże. Słuchaj, ja nie twierdzę, że nic nie robicie, ale na pewno ktoś tych ludzi poszukuje. Mówimy tu o całej cholernej rodzinie. W domu musi być coś, co będzie jakąś wskazówką.

- Ekipa wyniosła stamtąd czterdzieści siedem kartonów papierów. Przeszukujemy je, ale na razie nic. Żadnych listów. Żadnych czeków. Żadnych zdjęć. Żadnych list zakupów. Żadnych notesów z adresami. Wszystkie rachunki, łącznie z telefonicznymi, płaciła Simonnet. Olej do piecyków jest dostarczany raz w roku, ona płaci z góry. Nie możemy znaleźć nikogo, kto bywał w tym domu, od kiedy ona go wynajmowała.

- A podatki od własności?

- Guillion. Płaci zawsze czekiem wystawionym na Citicorp w Nowym Jorku.
- Macie jakąś broń?
- Nic.
- Zbyt dużo się nie zgadza, jak na samobójstwo.
- Jasne. I nie jest też zbyt prawdopodobne, żeby babcia zlikwidowała rodzinę.
- Były jakieś interwencje na ten adres?
- Żadnych. Nigdy tam nie wzywano policji.
- Macie wykaz połączeń telefonicznych?
- Nadchodzą.
- A co z samochodami? Nie były rejestrowane?
- Oba na Guilliona. Na adres w St-Jovite. Ubezpieczenie też płaci czekiem.
- Czy Simonette ma prawo jazdy?
- Tak, belgijskie. Czyste konto,
- Ubezpieczenie zdrowotne?
- Nic.
- Coś poza tym?
- Nie.
- Kto zajmował się naprawą samochodów?
- Najwyraźniej ona odprowadzała je na stację obsługi w mieście. Zgadza się opis.

Płaciła gotówką.

- A dom? Kobieta w tym wieku nie mogła sama zajmować się naprawami.

- Tam najwyraźniej mieszkali jeszcze jacyś ludzie. Sąsiedzi twierdzą, że para z dziećmi przebywała tam od kilku miesięcy. Widzieli też inne samochody, czasami było ich kilka.

- Może miała lokatorów?

Oboje popatrzyliśmy na Harry

- No wiecie. Może wynajmowała pokoje.

Pozwoliliśmy jej mówić.

- Moglibyście sprawdzić ogłoszenia w gazetach. Albo biuletyny kościelne.

- Ona chyba nie chodziła do kościoła.

- A może rozprawiała narkotyki. Z tym gościem Guillionem. Dlatego ją załatwili.

Dlatego nie ma żadnych śladów. - Z podniecenia otworzyła szerzej oczy. Wyraźnie wciągnęła się w naszą rozmowę. - Może ona się tam ukrywała.

- A ten Guillion? - zapytałam.

- Nie ma go w policyjnej kartotece ani u nas, ani tam. Belgijskie gliny go sprawdzają. Facet nie był zbyt wylewny, więc nikt o nim nic nie wie.

- Tak jak o starszej pani.

Spojrzeliliśmy na nią z podziwem. Racja, Harry. Brzęknął telefon, oznaczało to, że linie zostały przełączone na nocną zmianę. Ryan spojrzął na zegarek.

- Mam nadzieję, że zobaczę was dziś wieczorem - Czarowanie zaczęło się od nowa.

- Chyba nie. Muszę skończyć raport o Nicolet.

Harry otworzyła usta, ale zamknęła je widząc mój wyraz twarzy.

- W każdym razie dzięki, Ryan.

- *Enchante* - zwrócił się do Harry, a potem odwrócił i wyszedł.

- A to ci dopiero przystojny kowboj.

- Odpuść go sobie, Harry. W jego czarnym notesie jest więcej numerów telefonów niż na białych stronach książki telefonicznej stanu Omaha.

- Ja tylko patrzę, kochanie. Za to się jeszcze nie płaci.

Chociaż była dopiero piąta, na dworze było zupełnie ciemno. W padającym śniegu błyszcząły reflektory samochodów i lampy uliczne. Ruszyliśmy do mojego wozu, włączyłam silnik i kilka następnych minut spędziłam odśnieżając szyby, a Harry w tym czasie przeszukiwała stacje radiowe. Kiedy wsiadłam, moja stacja radia publicznego Yermont była zamieniona na lokalną stację rockową.

- Ale odjazd. - Harry spodobała się Mitsou.

- Ona jest z Quebecu - powiedziałam, wyprowadzając mazdę z koleiny śniegowej. - Od lat jest popularna.

- Rock and roll po francusku. Odjazd.

- Pewnie tak. - Przednie koła sięgnęły chodnika i włączyliśmy się do ruchu.

Jechałyśmy na zachód w kierunku Censer-Ville, a Harry przysłuchiwała się słowom piosenki.

- Czy ona śpiewa o kowboju? *Mon kowboj*?

- Tak - odparłam, skręcając na Viger. - I chyba go nawet lubi.

Mitsou przestała śpiewać, kiedy wjechałyśmy do tunelu Ville-Marie.

Dziesięć minut później weszłyśmy do mojego mieszkania. Pokazałam Harry drugą sypialnię i poszłam do kuchni sprawdzić, co mam do jedzenia. Nie było tego dużo, bo miałam w planach zakupy w Atwater Market w weekend. Kiedy Harry weszła do kuchni,



grzebałam w szafie, którą nazywałam szumnie spiżarnią.

- Zabieram cię na obiad, Tempe.

- Naprawdę?

- Właściwie to Usprawnienie Życia Wewnętrznego zabiera cię na obiad. Mówiłam ci. Oni za wszystko płacą. W każdym razie do dwudziestu dolarów za obiad dziś wieczorem. Karta Howiego pokryje resztę.

Howie był jej drugim mężem i prawdopodobnie cichym sponsorem całych tych zakupów u Niemana Marcusa.

- A dlaczego Życie Wewnętrzne płaci za tę podróż?

- Bo mi tak dobrze poszło. To jest specjalna umowa. - Mrugnęła okiem, otwierając usta i wykrzywiając prawą stronę twarzy. - Zwykle tego nie robią, ale chcieli, żebym kontynuowała.

- Cóż, jeżeli jesteś pewna. Na co masz ochotę?

- Na wypad stąd!

- Miałam na myśli jedzenie.

- Wszystko z wyjątkiem barbecue.

Namyślałam się przez chwilę.

- Może coś indiańskiego?

- Plemię Shawnee czy Paiute?

Parsknęła śmiechem. Zawsze uwielbiała swoje żarty,

- Etoile de Indes jest kilka ulic stąd. Robią świetną khormę.

- Może być. Czegoś takiego chyba jeszcze nie próbowałam. A na pewno nie w wersji francuskiej po indiańsku! Mogłam tylko pokręcić głową.

- Ale chyba wyglądam koszmarnie - dodała rozdzielając kilka pasemek włosów i przyglądając im się. - Muszę to i owo poprawić.

Poszłam do swojej sypialni, przebrałam się w dzinsy i z papierem i ołówkiem rzuciłam się na stertę poduszek na moim łóżku. Otworzyłam pierwszy dziennik i zanotowałam sobie datę pierwszego zapisu: pierwszy stycznia tysiąc osiemset czterdziesty czwarty. W jednej z książek z biblioteki znalazłam fragment o Elisabeth Nicolet i sprawdziłam datę jej narodzin. Osiemnasty stycznia tysiąc osiemset czterdziesty szósty. Jej wuj zaczął pisać dwa lata i przed jej narodzinami.

Chociaż Louis-Philippe Belanger miał dosyć ciężką rękę, z czasem pismo wyblakło. Atrament był ciemnobrązowy, a miejscami słowa były zbyt zamazane, by można było je odczytać. Poza tym francuski był raczej przestarzały i pełen niezrozumiałych terminów. Po

półgodzinie rozboleła mnie głowa, a prawie nic nie zapisałam.

Oparłam się o poduszki i zamknęłam oczy. Woda w łazience wciąż leciała. Byłam zmęczona, zniechęcona i przybita. W życiu nie przeczytam tego w dwa dni. Lepiej byłoby spędzić kilka godzin robiąc kopie ksero i wtedy zabrać się za nie w czasie wolnym. Jeannotte nie mówiła, że nie wolno mi ich kserować. A tak byłoby zapewne bezpieczniej.

Nie musiałam przecież od razu szukać rozwiązania. W końcu mój raport nie wymagał wyjaśnienia. Widziałam to, co widziałam w kościach, mogłam i napisać o swoich odkryciach i pozwolić siostrzyczkom stworzyć własne teorie. Albo pytania.

Pewnie by nie zrozumiały. Pewnie by mi nie uwierzyły. Pewnie nie byłyby zadowolone. A może właśnie odwrotnie? Czy to by wpłynęło na wniosek do Watykanu? Nie mogłam nic zrobić. Na pewno miałam co do Elisabeth rację. Sama dokładnie nie wiedziałam, co myśleć.

Dwie godziny później obudziła mnie Harry. Skończyła się kąpać, suszyć włosy, cokolwiek robiła. Przyszykowałyśmy się i wyszłyśmy, zmierzając w kierunku rue Ste-Catherine. Śnieg już nie padał, ale wszędzie leżała jego gruba warstwa, tłumiąc nieco zgiełk miasta. Znaki, drzewa, skrzynki na listy i zaparkowane samochody przykryte były czapami bieli.

W restauracji nie było tłumu i od razu dostałyśmy stolik. Złożyłyśmy zamówienie i zapytałam o jej warsztaty.

- To niesamowite. Nauczyłam się myśleć i być inaczej. To nie jest żaden gówniany wschodni mistycyzm. I nie mówimy tu o eliksirach czy kryształach, albo astralnym przewidywaniu przyszłości. Ja się uczę kontrolować swoje życie.

- Jak?

- Jak?

- No jak.

- Uczę się własnej tożsamości, staję się lepsza przez spirytystyczne przebudzenie. Zyskuję wewnętrzny spokój przez holistyczne zdrowie i uzdrawianie.

- Spirytystyczne przebudzenie?

- Nie zrozum mnie źle, Tempe. To nie jest jakieś tam odrodzenie, jakie głoszą ewangelści. Nie ma w tym skruchy, tych wesołych okrzyków dla Boga i przechodzenia przez ogień.

- To czym to się różni?

- Chodzi mi o potępienie, winę i zaakceptowanie siebie jako grzesznika, zwrócenie się do Boga, aby się tobą zajął. Nie kupiłam tego od sióstr, a trzydzieści osiem lat życia nie zmieniło mojego zdania.

Obie w dzieciństwie chodziłyśmy do katolickiej szkoły.

- To ja mam się sama sobą zaopiekować. - Dźgnęła się wymanicurowanym palcem w pierś.

- W jaki sposób?

- Tempe, czy ty chcesz mnie ośmieszyć?

- Nie. Chciałabym wiedzieć, jak to się robi.

- To jest sprawa najpierw interpretacji swojego własnego umysłu i ciała, a potem samooczyszczenia.

- Harry, nie używaj żargonu. Jak to się robi?

- Jesz odpowiednie rzeczy, oddychasz prawidłowo i... zauważyłaś, że przestałam pić piwo? To część mojego oczyszczania.

- Dużo zapłaciłaś za to seminarium?

- Już ci mówiłam. Nie muszę płacić i jeszcze dali mi bilet na samolot.

- A w Houston?

- Tak, jasne, że płaciłam. Muszą brać kasę. To wybitni ludzie.

Nadjechało nasze jedzenie. Zamówiłam baranią khorwę. Harry zdecydowała się na wegetariańskie curry z ryżem.

- Widzisz? - Wskazała na swój talerz. - Żadnej padliny nie ruszam. Robię się czysta.

- Gdzie ty znalazłaś ten kurs?

- W North Harris County Community College,

Brzmiało przekonująco,

- Kiedy tu zaczynasz?

- Jutro. Seminarium trwa pięć dni. Opowiem ci o wszystkim, naprawdę. Co wieczór będę przychodzić do domu i opowiadać ci, co robiliśmy; Mogę zatrzymać się u ciebie, prawda?

- Jasne. Naprawdę się cieszę, że tu jesteś. I naprawdę interesuje mnie to, co robisz. Ale w poniedziałek wyjeżdżam do Charlotte. - Z portmonetki wyjęłam zapasowe klucze i jej wręczyłam. - Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz.

- I żadnych dzikich przyjęć - powiedziała, pochylając się ku mnie i surowo grożąc mi palcem. - Kazałam jednej pani pilnować domu.

- Dobrze, mam - odpowiedziałam. Fikcyjna pani pilnująca domu to był nasz najstarszy rodzinny żart.

Obdarzyła mnie najlepszym ze swoich uśmiechów i wsunęła klucze do kieszeni dzinsów. - Dzięki. A teraz wystarczy o mnie, lepiej ci opowiem, co zamierza Kit...

Przez następne pół godziny rozmawiałyśmy o najnowszym planie mojego siostrzeńca. Christopher "Kit" Howard był owocem jej drugiego małżeństwa. Właśnie skończył osiemnaście lat i dostał od swojego ojca sporą sumę pieniędzy. Kupił i remontował czternastometrowy jacht. Harry nie wiedziała dlaczego.

- Powiedz mi jeszcze raz, skąd Howie wziął swoje imię? - Znałam tę historię, ale uwielbiałam, kiedy ona ją opowiadała.

- Mama Howiego zniknęła zaraz po jego urodzeniu, a jego tata duże wcześniej. Ona zostawiła dziecko na schodach sierocińca w Basie, w Teksasie, z przypiętą do kocyka

karteczką, na której napisała, że wróci i że dziecko nazywa się Howard. Ludzie w sierocińcu nie bardzo wiedzieli, czy to jest jego imię, czy nazwisko, i nie chcieli ryzykować. Ochrzcili go więc Howard Howard.

- Co on teraz porabia?

- Nadal zajmuje się wydobywaniem ropy naftowej i lataniem za dziewczynami. Ale nie skąpi grosza ani mnie, ani Kitowi.

Kiedy skończyłyśmy, ja zamówiłam kawę. Harry nie chciała, bo środki pobudzające przeszkodziłyby jej w oczyszczaniu.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, a potem zapytała:

- To gdzie ten kowboj chciał się z tobą spotkać?

Przerwałam mieszanie kawy i przez chwilę nie wiedziałam, o kim mówi. Kowboj?

- Ten gliniarz ze zgrabnym tyłkiem.

- Ryan. Idzie do knajpy, która nazywa się Hurley. Dziś jest dzień świętego Pat...

- No jasne! - Spoważniała. - Nasze pochodzenie wymaga, byśmy uczciły wielkiego świętego patrona, chociaż symbolicznie.

- Harry, to był długi...

- Tempe, gdyby nie święty Patryk, węże pozjadałyby naszych przodków i nie byłoby nas.

- Ja nie twierdzę...

- A teraz, kiedy Irlandczycy mają takie kłopoty...

- Nie o to chodzi i bardzo dobrze o tym wiesz.

- Jak daleko stąd do tego Hurleya?

- Kilka przecznic.

- Żaden problem. - Rozłożyła ręce, zwracając dłonie ku górze. - Idziemy, słuchamy kilku piosenek i wychodzimy. To nie ma być noc w operze.

- Już to kiedyś słyszałam.

- Nie, obiecuję. Jak tylko będziemy chciały, wychodzimy. Hej, ja też muszę wcześniej wstać.

Ten argument mnie nie przekonał. Harry należy do tych osób, które mogą nie spać kilka dni.

- Tempe. Musisz się poświęcić i zorganizować sobie jakieś życie towarzyskie.

To mnie przekonało.

- Dobrze. Ale...

- Ju-hu. Niech cię święci mają w swojej opiece, ty łobuzie.

Gdy przywoływała kelnera, już czułam coś w piersiach. Kiedyś uwielbiałam irlandzkie puby. Wszystkie puby. Nie chciałam przywoływać wspomnień ani dopisywać nic do przeszłości.

Rozchmurz się, Brennan. Czego ty się boisz? Byłaś już u Hurleya i nie upiłaś się piwem. Skąd ta obawa?

Harry trajkotała wesoło, kiedy wracałyśmy do Crescent wzdłuż Ste-Catherine. O dziewiątej trzydzięci na ulicy było już dużo ludzi, pary i spacerowicze mieszający się z ostatnimi kupującymi i turystami. Każdy miał na sobie płaszcz, czapkę i szalik. Ludzie byli opatuleni jak krzewy poowijane słomianymi matami na zimę.

Część Crescentu za Ste-Catherine to angielska "Ulica marzeń", z barami dla samotnych i modnymi restauracjami po obu stronach. Hard Rock Cafe. Thursdays. Sir Winston Churchill. Latem balkony pełne są gości popijających drinki i oglądających romantyczny taniec pod nimi. Zimą ruch przenosi się do środka.

Zwykle można tu spotkać jedynie stałych bywalców Hurleya. W dzień świętego Patryka jest inaczej. Kiedy doszłyśmy, kolejka do drzwi rozciągała się na schody i kończyła gdzieś w połowie drogi do rogu ulicy.

- Cholera, Harry. Nie mam ochoty tu stać i odmrażać sobie tyłka. - Nie chciałam jej wspominać o propozycji Ryana.

- Nie znasz nikogo z pracowników?

- Nie należę do stałych gości.

Staliśmy na końcu kolejki i stałyśmy tak w milczeniu, co chwilę unosząc to jedną, to drugą nogę. Przypomniało mi to zakonnice w Lac Memphremagog i mój nie dokończony raport. I pamiętniki na nocnej szafce. I raport w sprawie dzieci. I zajęcia na uniwersytecie w Charlotte w przyszłym tygodniu. I pracę, którą chciałam zaprezentować na spotkaniu Antropologu Naukowej. Poczułam, że za chwilę nie będę czuła, że mam twarz. Jak ja mogłam pozwolić Harry namówić mnie na coś takiego?

O dwudziestej drugiej ludzie raczej nie wychodzą z pubów. Po kwadransie posunęłyśmy się o pół metra.

- Czuję się jak mrożony deser - powiedziała Harry. - Na pewno nie znasz tam nikogo?

- Ryan mówił, że mogę się na niego powołać, gdyby była kolejka. - Moje egalitarne zasady przegrywały z grożącą nam hipotermią.

- Starsza siostró, co ty sobie myślisz? - Harry nie miała żadnych skrupułów, gdy chodziło o wykorzystanie jakiejkolwiek sposobności.

Ruszyła wzdłuż kolejki i zniknęła gdzieś z przodu. Chwilę później dojrzałam ją w drzwiach bocznych, z wyjątkowo okazałym reprezentantem Narodowej Reprezentacji Piłki Nożnej Irlandii u boku. Oboje machali w moim kierunku. Starając się uniknąć wzroku tych, których zostawiałam w kolejce, zbiegłam ze schodów i wśliznęłam się do środka.

Przeszłam za Harry i jej opiekunem przez labirynt pomieszczeń, które składały się na Irlandzki Pub Hurieya. Każde krzesło, kawałek parapetu, stół, stołek barowy i centymetr kwadratowy zajęte były przez odzianych na zielono stałych gości. Napisy i lustra reklamowały piwa marki Bass, Guinness i Kilkenny Cream Ale. Miejsce przesiąknięte było zapachem piwa i dymem papierosów.

Przeciskaliśmy się wzdłuż kamiennych ścian, między stolikami, skórzanymi fotelami i beczułkami, by dotrzeć do baru z dębem i mosiądzu. Hałas przewyższał ten, który panuje na pasach startowych lotniska.

Kiedy okrążaliśmy główny bar, dostrzegłam siedzącego na wysokim stołku przy bocznej salce Ryana. Plecami oparty był o ścianę z cegieł, z jedną piętą na dolnym szczelisku. Drugą nogę położył na siedzeniach dwóch wolnych stołków po swojej prawej stronie. Na wysokości jego głowy widniał otwór w ścianie, obramowany pomalowanym na zielono drewnem.

Przez ten otwór widziałam trio grające na skrzypcach, flecie i mandolinie. Na obwodzie pomieszczenia stały stoliki, a w środku pięciu tańczących próbowało zmieścić się na niezwykle małej powierzchni. Trzy kobiety tańczyły dość skocznie, ale partnerujący im młodzi mężczyźni tylko przeskakiwali z nogi na nogę, chlapiąc piwem na wszystko w promieniu półtora metra. Nikomu to nie przeszkadzało.

Harry uściskała futbolistę i on zniknął w tłumie. Zastanawiałam się, jak Ryanowi udało się zająć dodatkowe dwa stołki. I dlaczego. Nie mogłam się zdecydować, czy jego pewność siebie mnie denerwowała, czy sprawiała mi przyjemność.

- Kogóż ja widzę - zawołał, kiedy nas dostrzegł. - Cieszę się, że dotarły panie. Siadajcie i odsapnijcie. - Musiał do nas krzyczeć, by być słyszalnym.

Nogą przyciągnął jedno z krzeseł i poklepał siedzenie. Bez wahania Harry zdjęła kurtkę, ułożyła na stołku i sama usiadła.

- Pod jednym warunkiem - odkrzyknęłam.

Uniósł brwi i skierował na mnie swoje błękity.

- Żadnego dogryzania.

- To jest tak przyjemne jak znalezienie piasku w maśle orzechowym. - Mówił tak głośno, że wystąpiły mu żyły na szyi.

- Ja nie żartuję, Ryan. - To napięcie było ponad moje siły.

- Dobrze, dobrze. Siadaj.

Wybrałam ten dalszy stółek.

- I kupię ci oranżadę.

Harry zaśmiała się.

Właśnie miałam coś powiedzieć, ale Ryan już był przy mnie i odpinał mi kurtkę. Położył ją na stołku i usiadłam.

Przywołał kelnerkę, zamówił Guinnessa dla siebie i dietetyczną colę dla mnie. Znowu moja duma została urażona. Czy tak łatwo mnie przejrzeć?

Spojrzał na moją siostrę.

- Dla mnie to samo.

- Dietetyczna cola?

- Nie. To drugie.

Kelnerka zniknęła.

- A co z twoim oczyszczaniem? - ryknęłam jej do ucha.

- Co?

- Oczyszczanie?

- Jedno piwo mi nie zaszkodzi, Tempe. Nie jestem fanatyczką.

Rozmowa wymagała krzyku, więc skupiałam uwagę na zespole. Irlandzka muzyka towarzyszyła mi w dzieciństwie i stare piosenki zawsze przywoływały wspomnienia. Dom mojej babci. Stare damy, mocny akcent, kanasta. Łóżko na kółkach. Danny Kaye w czarnobiałym telewizorze. Zасыpanie przy płytach Johna Gary'ego. Babci pewnie nie spodobałaby się tak głośna muzyka. Za dużo watów,

Solista zaczął śpiewać piosenkę o dzikim włóczędzie. Rozpoznałam ją i przyłączyłam się. Przy refrenie ludzie klaskali stacatto. Bam! Bam! Bam! Bam! Bam! Kelnerka nadeszła przy ostatniej salwie.

Harry i Ryan gawędzili, a ich słowa ginęły w hałasie. Pociągnęłam łyk mojej coli i rozejrzałam się. Wysoko na ścianie zobaczyłam rząd rzeźbionych, drewnianych tarcz, totemów starych rodzin. A może to były klany? Poszukałam nazwiska Brennan, ale było zbyt ciemno i za dużo dymu, by wszystko odczytać. A Crone? Też nie.

Usłyszałam melodię, która spodobałaby się babci. To była historia o młodej kobiecie, która związywała włosy czarną aksamitką.

Obejrzałam sobie fotografie w owalnych ramach, portrety mężczyzn i kobiet w świątecznych ubraniach. Kiedy je zrobiono - w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym? Tysiąc



dziewięćset dziesiątym? Te twarze były równie surowe jak te w Birks Hall. Te wysokie kołnierze musiały być bardzo niewygodne.

Dwa szkolne zegary wskazywały godziny w Dublinie i w Montrealu. Dziesiąta trzydzieści.

Spojrzałam na swój. Oj.

Kilka melodii później Harry zwróciła moją uwagę machając obiema rękami. Wyglądała jak sędzia sygnalizujący niedokładne podanie. Ryan wznosił pustą szklanę.

Potrząsnęłam odmownie głową. Powiedział coś do Harry i wznosił dwa palce nad swoją głową.

No i proszę, pomyślałam.

Zabrzmiała znowu skoczna melodia, a Ryan pokazywał akurat na drzwi przy wejściu. Harry zsunęła się ze swojego stołka i zniknęła w tłumie ciał. Obcisłe dżinsy zrobiły swoje. Nawet nie chciałam myśleć o tym, jak długo będzie musiała czekać w kolejce.

Ryan przesiadł się na stołek Harry, jej kurtkę kładąc tam, gdzie przed chwilą siedział. Nachylił się i krzyknął mi do ucha:

- Czy wy na pewno macie tę samą matkę?

- Ojca też. - Pachniał coś jakby rumem i talkiem.

- Jak długo ona mieszka w Teksasie?

- Od kiedy Mojżesz wyprowadził Żydów z Egiptu.

- Aż taka stara?

- Dziewiętnaście lat. - Odwróciłam się i wbiłam wzrok w kostki lodu w mojej coli.

Ryan miał pełne prawo rozmawiać z Harry. Rozmowa i tak była prawie niemożliwa, więc dlaczego byłam wkurzona?

- Kto to jest Anna Goyette? - spytał nagle.

- Co?

- Kto to jest Anna Goyette?

Zespół nagle zamilkł i nazwisko zabrzmiało wyraźnie w ciszy.

- Jezu, Ryan, dlaczego nie dasz ogłoszenia do gazety?

- Jesteśmy dziś wieczorem trochę zdenerwowani... Może za dużo kofeiny? -

Wyszczrzył zęby.

Spojrzałam na niego z wściekłością.

- To niezdrowo w twoim wieku.

- To niezdrowo w żadnym wieku. Skąd wiesz o Annie Goyette?

Kelnerka doniosła drinki i pokazała Ryanowi tyle zębów, ile moja siostra, kiedy chce

być jak najbardziej przyjemna. Zapłacił i mrugnął do niej okiem. Mną się proszę nie przejmować.

- Ciężko z tobą czasami wytrzymać - powiedział, stawiając jedno z piw tuż nad stołkiem Harry.

- Pracuję nad tym. Skąd wiesz o Annie Goyette?

- Wpadłem na Claudela przy okazji tej sprawy z motocyklistami i rozmawialiśmy o niej.

- A po cholere to robiłeś?

- On mnie zapytał.

Nigdy nie rozgryzę Claudela. Najpierw mnie odprawia, a potem omawia sprawę z Ryanem.

- No więc kto to jest?

- Anna jest studentką na uniwersytecie McGill. Jej ciotka poprosiła mnie, bym ją odnalazła. To nie jest żadna wielka sprawa.

- Claudel uważa, że to bardzo interesująca młoda dama.

- A co to, do diabła, znaczy?

Akurat wtedy nadeszła Harry.

- Hej, mali kowboje. Jeżeli musicie iść siusiu, to lepiej się pośpieszcie.

Usiadła na opuszczonym przez Ryana miejscu. Jakby na sygnał kapela zaczęła grać o whisky w dzbanie. Harry, zakołysała się i klaskała, aż doskoczył facet w kolorowej czapce i zielonych szelkach i chwycił ją za rękę. Podskoczyła i podążyła za nim do drugiego pomieszczenia, gdzie dwaj młodzi mężczyźni znowu tańczyli, przypominając przy tym czaple. Partner Harry odznaczał się okazałym brzuszyskiem i miękką, okrągłą buźką. Miałam nadzieję, że nie padnie przy niej.

Znowu spojrzałam na zegarek. Za dwadzieścia dwunasta. Palily mnie oczy od dymu i drapało w gardle od krzyku. I dobrze się bawiłam. I chciałam się napić. Naprawdę.

- Słuchaj, boli mnie głowa. Jak tylko Ginger Rogers wróci z parkietu, zmywam się.

- Jak chcesz, koleżanko. Dobrze ci poszło, jak na pierwszy raz.

- Boże, Ryan, ja już tu kiedyś byłam.

- Posłuchać irlandzkich opowieści?

- Nie! - Myślałam o tym. Uwielbiam irlandzki folklor.

Patrzyłam na Harry, jak skakała i się okręcała, jej blond włosy fruwały w powietrzu. Wszyscy na nią patrzyli. Po chwili krzyknęłam do ucha Ryana:

- Claudel wie, gdzie jest Anna?

Pokręcił głową.

Dałam sobie spokój. Nie było szans na rozmowę.

Moja siostra i jej partner nie przestawali tańczyć. Jego twarz poczerwieniała i pokryła się potem, a krawat ze spinką przekrzywił się w dziwny sposób. Kiedy po którymś piruecie Harry zwróciła się do mnie twarzą, przyłożyłam palec do swojej szyi. Mam dosyć. Zamachała do mnie beztrosko. Kciukiem wskazałam wyjście, ale ona już na mnie nie patrzyła.

O Boże.

Ryan przyglądał mi się z rozbawieniem na twarzy.

Rzuciłam mu najzimniejsze ze spojrzeń, a on odchylił się do tyłu i unióś obie ręce w geście “dobrze, już dobrze”.

Kiedy Henry znowu spojrzęła w naszą stronę, jeszcze raz wykonałam swoją pantomimę, ale ona patrzyła ponad moim ramieniem, z dziwnym wyrazem twarzy.

Kwadrans po północy moje modlitwy zostały wysłuchane i zespół zrobił sobie przerwę. Moja siostra wróciła, z wypiekami na twarzy, ale promieniejąca. Jej partner wyglądał tak, jakby potrzebował reanimacji.

- Wow! Jestem mokra.

Palcem przejechała po szyi, wskoczyła na stół i chwyciła za szklanę z piwem, które zamówił dla niej Ryan. Kiedy jej duży kolega chciał usadowić się przy niej, poklepała go po głowie w czapeczce.

- Dzięki, kolego. Spotkamy się później.

Opuścił głowę i spojrzęła na nią wzrokiem zbitego psa.

- Pa, pa.

Pomachała mu, a on wzruszył ramionami i wrócił do tłumu.

Harry oparła się o Ryana.

- Tempe, kto to jest ten tam? - Głową kiwnęła w kierunku baru tuż za nami.

Zaczęłam się odwracać.

- Nie patrz teraz!

- Niby który to?

- Ten wysoki chudzielec w okularach.

Przewróciłam oczami, ale nadal czułam ból głowy. Harry zawsze tak robiła, kiedy ja chciałam wyjść, a ona zostać.

- Wiem. On jest fajny i zainteresowany mną. Tylko że nieśmiały. Już to przerabialiśmy, Harry.

Znowu zagrała muzyka. Wstałam i założyłam kurtkę.

- Czas spać.

- Nie. Naprawdę. Ten facet przyglądał ci się cały czas, kiedy tańczyłam. Widziałam go przez okno.

Spojrzałam w tamtym kierunku. Nikt nie pasował do jej opisu.

- Gdzie?

Popatrzyła na twarze wokół baru, a potem przez swoje ramię, w drugim kierunku.

- Ja nie żartuję, Tempe - wrzuciła ramionami. - Teraz go nie widzę.

- To pewnie jeden z moich studentów. Zawsze się dziwią widząc mnie gdzieś na mieście.

- Pewnie masz rację. On wyglądał na zbyt młodego jak dla ciebie.

- Dzięki.

Ryan przyglądał nam się jak dziadkowie patrzący na swoje wnuki.

- Gotowa? - zapięłam kurtkę i założyłam rękawiczki.

Harry spojrziała na swojego Rolexa i powiedziała dokładnie to, czego się spodziewałam.

- Jest dopiero po północy. Czy nie mogłybyśmy...

- Ja wychodzę, Harry. Moje mieszkanie jest kilka ulic stąd, a klucze masz. Zostań, jeśli chcesz.

Przez chwilę nie wiedziała, co ma zrobić, a potem zwróciła się do Ryana:

- Będziesz tu jeszcze trochę?

- Nie ma problemu, słonko.

Spojrzała na mnie dokładnie tak samo, jak jej porzucony partner.

- Naprawdę się nie pogniewasz?

- Jasne, że nie. - Jak cholera.

Wyjaśniłam jej, który klucz jest do czego, a ona uściskała mnie.

- Pozwól, że cię odprowadzę - Ryan sięgnął po swoją kurtkę.

Ale mi opiekun.

- Nie, dzięki. Jestem już dużą dziewczynką.

- No to zamówię ci taksówkę.

- Ryan, wolno mi przemieszczać się samej.

- Jak chcesz. - Usiadł, kręcąc głową.

Zimne powietrze było nawet przyjemne w porównaniu z gorącym i dymem pubu.

Przez jedną milionową sekundy. Temperatura spadła, a wiatr się wzmógł i wydawało się, że jest bilion stopni poniżej zera.

Po kilku krokach oczy mi zaczęły łzawić i czułam, jak zamarzają mi nozdrza. Szalikiem zasłoniłam nos i usta, zawiązując go z tyłu głowy. Wyglądałam fatalnie, ale przynajmniej otwory w mojej głowie były bezpieczne.

Ręce włożyłam głęboko do kieszeni, pochyliłam głowę i ruszyłam do przodu. Czując nieco ciepła, ale prawie nic nie widząc przeszłam Crescent i Ste-Catherine. Wokół nie było żywej duszy.

Właśnie przechodziłam MacKay, kiedy poczułam, że mój szalik się zaciska i tracę równowagę. Najpierw pomyślałam, że pośliznęłam się na oblodzonym chodniku, ale zaraz potem zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś mnie ciągnie do tyłu. Minęłam stary budynek York Theater i ktoś mnie ciągnął za róg tego budynku. Jakieś ręce mnie obróciły i pchnęły twarzą do ściany. Moje ręce nadal wciśnięte były w kieszenie. Osunęłam się na śnieg. Kiedy kolanami dotknęłam ziemi, tamten przycisnął mi twarz do śniegu. Potem poczułam mocne uderzenie w plecy, jakby ktoś wielki gwałtownie klęknął na moich plecach w odcinku piersiowym. Ból eksplodował mi w plecach i strumień powietrza przebił się przez zasłaniający usta szalik. Leżałam twarzą w dół. Nic nie widziałam, nie mogłam się ruszyć i oddychać! Ogarnęło mnie uczucie paniki i potrzebowałam powietrza. W uszach szumiała mi krew.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na obracaniu głowy w bok. Wciągnęłam trochę powietrza. Potem jeszcze jeden oddech. I kolejny. Znowu mogłam normalnie oddychać.

Bolała mnie szczeka i cała twarz. Głowa odwrócona była pod dziwnym kątem, prawie oko przyciśnięte do śniegu. Poczułam, że na czymś leżę, i wiedziałam, że to moja torebka. Jej umiejscowienie też utrudniało mi oddychanie.

*Daj mi torebkę!*

Spróbowałam się uwolnić, ale kurtka i szalik krępowały mnie niczym kaftan bezpieczeństwa. Ten ktoś się poruszył. Jakby się przeciągał. Nagle poczułam jego oddech tuż przy moim uchu. Chociaż przytłumiony przez szalik, słyszałam go wyraźnie, był ciężki, przyspieszony, desperacki, zwierzęcy.

*Nie trać przytomności. Przy tej pogodzie oznaczałoby to śmierć. Rusz się! Zrób coś!*

Pod warstwą ubrań byłam mokra od potu. Poruszyłam ręką gdzieś w okolicach kieszeni. Palce w wełnianej rękawiczce były zupełnie gładkie.

*Sq!*

Chwyciłam klucze. Niech tylko się uniesie, będę gotowa. Beznadziejnie czekałam na tę chwilę.

- Zostaw to - zasyczał mi do ucha.

*Zauważył mój ruch!*

Znieruchomiałam.

- Nie wiesz, co robisz. Daj spokój!

*Dać spokój czemu? Za kogo on się uważa?*

- Zostaw to - powtórzył drżącym z emocji głosem.

Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć, ale on chyba nie oczekiwał odpowiedzi. Kim on był, szaleńcem czy tylko ulicznym bandytą?

Wydawało mi się, że leżymy tak wiecznie. Obok mknęły samochody. Straciłam czucie w twarzy i wydawało mi się, że moje kręgi szyjne lada chwila trzasną. Oddychałam przez otwarte usta, na szaliku zamarzała ślina.

*Spokojnie. Myśl!*

Zastanowiłam się nad możliwościami. Był pijany? Naćpany? Niezdecydowany? Może miał jakieś chore fantazje, które kazały mu działać? Moje serce biło tak głośno, że bałam się, iż zmusi go to do działania.

Nagle usłyszałam kroki. On je też usłyszał, bo nagle mocniej pociągnął za mój szalik i położył mi na twarzy dłoń w rękawiczce.

*Krzycz! Zrób coś!*

Nie widziałam go i to doprowadzało mnie do szału.

- Złaź ze mnie, ty cholerny gnoju! - wybelkotałam przez szalik.

Ale mój głos utonął w grubej warstwie wełny.

Trzymałam klucze w zdrętwiałej dłoni, mokrej od potu wewnątrz rękawiczki i gotowej wbić je w jego oczy, gdyby tylko były wolne. Nagle szalik się jeszcze mocniej zacisnął, a on zmienił ułożenie ciała. Znowu klęczał na kolanach, całą swoją wagą obciążając środek moich pleców. Jego ciężar i moja torebka z obu stron ścisnęły mi płuca i z trudem łapałam powietrze.

Pociągając za szalik uniósł moją głowę, a potem ręką skierował ją znowu w dół. Uchem uderzyłam w lód i żwir, a gdzieś w głowie zapaliły mi się iskierki. Zrobił to znowu, a iskierki zlały się w jeden błysk. Na twarzy poczułam krew, a jej smak w ustach. Coś mi chyba pękło w szyi. Serce waliło mi w piersiach.

*Złaź ze mnie, ty obłąkana kupo gówna!*

Miałam zawroty głowy. Mój udręczony umysł stworzył raport z autopsji. Mojej

autopsji. Nic pod paznokciami. Żadnych ran wskazujących na próbę obrony.

*Nie trać przytomności!*

Poruszyłam się i spróbowałam krzyknąć, ale mój głos nie mógł być przez nikogo usłyszany.

Nagle huczenie ustało, mój oprawca znowu się nade mną pochylił. Coś powiedział, ale dzwoniące w uszach sprawiło, że dotarły do mnie jedynie zdeformowane dźwięki.

Wtedy poczułam, jak obie dłonie opiera o moje plecy i unosi się. Buty zaskrzypiały na żwirze i już go nie było.

Ogłuszona uwolniłam ręce, dźwignęłam się na kolana, w końcu usiadłam. Nadeszła fala zawrotów głowy, więc pochyliłam się, by głowa znalazła się między kolanami. Ciekło mi z nosa i krew albo ślina sączyła się z moich ust. Trzęsącymi się rękami okręciłam twarz końcem szalika i wiedziałam, że zaraz się rozplacę.

Okna opuszczonego teatru trzaskały na wietrze. Jak on się nazywał? Yale? York? W tym momencie było to dla mnie bardzo ważne. Wiedziałam kiedyś, więc dlaczego nie mogłam sobie przypomnieć? Czułam się dezorientowana, zaczęłam drzeć, z zimna, ze strachu i chyba z powodu ulgi.

Zawroty głowy przeszły i mogłam się podnieść, ruszyć wzdłuż budynku i wyjrzeć za róg. Nikogo nie było.

Do domu szłam na nogach z gumy, co chwila obracając się przez ramię. Kilku mijających mnie przechodniów odwracało wzrok i omijało mnie szerokim łukiem. Jeszcze jedna pijana.

Dziesięć minut później siedziałam na brzegu łóżka, sprawdzając, czy nie jestem gdzieś ranna. Źrenice były równe i skoordynowane. Żadnego odrętwienia. Żadnych mdłości.

Mój szalik z jednej strony pomógł atakującemu mnie pochwycić, ale z drugiej strony złagodził uderzenia. Po prawej stronie na głowie znalazłam kilka skaleczeń i otarć, ale nie miałam wstrząsu mózgu.

Zupełnie nieźle jak na kogoś, kto został zaatakowany przez ulicznego bandytę, pomyślałam wchodząc pod kołdrę. Ale czy to był napad? Ten facet nic mi nie ukradł. Dlaczego uciekł? Spanikował i dał sobie spokój? Może to był tylko jakiś pijak? Może stwierdził, że nie jestem tą, o którą mu chodziło? Temperatura poniżej zera raczej nie zachęca do gwałtów. Jaki był jego motyw?

Próbowałam zasnąć, ale poziom adrenaliny był zbyt wysoki. A może to był syndrom stresu potraumatycznego? Nadal trzęsły mi się ręce i podskakiwałam przy każdym dźwięku.

Czy powinnam zawiadomić policję? Po co? Nie odniosłam większych obrażeń i nic

mi nie zginęło. I nie wiem, jak on wyglądał. Powinnam powiedzieć Ryanowi? Za nic w świecie, zwłaszcza po moim ostentacyjnym wyjściu z knajpy. Harry? Nie ma mowy.

O Boże. A jeżeli Harry idzie do domu sama? Czy on tam może nadal być?

Przekręciłam się na drugi bok i spojrzałam na zegarek. Druga trzydzieści siedem. Gdzie ona, do diabła, jest?

Dotknęłam przeciętej wargi. Zauważy? Zapewne. Harry miała instynkt jak dzika kotka. Nic nie umykało jej uwadze. Pomyślałam, jak mogłabym to wytłumaczyć. Drzwi się zawsze sprawdzają albo poślizgnięcie się na lodzie, kiedy ręce trzyma się głęboko w kieszeniach.

Powieki mi opadły, ale zaraz otworzyłam oczy czując kolano na plecach i słysząc ochrypły oddech.

Znowu sprawdziłam godzinę. Trzecia piętnaście. Czy Hurley jest tak długo otwarty? Czy Harry poszła do domu z Ryanem?

- Gdzie jesteś, Harry? - zapytałam zielonych cyferek.

Leżałam myśląc o tym, że chciałabym, aby już była w domu; nie chciałam być sama.



Spałam niespokojnie, a kiedy się obudziłam, świeciło słońce i wokół panowała cisza. Mój umysł postanowił zanalizować i zebrać w nocy wszystkie wydarzenia ostatnich kilku dni. Zaginieni studenci. Bandyci. Święci. Zamordowane dzieci i babcie. Harry. Ryan. Harry i Ryan. Wszystko skończyło się o świcie, bez większych sukcesów.

Przewróciłam się na plecy i ból w szyi przypomniał mi o wydarzeniach ostatniej nocy. Napinałam i rozciągałam szyję, nogi i ręce. Całkiem nieźle. W świetle poranka napaść wydawała się nielogiczna i wyimaginowana. Ale wspomnienie strachu było bardzo rzeczywiste.

Leżałam przez chwilę badając ubytki w twarzy i nasłuchując jakichkolwiek dźwięków dowodzących obecności mojej siostry. Partie twarzy obolałe. Dźwięków żadnych.

Za dwadzieścia ósma wygramoliłam się z łóżka i chwyciłam moją sfatygowaną starą podomkę i kapcie. Drzwi do pokoju gościnnego były otwarte, łóżko pościelone. Czy Harry była tej nocy w domu?

Na lodówce znalazłam przyklepioną karteczkę wyjaśniającą zniknięcie dwóch kubeczków jogurtu z lodówki i informującą, że Harry wróci po siódmej. Dobrze. Była w domu, ale czy spała tutaj?

- A kogo to obchodzi - powiedziałam do siebie, sięgając po kawę w ziarenkach.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Zamknęłam puszkę i poszłam do salonu odebrać.

- Tak.

- Cześć, mamó. Ciężka noc?

- Przepraszam, kochanie. Co słychać?

- Będziesz w Charlotte za dwa tygodnie?

- Wracam w poniedziałek i będę tam aż do pierwszych dni kwietnia, bo wtedy jadę na spotkanie Antropologii Naukowej w Oakland. Dlaczego pytasz?

- Myślałam o tym, żeby przyjechać na kilka dni. Chyba nic nie wyjdzie z tego wyjazdu na plażę.

- Świetnie. Cieszę się, że będziemy trochę razem. Przykro mi, że nic nie wyszło z twojego wyjazdu. - Nie pytałam, dlaczego. - Zatrzymasz się u mnie czy u taty?

- Zobaczę.

- No, dobrze. W szkole wszystko w porządku?

- Jasne. Podoba mi się psychologia. Profesor jest super. Kryminologia jest też niezła.

Nie musimy niczego oddawać na czas.

- Hm. A jak się ma Aubrey?

- Kto?

- To chyba odpowiedź na moje pytanie. A ten przyszcz?

- Zniknął.

- Dlaczego wstałaś tak wcześnie w sobotę?

- Muszę napisać pracę na kryminologię. Napiszę coś o profilowaniu, może dorzucę coś z psychologii...

- Myślałam, że nie musicie niczego oddawać na czas.

- Miała być skończona dwa tygodnie temu.

- Aha.

- Pomożesz mi wymyślić coś do pracy na antropologię?

- Oczywiście.

- Nic rozbudowanego. To ma być coś, co mogłabym zrobić w jeden dzień.

Usłyszałam piknięcie.

- Katy, mam drugi telefon. Pomyślę o twojej pracy. Daj mi znać, kiedy przyjeżdżasz do Charlotte.

- Na pewno.

Przełączyłam się i ze zdumieniem usłyszałam głos Claudela.

- Claudel *ici*.

Jak zwykle żadnego powitania i przeprosin z powodu dzwonienia w sobotę rano.

Przechodził od razu do rzeczy.

- Czy Anna Goyette wróciła do domu?

Serce mi podskoczyło w piersiach. Claudel nigdy nie dzwonił do mnie do domu.

Anna na pewno nie żyje.

Przełknęłam ślinę i odpowiedziałam:

- Nie sądzę.

- Ma dziewiętnaście lat...

- Tak.

Przed oczami stanęła mi twarz siostry Julienne. Nie mogłam znieść myśli, że będę musiała jej o tym powiedzieć.

- ...*caracteristiques physiques*?

- Przepraszam. Nie zrozumiałam,

Powtórzył pytanie. Nie miałam pojęcia, czy Anna miała jakieś cechy

charakterystyczne.

- Nie wiem. Będę musiała zapytać kogoś z rodziny.

- Kiedy widziano ją po raz ostatni?

- W czwartek. Panie Claudel, dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

Przeczekałam jego pauzę. W tle słyszałam gwar i pomyślałam, że zapewne dzwoni z pokoju wydziału zabójstw.

- Dziś wczesnie rano znaleziono białą kobietę, nagą, nie wiadomo, kto to jest.

- Gdzie? - Serce podeszło mi do gardła.

- Ile des Soeurs. Z tyłu wyspy jest las i staw. Ciało znaleziono - zawahał się - na brzegu.

- I co z nim? - Wstrzymałam oddech.

Przez chwilę rozważał moje pytanie. Znowu widziałam jego spiczasty nos, blisko osadzone oczy, które zwięzały się, kiedy myślał.

- Ofiara została zamordowana. Okoliczności są... - Znowu wahanie. - ...niezwykłe.

- Proszę mi powiedzieć. - Przełożyłam słuchawkę do drugiej ręki i wolną dłoń wytarłam o szlafrok.

- Ciało znaleziono w kadłubie starego parowca. Stwierdzono wielokrotne rany. LaMache dzisiaj przeprowadzi sekcję.

- Jakie rany? - Wpatrywałam się w kropki na moim szlafroku. Wciągnął głęboko powietrze.

- Wiele ran dźganych i ślady wiązania wokół nadgarstków. LaManche podejrzewa, że w grę wchodzi też atak zwierzęcia.

Denerwował mnie jego zwyczaj depersonalizacji. Biała kobieta. Ofiara. Ciało. Nadgarstki. Żadnego nawet zaimka osobowego.

- I ofiara mogła być poparzona - ciągnął,

- Poparzona?

- LaManche będzie później wiedział więcej. Dziś zrobi sekcję.

- Jezu. - Chociaż jeden z patologów w laboratorium jest zawsze uchwytany, rzadko kiedy przeprowadza się autopsję w weekendy. To musiało być niezwykle morderstwo. - Od jak dawna nie żyje?

- Ciało nie było zamrożone, więc na dworze leżało mniej niż dwanaście godzin. LaManche postara się określić czas śmierci. Nie chciałam zadawać następnego pytania.

- Dlaczego uważacie, że to jest Anna Goyette?

- Wiek i opis pasują.

Poczułam się trochę słabo.

- Do jakich cech fizycznych się odnieśliście?

- Ofiara nie ma dwóch zębów trzonowych.

- Zostały usunięte? - Poczułam się głupio, jak tylko zadałam to pytanie.

- Doktor Brennan, nie jestem dentystą. Na prawym biodrze jest też mały tatuaż. Dwie postacie trzymające między sobą serce.

- Zadzwoń do ciotki Anny i potem oddzwonię do pana.

- Ja mogę...

- Nie. Ja to zrobię. Muszę z nią jeszcze o czymś pomówić.

Podał mi numer swojego pagera i odłożył słuchawkę.

Drżącą ręką wybiłam numer klasztoru. Zobaczyłam przestraszone oczy spoglądające spod grzywki.

Zanim zdążyłam pomyśleć, jak sformułować pytania, siostra Julianne już była na linii. Przez kilka minut dziękowałam jej za wysłanie mnie do Daisy Jeannotte i opowiadałam o dziennikach. Unikałam tego, co miałam powiedzieć, ale ona coś przeczuwała.

- Wiem, że stało się coś złego. - Mówiła cicho, ale wyczuwałam napięcie.

Zapytałam, czy Anna się pojawiła. Nie.

- Siostro, znaleziono młodą kobietę...

Usłyszałam szelest materiału i wiedziałam, że się przeżegnała.

- Muszę zadać siostrze kilka osobistych pytań dotyczących siostry siostrzenicy.

- Rozumiem. - Prawie niesłyszalnie.

Zapytałam o zęby i tatuaż.

Na sekundę zapadła cisza i nagle ze zdumieniem usłyszałam jej śmiech.

- O nie, nie, to nie jest Anna. Wielkie nieba, nigdy by sobie nie pozwoliła na tatuaż. I na pewno ma wszystkie zęby. Często o nich wspomina. Dlatego wiem. Ma z nimi wiele kłopotu, mówi, że ją boją, kiedy je coś zimnego. Albo gorącego.

Słowa płynęły strumieniem. Czulałam jej ulgę po drugiej stronie linii.

- Ale, siostro, jest możliwe...

- Nie. Znam moją siostrzenicę. Ma wszystkie zęby. Nie jest z nich zadowolona, ale je ma. - Znowu nerwowy śmiech. - I żadnych tatuaży, dzięki Bogu.

- Miło mi to słyszeć. Ta młoda kobieta to prawdopodobnie nie jest Anna, ale dobrze by było, gdybyśmy dostali kartotekę dentystyczną siostry siostrzenicy, po to tylko, aby się upewnić.

- To na pewno nie ona.

- Tak. Ale detektyw Claudel musi się upewnić. Taka formalność.

- Rozumiem. I pomodłę się za rodzinę tej biednej dziewczyny.

Podala mi nazwisko dentysty Anny i oddzwoniłam do Claudela.

- Ona jest pewna, że Anna nie miała tatuażu.

- No jasne. Przecież nie obwieściła ciotce zakonnicy, że zrobiła sobie tatuaż na tyłku w zeszłym tygodniu!

- Niby tak...

Parsknął.

- Ale jest przekonana, że Anna ma wszystkie zęby. Pamięta, jak narzekała, że ją bołą.

- A kto ma braki w uzębieniu?

Myślałam dokładnie tak samo.

- Raczej nie ci ze zdrowymi zębami.

- Zgadza się.

- I ciocia także uważa, że Anna nigdy nie wychodziła nie mówiąc nic matce, tak?

- Tak właśnie powiedziała.

- Anna Goyette jest lepsza niż David Copperfield. Znikała siedem razy w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. W każdym razie tyle mamy zgłoszeń od jej matki.

- O. - Dziwne uczucie objęło okolice mojego żołądka.

Poprosiłam Claudela, by informował mnie na bieżąco i odłożyłam słuchawkę. Wątpiłam, czy tak zrobi.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i w biurze byłam przed wpół do dziesiątej. Dokończyłam mój raport dotyczący Elisabeth Nicolet, opisując i wyjaśniając własne obserwacje, jak to zwykle miało miejsce we wszystkich sądowych przypadkach. Żalowałam, że nie mogę włączyć informacji pozyskanych z dzienników Belangera, ale po prostu nie miałam czasu na ich przeczytanie.

Po wydrukowaniu raportu kilka godzin spędziłam na robieniu zdjęć. Byłam spięta i niezdarna, co sprawiło, że nie szło mi układanie kości. O drugiej kupiłam sobie kanapkę w kafeterii i jadłam ją równocześnie dokonując korekty moich wyników badań Mathiasa i Malachy'ego. Umysł jednak skoncentrowany był na telefonie i trudno mi było całą uwagę poświęcić temu, co robię.

Właśnie kserowałam dzienniki Belangera, kiedy nadszedł Claudel.

- To nie jest pani młoda kobieta.

Popatrzyłam mu w oczy.

- Naprawdę?

Przytaknął.

- A kto to jest?

- Nazywała się Carole Comptois. Kiedy testy dentystyczne wykluczyły Goyette, pobraliśmy odciski i to było to. Trzeba było wydać kilka nakazów aresztowania.

- Wiek?

- Osiemnaście lat.

- Jak zginęła?

- LaManche właśnie kończy autopsję.

- Jacyś podejrzani?

- Wielu. - Przez chwilę patrzył mi w twarz, nic nie mówił i wyszedł.

Wróciłam do kserowania; robot bez emocji. Ulga, jaką poczułam słysząc, że to nie jest Anna, natychmiast przeistoczyła się w poczucie winy. Na stole na dole leżała dziewczyna. Należało zawiadomić rodzinę.

Podnieś pokrywę. Odwróć stronę. Opuść pokrywę. Naciśnij przycisk.

Osiemnaście lat.

Nie miałam ochoty oglądać sekcji.

O wpół do piątej skończyłam kopiowanie i wróciłam do biura. Raporty o dzieciach zostawiłam sekretarce, razem z notatką dla LaManche'a odnośnie fotokopii. Kiedy wyszłam na korytarz, LaManche i Bergeron pogrążeni w rozmowie stali przed biurem dentysty. Obaj byli zmęczeni i ponurzy. Gdy się zbliżyłam, spojrzeli na mnie bez słowa.

- Przykra sprawa?

LaManche przytaknął.

- Co się jej stało?

- Lepiej tu określić, co się *nie* stało - odezwał się Bergeron.

Spojrzałam na jednego i drugiego. Nawet zgarbiony, nasz dentysta mierzył ponad metr osiemdziesiąt i chcąc popatrzeć mu w oczy musiałam zadzierać głowę. Jego poskręcane w loczki włosy podświetlało fluorescencyjne światło sufitowe. Przypomniało mi się to, co Claudel powiedział o ataku zwierzęcia i podejrzewałam, że sobota Bergerona też nie należała do najbardziej udanych.

- Wygląda na to, że została powieszona za nadgarstki i bita, a potem zaatakowana przez psy - powiedział LaManche. - Marc twierdzi, że były co najmniej dwa.

Bergeron skinął głową.

- Jakaś duża rasa. Może owczarek niemiecki albo doberman. Stwierdził się ponad sześćdziesiąt ran kłujących.

- Jezu.

- Polewano ją gorącym płynem, prawdopodobnie wodą, kiedy była naga. Skóra jest mocno poparzona, ale nic nie można zidentyfikować - kontynuował LaManche.

- Żył wtedy? - Nie mogłam znieść myśli o jej bólu.

- Tak. Umarła w rezultacie wielokrotnych ran kłujących zadanych w brzuch i klatkę piersiową. Chcesz obejrzeć zdjęcia?

Pokręciłam odmownie głową.

- Znaleźliście jakieś oznaki samoobrony? - Przypomniałam sobie swoją gehennę z napadem.

- Nie.

- Kiedy umarła?

- Prawdopodobnie wczoraj wieczorem. Nie miałam ochoty na szczegółowy opis.

- Jeszcze jedno. - LaManche miał oczy pełne smutku. - Była w czwartym miesiącu ciąży.

Minęłam ich w pośpiechu i wśliznęłam się do swojego biura. Nie wiem, jak długo tam siedziałam, przesuując wzrokiem po przedmiotach związanych z moją profesją i nie widząc ich. Owszem, obcując z okrucieństwem i przemocą przez tyle lat zrobiłam się emocjonalnie odporna, ale pewne przypadki nadal wywoływały wstrząs psychiczny. To, co działo się ostatnio, wydawało się najbardziej przerażające ze wszystkich spraw ostatnich lat. A może nie jestem już w stanie znieść więcej ohydy?

Nie ja zajmowałam się sprawą Carole Comptois i nigdy jej nawet nie widziałam, ale gdzieś w moim umyśle pojawiały się obrazy, których nie mogłam opanować. Widziałam ją w ostatnich chwilach jej życia, jej twarz wykrzywioną bólem i przerażeniem. Czy błagała o życie? Dla swojego nie narodzonego dziecka? Jakież potwory chodzą po tym świecie?

- A niech to diabli! - powiedziałam do pustego biura. Zgarnęłam papiery do teczki, chwyciłam swoje rzeczy i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Bergeron coś powiedział, kiedy przechodziłam obok jego biura, ale się nie zatrzymałam.

Jechałam pod mostem Jacquesa Cartiera, gdy nadawano wiadomości o szóstej. Morderstwo Comptois było najważniejszym wydarzeniem dnia. Wyłączyłam radio, powtarzając w myślach to, co powiedziałam w biurze.

- A niech to diabli!

Kiedy dotarłam do domu, mój gniew nieco osłabł. Czasami trzeba znaleźć ujście dla niektórych emocji. Zadzwoiłam do siostry Julienne i poinformowałam, że to jednak nie Anna. Zrobił to już wcześniej Claudel, ale chciałam z kimś porozmawiać. Powiedziałam, że ona się pojawi. Zgodziła się ze mną. Żadna z nas tak naprawdę już w to nie wierzyła.

Powiedziałam jej również, że szkielet Elisabeth został spakowany i gotowy do wysłania, a raport właśnie przepisywany. Ona odparła, że kości zostaną odebrane w poniedziałek rano.

- Bardzo pani dziękuję, doktor Brennan. Niecierpliwie tu wszyscy czekamy na pani raport.

Nic nie odpowiedziałam. Nie miałam pojęcia, jaka będzie ich reakcja na to, co napisałam.

Przebrałam się w dżinsy i przygotowałam obiad, nie pozwalając sobie na myślenie o tym, co zdarzyło się Carole Comptois. Harry wróciła o wpół do ósmej i zjadłyśmy, rozmawiając tylko o makaronie i cukinii. Wydawała się zmęczona i nieobecna, bez słowa przyjęła moją wersję upadku na twarz na oblodzonym chodniku. Wypadki dnia kompletnie mnie wyczerpały. Nie pytałam o poprzedni wieczór ani o seminarium, a ona nic nie mówiła. Obie nie miałyśmy ochoty ani na słuchanie, ani na rozmowę.

Po obiedzie Harry zajęła się materiałami z warsztatów, a ja znowu zabrałam się za dzienniki. Mój raport dla siostr był skończony, ale chciałam się jeszcze czegoś dowiedzieć. Wersja ksero nie była wcale lepsza niż oryginał i, tak jak w piątek, poczułam się tym nieco zniechęcona. Poza tym Louis-Philippe nie pisał zbyt pasjonująco. Młody lekarz zdawał długie relacje z dni przepracowanych w szpitalu Hotel Dieu. Na czterdziestu stronach kilka razy wspominał o swojej siostrze. Chyba zależało mu na tym, aby Eugenie nadal śpiewała po ślubie z Alanem Nicolet. Nie podobał mu się jej fryzjer. Niezły był z niego zarozumialec.

W niedzielę Harry wyszła, zanim wstałam. Zrobiłam pranie, poćwiczyłam trochę i popracowałam nad wykładem, który miałam wygłosić na zajęciach z ewolucji we wtorek. Późnym popołudniem skończyłam nadrabianie zaległości. Rozpaliłam w kominku, zrobiłam sobie filiżankę herbaty Earl Grey i z książkami i papierami na kanapie zwinęłam się w kłębek.

Powróciłam do dziennika Belangera, ale po jakichś dwudziestu stronach przerzuciłam się na książkę opisującą epidemię ospy. W przeciwieństwie do nudnych dzienników, ta była bardzo ciekawa.

Czytałam o ulicach, gdzie chodzę codziennie. W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Montreal i otaczające go wsie zamieszkiwało ponad dwieście tysięcy ludzi. Miasto



rozciągało się od Sherbrooke Street na północy do portu nad rzeką na południu. Od wschodu granicę stanowiło przemysłowa centrum Hochelaga, a od zachodu ośrodki klasy pracującej Ste-Cunegondel i St-Henri, leżące tuż przy kanale Lachine. Latem zeszłego roku przejechałam całą jego długość na rowerze.

Podobnie jak dzisiaj, istniały w mieście napięcia. Chociaż duża grupa mieszkańców Montrealu na zachód od rue St-Laurent mówiła po angielsku, już w tamtych czasach Francuzi stanowili większość w mieście. Decydowali w sprawach polityki miasta, ale Anglicy rządili handlem i prasą.

Francuzi i Irlandczycy byli katolikami, natomiast Anglicy protestantami. Podział był wyraźnie widoczny, tak za życia, jak i po śmierci. Każda narodowość miała własny cmentarz wysoko w górach.

Zamknęłam oczy i pomyślałam. I dzisiaj język i religia znaczą bardzo dużo w Montrealu. Katolickie szkoły. Protestanckie szkoły. Nacjonaliści. Federaliści. Ciekawe, do jakiej formacji należeli ci z rodziny Elisabeth Nicolet.

Zrobiło się ciemno i zapaliły się lampy. Czytałam dalej.

Pod koniec dziewiętnastego wieku Montreal był głównym centrum handlowym, z własnym wspaniałym portem, wielkimi magazynami, garbarniami, mydlarniami i fabrykami. McGill już był wiodącym uniwersytetem. Ale, jak inne wiktoriańskie miasta, obfitował w kontrasty, z wielkimi posiadłościami ksiąg handlu, w cieniu których egzystowały nędzne domy klasy pracującej. Niedaleko szerokich, brukowanych alei, tuż za Sherbrooke i Dorchester, biegły setki brudnych uliczek i niebrukowanych alei.

Miasto było źle skanalizowane, śmieci i padlina zwierzęca gniły na pustych parcelach, a odchody leżały wszędzie. Rzeka używana była jako ściek. Chociaż zamarzała zimą, padlina i odpadki gniły i cuchnęły podczas ciepłych miesięcy. Wszyscy narzekali na wstrętny odór.

Herbata mi wystygła, więc się wygramoliłam z kanapy i zrobiłam sobie świeżą. Wracając do lektury przesłam do rozdziału opisującego warunki sanitarne. Louis-Philippe często pisał o tym w związku z sytuacją w szpitalu Hotel Dieu. Znalazłam jego nazwisko. Został członkiem Komisji Zdrowia Rady Miejskiej.

Przeczytałam interesującą relację z posiedzenia Rady, na którym omawiano problem ludzkich odchodów. Wywóz nie był wtedy zorganizowany. Niektórzy mieszkańcy po prostu wylewali odchody do miejskich ścieków, które prowadziły do rzeki. Inni korzystali z naziemnych toalet, gromadzących odchody, które zabierali potem śmieciarze.

Według raportu urzędnika medycznego miasta, mieszkańcy produkowali mniej więcej

sto siedemdziesiąt ton odchodów dziennie, co stanowiło ponad dwieście piętnaście tysięcy ton rocznie. Ostrzegali, że dziesięć tysięcy toalet zewnętrznych i dołów kloacalnych w mieście stanowiło źródło chorób zakaźnych, takich jak dur brzuszny, szkarlatyna i dyfteryt. Rada zdecydowała się na system, który miał polegać na gromadzeniu i spalaniu nieczystości. Louis-Philippe głosował za. Był dwudziesty ósmy stycznia, tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty.

Następnego dnia po głosowaniu zachodni pociąg linii Grand Trunk Railway wjechał na stację Bonaventure. Konduktor był chory i wezwano doktora kolei. Diagnoza brzmiała: ospa. Chory był protestantem, zabrano go zatem do szpitala Montreal General, ale tam go nie wpuszczono. Pozwolono mu poczekać w odizolowanym pokoju w skrzydle chorób zakaźnych. W końcu, na jego prośbę, niechętnie przyjęto go w katolickim szpitalu Hotel Dieu.

Wstałam, by dolożyć do ognia. Układając kawałki drewna wyobraziłam sobie budynek z szarego kamienia w alei des Pins i rue St-Urbain. Hotel Dieu nadal pełnił rolę szpitala. Wiele razy przejeżdżałam obok.

Wróciłam do książki. Robiłam się głodna, ale chciałam czytać aż do powrotu Harry.

Lekarze w Montreal General myśleli, że ci z Hotel Dieu zgłosili władzom przypadek ospy. Lekarze z Hotel Dieu uważali z kolei, że zrobili to ci z General. Nikt zatem nie zgłosił i nikt nie poinformował personelu żadnego z dwóch szpitali. Kiedy epidemia się skończyła, ponad trzy tysiące ludzi zmarło, większość z nich stanowiły dzieci.

Zamknęłam książkę. Piekły mnie oczy i czułam pulsowanie w skroniach. Zegarek wskazywał siódmą piętnaście. Gdzie była Harry?

Poszłam do kuchni, wyjęłam i opłukałam filety z łososia. Mieszając sos koperkowy starałam się sobie wyobrazić moją okolicę sto lat temu. Jak ludzie radzili sobie z ospą w tamtych czasach? Jakie domowe sposoby stosowali? Ponad dwie trzecie ofiar stanowiły dzieci. Jak to było widzieć umierające dziecko sąsiadów? Jak rodzice znosili beznadziejną opiekę nad dzieckiem, którego nie można było już uratować?

Obrałam dwa ziemniaki i włożyłam je do piekarnika, potem umyłam sałatę, pomidory i ogórki. Harry wciąż nie było.

Choć czytając nie myślałam ani o Mathiasie i Malachy'm, ani o Carole Comptois, nadal byłam spięta i bolała mnie głowa. Zrobiłam więc sobie pachnącą kąpiel z solami mineralnymi z oceanu. Do tego włączyłam Leonarda Cohena na kompaktce i wsunęłam się do wanny na dłuższe leżenie.

Za pomocą Elisabeth starałam się nie myśleć o ostatnich morderstwach. Podróż przez

wieki była fascynująca, ale nie dowiedziałam się tego, co chciałam. Dowiedziałam się o pracy Elisabeth w czasie epidemii z materiałów, jakie przysłała mi siostra Julienne przed ekshumacją.

Elisabeth była odludkiem, ale kiedy epidemia wymknęła się spod kontroli, zaangażowała się w sprawę warunków medycznych. Pisała listy do, Rady Zdrowia Prowincji, do Komitetu Zdrowia Rady Miejskiej i do Honoró Beaugranda, burmistrza Montrealu, błagając o zmianę warunków sanitarnych. Zwracała się do francuskich i angielskich gazet, żądając otwarcia miejskiego szpitala zakaźnego i powszechnego szczepienia.

Napisała do swojego biskupa, wskazując, że choroba rozwijała się w miejscach, gdzie gromadzili się ludzie, i błagając go, by tymczasowo zamknął kościoły. Biskup Fabre odmówił stwierdzając, że zamknąć kościoły to tak, jakby wyśmiewać się z Boga. Biskup wzywał wiernych do kościoła i mówił im, że wspólna modlitwa ma więcej mocy niż modlitwa w samotności.

Nieźle, szacowny biskupie. To dlatego francuscy katolicy umierali, a angielscy protestanci nie. Poganie się szczepili i siedzieli w domu.

Dolałam gorącej wody, wyobrażając sobie frustrację Elisabeth i zastanawiając się, ile taktu wykazałabym na jej miejscu.

Dobrze. Znałam jej pracę i wiedziałam, jak umarła. Postarały się o to siostrzyczki. Czytałam stosy dokumentów opisujących jej chorobę i publiczny pogrzeb.

Ale chciałam wiedzieć coś o jej narodzinach.

Wzięłam mydło i zaczęłam się namydlać.

Musiałam przeczytać dzienniki.

Namydliłam ramiona.

Ale miałam kopie, więc mogłam to zrobić po powrocie do Charlotte. Umyłam stopy.

Gazety. To zasugerowała mi Jeannotte. Tak. Wykorzystam trochę czasu w poniedziałek na przejrzenie gazet. I tak muszę jechać do McGill, by zwrócić dzienniki.

Zanurzyłam się w gorącej wodzie i pomyślałam o mojej siostrze. Zanedbałam ją wczoraj. Byłam zmęczona, ale czy o to chodziło? A może o Ryana? Miała pełne prawo iść z nim do łóżka, jeżeli miała na to ochotę. Więc dlaczego byłam taka chłodna? Postanowiłam, że dziś wieczorem będę bardziej miła.

Właśnie się wycierałam, kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi. Wyciągnęłam flanelową koszulę nocną z motywem Disneya, którą dostałam od Harry na Gwiazdkę, i ją założyłam.

Zastałam ją w salonie, nadal miała na sobie kurtkę, rękawiczki i czapkę, a myślami była gdzieś bardzo daleko.

- To był długi dzień.

- Tak. - Wróciła i uśmiechnęła się półgębkiem.

- Jesteś głodna?

- Chyba tak. Daj mi kilka minut. - Rzuciła torbę na kanapę i usiadła obok.

- Jasne. Zdejmij kurtkę i odsapnij.

- Masz rację. Cholera, tu jest naprawdę zimno. Przeszłam tylko od stacji metra, a czuję się jak lód na patyku.

Kilka minut później usłyszałam ją w pokoju gościnnym, potem przyszła do kuchni. Opiekłam łososia i wymieszałam sałatkę, Harry nakryła do stołu.

Kiedy zasiadłyśmy do jedzenia, zapytałam, jak minął jej dzień.

- W porządku. - Pokroiła swój ziemniak, rozgniotła go i poliała kwaśną śmietaną.

- W porządku? - zachęciłam.

- Tak. Dużo zrobiliśmy.

- Wyglądasz, jakbyś przeszła sześćdziesiąt kilometrów.

- Tak, jestem padnięta. - Nawet się nie uśmiechnęła.

- Co robiliście?

- Mnóstwo wykładów i ćwiczeń. - Poliała rybę sosem. - Co to jest te małe zielone kuleczki?

- Koperek. Jakie ćwiczenia?

- Medytacje. Gry.

- Gry?

- Opowiadania. Rytmika. Wszystko, co kazali nam robić.

- I robisz to, bo ci każą?

- Robię to, bo tak wybrałam - warknęła. Zaskoczyła mnie. Rzadko kiedy taka była.

- Przepraszam. Jestem zmęczona.

Przez chwilę jadłyśmy bez słowa. Tak naprawdę to nie chciałam słuchać o tej jej terapii, ale po kilku minutach zagałam znowu.

- Ile tam jest osób?

- Sporo.

- Jacyś ciekawi?

- Ja nie robię tego dla poznania nowych ludzi, Tempe. Uczę się tego, by być zrozumiałą dla innych. Żeby być odpowiedzialną. Moje życie jest do niczego i staram się coś

z nim zrobić.

Nabrała sałatki. Nie pamiętałam jej takiej przybitej.

- A te ćwiczenia pomagają?

- Tempe, musisz sama spróbować. Nie potrafię ci opisać dokładnie, co robimy albo jak to działa.

Odgarnęła sos i zabrała się za łososia. Nic nie odpowiedziałam.

- I tak byś nie zrozumiała. Jesteś zbyt zimna.

Wzięła talerz i zaniósła go do kuchni. Wystarczy tego bycia miłą.

Przylączyłam się do niej przy zlewie,

- Chyba się położę - powiedziała, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Porozmawiamy jutro.

- Jutro po południu wyjeżdżam.

- Oj. Zadzwoń do ciebie.

Leżąc w łóżku odtworzyłam naszą rozmowę. Nigdy nie była ani taka apatyczna, ani drażliwa, kiedy próbowałam się do niej zbliżyć. Na pewno była i wykończona. A może chodziło o Ryana. Albo jej rozstanie ze Strikerem.

Dużo później zastanawiałam się, dlaczego nie dostrzegłam sygnałów. Mogłoby to bardzo dużo zmienić.

W poniedziałek wstałam o świcie, planując przygotowanie śniadania dla siebie i dla Harry. Odmówiła mówiąc, że nie ma czasu. Wyszła przed siódmą, ubrana w dres i bez makijażu, czego się nigdy po niej nie spodziewałam.

Odnotowuje się takie rzeczy jak miejsca na ziemi, gdzie jest najzimniej, najbardziej sucho, albo leżące najniżej poziomu morza. Najbardziej ponure miejsce na świecie to bez wątpienia dział czasopism i mikrofilmów biblioteki imienia McLennana uniwersytetu McGill. To wąskie, długie pomieszczenie na drugim piętrze, z fluorescencyjnym oświetleniem podkreślającym głęboką czerwień podłogi.

Kierując się wskazówkami bibliotekarki, minęłam regały z czasopismami i gazetami i trafiłam na rzędy metalowych półek z kartonowymi pudłami i metalowymi puszkami. Znalazłam te, których szukałam, i poszłam z nimi do czytelnicy. Zdecydowałam, że zacznę od angielskich gazet, wyjęłam więc i rolkę mikrofilmu i założyłam ją na czytnik.

W tysiąc osiemset czterdziestym szóstym roku Montreal Gazette ukazywała się co trzy tygodnie, a formatem odpowiadała dzisiejszemu New York Times'owi. Wąskie kolumny, niewiele zdjęć, mnóstwo ogłoszeń. Czytnik nie był najlepszy, film również. Jakbym próbowała czytać pod wodą. Druk czasami był nieostry, a po ekranie nieustannie wędrowały włosy i drobinki brudu.

Reklamy zachwalały futrzane czapki, brytyjskie wyroby papiernicze, nie-garbowane skóry owcze. Doktor Taylor zachęcał do kupowania jego balsamu z wątrobianego zioła, doktor Berlin polecał swoje tabletki na uspokojenie. John Bower Lewis zachwalał własną osobę jako wartościowego obrońcę i pełnomocnika. Pierre Gregoire z przyjemnością układał włosy. Przeczytałam jego ogłoszenie:

*Zakład nasz zaprasza szanowne panie i panów. Włosy uczyni miękkimi i lśnącymi, bez względu na rodzaj. Używa rewelacyjnych preparatów do układania pięknych loków. Rozsądne ceny. Tylko dla wybranej klienteli.*

Przeszłam do wiadomości.

Antoine Lindsay zmarł, kiedy sąsiad uderzył go w głowę kawałkiem drewna. Opinia koronera: umyślne morderstwo.

Młoda Angielka, Maria Nash, dopiero co przybyła do Montrealu, padła ofiarą

porwania i zdrady. Oszałała i zmarła w szpitalu Emigrant.

Kiedy Bridget Clocone urodziła syna w szpitalu dla kobiet, doktorzy odkryli, że ta czterdziestoletnia wdowa jakiś czas wcześniej urodziła dziecko. Policja przeszukała dom jej pracodawcy i znalazła ciało noworodka płci męskiej schowane pod ubraniami w skrzynce. Noworodek wykazywał "...oznaki znęcania się spowodowane ścisaniem szyi palcami". Opinia koronera: umyślne morderstwo.

Jezu. Czy nic się na tym świecie nie zmienia?

Zmieniłam stronę i przejrzałam listę statków, które wyszły z portu, oraz listę pasażerów płynących z Montrealu do Liverpoolu. Nuda.

Opłaty za rejs parowcem. Przejazdy dyliżansem do Ontario. Zawiadomienia o przeprowadzkach. Niezbyt wiele osób przeprowadziło się w tamtym tygodniu.

Wreszcie znalazłam. Urodzenia, Małżeństwa, Zgony. Na siedemnastej stronie. Pani David Mackay, syn. Pani Marie-Claire Bisset, córka. Ani słowa o Eugenie Nicolet i jej dziecku.

Znałam już miejsce zawiadomień o urodzeniach w każdej gazecie i przewinęłam kilka tygodni, zatrzymując się tylko w tym miejscu. Nadal nic.

Sprawdziłam każdą gazetę na rolce. Aż do końca tysiąc osiemset czterdziestego szóstego nie było zawiadomienia o narodzinach Elisabeth.

Przewertowałam inne angielskie gazety. To samo. Żadnej wzmianki o Eugenie Nicolet. Ani o urodzinach jej córki. Sprawdziłam francuskie gazety. Nadal nic.

O dziesiątej nie widziałam na oczy i bolały mnie barki i plecy. Oparłam się, przeciągnęłam i potarłam skronie. I co teraz?

Po drugiej stronie pomieszczenia ktoś z szumem przewijał film na początek. Dobry pomysł. Jak każdy inny. Cofnę się. Elisabeth urodziła się w styczniu. Sprawdźmy okres, kiedy pan plemnik i pani jajeczko się poznali.

Wzięłam pudełka i założyłam film. Kwiecień, tysiąc osiemset czterdzieści pięć. Te same reklamy. Te same informacje o przeprowadzkach. Znowu listy pasażerów. Gazety angielskie. Gazety francuskie.

Kiedy doszłam do La Presse, mój wzrok stracił ostrość. Spojrzałam na zegarek. Jedenasta trzydzieści. Jeszcze dwadzieścia minut.

Oparłam podbródek na dłoni zwiniętej w pięść z łokciem na stole i przewinęłam film na początek. Kiedy się zatrzymał, był marzec. Ręcznie przewijałam do przodu, zatrzymując się co chwilę i przeglądając stronę na ekranie, i w pewnym momencie dostrzegłam nazwisko Belanger.

Wyprostowałam się i zwiększyłam ostrość obrazu. Króciutka informacja. Eugenie Belanger wybierała się do Paryża. Wybitna śpiewaczka i żona Alaina Nicolet będzie podróżować w towarzystwie dwunastu osób i powróci po sezonie. Jeszcze tylko kilka słów o tym, jak wszystkim będzie jej brak, i koniec.

A więc Eugenie wyjechała. Kiedy wróciła? Gdzie była w kwietniu? Czy Alain pojechał z nią? A może dołączył do niej na miejscu? Rzut oka na zegarek. Cholera.

Sprawdziłam, co mam w portfelu, wyciągnęłam wszystkie drobne i wydrukowałam tyle stron, na ile mi wystarczyło monet. Przewinęłam film i oddałam wszystkie, a potem biegiem do Birks Hall.

Drzwi do gabinetu Jeannotte były zamknięte, więc poszłam do sekretariatu wydziału. Sekretarka oderwała wzrok od ekranu komputera na krótką chwilę, w ciągu której zapewniła mnie, że dzienniki zostaną zwrócone. Przykleiłam do nich karteczkę z podziękowaniem i wyszłam.

Wracając do domu wciąż myślałam o przeszłości. Staralam się wyobrazić sobie, jak sto lat temu wyglądały wielkie domy, które mijałam. Co widzieli ich mieszkańcy, kiedy wyglądali przez okna wychodzące na Sherbrooke? Na pewno nie Musee des Beaux-Arts albo Ritz-Cariton. Na pewno nie najnowsze kolekcje Raipha Laurena, Giorgio Armaniego czy atelier Versace.

Ciekawe, czy spodobałoby im się takie modne sąsiedztwo. Na pewno lepiej jest mieć w sąsiedztwie butiki niż szpital zakaźny, który w końcu otwarto w budynku tuż za nimi.

W domu sprawdziłam wiadomości na sekretarce, bojąc się, że Harry dzwoniła i mnie nie zastała. Nic. Zrobiłam sobie kanapkę i pojechałam do laboratorium, aby podpisać raporty. Wychodząc stamtąd zostawiłam na biurku LaManche'a kartkę z datą mojego powrotu. Jak zwykle większą część kwietnia spędzałam w Charlotte, ale zawsze gotowa byłam przyjechać w przypadku obowiązku stawienia się w sądzie albo w innej pilnej sprawie. Kiedy w maju kończył się semestr wiosenny, wracałam na lato.

W domu spędziłam godzinę pakując się i porządkując materiały do pracy. Zawsze mam dużo bagażu, ale nie przez ciuchy. Lata podróżowania między krajami zmusiły mnie do posiadania dwóch kompletów ubrań. Mam największą na świecie walizę na kółkach i zawsze wrzucam do niej książki, teczki, czasopisma, rękopisy, notatki do wykładów i wszystko to, nad czym pracuję. Tym razem było jeszcze kilka kilogramów kserokopii.

O trzeciej trzydzieści zamówiłam taksówkę na lotnisko. Harry nie zadzwoniła.

Mieszkam w najbardziej niezwykłym apartamencie w Charlotte. Moje mieszkanie



zajmuje najmniejszą część kompleksu zwanego Sharon Hall, rozciągającego się na obszarze dwóch i pół akra w Myers Park. Nie wiadomo, jakie było pierwotne przeznaczenie budynku, ale obecnie mieszkańcy nazywają go Coach House Annex albo po prostu Annex.

Główny budynek Sharon Hall wybudowany został w tysiąc dziewięćset trzynastym roku jako dom mieszkalny dla miejscowego magnata handlu drewnem. Po śmierci jego żony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym, georgiański w stylu dom o powierzchni blisko siedmiuset metrów kwadratowych podarowano Queens College. Najpierw znajdował się tam wydział muzyki, a w połowie lat osiemdziesiątych posiadłość została sprzedana i rezydencję z wozownią przerobiono na mieszkania. Dobudowano skrzydła i aneksy z dziesięcioma dodatkowymi domami, zachowując styl głównego budynku. Stare cegły ze ściany dziedzińca użyto przy budowie nowych budynków, a styl okien, gzymsów i podłóg z twardego drewna zbliżono do stylu z tysiąc osiemset trzynastego.

Na początku lat sześćdziesiątych przy Annexie pojawiła się altana i niewielki budynek, który miał służyć jako letnia kuchnia. Nikt w końcu z tego nie korzystał, potem przed dwadzieścia lat było schowkiem. W dziewięćdziesiątym trzecim członek zarządu Nations Bank kupił Annex i zrobił z niego dom mieszkalny, włączając altanę do głównej części mieszkalnej. Właśnie wtedy rozpadało się moje małżeństwo i ta sytuacja zmusiła mnie do poszukania nowego miejsca zamieszkania. Miałam nieco ponad siedemdziesiąt pięć metrów kwadratowych rozmieszczonych na dwóch piętrach i chociaż było trochę ciasno, to kochałam to miejsce.

Jedynym dźwiękiem było wolne, rytmiczne tykanie mojego zegara. To znaczy, że był tu Pete. To on nakręcił zegar. Zawołałam Birdiego, ale się nie pojawił. Powiesiłam kurtkę w szafie w holu i wtaszczyłam walizę po wąskich schodkach do sypialni.

- Bird?

Żadnego miauu, zza rogu nie wysunęła się biała mordka.

W kuchni na dole znalazłam leżącą na stole wiadomość. Birdie był nadal u Pete'a, który w środę jechał na dzień lub dwa do Denver i chciał, bym odebrała kota najpóźniej jutro. Światelko sekretarki migąło jak zwariowane.

Sprawdziłam godzinę. Wpół do jedenastej. Naprawdę nie chciało mi się wychodzić.

Wykręciłam numer Pete'a. Przez tyle lat to był mój numer telefonu. Wyobraziłam sobie telefon na ścianie w kuchni, nacięcie w kształcie litery V w obudowie. Dobrze nam było w tamtym domu, zwłaszcza w kuchni z wielkim kominkiem i ogromnym stołem z sosnowego drewna. Goście zawsze szli do kuchni, gdziekolwiek bym ich nie kierowała.

Włączyła się sekretarka i głos Pete'a poprosił o zostawienie krótkiej wiadomości.

Zostawiłam. Zadzwoiłam do Harry. To samo, tym razem odezwał się mój głos.

Odsłuchiłam swoje wiadomości. Pete. Szef mojego departamentu. Dwoje studentów. Przyjaciółka zapraszająca mnie na przyjęcie na zeszły wtorek. Moja teściowa. Dwa razy odłożona słuchawka. Moja najlepsza przyjaciółka Anna. Żadnych min lądowych. Zawsze odczuwam ulgę, kiedy żaden z kilku monologów nie informuje o katastrofie, która właśnie miała albo ma miejsce.

Zjadłam mrożoną pizzę i kończyłam się rozpakowywać, kiedy zadzwonił telefon.

- Jak podróż?

- Nieźle. Jak zwykle.

- Bird twierdzi, że poda cię do sądu.

- Za co?

- Za porzucenie.

- Może dojść do sprawy. Będziesz go reprezentował?

- Jeśli zbierze zaliczkę.

- Co się dzieje w Denver?

- Zeznania. Nic nowego.

- Mogę przyjść po Birdiego jutro? Jestem na nogach od szóstej i jestem wykończona.

- Podobno odwiedziła cię Harry?

- To nie jest tak - odburknęłam. Moja siostra zawsze była źródłem nieporozumień między Pete'em a mną.

- Tylko spokojnie. Jak się ma?

- Świetnie.

- Może być jutro. O której?

- To mój pierwszy dzień po powrocie, więc nie tak szybko. Pewnie o szóstej albo siódmej.

- Nie ma problemu. Przyjdź po siódmej i dostaniesz coś do jedzenia.

- Ja...

- Zrób to dla Birdiego. Musi zobaczyć, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. On chyba myśli, że to jego wina.

- Zgadza się.

- Chyba nie chcesz, żeby trafił na terapię dla zwierząt?

Uśmiechnęłam się. Cały Pete.

- Dobrze. Ale coś przyniosę.

- Niech będzie.

Następnego dnia zajęta byłam bardziej, niż mogłam się spodziewać. Wstałam przed szóstą, w kampusie byłam przed wpół do ósmej. O dziewiątej miałam już za sobą przejrzenie e-maili, poczty i przygotowanie notatek niezbędnych do wykładu.

Tego dnia obu moim grupom oddawałam testy egzaminacyjne, więc musiałam przedłużyć czas dyżuru. Niektórzy studenci chcieli porozmawiać o swoich ocenach, inni błagali o łaskę w związku z nieobecnością na teście. W czasie sesji egzaminacyjnych nagminnie umierają krewni i wszelkie możliwe nieprzyjemne sprawy osobiste uniemożliwiają podejście do egzaminów. Koniec tego semestru nie należał do wyjątków.

O czwartej wzięłam udział w posiedzeniu Komitetu do Spraw Rozkładu Zajęć i Programu Nauczania Kolegium, gdzie półtorej godziny spędzono zastanawiając się, czy Wydział Filozofii może zmienić program kursu wyższego stopnia na temat Tomasza z Akwinu. Kiedy wróciłam do swojego gabinetu, czekały na mnie dwie wiadomości.

Kolejny student, który właśnie stracił ciotkę. Ochrona kampusu zawiadamiająca o włamaniach w Budynku Nauk Fizycznych.

Później zajęłam się diagramami, cyrkłami, ilustracjami i listą materiałów, które moja asystentka miała rozłożyć na ćwiczenia w laboratorium następnego dnia. Potem godzina w laboratorium, gdzie musiałam sprawdzić, czy wybrane przeze mnie próbki były odpowiednie.

O szóstej zamknęłam wszystkie gabloty i drzwi do laboratorium. Korytarze Budynku Colvard były o tej porze puste i ciche, ale kiedy skręciłam w korytarz prowadzący do mojego gabinetu, niespodziewanie dostrzegłam młodą dziewczynę opierającą się o moje drzwi.

- W czym mogę pomóc?

Aż podskoczyła na dźwięk mojego głosu.

- Ja... Nie. Przepraszam. Pukałam. - Nawet się nie odwróciła, więc nie widziałam dokładnie jej twarzy. - Pomyliłam pokoje.

To mówiąc obróciła się i zniknęła za rogiem tuż obok moich drzwi. W tej samej chwili przypomniałam sobie wiadomość o włamaniach. Spokój, Brennan. Pewnie tylko słuchała, czy ktoś jest w środku. Przekręciłam gałkę i drzwi się otworzyły. Cholera. Byłam pewna, że je zamknęłam. A może nie? Miałam zajęte ręce i tylko przyciągnęłam drzwi stopą. Może zatrask nie załapał.

Pobieźnie przeszukałam pokój. Wszystko zdawało się leżeć na swoim miejscu. Z dolnej szuflady wyciągnęłam torebkę i sprawdziłam portfel. Pieniądze. Klucze. Paszport. Karty kredytowe. Wszystkie cenne rzeczy były na swoim miejscu.

Może faktycznie pomyliła pokoje. Może zajrzała do środka, zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki i wyszła. Tak naprawdę to nie widziałam, żeby otwierała drzwi.

A co tam.

Spakowałam teczkę, przekręciłam klucz w zamku, sprawdziłam, czy drzwi były zamknięte, i ruszyłam w kierunku parkingu.

Charlotte różni się od Montrealu tak jak Boston od Bombaju. To miasto cierpiące na wielokrotne zaburzenia osobowości łączy w sobie cechy pełnego wdzięku Starego Południa i drugiego co do wielkości centrum finansowego kraju. Mieszczą się tu Charlotte Motor Speedway, Nations-Bank i Opera Carolina. Na każdym rogu stoją kościoły, a za każdym rogiem kilka barów ze striptizem. Kluby country i restauracje barbecue, zatłoczone drogi ekspresowe i ciche ślepe uliczki. Sławny Billy Graham wychowywał się na krowiej farmie, gdzie dziś stoi centrum handlowe, a Jim Bakker zaczynał w miejscowym kościele, a skończył w sądzie federalnym. To w tym mieście zaczęło się przewożenie dzieci jednej rasy do szkoły, gdzie uczyły się dzieci innej rasy, co miało doprowadzić do rasowej integracji w szkołach publicznych; tutaj powstały liczne prywatne akademie, niektóre o orientacji religijnej, inne całkowicie świeckie.

Charlotte było miastem segregacji rasowej aż do lat sześćdziesiątych naszego stulecia, kiedy to niezwykła grupa, na czele której stali i biali, i czarni, zaczęła kampanię na rzecz zintegrowanych restauracji, mieszkań, rekreacji i transportu. Kiedy sędzia James B. McMillan publicznie ogłosił obowiązek przewożenia dzieci jednej rasy do szkoły, do której uczęszczały dzieci innej rasy, nie wywołało to żadnych zamieszek. Wiele osób go krytykowało, ale nakaz pozostał i mieszkańcy się do niego stosowali.

Zawsze mieszkalam w południowo-wschodniej części miasta. Dillworth. Myers Park. Eastover. Foxcroft. Co prawda daleko stąd do uniwersytetu, ale te miejsca są najstarsze i najpiękniejsze; labirynty krętych ulic, wzdłuż których stoją rezydencje z ogromnymi dywanami trawników ocienionych baldachimami wielkich wiązów i dębów starszych od piramid. Ulice w Charlotte, jak i jej mieszkańcy, są miłe i pełne wdzięku.

Opuściłam szybę w samochodzie i wciągnęłam w płuca marcowe, wieczorne powietrze. To był jeden z tych dni, kiedy wiosna jeszcze nie przyszła, ale zima już odeszła, kiedy zdejmuję się kurtkę, a potem znowu wkłada, i tak wiele razy. Krokusy już przebijały się przez warstwę ziemi i powietrze wypełni się zaraz zapachem dereni i azalii. Zapomnijcie o Paryżu. Charlotte wiosną to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Z kampusu do mojego domu prowadzi kilka dróg. Tego wieczoru wybrałam autostradę, więc wyjechałam tylnym wjazdem na Harris Boulevard. Ruch na autostradach I-85 i I-77 odbywał się płynnie, więc kwadrans później minęłam dzielnicę rezydencji i

jechałam drogą Providence na południowy wschód. Wpadłam do Pasta and Provisions Company po spaghetti, sałatkę Cezara i chleb czosnkowy i tuż po siódmej zadzwoniłam do drzwi Pete'a.

Miał na sobie wypłowiałe džinsy i żółto-niebieską koszulkę do rugby z rozpiętym kołnierzykiem. Włosy mu sterczały, jakby właśnie je przeczesał palcami. Wyglądał dobrze. Pete zawsze dobrze wygląda.

- Czemu nie użyłaś swojego klucza?

Dlaczego tego nie zrobiłam?

- A gdybym zastała tu blondynkę, i to skąpo odzianą?

- A znasz może takie? - Niespokojnie rozejrzał się wokół, jakby faktycznie miał jakąś na sumieniu.

- Chciałbyś. Proszę, gotuj wodę. - Wręczyłam mu makaron.

Kiedy Pete brał ode mnie torbę, pojawił się Birdie, wyciągnął najpierw jedną tylną łapę, potem drugą i usiadł układając wszystkie cztery w zgrabny kwadracik. Spojrzał mi w twarz, ale nie podszedł.

- Cześć, Bird. Tęskniłeś za mną?

Kot się nawet nie poruszył.

- Miałeś rację. Jest wkurzony - stwierdziłam.

Rzuciłam torebkę na kanapę i poszłam za Pete'em do kuchni. Na krzesłach po obu końcach stołu leżały stopy listów, większość z nich nie otwarta. To samo działo się na starym krześle pod oknem i na drewnianej półce pod telefonem. Nic nie powiedziałam. To już nie był mój problem.

Spędziłyśmy miło godzinę jedząc spaghetti i rozmawiając o Katy i reszcie rodziny. Powiedziałam mu, że dzwoniła jego matka skarżąc się, że czuje się zaniedbywana. Odpowiedział, że będzie reprezentował ją i kota razem. Kazałam mu do niej zadzwonić. Obiecał, że to zrobi.

O wpół do dziewiątej zniosłam Birdiego do samochodu, Pete szedł za mną z kocimi akcesoriami. Pod względem ilości bagażu mój kot bije mnie na głowę.

Kiedy otworzyłam drzwi, Pete położył swoją dłoń na mojej.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostać?

Zacisnął palce, a drugą ręką delikatnie pogłaskał mnie po włosach.

Byłam? Miło było poczuć jego dotyk, wspólna kolacja wydawała się czymś tak normalnym. Coś się we mnie poruszyło.

Pomyśl, Brennan. Jesteś zmęczona. I napalona. Bierz tyłek i do domu.

- A co z Judy?
  - Chwilowe zakłócenie porządku kosmicznego.
  - Chyba nie, Pete. Już to przerabialiśmy. Wspaniała kolacja.
- Wzruszył ramionami i opuścił ręce.
- Wiesz, gdzie mnie znaleźć - powiedział i wrócił do mieszkania.

Czytałam, że człowiek ma w mózgu dziesięć trylionów komórek. Tego wieczoru wszystkie dziesięć trylionów w mojej głowie pracowało na najwyższych obrotach, z szaleńczą prędkością przekazując sobie wiadomości na jeden temat: Pete.

Dlaczego *nie* użyłam mojego klucza?

Komórki były zgodne co do tego, że są jakieś granice. Nie chodziło o zabawę typu “nie przekraczaj tej linii”, ale o wyznaczanie nowego terytorium, w rzeczywistości i symbolicznie.

Dlaczego się rozstaliśmy? Był taki czas, kiedy niczego tak nie pragnęłam, jak wyjść za niego za mąż i być z nim do końca życia. Jaka była różnica między tamtą mną a mną teraz? Byłam bardzo młoda, kiedy wychodziłam za mąż, ale czy dziś nie zrobiłabym tak samo? A może to Pete się zmienił? Czy ten, za którego wyszłam, był tak nieodpowiedzialny? Taki niewiarygodny? Czy kiedyś uważałam, że taki jest jego urok?

Komórki zauważyły, że zaczynam brzmieć jak ckliwa piosenka.

Co doprowadziło do naszej separacji? Jakich wyborów dokonaliśmy? Czy tak samo wybralibyśmy teraz? Czy to przeze mnie? Przez Pete'a? A może tak było nam pisane? Co poszło nie tak? A może właśnie dobrze? Czy nowa droga, którą teraz szłam, była dobra, czy droga mojego małżeństwa już się skończyła?

Ciężka sprawa, stwierdziły komórki.

Wciąż chciałam spać z Pete'em?

Jednogłośne tak komórek.

Ale to był chudy rok pod względem życia seksualnego, argumentowałam.

Interesujący dobór słów, zauważyły przedstawicielki id. Chudy. Żadnego mięsa. Znaczy głód.

Ale był ten prawnik w Montrealu, zaprotestowałam.

To nie to. Prawie nie zaiskrzyło. Zbyt niskie napięcie.

Nie ma co się spierać z umysłem, kiedy jest w takim nastroju.

W środę rano ledwie przyjechałam na uniwersytet, a już zadzwonił telefon, Zdziwiłam się, słysząc głos Ryana.

- Nawet mi nie mów, jaka jest pogoda - rzekł zamiast powitania.
- Jest piętnaście stopni i nasmarowałam się kremem do opalania z filtrem.
- Ty naprawdę jesteś złośliwa, Brennan.

Nic nie odpowiedziałam.

- Porozmawiajmy o St-Jovite.
- Mów. - Wzięłam do ręki długopis i zaczęłam rysować trójkąty.
- Mamy nazwiska tych czterech ofiar.

Poczekalam.

- To była rodzina. Matka, ojciec i bliźnięta, chłopcy.
- To już wiedzieliśmy.

Usłyszałam szelest papieru.

- Brian Gilbert, lat dwadzieścia trzy, Heidi Schneider, lat dwadzieścia Malachy i Mathias Gilbert, cztery miesiące. Połączyłam trójkąciki w jedną całość.
- Większość kobiet byłaby pod wrażeniem mojego odkrycia.
- Ja nie jestem większość kobiet
- Jesteś na mnie wkurzona?
- A powinnam być?

Przestałam zaciskać zęby i nabrałam powietrza w płuca. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- W Beli Canada jak zwykle się nie spieszyli, ale wydruk rozmów telefonicznych dostaliśmy w końcu w poniedziałek. Jedyny numer nie stąd, pod który dzwoniła w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, należy do rejonu z kodem osiem-cztery-trzy.

Zatrzymałam się w połowie trójkącika.

- Chyba nie tylko twoje serce jest w Dixie... - dodał,
- Ale wymyśliłeś.
- I chyba trudno zapomnieć o starych czasach tam spędzonych.
- Niby gdzie?
- W Beaufort, Południowa Karolina.
- Możesz jaśniej?

- Starsza pani często tam dzwoniła, przestała nagle zeszłej zimy.
- Dokąd dzwoniła?
- To chyba prywatny numer. Tamtejszy szeryf ma to dzisiaj sprawdzić.
- I to tam mieszkała ta rodzina?

- Niezupełnie. To powiązanie z Beaufort skłoniło mnie do zastanowienia się. Dzwoniła dość regularnie, telefony urwały się nagle dwunastego grudnia. Dlaczego? To trzy miesiące przed pożarem. Coś mi nie dawało spokoju. Trzy miesiące. I w końcu skojarzyłem. Sąsiedzi twierdzili, że ta para z dziećmi mieszkała w St-Jovite trzy miesiące. Ty powiedziałaś, że dzieci miały cztery miesiące, więc może urodziły się w Beaufort, a telefony skończyły się, kiedy rodzina przyjechała do St-Jovite.

Pozwoliłam mu mówić.

- Zadzwoń do szpitala Memoriał w Beaufort, ale w zeszłym roku nie urodziła się ani jedna para bliźniąt chłopców. Sprawdziłem więc kliniki i jest. Przypomnieli sobie matkę w... - Znowu zaszeleścił papier. - ...Klinice Zdrowia Ogólnego Beaufort-Jasper na Świętej Helenie. To jest wyspa.

- Wiem o tym, Ryan.

- To wiejska klinika zdrowia, głównie czarni lekarze, głównie czarni pacjenci. Rozmawiałem z jedną panią ginekolog, która najpierw coś tam bredziła o prywatności pacjentów, a potem przyznała, że opiekowała się ciężarną, która pasowała do mojego opisu. Kiedy ta kobieta przyjechała, była w czwartym miesiącu ciąży bliźniaczej. Termin miała wyznaczony na koniec listopada. Heidi Schneider. Lekarka powiedziała, że ją zapamiętała, bo była biała, i z powodu bliźniaków.

- A więc tam urodziła?

- Nie. Kolejnym powodem, dla którego ją zapamiętała, było zniknięcie pacjentki. Kobieta chodziła do kontroli przez cały szósty miesiąc, a potem już się nie pojawiła.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle powiedziała, zanim jej nie przefaksowałem zdjęcia z autopsji. Chyba będzie jej się to śniło przez jakiś czas. Kiedy zadzwoniła, była bardziej skłonna do zwierzeń. Formularz osobowy zbyt wiele nie wyjaśnił. Heidi nie była zbyt rozmowna przy wypełnianiu. Podała, że ojcem jest Brian Gilbert, adres w Sugar Land w Teksasie, a w rubrykach na jej miejscowy adres i telefon nic nie wpisała.

- Znaleźliście coś w Teksasie?

- Właśnie sprawdzamy, proszę pani.

- Ryan, nie zaczynaj.



- Jaki poziom reprezentują nasi mundurowi w Beaufort?  
- Nie wiem. Ale i tak ich jurysdykcja nie sięga Świętej Heleny. Nie jest przyłączona, więc to jest terytorium szeryfa.

- A więc spotkamy się z nim.

- My?

- Lecę tam w niedzielę i przydałby mi się jakiś przewodnik. Wiesz, ktoś, kto zna język, zna tamtejszy protokół. I nie mam pojęcia, jak się je tę waszą kaszę.

- Nie mogę. W przyszłym tygodniu przyjeżdża Katy. Poza tym Beaufort to moje ukochane miejsce na ziemi. Jeżeli kiedykolwiek cię oprowadzę, a prawdopodobnie nigdy się to nie zdarzy, na pewno nie wtedy, kiedy ty będziesz pracował nad sprawą.

- Albo dlaczego.

- Co dlaczego?

- Dlaczego je się kaszę.

- Zapytaj mądrzejszych.

- A ty pomyśl o tym.

Nie musiałam. Spotkania Ryana w Beaufort pragnęłam równie mocno jak umieszczenia moich danych na liście osób samotnych w kąciку Ludzie Spotykają Ludzi mojej lokalnej gazety.

- A co z tymi dwoma zwęglonymi ciałami na piętrze? - Wróciłam do St-Jovite.

- Nadal nad tym pracujemy.

- Czy Anna Goyette się pojawiła?

- Nie mam pojęcia.

- A są postępy w sprawie, którą prowadzi Claudel?

- W której?

- Tej poparzonej ciężarnej dziewczyny.

- O niczym nie wiem.

- To się dowiedz. I daj mi znać, co znajdziesz w Teksasie.

Odłożyłam słuchawkę i przyniosłam sobie dietetyczną colę. Jeszcze wtedy nie przeczuwałam, że tego dnia będę dużo rozmawiać przez telefon.

Całe popołudnie pracowałam nad referatem, który planowałam zaprezentować na spotkaniu Amerykańskiego Związku Antropologii Fizycznej na początku kwietnia. Jak zwykle odczuwałam stres spowodowany odkładaniem zbyt wiele na ostatnią chwilę.

O wpół do czwartej, kiedy zajęta byłam sortowaniem zdjęć tomografii komputerowej, znowu zadzwonił telefon.

- Jeszcze tam siedzisz?

- Ryan, niektórzy pracują.

- Adres w Teksasie to dom Schneiderów. Rodzice twierdzą, że Heidi i Brian pojawili się w sierpniu i zostali aż do narodzin dzieci. Heidi nie chciała opieki szpitalnej i urodziła w domu, z położną. Łatwy poród. Żadnych komplikacji. Dziadkowie szaleli ze szczęścia. Potem na początku grudnia odwiedził ich jakiś mężczyzna, a tydzień później jakaś starsza pani podjechała furgonetką i wyjechali razem.

- Dokąd pojechali?

- Rodzice nie wiedzą. Nie kontaktowali się od tamtej pory.

- Kim był ten mężczyzna?

- Nie mamy żadnej wskazówki, ale oni twierdzą, że mocno przestraszył Heidi i Briana. Po jego wyjściu ukryli dzieci i nie chcieli wyjść z domu, dopóki nie zjawiała się ta starsza pani. Papie Schneiderowi on się też nie podobał.

- Dlaczego?

- Nie spodobał mu się jego wygląd. Podobno przypominał... Pozwól mi zacytować. - Wyobraziłam sobie, jak przerzuca kartki w swoim notesie. - "...cholerny skunks". Poeta, co?

- Niech się Yeats schowa. Coś jeszcze?

- Rozmawiając z tymi ludźmi miałem wrażenie, że gadam ze swoją papugą, ale tylko to mogłem zrobić.

- Masz papugę?

- Babcia powiedziała, że Heidi i Brian należeli do jakiejś grupy. Wszyscy mieszkali razem. Mówić dalej?

- Właśnie wzięłam cztery tabletki valium. Dawaj.

- W Beaufort, Południowa Karolina.

- To by pasowało.

- Jak cholera.

- Co jeszcze mówili?

- Nieważnego.

- A co z Brianem Gilbertem?

- Poznali się z Heidi na uczelni dwa lata temu i oboje krótko potem rzucili studia. Babcia Schneider myślała, że on pochodzi z Ohio. Powiedziała, że śmiesznie mówił. Sprawdzamy to. - Powiedziałaś im?

- Tak.

Przez chwilę milczeliśmy. Informowanie o morderstwie to najgorszy obowiązek w

pracy detektywa, tego boją się najbardziej.

- Nadal potrzebuję cię w Beaufort.
- Nadal nie jadę. To sprawa policyjna, nie sądowa.
- Kiedy się zna okolice, to można przyspieszyć sprawę.
- Nie w Beaufort.

Dziesięć minut później telefon się znowu rozdzwonił.

- *Bonjour, Temperance. Comment ca va?*

LaManche. Ryan nie marnował czasu i umiał się o siebie zatroszczyć. Czy nie mogłabym pomóc porucznikowi Ryanowi w sprawie w Beaufort? To wyjątkowo delikatna sprawa, a media zaczynają się niecierpliwić. Zapłacą mi i zwrócą wszelkie koszty.

W czasie rozmowy zapaliła się lampka oznaczająca nową wiadomość. Obiecałam mu, że zobaczę, czy dam radę, i rozłączyłam się.

Wiadomość zostawiła Katy. Jej plany na następny tydzień nieco się zmieniły. Przyjeżdżała do domu na weekend, ale potem chciała dołączyć do swoich przyjaciół na wyspie Hilton Head.

Oparłam się o biurko, by zebrać myśli, a wzrok sam pobiegł ku ekranowi komputera z moim nie dokończonym referatem. Mogłam jechać do Beaufort z Katy i mogłam tam pisać dalej. Potem ona pojechałaby na Hilton Head, a ja zostałabym i pomogła Ryanowi. LaManche byłby zadowolony. Ryan też. I przydałaby się jakaś dodatkowa gotówka.

Miałam też powód, by nie jechać.

Telefon Ryana sprawił, że przed oczami co chwila stawał mi Malachy. Widziałam jego półprzymknięte oczy i zniekształconą klatkę piersiową, jego, małe paluszki zacisnięte w chwili śmierci. Pomyślałam o jego zmarłym, braciszku, nieżyjących rodzicach i rozpaczających dziadkach. To całe rozmyślanie wprowadziło mnie w stan melancholii i zapragnęłam na chwilę uciec od tego wszystkiego.

Sprawdziłam swój plan zajęć na następny tydzień. Na czwartek zaplanowałam projekcję filmu na temat ewolucji człowieka. To mogłam przesunąć. Temat może być równie inspirujący we wtorek.

Przepytywanie z kości na zajęciach z osteologii, następnie laboratorium. Wykonałam krótki telefon. Żaden problem. Alex mnie zastąpi, jeżeli wszystko dla niej przygotuję.

Sprawdziłam program spotkań. Żadnych zebrań komitetu w tym miesiącu. Po jutrzejszym następane spotkanie ze studentami wypada dopiero pod koniec przyszłego tygodnia.

Mogłoby się udać.

A tak naprawdę to moim obowiązkiem było pomagać, jeżeli tylko mogłam. Bez względu na to, jak ważna miałyby być moja rola. Nie mogłam przywrócić kolorów policzkom Malachy'ego ani zamknąć okropnej rany w jego piersi. Nie mogłam też wymazać bólu Schneiderów ani oddać im dzieci i wnuków. Mogłam tylko pomóc w ujęciu psychopatycznego mutanta, który ich zabił. I może uratować innych takich jak Malachy.

Jeżeli masz zamiar to zrobić, Brennan, to po prostu to zrób.

Zadzwoiłam do Ryana i powiedziałam, że mogę mu poświęcić poniedziałek i wtorek. Dam mu znać, gdzie się zatrzymam.

Przyszedł mi do głowy pomysł, więc zadzwoniłam w jeszcze jedno miejsce, a potem do Katy. Wyjaśniłam jej mój plan, a ona była jak najbardziej za. Ustaliliśmy, że spotkamy się w domu w piątek i pojedziemy moim samochodem.

- Zaraz idź do kliniki i zrób test na gruźlicę - kazałam. - Podskórny, nie tylko powierzchniowy. I niech zrobią analizę wyników w piątek, zanim wyjedziesz.

- Po co?

- Mam świetny pomysł na twoją pracę i to jest niezbędne. A jak będziesz w klinice, weź kopię swojej karty szczepień.

- Mojej czego?

- Zapisy wszystkich szczepień. Musisz to dołączyć do dokumentów na uniwersytet. I przywieź wszystkie materiały, które profesor rozdał w związku z tą pracą.

- Czemu?

- Zobaczysz.

W czwartek zajęcia przeplatały się z konsultacjami ze studentami. Po obiedzie wykręciłam do Pete'a i poprosiłam, by zaglądał do Birdy'ego w weekend. Około dziesiątej zadzwoniła Harry i zawiadomiła mnie, że skończyła swoje seminarium. Wybrano ją na spotkanie z profesorem i została zaproszona do niego na obiad w piątek. Chciała jeszcze zostać w moim mieszkaniu na weekend.

Odparłam, że może sobie mieszkać tak długo, jak tylko jej się podoba. Nie pytałam, gdzie była cały tydzień ani dlaczego nie zadzwoniła. Ja wykręciłam kilka razy, w tym dwa razy po północy, a ona ani razu nie oddzwoniła. O tym też jej nie powiedziałam.

- Spotykasz się z Ryanem w Królestwie Bawełny w przyszłym tygodniu? - zapytała.
- Wszystko na to wskazuje. - Zęby zaczęły mi się zaciskać. Skąd ona o tym wie?
- Powinno być miło.
- To sprawa zawodowa, Harry.
- Zgadza się. Ale on i tak jest przystojny jak diabli.
- Jego przodków uczono szukać trufli.
- Co?
- Nieważne.

W piątek rano wybrałam fragmenty kości, wypisałam pytania i rozłożyłam zestawy na tackach. Alex, moja asystentka, ułoży kartki i próbki w porządku liczbowym i będzie odliczała czas, kiedy studenci będą przechodzić od jednej "stacji" do drugiej. Znany od lat sposób na test.

Katy pojawiła się punktualnie, o dwunastej pędziłyśmy już na południe. Było ponad piętnaście stopni ciepła, a niebo kolorem przypominało plakaty reklamowe. Założyłyśmy okulary przeciwsłoneczne i opuściłyśmy szyby w samochodzie, pozwalając wiatrowi rozwiewać nasze włosy. Ja kierowałam, a Katy włączyła rock and rolla.

Jechałyśmy drogą I-77 przez Columbię, potem I-25 na południowy wschód i znów na południe drogą I-95. W Yemassee zjechałyśmy z międzystanowej i pędziłyśmy wąskimi drogami niższej kategorii. Rozmawiałyśmy, śmiałyśmy się i robiłyśmy sobie przerwy w podróży, kiedy tylko przyszła nam na to ochota. Barbecue w Piggy Park Maurice'a. Fotka w ruinach starego kościoła Sheldon-Prince Williams, spalonym przez Shermana po jego marszu przez Georgię. Nieskrępowana żadnym harmonogramem, mając przy sobie ukochaną córkę i zmierzając ku ukochanemu miejscu czułam się wspaniale.

Katy opowiadała mi o swoich zajęciach i facetach, z którymi się umawiała. Według niej nic poważnego. Powiedziała mi też o kłótni z przyjaciółmi, już na szczęście po wszystkim, która zagroziła jej planom na przerwę wiosenną. A kiedy opisywała mi dziewczyny, z którymi dzieli mieszkanie na Hilton Head, płakałam ze śmiechu. To właśnie była moja córka, o czarnym humorze, którym zakasowałyby wszystkie wampiry. Chyba nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko i przez chwilę byłam młoda i wolna, zapomniałam o zamordowanych bliźniakach.

W Beauford minęliśmy lotnisko marynarki wojennej, na chwilę zatrzymałyśmy się w Bi-Lo, potem przejechałyśmy przez miasto i przez most Woods Memoriał na Lady's Island. Na moście obróciłam się, by spojrzeć na wybrzeże Beaufort; ten widok zawsze wprowadzał mnie w doskonały humor.

Niedaleko Beaufort spędzałam letnie wakacje w dzieciństwie i nawet jako dorosła osoba, ale się to skończyło, kiedy zaczęłam pracować w Montrealu. Widziałam rosnące jak grzyby po deszczu bary szybkiej obsługi i budowę siedziby władz okręgu, którą mieszkańcy nazwali "Taj Mahal". Drogi zostały poszerzone, przybyło samochodów. Na wyspach powstały kluby golfowe i osiedla. Ale Bay Street się nie zmieniła. Okazałe rezydencje sprzed wojny domowej nadal stały wśród amerykańskich dębów obwieszonych hiszpańskim mchem. Tak wiele w życiu się zmienia; leniwie toczące się życie Beaufort zawsze było dla mnie duchowym wsparciem. Sam czas odpływa leniwie w kierunku wiecznego morza.

Kiedy zjeżdżałyśmy z mostu, przed nami i na lewo rozciągała się kolonia łodzi zacumowanych na Factory Creek, małym zalewie Beaufort River. Popołudniowe słońce błyszczało w ich oknach i jarzyło się białe na masztach i pokładach. Przejechałyśmy jeszcze osiemset metrów szosą numer 21 i skręciłyśmy na parking przed restauracją Ollie's Seafood. Minęłam dęby i w końcu zatrzymałam się tuż nad brzegiem wody, na samym końcu parkingu.

Wzięłyśmy z Katy wszystkie nasze artykuły spożywcze i torby i przeszłyśmy od restauracji do przystani Lady's Island. Po obu stronach rozciągały się tereny przybrzeżne zalewane podczas przyływów, nowe wiosenne roślinki błyszczały zielono wśród ciemnych zeszłorocznych. Strzyżyki bagienne głośno protestowały przeciwko naszej obecności i śmigały wśród trawy morskiej i pałek wodnych. Oddychałam powietrzem, w którym mieszały się zapachy słonawej wody, chlorofilu i gnijącej roślinności i cieszyłam się, że znowu tu jestem.

Pasaż od brzegu przypominał tunel wiodący przez główne biuro przystani, biały budynek z niskim trzecim piętrzem tuż pod dachem i otwartym przejściem na pierwszym

piętrze. Drzwi po naszej prawej stronie prowadziły do toalet i pralni. Biura Apex Realty, firmy żeglarskiej i komendanta portu znajdowały się po lewej stronie.

Przeszliśmy przez tunel, zeszliśmy na unoszący się na wodzie pomost z poziomymi poręczami z drewna i skierowałyśmy się ku najdalej leżącemu dokowi. Po drodze Katy przyglądała się każdemu z jachtów, które mijaliśmy. *Ecstasy*, dwunastometrowy Morgan z Norfolk, Wirginia. *Blew Palm*, wykonany na zamówienie jacht o długości szesnastu metrów ze stalowym kadłubem i żaglem tak wielkim, że mógłby żeglować dookoła świata. *Hillbilly Heaven*, klasyczny jacht z lat trzydziestych, kiedyś elegancki, teraz zniszczony i niezdatny do żeglugi. Ostatnim jachtem po prawej stronie była Melanie Tess. Katy zmierzyła wzrokiem trzynastometrowy zabytek, ale nic nie powiedziała.

- Poczekaj tu chwilę - odezwałam się, rzucając moje tobołki na pomost.

Zeszłam na rufę, wspiełam się na mostek i rozpracowałam kombinację na skrzynce z narzędziami tuż przy miejscu kapitana. Wydobyłam klucz, otworzyłam wejście na rufie, odsunęłam luk i zeszłam kilka stopni do głównej kabiny. W środku było zimno i pachniało drewnem i odświeżaczem powietrza o zapachu sosny. Otworzyłam boczne wejście i Katy podała jedzenie i torby, a potem sama weszła na pokład.

Bez słowa zostawiłyśmy wszystko w głównym salonie i obejrzałyśmy cały jacht, oceniając wystrój. To był nasz zwyczaj, robiłyśmy tak, od kiedy była bardzo mała, i nawet w zgrzybiałej starości będę tak robić zatrzymując się w nieznanym mi miejscu. Melanie Tess nie była aż tak mi nieznana, ale nie stałam na jej pokładzie pięć lat i bardzo chciałam zobaczyć, jakie zmiany wprowadził tu Sam.

Nieco poniżej głównego salonu i za nim odkryłyśmy kuchnię. Mieściła w sobie dwupalnikową kuchenkę, zlew i drewnianą lodówkę z zamrażarką w starym stylu. Parkiet na podłodze, ściany, tak jak wszędzie, z drewna tekowego. Po prawej stronie był kąt jadalny, z poduszkami w krzykliwych kolorach zielonym i różowym. Za kuchnią miałyśmy spiżarnię, toaletę i koję tak dużą, że mogłyby tam swobodnie spać dwie osoby.

Dalej w kierunku rufy znajdowała się kabina kapitańska z ogromnym łóżkiem i szafkami z lustrami. Podobnie jak główny salon i kąt jadalny, ściany były tekowe, a wyłożenie mebli z kolorowej bawełny. Katy z ulgą odkryła prysznic obok toalety.

- Jest super - powiedziała. - Mogę spać w koi?

- Jesteś pewna? - zapytałam,

- Absolutnie. Wygląda na superwygodną, uwiję sobie takie gniazdko, że pęknie z zazdrości.

Roześmiałam się.

- A poza tym będę tutaj tylko dwie noce; ty weź większe łóżko.
- Dobrze.
- Popatrz, to chyba wiadomość dla ciebie. - Wzięła ze stołu kopertę i mi ją podała, Rozerwałam kopertę i wyjęłam karteczkę.

*Woda i elektryczność podłączona, więc wszystko powinno być w porządku. Zadzwoń do mnie, kiedy się już urządzisz.*

*Pójdziemy coś zjeść. Baw się dobrze.*

*Sam*

Zaniosłyśmy całe nasze jedzenie do kuchni, potem Katy poszła się rozpakować, a ja wykręciłam numer Sama.

- Witaj, już się urządziliście?
- Jesteśmy tu od dwudziestu minut. Jacht wygląda pięknie, Sam. Nie mogę uwierzyć, że to ta sama łódź.
- Wymagało to tylko trochę pieniędzy i siły mięśni.
- To widać. Schodzisz czasem na pokład?
- O, tak. Dlatego zainstalowałem telefon i sekretarkę. Może to trochę za dużo jak na wyposażenie łodzi, ale muszę być w kontakcie z innymi. Ty też dzwoń, gdzie chcesz. Bez skrupowania.
- Dzięki, Sam. Jestem ci naprawdę wdzięczna.
- Kurczę, nie korzystam z niej zbyt często. A ktoś powinien.
- Jeszcze raz dzięki.
- Może skoczmy na obiad?
- Naprawdę nie chciałabym nadużywać twojej...
- Do diabła, ja też muszę coś jeść. Zrobimy tak: Idę na rynek rybny Gaya kupić ryby, bo Melanie na jutro ma coś ekstra przygotować. Spotkajmy się w Factory Creek Landing. To jest po prawej stronie, zaraz za restauracją Olliego, tuż przed mostem. Niezbyt wytworne miejsce, ale podają świetne krewetki.
- O której?
- Teraz jest za dwadzieścia siódma, może o wpół do ósmej. Zdążę do garażu po Harleya.
- Pod jednym warunkiem. Ja płacę.
- Twarda z ciebie kobieta, Tempe.



- Nie zadzieraj ze mną.
- Jutro nadal aktualne?
- Jeżeli ci pasuje. Nie chcę...
- Dobra. Dobra. Mówiłaś jej?
- Jeszcze nie. Ale się domyśli, jak tylko się spotkacie. Do zobaczenia za godzinę.

Rzuciłam torbę na łóżko i wyszłam na mostek. Słońce zachodziło, jego ostatnie promienie malowały świat na karmazynowo. Zalewało czerwienią moczary po mojej prawej stronie i zabarwiało białego ibisa stojącego w trawie. Sylwetka mostu do Beaufort rysowała się czarno na różowym tle, jak kręgosłup jakiegoś prehistorycznego potwora na de nieba. Z naszego małego mola widać było łodzie w przystani miejskiej po drugiej stronie rzeki.

Chociaż się ochłodziło, powietrze nadal było bardzo przyjemne. Lekki wiatr bawił się z pasmami moich włosów.

- To jaki mamy plan?

Katy stanęła przy mnie. Spojrzałam na zegarek.

- Spotykamy się z Samem Rayburnem za pół godziny i idziemy na obiad.

- Z jakim Samem Rayburnem?

- Burmistrzem Beaufort i moim starym przyjacielem.

- Ile ma lat?

- Starszy ode mnie. Ale wciąż chodzi o własnych siłach. Polubisz go.

- Zaraz. - Wskazała mnie palcem, a wyraz jej oczu powiedział mi, że w umyśle formułowała się myśl. Nagle przebłysk. - To nie jest ten facet od małp?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

- To tam idziemy jutro? Nie, nie mów. Jasne, że tak. To dlatego musiałam robić te testy!

- I zrobiłaś je, co?

- Odwołaj miejsce w sanatorium -- powiedziała, wyciągając rękę. - Nie mam gruźlicy.

Kiedy przyszliśmy do restauracji, motocykl Sama stał już na parkingu. Kupiony w zeszłym roku, razem z lotusem, jachtem i małym samolotem silnikowym należał do ulubionych zabawek Sama. Nigdy nie wiem, czy on się w ten sposób broni przed kryzysem wieku średniego, czy też próbuje całą swoją uwagę skupić na czynnościach ludzkich, po latach poświęconych czynnościom wykonywanym przez naczelne.

Chociaż jest ode mnie o dziesięć lat starszy, jesteśmy przyjaciółmi od ponad dwudziestu lat. Spotkaliśmy się, kiedy ja byłam studentką drugiego roku, a on skończył dwa

lata wcześniej. Podejrzewam, że ciągnęło nas do siebie, bo życie każdego z nas było tak różne od życia drugiego.

Sam jest Teksaszczykiem, jedynym dzieckiem żydowskich właścicieli pensjonatu. Kiedy Sam miał piętnaście lat, jego ojciec zginął broniąc kasy, w której było dwanaście dolarów. Po śmierci męża pani Rayburn popadła w depresję, z której już nigdy nie wyszła. Na chłopaka spadł ciężar prowadzenia interesu, kończenia szkoły średniej i opieki nad matką. Kiedy zmarła siedem lat później, sprzedał pensjonat i wstąpił do marynarki. Nie mógł sobie znaleźć miejsca i niczym się nie interesował.

Życie w armii uczyniło z niego tylko większego cynika. Na obozie dla rekrutów błazeństwa jego nowych kolegów wyjątkowo go denerwowały i coraz bardziej się w sobie zamykał. Podczas pobytu w Wietnamie godzinami obserwował ptaki i zwierzęta, traktując to jako ucieczkę przed horrorem, który rozgrywał się wokół niego. Cała ta rzeź go bulwersowała i czuł się niezwykle winny biorąc w tym udział. Niewinne zwierzęta, nie motywowane przez , skomplikowane schematy stworzone po to, by zabijać należących do tego samego gatunku, stanowiły kontrast. Szczególnie interesowały go małpy, ich uporządkowane społeczności i sposoby, jakich używały rozwiązując konflikty, nie stosując przy tym niepotrzebnej przemocy. Po raz pierwszy Sam był , prawdziwie zafascynowany.

Wrócił do Stanów i wstąpił na Uniwersytet Illinois w Champaign-Urbana. Tytuł licencjata otrzymał po trzech latach i kiedy go poznałam, był asystentem na wydziale podstaw zoologii, gdzie zostałam przydzielona. Wśród studentów był znany ze swojego temperamentu, ostrego języka i skłonności do irytacji. Uczulony był zwłaszcza na studentów tępych i nie przygotowanych do zajęć. Oprócz tego był skrupulatny i wymagający, ale wyjątkowo sprawiedliwy przy ocenianiu pracy studentów.

Kiedy go lepiej poznałam, stwierdziłam, że lubił tylko kilka osób, ale ci, którzy zaliczali się do tego ścisłego grona, cieszyli się jego wyjątkową lojalnością. Powiedział mi kiedyś, że po tylu latach spędzonych wśród małp nie pasował już do społeczności ludzi. Małpia perspektywa, jak ją nazwał, ukazała mu śmieszność zachowań ludzkich.

W końcu zajął się fizyczną antropologią, przeprowadził badania w Afryce i zrobił doktorat. Pracował na kilku uniwersytetach, a na początku lat siedemdziesiątych przyjechał do Beaufort jako kierujący działem naczelnych.

Z upływem czasu złagodniał, ale sędzę, że zawsze będzie się czuł nieswojo wśród ludzi. I nie wynika to z jego niechęci do kontaktów. On nie ma nic przeciwko nim. Najlepszym dowodem jest jego funkcja burmistrza. Dla Sama życie ma inne znaczenie niż dla reszty ludzi. Stąd to zainteresowanie motorami i latającymi skrzydłami. W nich znajduje

motywację i ekscytację, z drugiej strony może nimi sterować. Sam Rayburn to jedna z najbardziej skomplikowanych i najinteligentniejszych osób, jakie kiedykolwiek znałam.

Jego wysokość burmistrz siedział właśnie przy barze, oglądał koszykówkę i pił piwo beczkowe.

Przedstawiłam mu moją córkę i, jak zwykle. Sam obejmując kierownictwo zamówił sobie następny kufel, a dla nas dietetyczną colę i poprowadził nas do stolika z tyłu restauracji.

Katy, nie tracąc czasu, upewniła się co do swoich podejrzeń dotyczących naszych jutrzejszych planów i zasypała Sama pytaniami.

- Jak długo kieruje pan centrum naczelnych?

- Już przestałem liczyć. Jakies dziesięć lat temu przestałem pracować dla kogoś i kupiłem tę cholerną firmę dla siebie. Za dużo z tego nie wyszło, ale cieszę się, że to zrobiłem. Nie ma to jak być swoim własnym szefem.

- Ile małp żyje na wyspie?

- Teraz jakieś cztery tysiące pięćset.

- Do kogo należą?

- Do FDA, czyli urzędu federalnego sprawującego kontrolę nad jakością żywności i lekarstw. Moja firma jest właścicielem wyspy i zarządza zwierzętami.

- Skąd pochodzą?

- Zostały sprowadzone na wyspę Murtry z kolonu badawczej w Puerto Rico. Razem z twoją mamą tam pracowaliśmy, chyba jeszcze w epoce brązu! Pochodzą z Indii. To są rezusy.

- *Macaca mulatta*. - Katy wymówiła rodzaj i gatunek melodyjnym, jednostajnie wznoszącym się i opadającym głosem.

- Bardzo dobrze. A skąd znasz taksonomię naczelnych?

- Specjalizuję się w psychologii. Rezusy są obiektem wielu badań, jak pan sam pewnie wie...

Sam miał to właśnie skomentować, kiedy nadeszła kelnerka z talerzami smażonych małży i ostryg, gotowanych krewetek, chleba z mąki kukurydzianej i surówki z białej kapusty. Pochłonęło nas polewanie potraw sosem, i wyciskanie soku z cytryn i obieranie krewetek.

- Do czego te małpy są używane?

- Populacja na Murtry to kolonia hodowlana. Niektóre roczniaki są zabierane i wysyłane do FDA, ale jeżeli osobnik nie jest schwytyany, zanim osiągnie odpowiednią wagę

ciała, zostaje tam na całe życie. Małpi raj.

- Co tam jeszcze jest? - Mojej córce jedzenie i mówienie w tym samym momencie nie sprawiało najmniejszej trudności.

- Niewiele. Małpy chodzą sobie, gdzie chcą. Zakładają swoje własne społeczności i mają swoje własne zasady. Są miejsca dokarmiania i zagrody, gdzie małpy są łapane, ale poza obozem wyspa należy do nich.

- Jakim obozem?

- Tak nazywamy teren przy doku. Jest tam stacja terenowa, mała klinika weterynaryjna, przeważnie dla nagłych wypadków, szopa na jedzenie dla małp i przyczepa kempingowa dla studentów i badaczy.

Zanurzył ostrygę w sosie koktajlowym, odchylił głowę do tyłu i włożył sobie smakołyk do ust.

- W dziewiętnastym wieku na wyspie była plantacja. - Do brody przyczepiły mu się małe, czerwone drobinki. - Należała do rodziny Murtry. Stąd wzięła się nazwa wyspy.

- Kto tam może pojechać? - Katy obrała kolejną krewetkę.

- Absolutnie nikt. Małpy są wolne od wszelkich wirusów i warte kupę forsy. Każdy, absolutnie każdy, kto postawi nogę na wyspie, przechodzi przez moje ręce i musi mieć mnóstwo szczepień, między innymi test na gruźlicę wykonany nie dawniej niż sześć miesięcy temu.

Sam spojrzał na mnie pytająco, a ja kiwnęłam głową.

- Nie sądziłam, że gruźlica jest nadal taka groźna.

- Dla człowieka. Ale małpki są bardzo wrażliwe na gruźlicę. Wybuch epidemii w mgnieniu oka zniszczyłby całą kolonię.

Katy zwróciła się do mnie.

- Twoi studenci też musieli się szczepić?

- Za każdym razem.

Na samym początku mojej pracy, nim zainteresowała mnie antropologia i sądowa, w zakres moich badań nad starzeniem się szkieletu wchodziła praca z małpami. Prowadziłam wtedy zajęcia z prymatologii na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Charlotte i szkołę terenową na wyspie Murtry. Przez czternaście lat jeździłam tam ze studentami.

- Hm - Katy połknęła małża. - Ciekawie się zapowiada.

Następnego dnia o wpół do ósmej rano staliśmy w doku na północnym krańcu Lady's Island, nie mogąc się doczekać wyjazdu na Murtry. Jechaliśmy tutaj jak przez terrarium.

Wszędzie utrzymywała się gęsta mgła, zacierająca kształty i sprawiając, że świat stał się nieco nieczytelny. Z miejsca, gdzie staliśmy, do Murtry było mniej niż tysiąc pięćset metrów, ale mgła znacznie ograniczała widoczność. Gdzieś obok nas przestraszony ibis wzbił się w powietrze, ciągnąc za sobą długie, chude nogi.

Przybyli ludzie załadowywali dwie otwarte łodzie. Wkrótce skończyli i odbili. Katy i ja popijałyśmy kawę oczekując na sygnał od Sama. Wreszcie zagwizdał i przywołał nas gestem. Zgniecione kubki styropianowe wrzuciłyśmy do beczki po benzynie pełniącej funkcję kubła na śmieci i pośpiesznie zeszyliśmy na niższy pomost.

Sam pomógł nam wejść na pokład, odwiązał linę i wskoczył. Skinął człowiekowi przy kole sterowym i płynęliśmy w małą zatoczkę.

- Jak długo będziemy płynąć? - zapytała Sama Katy.

- Jest przypyływ, więc przepłyniemy Parrot Creek, potem zatoczką z tyłu i przetniemy bagna. Nie powinno nam to zająć więcej niż czterdzieści minut.

Katy siadła po turecku na pokładzie.

- Lepiej wstań i oprzyj się - zasugerował Sam. - Kiedy Joey zmniejsza obroty silnika, ta łódź skacze. Wtedy nieźle trzęsie.

Moja córka wstała i Sam podał jej linę.

- Trzymaj się tego. Chcesz kamizelkę ratunkową?

Katy potrząsnęła głową. Sam spojrzał na mnie.

- Ona świetnie pływa - zapewniłam go.

Właśnie w tym momencie Joey zapuścił silnik i łódź skoczyła. Pruliśmy przez otwartą wodę, wiatr rozwiewał włosy i ubranie i porywał słowa z ust. W pewnej chwili Katy poklepała Sama po ramieniu i wskazała boję.

- Sieć na kraby - krzyknął.

Kawałek dalej pokazał jej gniazdo rybołowa na znaku kanałowym. Katy energicznie skinęła głową.

Wkrótce potem płynęliśmy na bagna. Joey, stając na rozstawionych nogach, z oczami utkwionymi przed sobą, kręcił kołem, prowadząc łódź przez wąskie wstążki wody. Nigdzie nie było więcej niż trzy metry wolnej przestrzeni. Czasami pochylaliśmy się w lewo, potem w prawo, manewrując po tafli i zalewając trawy po obu stronach fontannami wody.

Katy i ja trzymałyśmy się łodzi i siebie nawzajem, nasze ciała wstrząsane były siłą odśrodkową przy ostrzejszych zakrętach, a my śmiałyśmy się i podobała nam się i prędkość, i krajobrazy. Zawsze kochałam wyspę Murtry, ale chyba jeszcze bardziej docieranie na miejsce.

Kiedy dotarliśmy do celu, mgła już opadła. Słońce zalewało dok i znak wejścia na wyspę. Wietrzyk poruszał gałęziami drzew, których liście rzucały drgające cienie na napis: WŁASNOŚĆ RZĄDOWA. NIE WCHODZIĆ ZAKAZ WSTĘPU.

Kiedy rozładowano łodzie i wszyscy zeszli z pokładu, Sam przedstawił ludziom Katy. Ja znałam większość z nich, choć dostrzegłam kilka nowych twarzy. Joey został zatrudniony dwa lata wcześniej. Fred i Hank byli tu od lat. Przedstawiając ekipę, Sam krótko opisał operację.

Joey, Larry, Tommy i Fred byli technikami, do ich codziennych obowiązków należało utrzymywanie dobrych warunków i transport zaopatrzenia. Malowali i reperowali, czyścili zagrody i miejsca dokarmiania i pilnowali, by zwierzęta miały zawsze wodę i pokarm.

Jane, Chris i Hank, bardziej zaangażowani w badania, obserwowali grupy pozyskując rozmaite dane.

- Jakże? - zainteresowała się Katy.

- Ciężce, narodziny, śmierci, problemy zdrowotne. Nieustannie obserwujemy populację. Prowadzimy też badania. Jane skupia się nad serotoniną. Codziennie obserwuje i zapisuje różne typy zachowań, które małpy są bardziej agresywne, bardziej impulsywne. Następnie porównujemy dane z poziomami serotoniny. Patrzymy też na ich miejsca w społeczności. Jej małpy noszą wysyłające sygnały telemetryczne kołnierze, więc łatwo jest je znaleźć. Pewnie jakąś zobaczysz.

- Serotoniną to substancja chemiczna w mózgu - wyjaśniłam.

- Tak - odparła Katy. - Nośnik, który, jak się uważa, ma związek z agresją.

Sam i ja spojrzeliśmy na siebie z uśmiechem. Cóż za dziewczyna!

- A jak określcie, czy małpa jest impulsywna? - padło kolejne pytanie mojej córki.

- Taki osobnik postępuje ryzykownie. Wykonuje dłuższe skoki, na wyższych drzewach. Opuszcza rodzinę wcześniej niż inne.

- Osobnik?

- To są próbne badania. Tylko na męskich przypadkach.

- Jeden z moich takich podopiecznych jest w obozie - powiedziała Jane, instalując sobie pudełko z długą anteną wokół pasa. - J-7. Należy do grupy 0. Często się tu kręca.

- To ten kleptomani? - zapytał Hank.

- Tak. Zgarnia wszystko, co nie jest przytwierdzone do podłoża. W zeszłym tygodniu świsnął kolejny długopis. I zegarek Larry'ego. Myślałam, że Larry będzie miał wylew, tak za nim biegał.

Kiedy wszyscy wzięli już swoje rzeczy, sprawdzili przydzielone zadania i poszli, Sam

zabrał Katy na wycieczkę po wyspie.

Poszłam za nimi przyglądając się, jak moja córka staje się obserwatorem małp.

Kiedy posuwaliśmy się szlakiem, Sam pokazywał miejsca karmienia i opisywał każdą z grup, która przy nich się zbierała. Mówił o terytorium, hierarchiach dominacji i granicach macierzyństwa, a Katy przez lornetkę przyglądała się drzewom.

W miejscu karmienia E Sam rzucił kilka ziaren suszonej kukurydzy na dach z blachy falistej.

- Stójcie cicho i patrzcie.

Wkrótce usłyszeliśmy szelest liści i dostrzegliśmy zbliżającą się grupę. Chwilę potem wokół nas zaroilo się od małp - kilka siedziało na drzewach, Inne zeszły na ziemię i pobiegły zebrać kukurydzę.

Katy była zachwycona.

- To jest grupa F - wyjaśnił Sam. - Jest niewielka, ale przewodzi w niej jedna z najważniejszych samic na wyspie. To prawdziwa suka.

Po drodze do obozu Sam pomógł Katy zaplanować prosty projekt. Uporządkowała swoje notatki, a on przyniósł jej torbę pełną kukurydzy, z którą ruszyła z powrotem między drzewa. Patrzyłam na nią, kiedy zniknęła między dwoma rzędami dębów, z lornetką na szyi.

Usiedliśmy z Samem na osłoniętej werandzie i rozmawialiśmy przez chwilę, potem on wrócił do pracy, a ja wyjęłam zdjęcia z tomografii komputerowej. Bardzo próbowałam się skupić, ale nie mogłam. Wzory zatok są raczej mało atrakcyjne, kiedy ma się widok na połyskujące w słońcu ujście rzeki i w powietrzu czuć zapach soli i sosny.

Ludzie, wśród nich Katy, wrócili w południe. Po posiłku złożonym z kanapek i chipsów Fritos Sam wrócił do analizy swoich danych, a Katy do lasu.

Znowu rozłożyłam swoje papiery, ale i tym razem nic z tego. Zasnęłam po trzeciej stronie.

Obudził mnie znajomy dźwięk.

Bum! Rat a tat a tat a tat a tat. Bum! Rat a tat a tat a tat a tat.

Dwie małpy zeskoczyły z drzew i biegały po dachu werandy. Starając się nie zwrócić na siebie uwagi, otworzyłam drzwi osłony i zeszłam po schodach.

Grupa 0 przyszła do obozu i małpy siedziały teraz na drzewach nad stacją obozową. Te dwie, które mnie obudziły, skoczyły na dach przyczepy i usadowiły się na jego przeciwnych krańcach.

- To on. - Nie usłyszałam, kiedy Sam podszedł i stanął za mną. - Popatrz.

Podał mi lornetkę.

- Widzę oznakowania - powiedziałam, przypatrując się klatkom piersiowym każdej z małp. - J-7 i GN-9. J-7 ściska jakiś przedmiot, jakby bransoletę czy obrozę...

Oddałam mu lornetkę i Sam uniósł ją do oczu.

- Co on, do diabła, ma? To chyba nie jest zegarek Larry'ego?

Znowu lornetka znalazła się w moich rękach.

- To coś się błyszczy. Wygląda jak złoto, kiedy pada na to słońce. W tej samej chwili GN-9 rzucił się do przodu i wydał z siebie głośne ostrzeżenie. J-7 zaskrzeczał i zeskoczył z dachu, przeskakując z gałęzi na gałąź, aż w końcu zniknął nam z oczu za przyczepą. Jego skarb ześliznął się i z dachu i zniknął w rynnice,

- Zobaczmy,

Sam wyciągnął drabinę spod domku i oparł ją o przyczepę. Odgarnął pajęczyny, wchodząc na pierwszy szczebel sprawdził, czy drabina wytrzyma jego ciężar i wspiął się po niej.

- No nie!

- Co?

- Skurczybyk.

- Co to jest?

Obracał coś w dłoni.

- Niech mnie diabli.

- Co to jest? - Bardzo chciałam zobaczyć, co małpa upuściła, ale Sam zasłaniał mi widok.

Przez chwilę stał nieruchomo na szczycie drabiny z przekrzywioną głową.

- Sam, co tam masz?

Bez słowa zszedł na dół i podał mi przedmiot. Od razu wiedziałam, co to jest, i poczułam, że robi mi się słabo.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i staliśmy tak bez słowa.



Stałam z tym przedmiotem w ręku, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Sam przemówił pierwszy.

- To jest ludzka szczeka.

- Zgadza się.

Po jego twarzy prześlizgiwały się rzucane przez liście cienie.

- Prawdopodobnie ze starego indiańskiego grobu.

- Indianie raczej nie mieli takiej opieki dentystycznej. - Obróciłam kość i słońce błysnęło na kawałku złota.

- A więc to wywołało zainteresowanie J-7 - stwierdził Sam, przyglądając się koronom.

- A to jest tkanka - dodałam, wskazując brązowy kawałek przyczepiony do stawu.

- Co to znaczy?

Powąchałam kość. Poczułam wilgotny, mdły odór śmierci.

- W tym klimacie, w zależności od tego, czy ciało zostało zakopane, czy leżało na powierzchni, powiedziałabym, że ta osoba zmarła najdalej rok temu.

- Jak to jest, do cholery, możliwe! - Na czoło wystąpiła mu żyła.

- Nie krzycz na mnie. Najwyraźniej nie każdy, kto przyjeżdża na wyspę, przechodzi przez twoje ręce!

Odwrociłam wzrok.

- Skąd on to, do diabła, wziął?

- To twoja małpa. Sam się dowiedz.

- Żebyś wiedziała, że tak zrobię.

Ruszył do stacji obozowej i, pokonując po dwa stopnie naraz, zniknął w środku. Przez otwarte okno usłyszałam, jak woła Jane.

Przez moment stałam, wsłuchując się w szum liści paproci i czując się bardzo dziwnie. Czy na moją wyspę spokoju zawitała śmierć?

Nie! - krzyczał głos w mojej głowie. - Tylko nie tutaj!

Usłyszałam skrzypnięcie sprężyny drzwi osłaniających, w których pojawili się Sam i Jane i zawołali mnie.

- Chodź z nami. Rozejrzemy się dookoła. Jane wie, gdzie jest grupa O, kiedy nie ma ich w obozie, więc będziemy mogli namierzyć J-7. Może ten mały skurwiol sam nas

zaprowadzi...

Nie poruszyłam się.

- Och, przepraszam. To nerwy. Wiesz, że nie lubię, jak na mojej wyspie znajduje się części ciała. Znasz mnie.

Znałam go. Ale to nie jego zachowanie mnie powstrzymywało. Czułam zapach sosny i ciepły wiatr na policzkach. Wiedziałam, że to coś tam jest i nie chciałam tego znaleźć.

- No chodź.

Wzięłam głęboki oddech, tak zachwycona jak kobieta, która idzie na wizytę do onkologa,

- Poczekajcie.

Poszłam do kuchni i przeszukując ją znalazłam wreszcie plastikowy pojemnik. Włożyłam do niego szczękę, schowałam go w szafce w pokoju i zostawiłam wiadomość dla Katy.

Wybraliśmy ścieżkę za budynkiem i poszliśmy za Jane w kierunku środka wyspy. Zaprowadziła nas w miejsce, gdzie rosły ogromne drzewa, tworząc nad głowami baldachimy z liści. Stąpaliśmy po humusie i sosnowych igłach, a powietrze pełne było zapachu gnijącej roślinności i zwierzęcych odchodów. Poruszenie wśród gałęzi wskazywało na obecność małp.

- Ktoś tu jest - powiedziała Jane, włączając odbiornik.

Sam obejrzał drzewa przez lornetkę, próbując odczytać wytatuowane kody.

- To grupa A - zauważył.

- Ha! - Na gałęzi nade mną usiadł młody osobnik, opuścił ramiona, wznosił ogon i patrzył mi w twarz. Ostre, gardłowe szczeknięcie miało znaczyć "odsuń się!".

Spojrzałam na niego śmiało, a on usiadł i najpierw pochylił głowę, a potem gwałtownie ją uniósł. Zrobił tak kilka razy, okręcił się i skoczył na drugie drzewo.

Jane ustawiła pokrętkę i zamknęła oczy, wsłuchując się; na jej twarzy malowała się koncentracja. Po chwili pokręciła głowę i ruszyła dalej wzdłuż ścieżki.

Sam wzrokiem spenetrował wierzchołki drzew, kiedy Jane znowu się zatrzymała i obróciła zgodnie z ruchem wskazówek zegara, skoncentrowana na dźwiękach w słuchawkach. Wreszcie rzekła:

- Mam bardzo słaby sygnał.

Ruszyła w stronę, gdzie zniknął młody awanturnik, zatrzymała się i znowu obróciła.

- Chyba jest gdzieś koło Alcatraz. - Wskazała na dziesiątą godzinę.

Większość zagród na wyspie oznaczonych jest literami, ale kilka starszych ma nazwy,

takie jak O.K Corral albo Alcatraz.

Ruszyliśmy w tamtym kierunku, ale na południe od zagrody Jane zeszła ze ścieżki i weszła między drzewa. Roślinność była tu bardziej gęsta, a ziemia pod nogami miękka. Sam obrócił się w moim kierunku.

- Uważaj w pobliżu stawu. Alice miała mnóstwo młodych ostatniego sezonu i chyba nie jest zbyt towarzyska.

Alice to był ponadczterometrowy aligator mieszkający na Murtry od wieków. Nikt nie pamiętał, kto ją tak nazwał. Ludzie szanowali jej prawo do bycia tutaj i zostawiali ją w spokoju.

Uniosłam kciuk. Chociaż nie boję się ich, nigdy nie szukałam towarzystwa aligatorów.

Byliśmy jakieś sześć metrów od ścieżki, kiedy poczułam go, najpierw słabo, jakby nieco inny organiczny zapach lasu. Najpierw nie byłam pewna, ale w miarę zbliżania się odór stawał się coraz silniejszy i robiło mi się coraz zimniej.

Jane skrzyła na północ, dalej od stawu, Sam szedł za nią, wciąż przez lornetkę obserwując gałęzie. Trzymałam się z tyłu. Odór dochodził dokładnie z góry.

Okrzyła zwalony syrakowiec i zatrzymałam się. Widziałam zarośla karłowate palmy rosnące dookoła stawu. Las ucichł, kiedy Jane i Sam odeszli, a szelest pod ich stopami cichł z każdym krokiem.

Odór gnijącego ciała nie da się porównać z niczym innym. Czułam go w tej szczęce, a teraz słodka, cuchnąca woń wypełniała popołudniowe powietrze wskazując, że moja zdobycz była już blisko. Prawie nie oddychając skrzyłam z zamkniętymi oczami, mój zmysł węchu był maksymalnie wyostrzony. Jane szukała dźwięków, ja zapachów.

Woń dochodziła od stawu. Skierowałam się tam; nos szedł za zapachem, oczy wypatrywały gada. Gdzieś nad moją głową odezwała się małpa, a potem strumień moczu wylał się na ziemię. Gałęzie się poruszyły, a liście zaszumiały. Odór stawał się z każdym krokiem silniejszy.

Po przejściu trzech metrów zwolniłam, zatrzymałam się i przez lornetkę spojrzałam na grupę karłowatych palm i ostrokrzewu, która oddzielała mnie od stawu. Na krótką chwilę uniosł się nad nim opalizujący obłok.

Wolno ruszyłam naprzód, ostrożnie stawiając stopy. Tuż przy zaroślach otaczających staw woń gnicia była nie do zniesienia. Wsłuchałam się. Cisza. Przyjrzałam się zaroślom. Nic. Moje serce biło jak szalone, a pot płynął po twarzy.

Rusz tyłek, Brennan. Dla aligatorów to zbyt daleko od stawu.

Z kieszeni wyciągnęłam chustkę, zakryłam nią nos i usta i kucnęłam, by zobaczyć, czym zainteresował się rój much.

Wszystkie się nagle uniosły w powietrze, brzęcząc i latając wokół mnie. Odpędziłam je ręką, ale zaraz wracały. Machając jedną ręką, drugą owinęłam ją chustką i uniosłam gałęzie ostrokrzewu. Wyraźnie oburzone owady obijały się o moją twarz i ręce.

Muchy zwabił płytki grób, ukryty przez grube liście. Patrzyła z niego ludzka twarz, rysy zmieniały ruchome cienie rzucane przez liście. Pochyliłam się, by popatrzeć z bliska, i aż cofnęłam się przerażona.

To już nie była twarz, ale czaszkę pozbawiły skóry owady. To, co wydawało się być oczami, nosem i ustami, było w rzeczywistości grupkami maleńkich krabów, poruszającą się masą, która pokrywała czaszkę i żerowała na tkance.

Kiedy się rozejrzałam, stwierdziłam, że byli też inni oportuniści. Po prawej stronie leżał zniekształcony fragment klatki piersiowej. Kości ręki, nadal połączone pasmami wyschniętych więzadeł, wystawały z podszycia półtora metra dalej.

Puściłam krzaki i przysiadłam na piętach, unieruchomiona zimnym, okropnym uczuciem. Kątem oka dostrzegłam zbliżającego się Sama. Coś mówił, ale słowa do mnie nie docierały. Gdzieś milion kilometrów stąd ktoś włączył silnik, a potem go wyłączył.

Chciałam być gdzieś indziej. Być kimś innym. Kimś, kto nie spędził wielu lat wachając woń śmierci i patrząc na ostateczne poníženie, które jej towarzyszy. Kimś, kto nie spędza każdego dnia przywracając ludzkiemu ciału dawną postać, która została zniekształcona przez alfonsów, rozwścieczonych partnerów, nerwowych kokainistów i psychopatów. Przyjechałam na wyspę poszukując ucieczki od brutalności mojej pracy. Ale śmierć znalazła mnie i tutaj. Czuję się przytłoczona. Kolejny dzień. Kolejna śmierć. Kolejny dzień śmierci. Mój Boże, ile będzie jeszcze takich dni?

Poczułam rękę Sama na swoim ramieniu i uniosłam głowę. Drugą ręką zasłaniał nos i usta.

- Co jest?

Głową wskazałam zarośla, a on nogą je odchylił.

- Jasna cholera.

Zgodziłam się.

- Jak długo to tu jest?

Wzruszyłam ramionami.

- Kilka dni? Tygodni? Lat?

- Dla twojej wyspiarskiej fauny to była szczęśliwa passa, bo większa część ciała

pozostała nienaruszona. Nie potrafię określić, w jakim jest stanie.

- Małpy tego nie odkopały. One nie ruszają mięsa. To te cholerne sępy.

- Sępy?

- Tak, sępy amerykańskie. One uwielbiają małpią padlinę.

- A może to szopy?

- Może. One uwielbiają ostrokrzew, ale nie sądzę, by jadały padlinę.

Spojrzałam na grób.

- Ciało leży na boku, prawe ramię tuż pod powierzchnią. Woń na pewno zwabiła padlinożerców. Sępy i szopy pewnie do spółki kopały i jadły. Wyciągnęły rękę i szczękę, kiedy rozkład osłabił stawy. - Wskazałam żebra. - Zjadły odcinek klatki piersiowej i to też wyciągnęły. Reszta ciała prawdopodobnie leżała zbyt głęboko, zbyt ciężko było się do niej dostać, więc ją zostawiły.

Kijem przyciągnęłam rękę. Chociaż łokieć nadal był w całości, brakowało końców kości długich; wzdłuż nierównych, sękatych brzegów widać było gąbczaste środki.

- Widzisz, jak odgryzły końce? To na pewno zwierzęta. A to? - Wskazałam mały, okrągły otwór. - To ślad zęba. Coś małego, pewnie szop.

- Skurczybyk.

- A resztę roboty wykonały robaki i kraby.

Podniósł się, wykonał półobrót i obcasem kopnął grudkę ziemi.

- Jezu Chryste. Co teraz?

- Teraz zadzwonisz do tutejszego koronera, a on albo ona, zadzwoni do swojego antropologa. - Podniosłam się i otrzepałam dżinsy z piasku. - A potem wszyscy porozmawiacie z szeryfem.

- To jakiś pieprzony koszmar. Nie pozwolę ludziom pałętać się po tej wyspie.

- Nie muszą pałętać się po całej wyspie, Sam. Muszą tylko przyjść tutaj, zabrać ciało, może puścić psa, żeby sprawdzić, czy nie ma tu innych zwłok.

- Jak...? Cholera. To niemożliwe. - Po skroni spłynęła mu kropelka potu. Zaciskał i rozluźniał zęby.

Przez chwilę żadne z nas nic nie mówiło. Wokół brzęcząc krążyły muchy.

W końcu Sam przerwał ciszę.

- Musisz sama to wszystko zrobić.

- Co zrobić?

- To, co musi być zrobione. Wykopać to. - Kiwnął ręką w kierunku grobu.

- Nie ma mowy. Nie moja jurysdykcja.

- Gównu mnie obchodzi, czyja to jest jurysdykcja. Nie pozwolę żadnym palantom tu się kręcić, niszczyć wyspę, spieprzyć moją pracę i zarażać moje małpy. Nie ma mowy. To ja jestem cholernym burmistrzem, a to jest moja wyspa. Będę siedział w doku z bronią, jeżeli mi się tu zleca.

Znowu na czoło wystąpiła mu żyła, a ścięgna szyi napięły się jak cięciwy łuku. Dźgał powietrze palcem dla podkreślenia każdego argumentu.

- Za ten występ należy ci się Oskar, ale ja i tak tego nie zrobię. Dan Jaffer z Uniwersytetu Południowej Karoliny w Columbia zajmuje się sprawami antropologicznymi w Południowej Karolinie i prawdopodobnie do niego zadzwoni twój koroner. Dan ma licencję i jest naprawdę świetny.

- Ale ten Dań Jaffer może być nosicielem wirusa gruźlicy!

Nie było sensu mu odpowiadać.

- To dla ciebie przyszcz! Mogłabyś go wykopać i przekazać wszystko temu Jafferowi.

Nadal nic nie mówiłam.

- Dlaczego nie, u diabła, Tempe? - Patrzył na mnie z wściekłością.

- Wiesz, że jestem w Beaufort w całkiem innej sprawie. Obiecałam tym facetom, że z nimi popracuję, a w środę muszę być z powrotem w Charlotte.

Tak naprawdę to wcale nie o to chodziło; ja po prostu nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Nie byłam psychicznie przygotowana na to, by pogodzić się ze splugawieniem mojego wyspiarskiego sanktuarium przez obrzydliwą śmierć. Od kiedy pierwszy raz spojrzałam na szczękę, różne obrazy powiązane z przypadkami z przeszłości stawały mi przed oczami. Uduśzone kobiety, okaleczone dzieci, młodzi mężczyźni z podciętymi gardłami i niewidzące oczy bez wyrazu. Jeżeli wyspa stała się sceną rzezi, ja nie chciałam w tym uczestniczyć.

- Porozmawiamy o tym w obozie - powiedział wreszcie Sam. - Nie mów o tym nikomu.

Ignorując jego władczy ton, zawiązałam moją chustkę na gałęzi ostrokrzewu i wróciliśmy.

Kiedy zbliżyliśmy się do drogi, dostrzegłam zdezelowaną furgonetkę w pobliżu miejsca, gdzie weszliśmy między drzewa. Samochód pełen był worków z pokarmem dla małp, a na platformie stał ponadtysiącilitrowy zbiornik na wodę. Sprawdzał go Joey.

Sam zawołał do niego:

- Poczekaj chwilę.

Joey potarł usta wierzchem dłoni i skrzyżował ręce. Miał na sobie dzinsy i bluzę z

odciętymi rękawami i ściągaczem pod szyją. Przetłuszczone blond włosy zwisały z obu stron twarzy.

Patrzył na nas, kiedy się zbliżaliśmy, oczy ukrył za okularami przeciwsłonecznymi, a usta zacisnął w wąską linię. Jego ciało wydawało się nienaturalnie napięte.

- Niech nikt nie zbliża się do stawu - rozkazał mu Sam.

- Alice znowu dorwała małpę?

- Nie - uciał Sam. - Dokąd zabierasz tę karmę?

- Do miejsca dokarmiania numer siedem.

- Zostaw ją tam i wracaj.

- A co z wodą?

- Napelnij pojemniki i wróć do obozu. Jeżeli zobaczysz Jane, ją też przyslij.

Okulary Joeya zwróciły się na mnie i zostały tak na dłuższą chwilę. Potem Joey wsiadł do samochodu i odjechał, hałasując zbiornikiem.

Ruszyliśmy z Samem w milczeniu. Bałam się tego, co się miało wydarzyć, ale nie mogłam mu pozwolić się zastraszyć. Przypomniałam sobie jego słowa i wyraz twarzy, kiedy zobaczył grób. I coś jeszcze. Zanim do mnie podszedł, usłyszałam silnik. Może to była furgonetka? Ciekawe, jak długo Joey stał na drodze. I dlaczego właśnie tam?

- Kiedy Joey zaczął dla ciebie pracować? - przerwałam ciszę.

- Joey? - Zastanawiał się przez chwilę. - Prawie dwa lata temu.

- Można mu ufać?

- Można powiedzieć, że współczucie bierze u niego górę nad zdrowym rozsądkiem. To facet z ogromnym sercem, ciągle mówi o prawach zwierząt i martwi się, że przeszkadza małpom. Nie wie nic o zwierzętach, ale dobrze pracuje.

W obozie znalazłam wiadomość od Katy. Skończyła swoje obserwacje i poszła do doku poczytać. Kiedy Sam miał dzwonić, ja poszłam na brzeg. Moja córka siedziała w jednej z łodzi; zdjęła buty, wyciągnęła nogi przed siebie, a rękawy i nogawki podciągnęła tak wysoko, jak tylko się dało. Pomachałam do niej, a ona mi odmachała i wskazała na łódź. Pokręciłam głową i uniosłam obie ręce pokazując, że jeszcze nie opuszczamy wyspy. Uśmiechnęła się i wróciła do czytania.

Gdy wróciłam do obozu, Sam siedział przy kuchennym stole, rozmawiając przez telefon komórkowy. Przysiadłam na ławce obok niego.

- Kiedy on wraca? - rzucił do słuchawki.

Nigdy nie widziałam go tak poruszonego. Pauza. Uderzał w blat stołu ołówkiem, raz jednym, raz drugim końcem, przekładając go między palcami.

- Muszę z nim teraz pomówić. Nie możecie go znaleźć?

Pauza. Stuk. Stuk. Stuk.

- Nie, zastępca to mało. Potrzebuję szeryfa, Harleya Bakera.

Dłuższa pauza. Stuk. Stu... Grafit trzasnął i Sam wrzucił ołówek do kosza na śmieci stojącego po drugiej stronie kuchni.

- Nie obchodzi mnie, co powiedział, próbujcie dalej. Niech do mnie zadzwoni, tu, na wyspę. Poczekam.

Rzucił telefonem.

- Jak to jest możliwe, że ani z szeryfem, ani z koronerem nie można się skontaktować? - Przeczesał włosy palcami.

Okręciłam się na ławce, podciągnęłam nogi i oparłam się o ścianę. Lata znajomości nauczyły mnie, że najlepszy sposób na gniew Sama to zignorowanie go. Wybuchął nagle i zniknął równie niespodziewanie.

Wstał i zaczął chodzić po kuchni, uderzając jedną dłonią w drugą.

- Gdzie, do diabła, jest Harley? Spojrzał na zegarek.

- Dziesięć po czwartej. Wspaniale. Za dwadzieścia minut zjawią się tu wszyscy, chcąc wrócić do miasta. Cholera, ich tu nawet nie powinno być w sobotę. Dzisiaj odrabiamy dzień stracony przez brzydką pogodę.

Kopniakiem wysłał kawałek kredy na drugi koniec pomieszczenia.

- Nie mogę ich zmusić do zostania tutaj. A może powinienem? Może powinienem im powiedzieć o zwłokach i zaznaczyć "Nikt nie opuszcza wyspy", a potem umieścić w osobnych pokojach i przepytować, jak pieprzony Hercule Poirot!

Znowu chodzenie po kuchni. Patrzenie na zegarek. Chodzenie. W końcu opadł na ławkę naprzeciwko i oparł głowę na dłoniach zaciśniętych w pięści.

- Skończyłeś już ze swoją wściekłością?

Nie odpowiedział.

- Mogę coś zasugerować?

Nawet na mnie nie spojrzał.

- I tak ci powiem. Zwłoki są na wyspie, bo ktoś nie chce, by zostały znalezione. Najwyraźniej nie przewidział, co może zrobić J-7.

Mówiłam do czubka jego głowy.

- Widzę kilka możliwości. Pierwsza. Przywiózł je tutaj jeden z twoich pracowników. Druga. Ktoś z zewnątrz przywiózł je łodzią, prawdopodobnie ktoś z miejscowych, kto zna twój rozkład zajęć. Kiedy ludzie opuszczają wyspę, nikt jej nie pilnuje, zgadza się?



Skinał głową nie unosząc jej.

- Trzecia. To może być jeden z handlarzy narkotykami, którzy krążą po tych wodach.

Nadal żadnej odpowiedzi.

- Czy nie jesteś zastępcą strażnika przyrody?

Spojrzał na mnie. Jego czoło błyszczało od potu.

- Jestem.

- Jeżeli nie możesz złapać ani szeryfa Bakera, ani koronera, a nie ufasz zastępcy, zadzwoń do swoich kumpłi od przyrody. Mają jurysdykcję poza lądem, zgadza się? Dzwoniąc do nich nie wzbudisz podejrzeń, a oni będą mogli przysłać tu kogoś, kto zabezpieczy miejsce, dopóki ty nie porozmawiasz z szeryfem.

Uderzył dłonią w blat.

- Kim.

- Ktokolwiek. Poproś tylko, by się nie gorączkowali, zanim nie porozmawiasz z Bakerem. A wiesz już ode mnie, co on robi.

- Kim Waggoner pracuje dla Wydziału do Spraw Bogactw Naturalnych Południowej Karoliny. Pomagała mi w przeszłości, kiedy miałem problemy z egzekwowaniem prawa tutaj. Mogę jej ufać.

- Zostanie tu całą noc? - Nigdy nie byłam bojaźliwa, ale odstraszenie morderców albo handlarzy narkotykami nie było moim wymarzonym zajęciem.

- Bez problemu. - Już wykręcał numer. - Kim była w marynarce.

- Da sobie radę z intruzami?

- Twardszej nie znam.

Ktoś odebrał po drugiej stronie i Sam poprosił Waggoner.

- Poczekaj, aż ją zobaczysz - powiedział, zakrywając mikrofon ręką.

Zanim zebrał się cały personel, wszystko zostało ustalone. Załoga zabrała Katy swoją łodzią, a ja i Sam zostaliśmy. Kim przybyła krótko po piątej i była dokładnie taka, jak ją opisał Sam. Miała na sobie mundur polowy, wysokie buty i australijski kapelusz, a przy sobie miała tyle amunicji, jakby wybierała się na polowanie na nosorożce. Wyspa była bezpieczna.

Odwożąc mnie do przystani Sam znowu poprosił, bym zajęła się zwłokami. Powtórzyłam to, co mu już wcześniej powiedziałam. Szeryf. Koroner. Jaffer.

- Porozmawiamy jutro - odparłam, kiedy zatrzymał łódź przy pomoście. - Dzięki za dzisiaj. Katy bardzo się podobało.

- Nie ma sprawy.

Popatrzyliśmy, jak pelikan przeleciał nad wodą, potem złożył skrzydła i głowę naprzód zanurkował w wodę. Pojawił się z rybą, na której łuskach metalicznie błysnęło popołudniowe słońce. Jednak w chwili, kiedy zmieniał kierunek lotu, upuścił rybę, która niczym srebrna kula spadła do wody.

- Jezu Chryste. Dlaczego oni musieli to zrobić na mojej wyspie? - w głosie Sama brzmiało zmęczenie i zniechęcenie. Otworzyłam drzwi samochodu.

- Daj mi znać, co powie szeryf Baker.

- Dobrze.

- Rozumiesz, dlaczego nie chcę tego robić, prawda?

- Chryste.

Zamknęłam drzwi i spojrzałam na niego przez opuszczone okno, a on znowu zaczął swoje:

- Tempe, pomyśl o tym. Wyspa małąp. Zakopane ciało. Miejscowy burmistrz. Jeżeli będzie jakiś przeciek, to prasa zwariuje; wiesz, że prava zwierząt to delikatna sprawa. Nie chcę, by media odkryły Murtry.

- To może się zdarzyć bez względu na to, kto zajmie się sprawą.

- Wiem. To może...

- Daj spokój, Sam.

Kiedy patrzyłam jak odjeżdża, wrócił pelikan i krążył nad łodzią. W jego dziobie błyszczała nowa ryba.

Sam był tak samo uparty. Wątpiłam, czy da spokój, i miałam rację.

Po obiedzie w barze Steamers Oyster, poszliśmy z Katy do galerii na Świętej Helenie. Chodziłyśmy po pomieszczeniach starej, skrzypiącej gospody, przyglądając się pracom miejscowych artystów, podziwiając inną perspektywę, z jaką patrzyli na, jak nam się wydawało, znane nam miejsca. Kiedy analizowałam kolaże, obrazy i zdjęcia, przypomniały mi się kości, kraby i tańczące muchy.

Katy kupiła miniaturową czapkę wyrzeźbioną w korze i pomalowaną na niebiesko. Po drodze do domu zatrzymałyśmy się po lody kawowe, które zjadłyśmy na pokładzie Melanie Tess, rozmawiając i słuchając, jak liny i fały zacumowanych jachtów stukają na wietrze. Księżyc rozłożył skrzący kształt nad bagnami. Kiedy tak gawędziłyśmy, przyglądałam się bladożółtemu światłu, marszczącemu się na pofałdowanej czerni wody.

Katy zwierzyła mi się, że chciałaby zostać kryminologiem zajmującym się profilowaniem osobowości przestępców i podzieliła się ze mną swoimi ubawami co do jej szansy osiągnięcia celu. Zachwycała się urodą Murtry i opisała figle, jakie płały obserwowane przez nią małpy. W pewnym momencie zapragnęłam opowiedzieć jej o moim odkryciu, ale powstrzymałam się. Nie chciałam, by cudowne wspomnienia z wyspy zostały zabrudzone tym, co się tam stało.

Poszłam spać o jedenastej, ale leżałam długo, wsłuchując się w skrzypienie cum. W końcu jakoś zasnęłam, wplatając kończący się dzień w tkaninę ostatnich kilku tygodni. Płynęłam łodzią z Mathiasem i Malachym, desperacko próbując zatrzymać ich na pokładzie. Oczyszczałam zwłoki z krabów, chociaż poruszająca się masa nieustannie pojawiała się tam, skąd ją właśnie usunęłam. Czaszka trupa zmieniła się w twarz Ryana, potem w zwęglone rysy Patrice Simonnet. Sam i Harry krzyczeli na mnie, ich słowa były niezrozumiałe, a twarze surowe i złe.

Kiedy obudził mnie telefon, byłam zdezorientowana, niepewna, gdzie jestem i dlaczego. Potykając się ruszyłam do kuchni.

- Dzień dobry. - Głos Sama był poirytowany i pełen napięcia.

- Która godzina?

- Prawie siódma.

- Gdzie jesteś?

- W biurze szeryfa. Twój plan nie wypali.

- Plan? - Nie bardzo wiedziałam, o czym on mówi.

- Twój facet jest w Bośni.

Wyrzałam przez żaluzje. W doku wewnętrznym, na pokładzie swojego jachtu siedział starszy człowiek o czarnych włosach, w których połyskiwały siwe pasma. Kiedy podciągnęłam żaluzje, odchylił akurat głowę i opróżniał puszkę Old Milwaukee.

- W Bośni?

- Jaffer. Antropolog z Uniwersytetu Południowej Karoliny. Pojechał do Bośni odkrywać masowe groby dla ONZ. Nikt nie wie, kiedy wróci.

- Kto go zastępuje?

- To nieistotne. Baxter chce, byś ty zajęła się zwłokami na wyspie.

- A kto to jest Baxter?

- Baxter Colker jest koronerem hrabstwa Beaufort. Chce, żebyś to zrobiła.

- Dlaczego?

- Bo ja tak chcę.

Prosto z mostu, bez ceregieli.

- Kiedy?

- Jak najszybciej. Harley ma detektywa i zastępcę w zespole. Umówiliśmy się na dziewiątą. Ma też na zwołanie grupę transportową. Kiedy będziemy gotowi do opuszczenia wyspy, zadzwoni, a oni spotkają się z nami: w doku Lady's Island i zabiorą zwłoki do Szpitala Memoriał w Beaufort. Ale ty masz kopać. Powiedz nam tylko, jakiego sprzętu będziesz potrzebować, i zorganizujemy go dla ciebie.

- Czy ten Colker jest patologiem sądowym?

- Baxter jest urzędnikiem z wyboru i nie ma przygotowania medycznego. Prowadzi dom pogrzebowy. Ale jest cholernie dokładny i chce, by to było dobrze zrobione.

Zamyśliłam się na moment.

- Czy szeryf Baker domyśla się, kto mógł być tam zakopany?

- Dużo tu tego całego gówna związanego z narkotykami. Chce porozmawiać z kilkoma facetami z odprawy celnej i z ludźmi z miejscowego urzędu do walki z handlem narkotykami. I ze strażnikami przyrody. Harley mówił mi, że w zeszłym miesiącu prowadzili obserwacje bagien na rzece Coosaw. On uważa, że to robota jakiejś mafii narkotykowej i ja się zgadzam. Oni nie cenią sobie zbyt cudzego życia. Pomożesz nam, prawda?

Zgodziłam się, choć niechętnie. Powiedziałam mu, jaki sprzęt będzie mi potrzebny, a on obiecał, że się tym zajmie. Miałam być gotowa o dziesiątej.

Stałam kilka minut, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić z Katy. Mogłam jej wytłumaczyć całą sytuację i pozwolić jej decydować. W końcu dlaczego nie miałyby płynąć

z nami na wyspę. Albo mogłam jej powiedzieć, że coś wypadło i Sam poprosił mnie o pomoc. Katy mogłaby zostać tutaj jeden dzień, a potem jechać na Hilton Head nieco wcześniej, niż zaplanowała. Wiedziałam, że ten drugi pomysł był lepszy, ale i tak zdecydowałam, że jej o wszystkim powiem.

Zjadłam miskę płatków z rodzynkami i posprzątałam po sobie. Nie mogłam usiedzieć na miejscu, więc założyłam szorty i koszulkę i wyszłam na zewnątrz, by sprawdzić liny i zbiornik na wodę. Poprzestawiałam też krzesła na mostku. Wróciwszy do środka pościeliłam łóżko i starannie zawiesiłam ręczniki w łazience. Poprzekładałam poduszki na kanapie w salonie i pozbierałam śmieci z dywanu. Nakręciłam zegar i sprawdziłam czas. Dopiero kwadrans po siódmej. Katy się tak wcześnie nie obudzi. Założyłam buty do biegania i cicho wyszłam.

Pojechałam wzdłuż Route 21 na wschód przez Świętą Helenę do Harbor Island, potem Hunting Island i dotarłam do parku. Asfalt wił się przez mokradło, ciemne i nieruchome jak podziemne jezioro. Karłowate palmy i zimozielone dęby wyrastały z mrocznego dna. Tu i ówdzie przez baldachim koron drzew przemykały się promienie słońca, nadając wodzie kolor miodu.

Zaparkowałam w pobliżu latarni i promenadą nadmorską przeszłam na plażę. Właśnie skończył się przypływ i mokry piasek lśnił jak lustro. Między kałużami przemknął brodziec, jego cienkie, długie nóżki łączyły się z odbiciem w lustrze wody. Ranek był chłodny, na moich nogach i rękach pojawiła się gęsia skórka, kiedy się rozgrzewałam.

Pobiegłam na wschód, wzdłuż brzegu Atlantyku, stopy lekko zapadały się w mokry piasek. Było bardzo spokojnie. Minęłam stado pelikanów brodzących w spokojnej wodzie. Turzyca stała nieruchomo na wydmach.

Biegając obserwowałam to, co wyrzucił ocean. Kawalki drzewa, popękane, wyglądzone i pokryte małymi skorupiakami. Splątane wodorosty. Błyszcząca, brązowa skorupa skrzypłocza. Kielb, którego oczy i wnętrzości wyjadły kraby i mewy.

Biegłam aż do bólu nóg. Potem jeszcze dalej. Kiedy wróciłam na promenadę, moje drżące z wysiłku nogi ledwie niosły mnie po schodach. Ale psychicznie czułam się świetnie. Może to z powodu tej martwej ryby albo tego skrzypłocza. A może po prostu podniósł się poziom endorfiny. Nie bałam się już nadchodzącego dnia. Śmierć można spotkać każdej minuty każdego dnia wszędzie na świecie. To część cyklu życia i to dotyczyło też wyspy Murtry. Wykopię ciało i oddam do dyspozycji władzom. Taka była moja praca.

Kiedy wróciłam na jacht, Katy wciąż spała. Zrobiłam kawę, wzięłam prysznic mając nadzieję, że praca pompy jej nie obudzi. Już ubrana opieklam dwie angielskie bułeczki,

posmarowałam je masłem i dżemem z jeżyn i zaniiosłam do salonu. Wszyscy dookoła mówią, że ćwiczenia zmniejszają apetyt. Nie mój. Po wysiłku zawsze chce mi się jeść.

Włączyłam telewizor, przejrzałam kanały i wybrałam taki, na którym sześciu ewangelistów dawało niedzielne rady. Słuchałam wielebnego Eugene'a Highwatera opisującego "niewyczerpaną szczodrość dla prawych", kiedy wtoczyła się Katy i natychmiast rzuciła się na kanapę. Jej twarz była spuchnięta i pomarszczona od snu, a włosy przypominały kłęb wodorostów, jaki widziałam na brzegu. Miała na sobie koszulkę z emblematem drużyny Hornets, która sięgała jej do kolan.

- Dzień dobry. Ślicznie dziś wyglądasz.

Żadnej odpowiedzi.

- Kawy?

Skinęła głową nie otwierając oczu.

Poszłam do kuchni, nalałam kawy do kubka i jej przyniosłam. Usiadła w pozycji półleżącej, niepewnie uniosła powieki i sięgnęła po kubek.

- Czytałam do późna.

Wzięła łyk i trzymając kawę w wyciągniętej ręce uniosła się i usiadła "po turecku", w stylu indiańskim. Dopiero co otwarte oczy dostrzegły wielebnego Highwatera.

- Dlaczego słuchasz tego przygłupa?

- Staram się dowiedzieć, jak dostać się do tej niewyczerpanej szczodrości.

- Wypisz mu czek, a on przyśle ci instrukcje. Wyrozumiałość najwyraźniej nie należała do cech typowych dla mojej córki o poranku.

- Co to za palant dzwonił o świcie?

Ani delikatność.

- Sam.

- O. Czego chciał?

- Katy, coś się wczoraj zdarzyło i ja ci o tym nie powiedziałam.

Zupełnie już rozbudzona utkwiała we mnie swój wzrok.

Zawahałam się, a potem zaczęłam zdawać jej relację z poprzedniego dnia. Omijając szczegóły, opisałam ciało i sposób, w jaki J-7 nas do niego doprowadził, a potem powiedziałam o mojej rozmowie telefonicznej z Samem.

- A więc wracasz tam dzisiaj? - Uniosła kubek do ust.

- Tak. Z koronerem i ludźmi szeryfa. Sam przyjedzie po mnie o dziesiątej. Przykro mi, że psuje to nam plany. Oczywiście możesz jechać z nami, ale pewnie nie będziesz chciała.

Przez długą chwilę nic nie mówiła. Wielebny grzmiał o Jeee-zusie.

- Czy oni wiedzą, kto to jest?

- Szeryf myśli, że chodzi o narkotyki. Handlarze korzystają z rzek i zatoczek przywożąc towar. Może nie wyszła jakaś transakcja i ktoś za to zapłacił głową.

- Co tam będziesz robić?

- Usuniemy ciało, zbierzemy próbki i zrobimy mnóstwo zdjęć.

- Nie, nie. Nie o to mi chodzi. Powiedz mi dokładnie, co będziesz robić. Może przyda mi się to do pracy.

- Krok po kroku?

Przytaknęła i oparła się o poduszki.

- Wygląda to na rutynowy przypadek. Usuniemy roślinność, potem ustawimy siatkę jako punkt odniesienia dla rysunków i pomiarów. - Przypomniała mi się piwnica w St-Jovite.

- Kiedy skończymy z powierzchnią, otworzę grób. Niektórzy wykopują partiami, szukając warstw i takie tam rzeczy. Nie uważam, by to w takiej sytuacji było konieczne. Kiedy ktoś wykopuje dół, wkłada do niego ciało i zasypuje, stratygrafia jest tu niepotrzebna. Jedną stronę wykopu zostawię, by idąc w dół widzieć profil. W ten sposób będzie widać, czy są jakieś ślady narzędzi.

- Ślady narzędzi?

- Szufli, może łopaty albo kilofa, które mogłyby zostawić odcisk w ziemi. Nigdy nie takiego nie widziałam, ale niektórzy moi koledzy zaklinają się, że spotkali się z czymś takim. Twierdzą, że można zrobić odcisk, potem formę i porównać z podejrzanymi narzędziami. To, co widziałam, to były odciski stóp na dnie grobów, zwłaszcza tam, gdzie było dużo gliny i mułu. Na pewno sprawdzimy ich obecność i w tym przypadku.

- Odcisnięte przez tego, kto kopał?

- Tak. Kiedy wykop sięga pewnej głębokości, kopiący może wskoczyć i pracować w środku. Wtedy zostawia ślady butów. Wezmę też próbki ziemi. Czasami porównuje się ziemię z grobu z ziemią na ubraniu podejrzanego.

- Albo na podłodze jego domu.

- Dokładnie. I pozbieram trochę robaków.

- Robaków?

- W tym przypadku było ich mnóstwo. Grób jest płytki, sępy i szopy częściowo odsłoniły ciało. To jest raj dla much. Przydadzą się przy ustalaniu PMP.

- PMP?

- Pośmiertnej przerwy. Jak długo osoba nie żyje.

- W jaki sposób?

- Entomologowie zbadali padlinożercze owady, głównie muchy i chrząszcze. Odkryli, że różne gatunki wchodzi w ciało według kolejności, a potem każdy przechodzi przez swój cykl życiowy w sposób możliwy do przewidzenia. Niektóre gatunki much pojawiają się już po kilku minutach. Inne później. Dorosłe osobniki składają jaja, z których wykluwają się larwy. Stąd larwy muchy w zwłokach.

Katy się skrzywiła.

- Po jakimś czasie larwy opuszczają ciało i zamykają się w twardej skorupie zwanej poczwarką. Wychodzą z niej jako dorosłe osobniki i odlatują, by cykl mógł się zacząć od nowa.

- Dlaczego wszystkie robaki nie pojawiają się równocześnie?

- Różne gatunki mają różne strategie. Niektóre konsumują ciało. Inne wolą zjadać jaja i larwy swoich poprzedników.

- Obrzydlistwo.

- Każdy ma swoje miejsce.

- Co zrobisz z robakami?

- Zbiorę próbki larw i poczwerek i spróbuję złapać kilka dorosłych owadów. W zależności od stanu rozkładu, może użyję sondy do termicznych odczytów ciała. Duża ilość larw może znacznie podnieść wewnętrzną temperaturę ciała. To też się przyda do ustalenia PMP.

- Co potem?

- Włożę dorosłe osobniki i połowę larw do roztworu alkoholowego. Resztę larw włożę do pojemników z wermikulitem. Entomolodzy przechowają je do wyklucia i wtedy określą gatunek.

Zastanawiałam się, gdzie Sam dostanie sieci, pojemniki do lodów, wermikulit i sondę ciepłą w niedzielę rano. Nie mówiąc o siatce, kielni i innych narzędziach do wykopalisk, o które prosiłam. Ale to był już jego problem.

- A co z ciałem?

- To będzie zależało od stanu, w jakim się znajduje. Jeżeli będzie w miarę dobry, to tylko je wyjmę z ziemi i włożę do torby. Szkielet zabrałby więcej czasu, bo musiałabym sprawdzić, czy są wszystkie kości.

Zastanowiła się nad tym.

- Jak długo to potrwa w najlepszym przypadku?

- Cały dzień.



- A w najgorszym?

- Dłużej.

Marszcząc brwi przejechała palcami po włosach, które miała związane w luźny węzeł.

- Jedź na Murtry. Ja chyba tu zostanę, a potem pojedę na Hilton Head.

- Twoi przyjaciele nie będą mieć nic przeciwko zabranii cię wcześniej?

- Nie. Mają po drodze.

- No to po problemie. - Naprawdę tak myślałam.

Wszystko potoczyło się tak, jak to opisałam Katy, z małym wyjątkiem. Była stratygrafia. Pod ciałem z krabami na twarzy ze zdumieniem znalazłam drugie rozkładające się zwłoki. Leżały na dnie ponadmetrowego wykopu, twarzą w dół, z rękami na podbrzuszu, pod kątem dwudziestu stopni względem ciała nad nimi.

Głębokość może być pożyteczna. Chociaż z pierwszego ciała zostały kości i tkanka łączna, na tym poniżej była jeszcze większość ciała i wnętrzności. Pracowałam do zmroku, skrupulatnie przesiewając każdą grudkę ziemi, pobierając próbki ziemi, roślin i owadów i przenosząc zwłoki do toreb. Detektyw z biura szeryfa rejestrował wszystko na taśmie video i robił zdjęcia.

Sam, Baxter Colker i Harley Baker przyglądali się z pewnej odległości, co jakiś czas komentując albo podchodząc, by się przyjrzeć. Zastępca szeryfa przeszukiwał otaczające lasy z psem z Departamentu Szeryfa, specjalnie wyszkolonym do wykrywania woni rozkładu. Kim szukała dowodów.

Wszystko na próżno. Oprócz dwóch ciał nic nie znaleźliśmy. Ofiary zostały rozebrane i wrzucone do dołu, pozbawione wszystkiego, co łączyło je z życiem. I choć przestudiowałam wszystkie szczegóły, ani układ ciał, ani nic w kształcie grobu czy wnętrzu nie pomogło mi ustalić, czy ciała zostały pochowane jednocześnie, czy może najpierw to dolne, a jakiś czas później górne.

Była już prawie ósma, kiedy Baxter Colker zatrzasnął drzwi furgonetki i podniósł klamkę. Koroner, Sam i ja zebraliśmy się na drodze asfaltowej, tuż przy doku, gdzie zacumowane były nasze łodzie.

Colker wyglądał sztywno w muszce i starannie wyprasowanym garniturze, z paskiem spodni wysoko nad pasem. Sam uprzedził mnie o skrupulatności koronera Beaufort, ale nie byłam przygotowana na taki strój przy ekshumacji. Ciekawe, co ten facet zakładał na proszone obiady.

- To by było na tyle - powiedział, wycierając ręce w lnianą chusteczkę. Setki drobnych żyłek rozsiały się na jego policzkach, nadając twarzy niebieskawy odcień. Zwrócił się w moją stronę. - No cóż, chyba zobaczymy się jutro w szpitalu.

To zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Zaraz... Wydawało mi się, że przejmie to teraz patolog sądowy w Charleston.

- Cóż, mogę wysłać to do kolegium medycznego, proszę pani, ale wiem, co ten pan mi powie. - Cały dzień mówił do mnie "proszę pani".

- Axel Hardaway?

- Tak, proszę pani. Doktor Hardaway powie mi, że potrzebny im jest antropolog, bo on nie wie nic o kościach. Tak właśnie mi powie. A doktor Jaffer jest podobno nieosiągalny. I co wtedy z tymi biedakami? - Kościstą ręką wskazał furgonetkę.

- Bez względu na to, kto zrobi analizę szkieletu - powiedziałam - i tak trzeba będzie zrobić pełną autopsję drugiego ciała.

Coś się poruszyło w wodzie i odbicie księżyca rozpadło się na tysiące małych kawałeczków. Zerwał się lekki wiatr i w powietrzu zapachniał deszcz.

Colker zapukał w okno furgonetki, ukazała się w nim kiwająca ręka i samochód ruszył. Colker przez chwilę mu się przyglądał.

- Dziś jest niedziela, więc te dwie dusze noc spędzą w Beaufort Memoriał. W międzyczasie skontaktuję się z doktorem Hardawayem i zapytam, co każe robić. Czy mogę wiedzieć, gdzie się pani zatrzymała?

Kiedy mu odpowiadałam, podszedł do nas szeryf.

- Chciałbym pani podziękować, doktor Brennan. Wykonała pani kawał dobrej roboty.

Baker był dobre trzydzieści centymetrów wyższy od koronera, a Sam i Colker razem wzięci nie stanowili nawet połowy jego masy ciała. Pod koszulą munduru jego klatka piersiowa i ramiona wyglądały jak wykute z żelaza. Rysy twarzy miał kanciaste, a cerę koloru mocnej kawy. Harley Baker wyglądał jak zawodnik wagi ciężkiej, a przemawiał jak absolwent Harvardu.

- Dziękuję, szeryfie. Pański zastępca i detektyw bardzo mi pomogli.

Kiedy podaliśmy sobie dłonie, moja wyglądała blado i mizernie w jego, Ta dłoń mogłaby kruszyć granit.

- Jeszcze raz dziękuję. Zobaczymy się jutro z detektywem Ryanem. I zaopiekuję się pani robakami.

Już wcześniej przedyskutowałam sprawę owadów z Bakerem i podałam mu nazwisko entomologa. Wyjaśniłam, jak je przewieźć i jak przechowywać próbki ziemi i roślin.

Wszystko miało być przewiezione do hrabstwa pod opieką detektywa od szeryfa.

Baker podał rękę Colkerowi i klepnął Sama po ramieniu.

- Rozchmurz się trochę - powiedział i odszedł.

Minutę potem jego motorówka minęła nas płynąc w stronę Beaufort. Sam i ja wróciliśmy na Melanie Tess, zatrzymując się, by kupić na wynos coś do jedzenia. Mało rozmawialiśmy. Na ubraniu i włosach czułam woń śmierci i chciałam wziąć prysznic, zjeść coś i zapaść w ośmiogodzinny sen. Sam zapewne myślał o tym samym.

Kwadrans przed dziesiątą moje świeżo umyte włosy owinięte były ręcznikiem, a ja pachniałam mgiełką do ciała White Diamonds. Właśnie otwierałam pudełko z kupionym jedzeniem, kiedy zadzwonił Ryan.

- Gdzie jesteś? - zapytałam, polewając frytki keczupem.

- W uroczym miejscu zwanym Lord Carteret.

- Po głosie tego nie słyhać.

- Bo nie ma tu pola golfowego.

- Mamy się spotkać z szeryfem jutro o dziewiątej. - Wciągnęłam zapach smażonych frytek.

- Punkt dziewiąta będę, Brennan. Co jesz dobrego? -

- Kanapkę z salami, serem i sałatą.

- O dziesiątej wieczorem?

- To był długi dzień.

- Ja też nie spacerowałam po parku. - Usłyszałam, jak zapala zapałkę i głęboko się zaciąga. - Trzy loty, potem jazda z Savannah do Tary, a potem nie mogłem złapać tej marnej imitacji szeryfa. Latał gdzieś cały dzień i nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie był i co robił. Aż dziwne. Pewnie rozpracowuje jakąś supertajną sprawę dla CIA.

- Szeryf Baker to konkretny facet - Włożyłam do ust pełną łyżkę sałatki z kapusty.

- Znasz go?

- Spędziłam z nim cały dzień.

Chleb z mąki kukurydzianej smażony w tłuszczu.

- Ten dźwięk wskazuje na coś innego.

- Smażony chleb kukurydziany.

- Co to takiego?

- Jak się na coś przydasz, to ci jutro przyniosę.

- Świetnie. Ale co to jest?

- Smażone pieczywo.

- A co ty robiłaś cały dzień z Bakerem? Krótko opowiedziałam mu o całej sprawie.
- I Baker podejrzewa narkomanów?
- Tak. Ale ja osobiście wątpię.
- Dlaczego?
- Ryan, jestem wykończona, a Baker będzie na nas rano czekał. Jutro ci powiem.

Znajdziesz przystań Lady's Island?

- Liczę, że mi pomożesz.

Powiedziałam, jak ma jechać, i odłożyłam słuchawkę. Potem skończyłam kolację i poszłam spać, nie przejmując się pizamą. Spałam nago jak zabita i przez całe osiem godzin nic mi się nie przyśniło.

O ósmej rano w poniedziałek na moście Woods Memoriał był duży ruch. Niebo było pochmurne, rzeka lekko wzburzona i szarozielona. Radiowa prognoza pogody przewidywała lekki deszcz i dwadzieścia dwa stopnie ciepła w ciągu dnia. Ryan, ubrany w wełniane spodnie i tweedową marynarkę, wyglądał jak arktyczne stworzenie przeniesione do tropików. Już się pociał.

Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, wyjaśniłam mu jurysdykcję hrabstwa. Powiedziałam mu, że Departament Policji w Beaufort działa tylko w granicach miasta i że są tu trzy inne miasta. Port Royal, Bluffton i Hilton Head, z własnymi siłami policyjnymi.

- Reszta Hrabstwa Beaufort podlega szeryfowi Bakerowi - zakończyłam. - Pracownicy jego departamentu, na przykład detektywi, również działają na wyspie Hilton Head.

- Zupełnie jak w Quebecu - zauważył Ryan.

- Zgadza się. Musisz tylko wiedzieć, na którym terytorium jesteś.

- Simonnet dzwoniła na Świętą Helenę. A więc na teren Bakera.

- Tak.

- Twierdzisz, że jest konkretny.

- Wyrobisz sobie swoją własną opinię.

- Opowiedz mi o tych wykopanych zwłokach.

Opowiedziałam.

- Jezu, Brennan, jak ty się pakujesz w takie rzeczy?

- To jest moja praca, Ryan. - Rozdrażnił mnie tym pytaniem. Ostatnio drażniło mnie wszystko, co go dotyczyło.

- Ale to miały być twoje wakacje.

Tak. Na Murtry. Z córką.

- Bo ja żyję w świecie fantazji - warknęłam. - Wymyślam sobie trupy i bach, są. To cel mojego życia,

Zacisnęłam zęby i zapatrzyłam się w drobne krople na szybie. Jeżeli chciał rozmowy, mógł mówić do siebie.

- Trochę trzeba będzie mnie tu poprowadzić - zauważył, kiedy mijaliśmy campus uniwersytetu Beaufort.

- Carteret za zakrętem przejdzie w Boundary. Pojedź tam. Skręciliśmy na zachód

obok bloków mieszkalnych na Pigeon Point i w końcu wjechaliśmy między mury z czerwonej cegły otaczające cmentarz National po obu stronach drogi. Przy Ribaut kazałam Ryanowi skręcić w lewo.

Włączył migacz i pojechał na południe. Po lewej stronie mineliśmy Ma-ryland Fried Chicken, posterunek straży pożarnej i kościół baptystów. A po prawej stronie ciągnęło się centrum samorządowe hrabstwa. Ozdobione sztukaterią w kolorze wanilii budynki mieściły w sobie biura administracji, sąd, biura notariuszy, różne agencje zajmujące się egzekwowaniem prawa i więzienie. Imitacje kolumn i sklepionych przejść miały wprowadzać atmosferę starego Południa, ale w rzeczywistości kompleks wyglądał jak wielkie centrum medyczne w stylu Art Deco.

Przy Ribaut i Duke wskazałam piaszczysty kawałek ocieniony dębami z hiszpańskim mchem. Ryan wjechał i zaparkował między wozem policji Beaufort a przyczepą Haz Mat. Właśnie przyjechał szeryf Baker i sięgał po coś z bagażnika swojego wozu. Rozpoznając mnie pomachał ręką, zamknął bagażnik i poczekał na nas.

Przedstawiłam sobie obu panów i uścisnęli sobie ręce. Deszcz zmienił się w rzadką mgłę.

- Przykro mi, że muszę zajmować panu czas moją sprawą - powiedział Ryan. - Na pewno ma pan wiele kłopotu z przyjezdnymi.

- To dla mnie żaden problem - odparł Baker. - Mam nadzieję, że będziemy mogli panu pomóc.

- Ładne miejsce - zauważył Ryan, kiwając głową w kierunku biura szeryfa.

Kiedy przechodziliśmy Duke, szeryf krótko opisał nam kompleks.

- Na początku lat dziewięćdziesiątych władze hrabstwa zdecydowały, że chciałyby mieć wszystkie swoje agencje pod jednym dachem, więc wybudowały to miejsce za jakieś trzydzieści milionów dolarów. Mamy swoje zakresy, ma je też miasto Beaufort, ale posiadamy i wspólne usługi, jak komunikacja, transport, archiwa.

Mineliśmy dwóch zastępców idących w kierunku parkingu. Gestem rąk pozdrowili szeryfa, a on im odpowiedział i otworzył nam szklane drzwi.

Biura Szeryfa Hrabstwa Beaufort zajmują pomieszczenia po prawej stronie, za szklaną gablotą pełną mundurów i tabliczek. Policja miejska zajmowała pomieszczenia po drugiej stronie, prowadzące do nich drzwi zaopatrzone były w napis TYLKO DLA PERSONELU. Obok w gablocie wisiały zdjęcia poszukiwanych przez FBI, zaginionych i plakat z Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. Winda z prowadzącego prosto korytarza zabrała nas do dalszych części budynku.

Wchodząc do korytarza biura szeryfa zobaczyliśmy kobietę, która zawieszała parasol na stojącym tam drzewku. Chociaż była dobrze po pięćdziesiątce, wyglądała, jakby uciekła z wideoklipu Madonny. Włosy długie i kruczoczarne, a do tego ażurowy podkoszulek na sukience mini z fioletowym bolerkiem. Buty na koturnach dodawały z siedem centymetrów. Odezwała się do szeryfa:

- Właśnie dzwonił pan Colker. A wczoraj z sześć razy dzwonił jakiś detektyw i koniecznie chciał z panem rozmawiać. Wszystko jest na pańskim biurku.

- Dziękuję, Ivy Lee. To jest detektyw Ryan. - Baker wskazał nas dwoje. - I doktor Brennan. Nasz departament pomoże im rozwiązać sprawę.

Ivy Lee nawet na nas nie spojrzała.

- Może kawy, szeryfie?

- Tak. Dziękuję.

- Zatem trzy?

- Tak.

- Ze śmietanką?

Ryan i ja kiwnęliśmy głowami.

Weszliśmy do biura szeryfa i usiedliśmy. Baker rzucił swój kapelusz na rząd szafek z aktami stojących za biurkiem,

- Ivy Lee ma bogaty życiorys - powiedział z uśmiechem. - Najpierw była w piechocie morskiej, a gdy wróciła do domu, trafiła do nas. - Zamyślił się na chwilę. - To już chyba dziewiętnaście lat. Jest niezastąpiona w prowadzeniu tego biura. Ostatnio trochę... - Szukał odpowiedniego słowa. - ...eksperymentuje w modzie.

Oparł się wygodnie i splótł dłonie na karku. Jego skórzany fotel wydał dźwięk przypominający grające dudy.

- A więc, panie Ryan, słucham, w czym mógłbym pomóc.

Ryan opisał sprawę śmierci w St-Jovite i wyjaśnił telefony na Świętą Helenę. Właśnie przytoczył w skrócie rozmowy z lekarzami w klinice Beaufort-Jasper i z rodzicami Heidi Schneider, kiedy zapukała Ivy Lee. Postawiła kubek przed Bakerem, dwa na stoliku między mną a Ryanem i wyszła bez słowa.

Wzięłam łyk. I jeszcze jeden,

- Czy ona sama to parzy? - zapytałam. Jeżeli nie najlepsza, to była to jedna z najlepszych kaw, jakie kiedykolwiek piłam.

Baker przytaknął.

Popiłam jeszcze trochę i spróbowałam zidentyfikować smaki. W sąsiednim biurze

zadzwoił telefon i usłyszałam głos Ivy Lee.

- Co w niej jest?

- Jeżeli chodzi o kawę Ivy Lee, to o tym się nie mówi. Co miesiąc dostaje fundusze i ona kupuje składniki. Podobno nikt poza jej siostrami i mamą nie zna przepisu.

- Nie można ich przekupić?

Śmiejąc się Baker położył przedramiona na biurku i oparł na nich cały swój ciężar. Szerokością ramion dorównywał betoniarce.

- Nie chciałbym urazić Ivy Lee - rzekł. - A na pewno nie jej mamę.

- Bardzo słusznie - zgodził się Ryan - Nie trzeba się narażać mamom. - Otworzył tekturową teczkę, przejrzał zawartość i wyjął kartkę papieru. - Numer, na który dzwoniło z St-Jovite, wskazuje na Adler Lyons Road czterysta trzydzieści pięć.

- Zgadza się, to na Świętej Helenie - powiedział Baker.

Sięgnął do metalowych szafek, otworzył szufladę i wyciągnął teczkę.

- Sprawdziliśmy ten adres, czysty. W ciągu ostatnich pięciu lat ani razu nie dzwoniło na policję.

- To jest dom prywatny? - zapytał Ryan.

- Prawdopodobnie. W tej części wyspy są przeważnie przyczepy campingowe i małe domy. Tyle lat tu mieszkam, a szukając Adler Lyons musiałem skorzystać z mapy. Niektóre drogi gruntowe na wyspach to po prostu drogi dojazdowe. Kiedy je widzę, to je poznaję, ale nie zawsze wiem, jak się nazywają. Jeżeli w ogóle mają nazwy.

- Kto jest właścicielem tego domu?

- Tego nie wiem, ale sprawdzę to. W międzyczasie moglibyśmy pojechać tam z wizytą.

- Możemy - zgodził się Ryan, wkładając papier i zamykając teczkę.

- I możemy też wejść do kliniki, jeżeli będzie pan chciał.

- Nie chciałbym zajmować pańskiego czasu. Wiem, że jest pan zajęty. - Ryan wstał. - Proszę nam tylko powiedzieć, gdzie mamy jechać. Damy sobie radę.

- Nie, nie. Jestem dłużnikiem doktor Brennan za wczoraj. I na pewno Baxter Colker będzie jej jeszcze potrzebował. Czy mogliby państwo chwilę poczekać? Muszę coś sprawdzić.

Zniknął w sąsiednim biurze i wrócił po chwili z paskiem papieru z wiadomością.

- Tak, jak się spodziewałem, zadzwonił Colker. Wysłał ciała do Charleston, ale chce porozmawiać z doktor Brennan. - Uśmiechnął się do mnie. Jego kości policzkowe i łuki brwiowe były tak wydatne, a skóra tak ciemna i lśniąca, że jego twarz w tym świetle



wyglądała niczym wykonana z ceramiki.

Spojrzałam na Ryana. Wzruszył ramionami i usiadł. Baker wykręcił numer, poprosił Colkera do telefonu i podał mi słuchawkę. Miałam złe przeczucia.

Colker powiedział dokładnie to, czego się spodziewałam. Axel Hardaway wykona autopsję, ale nie chce zrobić żadnych analiz szkieletu. Z Danem Jafferem nie można się skontaktować. Hardaway zajmie się szczątkami w szkole medycznej postępując zgodnie z moimi wskazówkami, potem Colker przewiezie kości do mojego laboratorium w Charlotte, jeżeli zgodzę się przeprowadzić badania.

Niechętnie się zgodziłam i obiecałam, że porozmawiam bezpośrednio z Hardawayem. Colker podał mi numer i odłożył słuchawkę.

- Allons-y - powiedziałam głośno,

- Allons-y- powtórzył szeryf, sięgając po swój kapelusz i wkładając go na głowę.

Li Beaufort wyjechaliśmy autostradą numer 21 na Lady's Island, przejechaliśmy Cowan's Creek na Świętą Helenę i jeszcze kilka kilometrów dalej. Na drodze Eddings Point skręciliśmy w lewo i długo jechaliśmy mijając zniszczone domy z drewna i przyczepy na palach. Płachty plastiku pokrywały i okna i werandy zapadnięte pod ciężarem zniszczonych przez mole foteli i starych sprzętów. Wszędzie widziałam kawałki karoserii i innych części samochodowych, prowizoryczne szopy i zardzewiałe szamba. Tu i tam ręcznie wypisane ogłoszenia oferowały kapustę, fasolę, nawet kozy.

W pewnym miejscu asfalt skręcał ostro w lewo i przechodził w piaszczyste drogi prowadzące prosto i w prawo. Baker skręcił i wjechaliśmy w długi, ciemny tunel. Wzdłuż drogi rosły dęby z omszałą korą i konarami tworzącymi nad głową sklepienie zielonej katedry. Po obu stronach wzdłuż drogi biegły wąskie rowy z pokrytą wodorostami wodą.

Cicho skrzypiąc kołami mijaliśmy domy na kółkach i bez kółek, niektóre z plastikowymi albo drewnianymi karuzelami dla dzieci, inne z kurami na podwórku. Gdyby nie poobijane samochody i małe ciężarówki, pomyślałabym, że cofnęliśmy się w czasie do lat trzydziestych. I czterdziestych. I pięćdziesiątych.

Pół kilometra dalej jedną z poprzecznych dróg okazała się Adier Lyons. Baker skręcił, dojechał prawie do końca ulicy i zatrzymał samochód. Po drugiej stronie widać było pokryte mchem kamienie ocienione dębami i magnoliami. Tu i tam w mrocznych cieniach białły drewniane krzyże.

Po naszej prawej stronie stały dwa budynki; większy, dwupiętrowy dom gospodarski z ciemnozieloną elewacją i mniejszy bungalow, kiedyś biały, teraz szary, z odłączającym

tynkami. Za nimi stała przyczepa i mały plac zabaw.

Posiadłość od ulicy oddzielał niski murek. Zbudowano go z pustaków ułożonych w taki sposób, że ich środki tworzyły rzędy i warstwy małych tuneli. Przez każdy z nich przechodziły pędy winorośli, pnączy i fioletowej wisterii. Na początku podjazdu pomarańczowe litery na zardzewiałym znaku głosiły: WŁASNOŚĆ PRYWATNA.

Droga biegła jeszcze ze trzydzieści metrów obok murka, potem kończyła się w gęstwinie bagiennej trawy. Za nią rozciągała się tafla wody o kolorze stopu cyny z ołowiem.

- To będzie numer czterysta trzydzieści pięć - stwierdził szeryf Baker, parkując samochód i wskazując większy z domów. - Tu kiedyś był obóz rybacki. - Kiwnął głową w kierunku wody. - Tam to jest Eddings Point Creek. Łączy się z pobliską cieśniną. Zupełnie zapomniałem o tej posiadłości. Od lat stoi pusta.

Na pewno było tu kiedyś ładniej. Tynk z budynku gospodarskiego schodził płatami i pokryty był pleśnią. Górna listwa, z łuszczącą się farbą, miejscami ukazywała bladoniebieską warstwę izolacyjną. Wzdłuż całej długości parteru była weranda, a górne krawędzie mansardowych okien na drugim piętrze biegły na ukos, równoległe do kąta nachylenia dachu.

Wyszliśmy z samochodu, minęliśmy murek i wkroczyliśmy na podjazd. Mgła wisiała w powietrzu jak dym. Czułam woń błota i rozkładających się liści, a gdzieś z oddali dochodził też słabo wyczuwalny zapach ogniska.

Szeryf wszedł na werandę, a Ryan i ja zczekaliśmy na trawniku. Wewnętrzne drzwi były otwarte, ale było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek przez siatkową osłonę. Baker stanął nieco z boku drzwi i zapukał we framugę. Gdzieś nad głowami śpiew ptaka zmieszał się z szumem liści palm. Wydawało mi się, że z domu dobiegł płacz dziecka.

Baker znowu zapukał.

Chwilę później usłyszeliśmy kroki i w drzwiach ukazał się młody mężczyzna. Miał piegi i kręcone, rude włosy, a na sobie drelichowy kombinezon założony na koszulę w kratę. Wyglądał jak postać z filmu familijnego.

- Tak? - Stał za siatkową osłoną, nie patrząc na żadne z nas.

- Jak się pan miewa? - zapytał Baker, pozdrawiając go typowym dla Południa substytutem zwykłego "dzień dobry".

- Dobrze.

- Świetnie. Jestem Harley Baker. - Po jego mundurze od razu można było się zorientować, że nie przyszedł z wizytą towarzyską. - Możemy wejść?

- Dlaczego?

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Pytań?
- Mieszka pan tutaj?

Przytaknął.

- Możemy wejść? - powtórzył szeryf.
- Nie powinniście mieć nakazu czy czegoś takiego?
- Nie.

Usłyszałam drugi głos ze środka, mężczyzna odwrócił się i mówił coś przez ramię. Za chwilę pokazała się kobieta w średnim wieku o szerokiej twarzy i włosach z trwałą ondulacją. Na ręku trzymała niemowlę, które na przemian klepała i głaskała po plecach.

- To gliniarz - wyjaśnił jej mężczyzna, odsuwając się od siatki.
- Tak?

Znowu wysłuchaliśmy z Ryanem dialogu jak z filmu klasy B. A potem kobieta rzekła:

- Nie ma tu teraz nikogo. Przyjdźcie kiedy indziej,
- Pani jest tutaj - odparł Baker.
- Jesteśmy zajęci dziećmi.
- My nie odjedziemy, proszę pani - powiedział szeryf hrabstwa Beaufort.

Kobieta zrobiła minę, poprawiła sobie dziecko na ramieniu i otworzyła siatkę. Jej sandały na plastikowej podeszwie pukały o podłogę, kiedy weszliśmy za nią przez werandę do małego foyer.

W domu było ciemno i czuć było kwaśnym mlekiem. Na wprost były schody prowadzące na pierwsze piętro, na lewo i prawo wykończone łukami drzwi wiodły do ogromnych pokoi pełnych krzeseł i sof.

Kobieta zaprowadziła nas do pokoju po lewej stronie i wskazała ratanowe kanapy. Usiedliśmy, a ona szepnęła coś do mężczyzny, który zniknął zaraz na schodach. Wtedy do nas przyszła.

- O co chodzi? - spytała cicho, patrząc to na Bakera, to na Ryana.
- Nazywam się Harley Baker. - Szeryf odłożył kapelusz na mały stolik i pochylił się w jej kierunku. - A wy kim jesteście?

Kobieta położyła rękę na plecach dziecka, a dłonią podtrzymała jego główkę.

- Nie chcę być niegrzeczna, szeryfie, ale muszę wiedzieć, czego chcecie.
- Czy pani tu mieszka?

Zawahała się i przytaknęła.

Zasłona na oknie tuż za mną zakołysała się i na karku poczułam lekki, wilgotny wiatr.

- Interesują nas telefony wykonywane pod ten adres - kontynuował Baker.

- Telefony?

- Tak, proszę pani. Zeszłej jesieni. Czy była tu pani wtedy?

- Tutaj nie ma telefonu.

- Nie ma telefonu?

- No, tylko telefon biurowy. Nie do użytku prywatnego.

- Rozumiem.

Szeryf zamilkł. Jakby czekał.

- Nikt do nas nie dzwoni,

- Do nas?

- W tym domu jest nas dziewięć osób, w domu obok cztery. No i w przyczepach. Ale nie rozmawiamy przez telefon. Nie wolno nam.

Jeszcze jedno dziecko zapłakało na górze.

- Nie wolno?

- Jesteśmy społecznością. Żyjemy tu sobie i nie sprawiamy nikomu problemów. Żadnych narkotyków ani nic z tych rzeczy. Trzymamy się razem swoich zasad. To nie jest wbrew prawu, prawda?

- Nie, proszę pani, nie jest. Jak duża jest wasza grupa?

Myślała przez chwilę.

- Jest nas tutaj dwadzieścia sześć osób.

- Gdzie są inni?

- Kilka osób w pracy. Ci, którzy dopiero dołączyli do nas. Pozostali są na porannym spotkaniu w sąsiednim domu. Jerry i ja pilnujemy dzieci.

- Jesteście grupą religijną? - wtrącił się Ryan.

Kobieta spojrzała na niego, potem z powrotem na Bakera.

- Kim oni są? - Brodą wskazała Ryana i mnie.

- Detektywami z wydziału zabójstw. - Szeryf wpatrywał się w nią z twarzą surową, bez uśmiechu. - Co to za grupa, proszę pani?

Palcami wygładziła dziecięcy kocyk. Gdzieś daleko zaszczekał pies.

- Nie chcemy żadnych zatargów z prawem - powiedziała. - Ma pan co do tego moje słowo.

- Spodziewacie się jakichś problemów? - zapytał znowu Ryan.

Spojrzała na niego dziwnie, a potem popatrzyła na zegarek.

- My chcemy pokoju i zdrowia. Mamy już dosyć narkotyków i przestępstw, więc

żyjemy sobie tutaj. Nikomu nie robimy krzywdy. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Porozmawiajcie z Domem. Zaraz tu przyjdzie.

- Z Domem?

- Będzie wiedział, co wam powiedzieć.

- Byłoby dobrze. - Ciemne oczy szeryfa znowu utkwione były w kobietę. - Nie chciałbym zmuszać wszystkich do odbywania długiej podróży do miasta...

Właśnie wtedy usłyszałam głosy i zobaczyłam, jak kobieta przenosi wzrok z twarzy Bakera na widok za oknem. Wszyscy się obejrzeliśmy.

Przez siatkę dostrzegłam ruch przy sąsiednim domu. Na werandzie stało pięć kobiet, dwie trzymały dzieci, trzecia, schylona stawiała dziecko na ziemi. Mały zrobił kilka niepewnych kroków, a kobieta podążyła za nim przez podwórko. Jedna po drugiej dwanaście osób wyszło z domu i zniknęło za węglem. Chwilę potem wyszedł mężczyzna i skierował się ku nam.

Nasza gospodyni przeprosiła i poszła do foyer. Następnie usłyszeliśmy otwieranie drzwi siatkowych i stłumione głosy.

Potem kobieta weszła po schodach, a mężczyzna z sąsiedniego domu pojawił się w drzwiach pokoju. Mógł mieć czterdzieści kilka lat. Blond włosy siwiały, a twarz i ręce były mocno opalone. Miał na sobie spodnie koloru khaki, bladożółtą koszulę i buty z gumowymi podeszwami, bez skarpetek. Wyglądał jak starzejący się wilk morski.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Nie wiedziałem, że mamy gości.

Ryan i Baker zaczęli się podnosić.

- Proszę nie wstawać. - Podeszedł do nas i wyciągnął rękę.- Jestem Dom.

Wszyscy podaliśmy mu rękę i Dom usiadł na jednej z kanap.

- Może napiją się państwo soku albo lemoniady?

Wszyscy odmówiliśmy.

- A więc rozmawiali państwo z Heleną. Podobno macie państwo pytania na temat naszej grupy?

Baker kiwnął głową.

- Nazwalibyście nas komuną. - Zaśmiał się. - Ale nie jesteśmy nią w pełnym tego słowa znaczeniu. Mało mamy wspólnego z kontrkulturą hipisów z lat sześćdziesiątych. Jesteśmy przeciwni narkotykom i zanieczyszczeniom chemicznym, poświęcamy się czystości, twórczości i świadomości własnego charakteru, uczuć, motywów i pragnień. Żyjemy i pracujemy w harmonii ze sobą. Na przykład skończyliśmy właśnie nasze poranne spotkanie. Omawiamy plan zajęć na każdy dzień i razem decydujemy, co ma być zrobione i

kto to zrobi. Przygotowywanie posiłków, sprzątanie, w większości zajmowanie się domem. -  
Uśmiechnął się. - W poniedziałki trwa to dłużej, ponieważ dzisiaj jest dzień wylewania żali. -  
Znowu się uśmiechnął. - Chociaż rzadko się żalimy.

Oparł się i położył ręce na kolanach. Wtedy dodał:

- Helen mówiła mi, że pytaliście o telefony.

Szeryf się przedstawił.

- A pan nazywa się Dom...?

- Po prostu Dom. Nie używamy nazwisk.

- My owszem - w głosie Bakera nie było cienia humoru.

Po długiej przerwie Dom odpowiedział:

- Owens. Ale on już nie żyje. Od lat nie jestem już Dominikiem Owensem.

- Dziękujemy, panie Owens - Baker zapisał coś w maleńkim kołonotatniku. -

Detektyw Ryan bada sprawę morderstwa w Quebecu i ma podstawy uważać, że ofiara znała kogoś, kto tu mieszka.

- W Quebecu? - Oczy Doma zrobiły się okrągłe, a na opalonej twarzy pojawiły się jasne zmarszczki. - W Kanadzie?

- Z domu w St-Jovite dzwoniło pod ten numer - wyjaśnił Ryan. - To jest mała miejscowość w górach na północ od Montrealu. Dom słuchał z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Czy mówi panu coś nazwisko Patrice Simmonet?

Potrząsnął głową.

- Heidi Schneider?

Znowu zaprzeczył.

- Przykro mi. - Uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami. - Mówiłem wam. My nie używamy nazwisk. A członkowie często zmieniają swoje imiona. W naszej grupie każdy może sobie wybrać imię, jakie mu się podoba.

- Jak się wasza grupa nazywa?

- Nazwy. Etykiety. Tytuły. Kościół Chrystusa. Świątynia Ludu. Słuszna Droga. Zwykły egotyzm. My postanowiliśmy nie nadawać sobie nazwy.

- Jak długo grupa tu mieszka, panie Owens? - zapytał Ryan.

- Proszę mówić do mnie Dom.

Ryan nadal czekał.

- Prawie osiem lat.

- Był pan tutaj zeszłego lata i jesieni?

- Tu i tam. Trochę podróżowałem.

Ryan wyjął z kieszeni zdjęcie i położył je na stole.

- Staramy się ustalić miejsce pobytu tej młodej kobiety.

Dom się pochylił i z bliska przyjrzał się zdjęciu. Jego długie, szczupłe palce z kępkami złocistych włosów między kostkami wodziły wzdłuż brzegów fotografii.

- To ją zamordowano?

- Tak.

- Kim jest ten chłopak?

- Nazywa się Brian Gilbert.

Dom przez dłuższą chwilę przyglądał się twarzom. Kiedy podniósł wzrok, nie potrafiłam zrozumieć wyrazu jego oczu.

- Nie umiem wam pomóc. Naprawdę. Może mógłbym popytać na sesji doświadczalnej dziś wieczorem. Wtedy zachęcamy do zgłębiania siebie i rozwijania wewnętrznej świadomości. To właściwy moment

Ryan miał nadal surowy wyraz twarzy i nie pozwalał, by Dom odwróci wzrok.

- Nie jestem w tak duchowym nastroju, panie Owens, i nie bardzo oh chodzi mnie, co uważa pan za właściwy moment. Fakty są takie, że dzwonię no tutaj z domu, gdzie zamordowano Heidi Schneider. Wiem, że ofiara była latem zeszłego roku w Beaufort. Zamierzam znaleźć związek.

- Tak, oczywiście. Jakie to okropne. To właśnie taka przemoc sprawia że nasze życie wygląda tak, jak wygląda.

Zamknął oczy, jakby szukał świętego przewodnictwa, potem je otworzył i popatrzył uważnie na każde z nas.

- Pozwólcie mi wyjaśnić. Hodujemy nasze własne warzywa, trzymamy kury dla jajek, łowimy ryby i zbieramy mięczaki. Niektórzy z nas pracują w mieście i oddają swoje pensje. Mamy swój zbiór przekonań, które zmusza ją nas do odrzucenia społeczeństwa, ale nie robimy innym krzywdy. Żyjemy prosto i spokojnie.

Wziął głęboki oddech.

- Jest wśród nas kilku członków, którzy są z nami od lat, ale wielu przychodzi i odchodzi. Nasz sposób na życie nie każdemu odpowiada. Możliwe, że ta młoda kobieta była u nas, może podczas mojej nieobecności. Macie moje słowo. Porozmawiam z innymi.

- Tak - odparł Ryan. - Ja też.

- Oczywiście. I proszę dać mi znać, jeżeli będę mógł jeszcze coś dla was zrobić.

W tym momencie przez drzwi z siatki wpadła młoda kobieta z dzieckiem na rękę.

Śmiała się i łaskotała dziecko, które chichotało i biło ją swoimi pulchnymi rączkami.

Przed oczami stanął mi obraz bladych rączek Malachy'ego.

Kiedy nas zobaczyła, kobieta stanęła mocno zdziwiona.

- Och. - Zaśmiała się. - Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Maluch klepnął ją w głowę, a ona podrapała go palcem po brzuszku. Mały pisnął i kopnął nóżkami.

- Wejdz, Kathryn - powiedział Dom. - My już skończyliśmy.

Spojrzał pytająco na Bakera i Ryana. Szeryf wziął do ręki kapelusa i wszyscy wstaliśmy.

Na dźwięk głosu Doma dziecko spojrzało w jego stronę i zaczęło się wiercić. Kiedy Kathryn je postawiła, na chwiejących się nóżkach i z wycia gnietymi rączkami ruszyło do przodu, a Dom pochylił się, by chwycić malca. Małe rączki odznaczały się biało na ciemnej szyi mężczyzny.

Kathryn podeszła do nas.

- Ile ma pani dziecko? - zapytałam.

- Czternaście miesięcy. Prawda, Carlie? - Wyciągnęła palec i Carlie go złapał i wyciągnął ku niej ręce. Dom oddał dziecko matce. - Przepraszamy - dodała kobieta. - Musimy zmienić pieluszkę.

- Zanim pani pójdzie, czy mogę zadać jedno pytanie? - Ryan pokazał jej zdjęcie. - Czy zna pani któreś z nich?

Kathryn przyjrzała się zdjęciu, trzymając je poza zasięgiem małego. Patrzyłam na twarz Doma. Ani na chwilę nie zmienił jej wyrazu.

Kathryn potrząsnęła głową i oddała zdjęcie.

- Nie. Przykro mi. - Pomachała dłonią jak wachlarzem i zmarszczyła nos. - Muszę iść.

- Ta kobieta była w ciąży - Ryan nie dawał za wygraną.

- Niestety.

- Śliczne to pani dziecko - powiedziałam.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i zniknęła w głębi domu.

Dom spojrzał na zegarek.

- Będziemy w kontakcie - powiedział Baker.

- Tak. Dobrze. I powodzenia.

Siedząc z powrotem w samochodzie patrzyliśmy na posiadłość. Uchyliłam okno po stronie pasażera i mgła usiadła mi na twarzy. Wspomnienie Malachy'ego przygnębiło mnie, a



wilgotna i szara aura idealnie odzwierciedlała mój nastrój.

Popatrzyłam na drogę po obu stronach, potem znowu na budynki. W ogrodzie za bungalowem pracowali ludzie. Paczuszki po nasionach zatknięte na kijach informowały o tym, co rośnie na każdej grządce. Poza tym, miejsce wydawało się wymarłe.

- I co o tym można sądzić? - zapytałam, nie kierując pytania do żadnego z nich konkretnie.

- Jeżeli są tutaj od ośmiu lat, to musieli siedzieć cicho - odparł Baker. - Nigdy o nich nie słyszałem.

Zobaczyliśmy wychodzącą z domu Helen, która poszła prosto do jednej z przyczep.

- Ale świat się o nich jeszcze dowie - dodał sięgając do stacyjki.

Przez całą niemal drogę nie odzywaliśmy się do siebie. Kiedy przejeżdżaliśmy przez most do Beaufort, Ryan przerwał ciszę.

- Musi być jakiś związek. To nie może być przypadek.

- Przypadki się zdarzają - zauważył Baker.

- Niby tak.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - powiedziałam.

- A mianowicie?

- Heidi przestała chodzić do kliniki w szóstym miesiącu. Jej rodzice twierdzą, że pojawiła się w Teksasie pod koniec sierpnia. Zgadza się?

- Tak.

- Ale ktoś dzwonił tutaj aż do grudnia.

- Tak - rzekł Ryan. - To jest ciekawe.

Po drodze do Kliniki Zdrowia Ogólnego Beaufort-Jasper mgła zmieniła się w deszcz. Mokre pnie drzew ściąmniały, a jezdnia lśniła. Przez otwarte okno wpadł zapach mokrej trawy i ziemi.

Znaleźliśmy lekarkę, z którą rozmawiał wcześniej Ryan, i pokazaliśmy jej zdjęcie. Rozpoznała w Heidi pacjentkę, którą prowadziła zeszłego lata, ale nie była pewna. Ciąża przebiegała prawidłowo. Wypisywała jej normalne dla takiego stanu recepty. To było wszystko, co mogła nam powiedzieć. Nie rozpoznała Briana.

W południe szeryf Baker pozwolił nam zająć się sytuacją na Lady's Island. Umówiliśmy się z nim o szóstą w jego biurze; do tego czasu miał nadzieję zebrać trochę informacji na temat posiadłości przy Adier Lyons Road.

Zatrzymaliśmy się z Ryanem na lunch w Sgt. White's Diner, a potem całe popołudnie jeździliśmy po mieście pokazując zdjęcie i wpytując o komunę przy Adier Lyons Road.

O czwartej wiedzieliśmy o dwóch rzeczach: nikt nie słyszał o Domie Owensie i jego zwolennikach i nikt nie pamiętał ani Heidi Schneider, ani Briana Gilberta.

Siedząc w wypożyczonym aucie Ryana patrzyliśmy na Bay Street. Po mojej stronie ludzie wychodzili i wchodzili do Palmetto Federal Banking Center. Popatrzyłam na sklepy po drugiej stronie, w których właśnie byliśmy. Kocie Miau. Kamienie i Kości. Więcej niż Bawełna. Taak. Beaufort rozkwitło turystycznie.

Deszcz przestał padać, ale na niebie nadal wisiały ciemne i ciężkie chmury. Czułam się zmęczona i zniechęcona, i niezbyt pewna związku Beaufort z St-Jovite.

Przed domem towarowym Upsitz człowiek z tłustymi włosami i twarzą koloru ciasta chlebowego wymachiwał Biblią i krzyczał coś o Jezusie. W marcu zaczynał się sezon na chodnikowe zbawienia, więc cała scena należała do niego.

Sam opowiadał mi kiedyś, jak walczył z ulicznymi kaznodziejami. Do Beaufort zjeżdżali od dwudziestu lat jak pielgrzymi do Mekki. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku wyrokiem sędziego aresztowano wielbego Isaaca Abernathy za potępienie kobiet w szortach, nazywanie ich dziwkami i wykrzykiwanie o wiecznym potępieniu. Burmistrza i miasto straszono procesami, a Amerykańskie Stowarzyszenie Obrony Praw Cywilnych stawalo w obronie ewangelisty powołując się na Pierwszą Poprawkę do Konstytucji. Sprawę rozpatrzył Sąd Apelacyjny w Richmond i kaznodzieje mogli nadal przybywać.

Przysłuchiwałam się, jak mężczyzna wygłasza tyradę na temat szatana, pogan i Żydów i poczułam, jak włosy mi się jeżą na karku. Oburzają mnie ci, którzy uważają siebie za rzeczników Boga i jego nieomalże najbliższych, a niepokoją ci, którzy wykorzystują Ewangelię w celach politycznych.

Starsza kobieta szerokim łukiem ominęła kaznodzieję, a ja zastanawiałam się głośno, jaki to rodzaj zbawienia ofiarował swoim zwolennikom Dom Owens. Spojrzałam na zegarek.

- Zbliża się godzina obiadu - zauważyłam.

- Gdybyśmy tam pojechali, to zastalibyśmy ich pewnie przygotowujących burgery z serem sojowym.

- Do spotkania z Bakerem mamy jeszcze półtorej godziny.

- Myślisz o tym, by złożyć im niezapowiedzianą wizytę?

- Lepsze to, niż siedzieć tutaj.

Ryan już sięgał do stacyjki, kiedy coś go powstrzymało. Spojrzałam w tym samym kierunku i zobaczyłam Kathryn z Carliem w nosidełku na plecach. Obok niej szła starsza kobieta z długimi, ciemnymi warkoczami. Wiatr sprawiał, że spódnice przyklejały im się do bioder i nóg. Zatrzymały się, towarzyszką Kathryn powiedziała coś do kaznodziei i wtedy znowu ruszyły w naszą stronę.

Wymieniliśmy z Ryanem spojrzenia i szybko wyszliśmy z samochodu. Kiedy podeszliśmy do nich, przestały rozmawiać i Kathryn się do mnie uśmiechnęła.

- Jak wam idzie? - zapytała, odgarniając z twarzy kosmyk kręconych włosów.

- Nieszczególnie - odparłam.

- Nie trafiliście na nic konkretnego w sprawie tej zaginionej dziewczyny?

- Nikt jej nie pamięta. To dziwne, skoro spędziła tu co najmniej trzy miesiące.

Czekałam na jej reakcję, ale nawet wyraz twarzy się nie zmienił.

- Gdzie pytaliście?

Carlie się poruszył i Kathryn poprawiła nosidełko.

- W sklepach, w spożywczych, aptekach, na stacjach benzynowych, w restauracjach, w bibliotece. Nawet w sklepie z zabawkami Boombears.

- Tak. Słusznie. Skoro spodziewała się dziecka, mogła chodzić do sklepu z zabawkami.

Mały zakwilił, uniósł rączki i odchylił je do tyłu, stopami naciskając na plecy matki.

- Ktoś się obudził - zauważyła Kathryn, sięgając do tyłu, by uspokoić syna. - I nikt jej nie rozpoznał?

- Nikt.

Carlie znówu dał o sobie znać, tym razem bardziej zdecydowanie i starsza kobieta wyciągnęła go z nosidełka.

- O, przepraszam. To jest El. - Kathryn wskazała swoją towarzyszkę.

Ryan i ja przywitaliśmy się z nią. El skinęła głową, ale nic nie powiedziała, zajęta uspokajaniem malca.

- Może zaprosimy panie na jakąś colę czy kawę? - zaproponował Ryan.

- Nie. Takie rzeczy tylko zaburzają potencjał genetyczny. - Kathryn zmarszczyła nos, zaraz potem się uśmiechnęła. - Ale chętnie napiję się soku. Carlie też. - Wyciągnęła rękę do dziecka. - Potrafi być nieznośny, kiedy nie jest szczęśliwy. Doma nie należy się spodziewać prędzej niż za czterdzieści minut, prawda, El?

- Powinnyśmy na niego poczekać. - Kobieta mówiła tak cicho, że ledwie mogłam ją zrozumieć.

- Oj, El, wiesz, że się spóźni. Kupmy sok i usiądźmy na powietrzu. W przeciwnym razie Carlie całą powrotną drogę będzie nie do wytrzymania.

El już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale w tej chwili mały się odwrócił i zapłakał.

- Idziemy na sok - powiedziała Kathryn biorąc go na ręce i sadowiąc powyżej biodra.

- U Blackstone'a jest duży wybór. Widziałam menu w oknie.

Weszliśmy do delikatesów i ja poprosiłam dietetyczną colę. Pozostali zgodnie wybrali soki i zabraliśmy swoje napoje na ławkę na zewnątrz. Kathryn wyjęła z torby mały koc, rozłożyła go u swoich stóp i posadziła na nim dziecko. Potem wyjęła butelkę wody i mały, żółty kubek z okrągłym dnem i zdejmowaną pokrywką z otworkiem do picia. Wypełniła go do połowy swoim sokiem jagodowym Very Berry, dołała wody i podała go Carliemu. Chwycił go obiema rączkami i zaczął pić. Przyglądałam mu się, powróciły wspomnienia i to dziwne uczucie.

Świat przestawał mi się podobać. Ciała na Murtry. Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa Katy. Ryan w Beaufort, ze swoim pistoletem i odznaką. Świat wokół mnie był dziwny, zdawał się przestrzenią, w której się poruszałam, przeniesiona z innego miejsca i czasu; był jednak obecny i drażniąco rzeczywisty.

- Powiedźcie mi o swojej grupie - poprosiłam, z pewnym trudem wracając do rzeczywistości.

El spojrzała na mnie, ale nic nie powiedziała.

- Co chcecie wiedzieć? - zapytała Kathryn.

- W co wierzycie?

- W poznanie naszych własnych umysłów i ciał. W utrzymywanie naszej kosmicznej i

molekularnej energii w czystości.

- A co robicie?

- Robimy? - Pytanie chyba ją zdziwiło. - Produkuje nasze własne jedzenie i nie jemy nic nieczystego. - Lekko wzruszyła ramionami. Słuchając ją pomyślałam o Harry. Oczyszczenie przez dietę. - ...uczymy się. Pracujemy. Śpiewamy i gramy. Czasami słuchamy wykładów. Dom jest niezwykle inteligentny. Jest zupełnie czysty...

El poklepała ją po ręku i wskazała kubek Carliego. Kathryn wzięła go, wytarła otworek do picia w spódnice i podała kubek małemu. Dzieciak chwycił go i rzucił do stóp matki.

- Jak długo mieszkasz z grupą?

- Dziewięć lat.

- A ile masz lat? - W moim głosie zabrzmiało ogromne zdziwienie.

- Siedemnaście. Moi rodzice przyłączyli się do grupy, kiedy miałam osiem lat.

- A przedtem?

Pochyliła się i podała kubek dziecku.

- Pamiętam, że dużo płakałam. Często byłam sama. Zawsze źle się czułam. Moi rodzice ciągle się kłócili.

- I?

- Kiedy przyłączyli się do grupy, zaszła w nas zmiana. Dzięki oczyszczeniu.

- Jesteś szczęśliwa?

- Szczęście nie jest celem życia. - Tym razem przemówiła El. Jej głos był głęboki i szepczący, z bardzo lekkim akcentem, pochodzenia którego nie potrafiłam zidentyfikować.

- A co jest?

- Spokój, zdrowie i harmonia.

- Czy jedynym sposobem na osiągnięcie ich jest wycofanie się ze społeczeństwa?

- My tak uważamy. - Jej twarz była ciemna i pokryta głębokimi zmarszczkami, a oczy koloru mahoni. - W społeczeństwie zbyt wiele rzeczy odwraca naszą uwagę. Narkotyki. Telewizja. Posiadanie. Panująca między ludźmi chciwość. Na drodze stoją nasze własne przekonania.

- El potrafi to wytłumaczyć o wiele lepiej niż ja - powiedziała Kathryn.

- Ale dlaczego komuna? - zapytał Ryan. - Dlaczego nie dać sobie z tym wszystkim spokoju i nie wstąpić do zakonu?

Kathryn wykonała w kierunku El gest, jakby mówiła "ty wytłumacz".

- Wszechświat stanowi organiczną całość złożoną z wielu niezależnych elementów.

Każda część jest niepodzielna i współdziała z inną częścią. Żyjemy w odosobnieniu, ale nasza grupa stanowi mikrokosmos rzeczywistości.

- Mogłaby to pani wyjaśnić? - poprosił Ryan.

- Żyjąc z dala od społeczeństwa odrzucamy rzeźnię, chemię, rafinerie, puszki piwa, stosy zużytych opon i ścieki. Stanowiąc grupę wzajemnie się wspieramy, karmimy się tak duchowo, jak i fizycznie.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. El uśmiechnęła się lekko.

- Zanim osiągnie się prawdziwą świadomość, trzeba pozbyć się wszystkich starych mitów.

- Wszystkich?

- Tak.

- Nawet tych, które on głosi? - Ryan wskazał głową kaznodzieję.

- Wszystkich.

Powróciłam do poprzedniego tematu.

- Kathryn, gdybyś chciała uzyskać o kimś jakieś informacje, gdzie byś ich szukała?

- Posłuchajcie - powiedziała z uśmiechem. - Wy jej nie znajdziecie. - Znowu wzięła dziecku kubek. - Ona jest teraz pewnie na Riwierze i smaruje dzieci kremem do opalania.

Przez chwilę jej się przyglądałam. Ona nie wiedziała. Dom jej nie powiedział. Nie wiedziała, kim jesteśmy, i nie miała pojęcia, dlaczego pytamy o Heidi i Briana.

Wzięłam głęboki oddech.

- Heidi Schneider nie żyje. Brian Gilbert też.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

- Nie żyje? To niemożliwe.

- Kathryn! - Głos El nie był już tak łagodny.

Dziewczyna nie zwróciła na nią uwagi.

- To znaczy, ona jest taka młoda. I jest w ciąży. Albo była. - W jej głosie, jak w głosie dziecka, zabrzmiała żalność.

- Zostali zamordowani prawie trzy tygodnie temu.

- To nie przyjechaliście, żeby ją stąd zabrać? - Patrzyła to na mnie, to na Ryana. W jej zielonych tęczęwkach widać było maleńkie, żółte plamki. - Nie jesteście jej rodzicami?

- Nie.

- Oni nie żyją?

- Tak.

- A jej dzieci?

Skinęłam głową.

Uniosła dłoń do ust, a potem ręka opadła na kolana jak motyl, niepewny, dokąd ma lecieć. Carlie pociągnął ją za spódnicę i ręka opadła niżej, by pogłaskać go po główce.

- Jak ktoś mógł coś takiego zrobić? Nie znałam ich, ale jak ktoś mógł zabić całą rodzinę? Dzieci?

- Wszyscy kiedyś odejdziemy - stwierdziła El, kładąc na ramionach dziewczyny rękę.

- Śmierć to przejście w procesie wzrostu.

- Przejście dokąd? - zapytał Ryan.

Nie usłyszał odpowiedzi. W tym momencie przed bankiem People's po drugiej stronie Bay Street zatrzymała się biała furgonetka. El delikatnie ścisnęła ramiona Kathryn i kiwnęła w tamtym kierunku. Potem wzięła na ręce Carliego i wyciągnęła rękę. Kathryn podała jej swoją i wstała.

- Życzę wam szczęścia - powiedziała starsza kobieta i obie odeszły w kierunku samochodu.

Przez chwilę na nie patrzyłam, a potem dokończyłam swoją colę. Kiedy rozglądałam się za śmietnikiem, dostrzegłam coś pod ławką. Zamykamy kubek Carliego.

Z portfela wyjęłam wizytówkę, napisałam na niej numer i podniosłam pokrywkę. Ryan z rozbawieniem patrzył, jak podnosiłam się spod ławki.

Właśnie wchodziła do furgonetki.

- Kathryn - zawołałam ze środka ulicy. Spojrzała w moim kierunku i wtedy pomachałam kubkiem. Zegar na banku wskazywał kwadrans po piątej.

Powiedziała coś do siedzących w samochodzie i podeszła do mnie. Podałam jej kubek z moją wizytówką w środku. Spojrzała mi w oczy.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz chciała porozmawiać.

Odrzuciła się bez słowa, wróciła do samochodu i wsiadła. Kiedy odjeżdżali Bay Street, dostrzegłam jeszcze jasne włosy Doma siedzącego za kierownicą.

Pokazaliśmy zdjęcie w jeszcze jednej aptece i kilku restauracjach serwujących szybkie dania, a potem pojechaliśmy do biura szeryfa. Ivy Lee poinformowała nas, że wszystko stanęło w miejscu. Jakiś pracownik przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, który stracił pracę, zamknął się w domu ze swoją żoną i trzyletnią córeczką i grozi, że je zabije. Baker nie będzie mógł się z nami spotkać tego dnia.

- I co teraz? - zapytał Ryan. Staliśmy na parkingu na Duke Street. - Przypuszczam, że Heidi nie prowadziła bujnego życia nocnego, więc chyba możemy sobie darować bary i

kluby.

- Chyba tak.
- Skończmy na dzisiaj. Odwiozę cię na Statek Miłości.
- Nazywa się Melanie Tess.
- Tess. Czy to jest coś, co się je z kukurydzianym chlebem i warzywami?
- Tak, golonka ze słodkimi ziemniakami,
- Mam cię podwieźć?
- Pewnie,

Większą część drogi przejechaliśmy w milczeniu. Ryan wkurzał mnie przez cały dzień i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie się od niego uwolnię. Odezwał się, gdy byliśmy na moście.

- Wątpię, by chodziła do salonu kosmetycznego albo na solarium.
- To zdumiewające. Teraz już wiem, dlaczego zostałeś detektywem.
- A może powinniśmy się skupić na Brianie. Może on gdzieś pracował przez ten czas.
- Już go sprawdziliście. Nie ma nigdzie wzmianki o zapłaconym podatku, prawda?
- Nic.
- Może płacono mu gotówką?
- To zmniejsza liczbę możliwości.

Zatrzymaliśmy się na parkingu przed restauracją Olliego.

- To gdzie ruszamy dalej? - zapytałam.
- Nigdy nie jadłem chleba kukurydzianego.
- Miałam na myśli śledztwo. Sam się postarasz o swój obiad. Ja idę do domu, biore prysznic i robię sobie talerz pysznego makaronu błyskawicznego. Właśnie w tej kolejności.
- Jezu, Brennan, w tym jest więcej konserwantów niż w mumii Lenina.
- Czytałam etykietę.
- To może od razu łyknij sobie odpady przemysłowe. Zaburzasz tylko harmonię - naśladował Kathryn - w swoim "potencjale genetycznym".

Jakaś niesprecyzowana myśl wkradła się do mojego umysłu, bezkształtna jak poranna mgła. Chciałam ją sprecyzować, ale umknęła.

- ...służebnice Owensa niech lepiej uważają. Mam zamiar dobrać mu się do tyłka.
- Jak myślisz, co on głosi?
- Wygląda mi to na jakąś kombinację ekologicznego Armageddonu i pracy nad sobą.

Kiedy zatrzymaliśmy się na molo, niebo nad bagnami zaczynało się przecierać. Wzdłuż horyzontu biegły linie żółtego światła.



- Kathryn coś wie - stwierdziłam.
  - Jak my wszyscy.
  - Czasami jesteś naprawdę upierdliwy, Ryan.
  - Milo, że to w końcu zauważyłaś. Dlaczego sądzisz, że ona coś jednak ukrywa?
  - Powiedziała “dzieci”.
  - No i?
  - Dzieci.
- Wreszcie zrozumiał.
- Cholera jasna.
  - Nie mówiliśmy jej, że Heidi nosiła bliźniaczą ciążę.

Czterdzieści minut później ktoś zapukał do drzwi od strony portu. Właśnie miałam na sobie koszulkę Katy z emblematem drużyny Hornets, byłam bez bielizny, a na głowie miałam okręcony w fantazyjny turban ręcznik. Spojrzałam przez żaluzje.

Na zewnątrz stał Ryan z sześcioma puszkami i monstrualnej wielkości pizzą. Zdjął marynarkę i krawat, a rękawy koszuli podwinął do łokci.

Cholera.

Odsunęłam się od okna. Mogłam wyłączyć światło i nie otwierać. Mogłam go olać. Albo powiedzieć, żeby sobie poszedł.

Znowu wyjrzałam i tym razem moje oczy napotkały jego.

- Wiem, że tam jesteś, Brennan. Jestem detektywem, pamiętasz?

Pomachał puszkami.

- Cola dietetyczna.

Niech to szlag.

To nieprawda, że go nie lubiłam. Tak naprawdę to lubiłam jego towarzystwo bardziej niż wielu innych ludzi. Bardziej, niż byłam skłonna przyznać. Podobało mi się jego zaangażowanie w to, co robił, i współczucie, jakie okazywał rodzinom ofiar. Podziwiałam jego inteligencję i dowcip. Podobała mi się historia jego życia, dzieciaka, który w college'u prowadził szalone życie, został kiedyś pobity przez jakiegoś narkomana harleyowca, a potem się nawrócił. Z twardego dzieciaka wyrósł twardy gliniarz. Była w tym jakaś poetycka symetria.

No i bardzo podobał mi się fizycznie, ale mój zdrowy rozsądek nie pozwalał się angażować.

Do diabła. To lepsze niż makaron i syntetyczny ser. Wpadłam do salonu, założyłam

dżinsy z obciętymi nogawkami i przejechałam szczotką po włosach.

Podniosłam żaluzje i wpuściłam go do środka. Wręczył mi napoje i pizzę i wspiał się na pokład.

- Mam własną colę - powiedziałam zamykając osłonę z siatki.

- Coli nigdy dość.

Wskazałam mu kuchnię, położyłam pizzę na stole, on wziął piwo dla siebie i colę dla mnie, a resztę puszek włożył do lodówki. Wyjęłam talerze, serwetki i duży nóż; Ryan otworzył pudełko z pizzą.

- Uważasz że to bardziej odżywcze niż makaron?

- Wegetariańska.

- A to co? - wskazałam brązowy kawałek.

- Kawałek z boczkiem. Chciałem, żeby były na niej różne składniki.

- Weźmy to do salonu - zaproponowałam.

Rozłożyliśmy wszystko na stoliku do kawy i usiedliśmy na kanapie. Woń bagna i mokrego drewna mieszała się z zapachem sosu pomidorowego i bazylii. Jedliśmy rozmawiając o morderstwach i rozważając możliwość związku ofiar z St-Jovite z Domem Owensem.

W końcu przeszliśmy na bardziej osobiste tematy. Opisałam mu Beaufort z mojego dzieciństwa i podzieliłam się z nim wspomnieniami z wakacji na plaży. Mówiłam mu o Katy i mojej separacji z Pete'em. On opowiedział mi o latach spędzonych w Nowej Szkocji i o swoim ostatnim rozstaniu z przyjaciółką.

Nasza rozmowa była przyjemna i naturalna, a ja opowiedziałam mu o sobie więcej, niż kiedykolwiek mogłam przypuszczać. Kiedy milkliśmy na chwilę, ciszę wypełniała woda i szum traw na bagnach. Zapomniałam o przemocy i śmierci i zrobiłam coś, czego dawno nie robiłam. Odprężyłam się.

- To niesamowite, że tyle mówię - zauważyłam zbierając talerze i serwetki.

Ryan pozbierał puste puszki.

- Pozwól mi pomóc.

W pewnym momencie moja ręka otarła się o jego rękę i zrobiło mi się gorąco. Bez słowa zebraliśmy naczynia i zanieśliśmy je do kuchni.

Kiedy usiadłam z powrotem na kanapie, Ryan przez chwilę stał nade mną, potem usiadł blisko, położył obie dłonie na moich ramionach i odwrócił mnie plecami do siebie. Właśnie miałam zaprotestować, kiedy zaczął masować mi mięśnie poniżej szyi, na ramionach i przedramionach aż do łokci. Jego ręce przesuwaly się w dół moich pleców, potem znowu do

góry; kciukami wykonując małe kółeczka, przesunął nimi wzdłuż każdej łopatki. Takimi samymi ruchami wymasował mi miejsce tuż pod nasadą czaszki.

Zamknęłam oczy.

- Mmmmm.

- Jesteś bardzo spięta.

Było zbyt miło, by psuć to rozmową.

Teraz zajął się krzyżem, kciukami masując mięśnie biegnące wzdłuż kręgosłupa, posuwając się centymetr po centymetrze. Oddychałam wolno i poczułam się błogo.

Wtedy przypomniałam sobie o Harry. I że nie mam na sobie bielizny.

Odwrociłam się twarzą do niego i nasze spojrzenia się spotkały. Ryan się przez chwilę zawahał, potem wziął moją twarz w swoje dłonie i przycisnął swoje usta do moich. Przeciagnał palcami wzdłuż linii mojej szczęki i do tyłu, po włosach, a wtedy objął mnie i mocno przyciągnął do siebie. Zaczęłam się odpychać, ale przestałam; moje ręce spoczywały na jego piersiach. Poczułam, jaki jest szczupły, a jego mięśnie twarde.

Czułam ciepło jego ciała i zapach skóry, sutki stwardniały mi pod koszulką. Opadając mu na piersi zamknęłam oczy i odwzajemniłam pocałunek,

Mocno mnie obejmował i długo całował. Objęłam go za szyję, a jego ręka powędrowała pod moją koszulkę, łaskocząc palcami. Delikatność jego dłoni sprawiła, że po krzyżu i czaszce przebiegły mnie dreszcze. Oparłam się jeszcze mocniej i całowałam go jeszcze mocniej, otwierając i zamykając usta w rytm jego oddechu.

Teraz jego ręka wędrowała w okolicach mojej talii, ku górze po brzuchu i wokół piersi, ten sam puchowy dotyk. Moje sutki zdawały się pulsować, a całe ciało płonąć. Włożył mi język w usta i ja objęłam go wargami. Położył całą dłoń na mojej lewej piersi i delikatnie poruszał nią w górę i w dół. Potem zaczął ścisnąć sutek kciukiem i palcem w rytmie pocałunku.

Głaskałam go palcami po plecach, on dłonią zaokrąglenie mojej talii. Pieścił mój brzuch, wodził wokół pępka, potem chwycił za pasek moich szortów. Po dolnej części tułowia znów przebiegł mnie dreszcz.

W końcu zaczął całować całą moją twarz i łaskotał koniuszkiem języka wnętrze mego ucha. Wtedy położył mnie na poduszkach i sam położył się obok, nie przestając patrzeć mi głęboko w oczy swoimi błękitami. Przekręcając się na bok chwycił moje biodra i mnie do siebie przyciągnął. Czułam jego twardość i znowu się całowaliśmy.

Po chwili przestał, zgiął nogę w kolanie i wcisnął udo między moje nogi. Poczułam eksplozję w lędźwiach i nie mogłam oddychać. Znowu ręka powędrowała pod moją

koszulkę. Dłonią krążył wokół piersi, a kciukiem pieścił sutek. Wygięłam plecy w łuk i jęknęłam z rozkoszy, która przysłoniła cały świat. Straciłam poczucie czasu.

Kilka chwil albo godzin później rozpiął zamek przy moich szortach. Z nosem przy jego szyi jednej rzeczy byłam pewna. Bez względu na Harry, nie powiedziałabym nie.

I wtedy zadzwonił telefon.

Ręce Ryana powędrowały do moich uszu, a on całował mnie mocno w usta. Odwzajemniłam pocałunek, chwytając włosy z tyłu jego głowy i przeklinając firmę telefoniczną Southern Beli. Zignorowaliśmy cztery sygnały.

Włączyła się sekretarka, a głos, który usłyszeliśmy, był cichy i ledwie słyszalny, jakby ten ktoś stał na końcu długiego tunelu. Oboje rzuciliśmy się do telefonu, ale było już za późno.

Kathryn odłożyła słuchawkę.

Nic nie mogło uratować sytuacji po telefonie Kathryn. Ryan był gotów próbować, ale ja odzyskałam zdrowy rozsądek i już nie byłam w nastroju. Straciłam szansę na rozmowę z Kathryn i wiedziałam, że jednak tej swojej sprawności seksualnej “mały detektyw” chciałby dowodzić częściej. Przydał by się z jeden orgazm, ale podejrzewałam, że cena byłaby zbyt wysoka.

Wypchnęłam Ryana na zewnątrz i poszłam spać dając sobie spokój nawet z myciem zębów. Ostatni obraz, który przesunął mi się przed oczami, był wspomnieniem z siódmej klasy: siostra Luke rozprawiająca o skutkach grzechu. Moje igraszki z Ryanem miałyby na pewno niemałe skutki.

Kiedy się obudziłam, świeciło słońce i krzyczały mewy, a ja od razu przypomniałam sobie o tym, co się działo poprzedniego wieczoru. Zwinęłam się w kłębek i ukryłam twarz w dłoniach, czując się jak nastolatka, która straciła dziewictwo w pontiacu.

Co ty sobie myślałaś, Brennan?

Ale to nie o to tu chodziło. Problem polegał na tym, czym myślałam. Edna St. Vincent Millay napisała o tym poemat. Jaki on miał tytuł? “Rodzę się kobietą i cierpieniem”.

O ósmej zadzwonił Sam z wieścią, że sprawa z Murtry nie posuwa się naprzód. Nikt nie zauważył nic niezwykłego. Nie widziano żadnych obcych łodzi podpływających do wyspy czy też ją opuszczających w ciągu kilku ostatnich tygodni. Zapytał, czy miałam wiadomość od Hardaway.

Odparłam, że nie. A on dodał, że na kilka dni jedzie do Raieigh i chciał się upewnić, że u mnie wszystko w porządku.

O tak.

Dowiedziałam się, jak zamknąć łódź i gdzie zostawić klucz, i pożegnaliśmy się.

Wyrzucałam do śmieci resztki pizzy, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi od strony portu. Przeczynałam kto to i zignorowałam pukanie, bezustannie jak zbieranie funduszy przez publiczne radio. W końcu się poddałam. Uniosłam żaluzje i zobaczyłam Ryana stojącego dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem.

- Witaj znowu. - Wyciągnął w moją stronę torbę z pączkami.

- Dorabiasz roznoszeniem jedzenia? - Wpuściłam go do środka. Jedna insynuacja i wiedziałam, że rozszarpie go na strzępy.

Wszedł, uśmiechnął się i zaproponował wysokokaloryczne, mało odżywcze

śniadanie.

- Pasują do kawy.

Poszłam do kuchni, nalałam dwie filiżanki i do swojej dodałam mleka.

- Ładny dzień dzisiaj. - Sięgnął po karton z mlekiem.

- Uhm. - Wzięłam sobie paczka oblanego czekoladą i oparłam się o zlew. Nie miałam ochoty siadać na kanapie.

- Już rozmawiałem z Bakerem - powiedział.

Nic nie odpowiedziałam.

- Spotka się z nami o trzeciej.

- O trzeciej to ja będę już w drodze. - Sięgnęłam po następnego paczka.

- Chyba powinniśmy złożyć jeszcze jedną wizytę.

- No to złożmy.

- Może Kathryn będzie sama.

- To chyba twoja specjalność.

- Masz zamiar być taka cały dzień?

- W drodze pewnie będę śpiewać.

- Nie przyjechałem tutaj po to, by cię uwieść.

To mnie jeszcze bardziej dotknęło.

- Uważasz, że nie dorównuję swojej siostrze?

- Co?

Piliśmy nic nie mówiąc, potem nalałam sobie drugą filiżankę i ostentacyjnie odstawiłam dzbanek. Ryan się przyglądał, a potem sam nalał sobie jeszcze kawy.

- Myślisz, że Kathryn chciała nam coś powiedzieć? - zapytał.

- A może zadzwoniła, żeby mnie zaprosić na potrawkę z tuńczyka?

- I kto jest teraz nieznośny?

- Dzięki, że zauważyłeś. - Umyłam filiżankę i położyłam ją dnem do góry na kontuarze.

- Słuchaj, jeżeli czujesz się zakłopotana tym, co stało się wczoraj wieczorem...

- A powinnam?

- Jasne, że nie.

- Nie czuję się.

- Cóż za ulga.

- Brennan, nie mam zamiaru wpadać w szal namiętności w pokoju do autopsji albo chwycić cię w objęcia podczas nocnych obserwacji podejrzanych. Nasz związek nie wpłynie

na nasze życie zawodowe,

- Mała szansa. Dzisiaj mam na sobie bieliznę.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się.

Poszłam zabrać swoje rzeczy.

Pół godziny później zaparkowaliśmy przed domem na Adier Lyons. Dom Owens siedział na werandzie i rozmawiał z kilkoma osobami. Przez siatkową osłonę widać było tylko to, że to sami mężczyźni.

W ogrodzie za białym bungalowem pracowała ekipa, dwie kobiety bujały dzieci na huśtawkach przy przyczepach, inne rozwieszały pranie. Na podjeździe stała niebieska furgonetka, ale nigdzie nie było białej.

Rzuciłam okiem na kobiety przy huśtawkach. Nie było wśród nich Kathryn, chociaż jedno z dzieci przypominało Carliego. Kobieta w kwiecistej spódnicy łagodnie poruszała huśtawkę w tył i w przód.

Podeszliśmy z Ryanem do drzwi i zapukaliśmy. Mężczyźni przerwali rozmowę i spojrzeli w naszym kierunku.

- W czym mogę pomóc? - zapytał wysoki głos.

Owens uniósł dłoń.

- W porządku, Jason.

Wstał, przeszedł przez werandę i otworzył drzwi z siatki.

- Przepraszam, ale chyba nie znam waszych nazwisk.

- Jestem detektyw Ryan. A to doktor Brennan.

Owens uśmiechnął się i wyszedł na schodki. Kiwnęłam głową i podałam mu rękę. Mężczyźni na werandzie siedzieli w milczeniu.

- Co mogę dla was dzisiaj zrobić?

- Nadal staramy się ustalić, gdzie Heidi Schneider i Brian Gilbert spędzili lato zeszłego roku. Miał pan poruszyć ten temat podczas spotkania rodzinnego. - W głosie Ryana nie było nawet cienia emocji.

Owens się znowu uśmiechnął.

- Sesji doświadczalnej. Tak, rozmawialiśmy o tym. Niestety, nikt o nich nic nie wie. Tak mi przykro. Miałem nadzieję, że będziemy mogli pomóc.

- Chcielibyśmy porozmawiać z innymi członkami grupy, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Przykro mi, ale nie mogę ich do tego zachęcać.

- A to dlaczego?

- Nasi ludzie mieszkają tutaj, bo poszukują spokoju i uciezki. Nie chcą mieć nic wspólnego z brudem i przemocą współczesnego społeczeństwa. Pan, detektywie Ryan, reprezentuje świat, który oni odrzucili. Nie mogę naruszać ich spokoju prosząc, by z panem rozmawiali.

- Ale niektórzy z nich pracują w mieście...

Owens skinął głową i spojrzał na niebo, jakby prosił o cierpliwość, która mu się kończyła. Potem znowu się uśmiechnął.

- Jedną z umiejętności, jakie w sobie rozwijamy, jest zdolność odizolowania się. Nie wszyscy mają do tego takie same predyspozycje, ale kilkoro z nas uczy się funkcjonowania w świecie zewnętrznym, pozostając czystym, nietkniętym moralnym i psychicznym brudem. - Znowu cierpliwy uśmiech. - Odrzucamy bluźnierstwa naszej kultury, panie Ryan, ale nie jesteśmy głupcami. Zdajemy sobie sprawę z tego, że człowiek nie żyje tylko duchem. Potrzebujemy też chleba.

Kiedy Owens mówił, przyjrzałam się grupie w ogrodzie. Ani śladu Kathryn.

- Czy każdy może stąd wychodzić? - zapytałam Owensa.

- Oczywiście. - Zaśmiał się. - Jak mógłbym komukolwiek zabronić?'

- A co się dzieje, jeżeli ktoś chce odejść na zawsze?

- Odchodzi. - Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

Przez chwilę nikt nie mówił. Na podwórku skrzypiały huštawki.

- Możliwe, że wasza para zatrzymała się u nas na krótko, pewnie podczas mojej nieobecności - podsunął Owens. - Nie zdarza się tak często, choć nie powiem, że wcale. Ale obawiam się, że w tym wypadku to mało prawdopodobne. Nikt ich nie pamięta.

Właśnie wtedy zza sąsiedniego domu wyszedł rudy Jerry Zauważył nas i najpierw się zawahał, a potem odwrócił się i pośpiesznie zawrócił.

- Ja jednak chciałbym porozmawiać z kilkoma osobami - upierał się Ryan. - Może jest coś, co wiedzą, ale nie sądzą, by było to ważne. Często się tak zdarza.

- Panie Ryan. Nie pozwolę, by nękał pan moich ludzi. Pytałem o tę parę i nikt ich nie zna. O czym tu rozmawiać? Nie mogę panu pozwolić zakłócać naszego porządku.

Ryan przechylił głowę i cmoknął z niecierpliwością.

- Obawiam się, że będzie pan musiał.

- A to dlaczego?

- Bo ja tak nie odejdę. Mam przyjaciela, nazywa się Baker. Kojarzy go pan? A on ma przyjaciół, którzy dają mu nakazy...



Ich spojrzenia spotkały się i przez moment żaden z nich nie mówił. Mężczyźni na werandzie podnieśli się, gdzieś daleko zaszczekał pies. Wtedy Owens uśmiechnął się i chrząknął.

- Jason, zawołaj wszystkich do salonu - powiedział opanowanym, niskim głosem.

Wysoki mężczyzna w czerwonym dresie przeszedł obok niego i ruszył w kierunku sąsiedniego domu. Był okrągły i gruby, wyglądał jak duże dziecko. Zatrzymał się, by pogłaskać kota, i poszedł dalej, do ogrodu.

- Wejdźcie, proszę - Owens otworzył siatkowe drzwi. Weszliśmy za nim do tego samego pokoju, w którym siedzieliśmy poprzednio, i usiedliśmy na tej samej kanapie z ratanu. W domu było bardzo cicho.

- Przepraszam na chwilę, zaraz wracam. Macie na coś ochotę?

Powiedzieliśmy, że nie, a on wyszedł z pokoju. Nad nami cicho szumiał wentylator.

Wkrótce usłyszeliśmy głosy i śmiech, potem skrzypnięcie siatkowych drzwi. Kiedy grupa wchodziła do pokoju, przyjrzałam się każdemu z nich z osobna. Czułam, że Ryan robi to samo.

Kilka minut później pokój był pełen i jedno wiedziałam na pewno. Nic szczególnego ich nie wyróżniało. Równie dobrze mogli być grupą baptystów, którzy przybyli na swój doroczny piknik. Żartowali i śmiali się, absolutnie nie wyglądali na uciskanych.

Były wśród nich niemowlęta, dorośli i co najmniej jeden osiemdziesięciolatek, ale żadnych nastolatków czy dzieci. Szybko ich policzyłam: siedmiu mężczyzn, trzynaście kobiet, troje niemowląt. Helen mówiła, że wszystkich jest dwadzieścia sześć osób.

Rozpoznałam Jerry'ego i Helen. Jason opierał się o ścianę. Nieopodal wejścia stała El z Carliem na rękach. Uważnie mi się przyglądała. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie nasze wczorajsze spotkanie w Beaufort. Wyraz jej twarzy pozostał niezmienny.

Popatrzyłam po innych twarzach. Kathryn nie było wśród nich.

Wrócił Owens i zrobiło się cicho. Przedstawił nas i wyjaśnił, dlaczego przyjechaliśmy. Dorośli słuchali go uważnie, potem popatrzyli na nas. Ryan podał zdjęcie Briana i Heidi mężczyźni w średnim wieku, który stał po jego lewej stronie, i przedstawił sprawę, omijając nieistotne szczegóły. Mężczyzna zerknął na fotografię i podał ją dalej.

Kiedy zdjęcie krążyło, patrzyłam na twarz każdej z oglądających je osób, spodziewając się drobnych zmian w wyrazie, które świadczyłyby, że ktoś ich rozpoznał. Dostrzegłam jedynie zakłopotanie i współczucie.

Gdy Ryan skończył, Owens znowu zwrócił się do zgromadzonych prosząc, by zastanowili się dobrze, czy nie wiedzą nic na temat pary na zdjęciu albo o telefonach. Nikt

nic nie powiedział.

- Pan Ryan i doktor Brennan prosili, bym pozwolił im porozmawiać z każdym z was indywidualnie. - Wędrował wzrokiem od twarzy do twarzy. - Porozmawiajcie z nimi, jeżeli chcecie. Jeżeli jakaś myśl nie daje wam spokoju, podzielcie się nią uczciwie i ze współczuciem. To nie my jesteśmy sprawcami tej tragedii, ale jesteśmy częścią kosmicznej całości i powinniśmy zrobić co w naszej mocy, by przywrócić porządek. Zrobimy to w imię harmonii.

Wszyscy patrzyli tylko na niego i wyczuwałam w pokoju dziwne napięcie

- Ci, którzy nie mogą pomóc, nie powinni czuć się winni, nie powinni się wstydzić. -

Klasnął w ręce. - A teraz pracujcie dalej i czujcie się dobrze

Holistyczna afirmacja przez zbiorową odpowiedzialność!

Oszczędź mi, pomyślałam,

Kiedy wszyscy wyszli, Ryan mu podziękował,

- Nie ma za co, panie Ryan. Nie mamy nic do ukrycia.

- Mieliśmy nadzieję, że porozmawiamy z młodą kobietą, którą poznaliśmy wczoraj - powiedziałam.

Popatrzył na mnie przez chwilę i rzekł:

- Z młodą kobietą?

- Tak. Była tu z dzieckiem. Chyba miało na imię Carlie?

Znowu przyglądał mi się tak długo, że zaczęłam wątpić, czy pamięta. Nagle się uśmiechnął.

- Pewnie chodzi o Kathryn. Dzisiaj ma spotkanie.

- Spotkanie?

- Dlaczego Kathryn was interesuje?

- Chyba jest mniej więcej w wieku Heidi. Pomyślałam, że może się znały. - Coś kazało mi przemilczeć nasze wspólne picie soku w Beaufort.

- Nie było jej tutaj zeszłego lata. Odwiedzała swoich rodziców.

- Rozumiem. Kiedy ma wrócić?

- Nie jestem pewien.

Otworzyły się drzwi i w holu pojawił się wysoki mężczyzna. Sylwetką przypominał stracha na wróble, na prawej brwi i rzęsach prawego oka miał białe pasemko, co sprawiało, że wyglądał dziwnie niesymetrycznie. Pamiętałam go. Podczas spotkania stał tuż przy wyjściu i bawił się z jednym z niemowlaków.

Owens wyciągnął palec, a strach na wróble skinął i wskazał na tył domu. Na jednym z

kościastych palców Owens nosił wielki pierścień.

- Przepraszam, ale muszę się zająć paroma sprawami - powiedział. - Porozmawiajcie, z kim chcecie, ale proszę, uszanujcie nasze pragnienie harmonii.

Odprowadził nas do drzwi i wyciągnął rękę. To wychodziło mu najlepiej. Powiedział, że było mu miło znowu nas spotkać i że życzy nam szczęścia. I już go nie było.

Resztę przedpołudnia spędziliśmy rozmawiając z wiernymi. Byli mili, chętni do współpracy i zupełnie harmonijni. I nie wiedzieli absolutnie nic. Nawet gdzie Kathryn miała swoje spotkanie.

O wpół do dwunastej wiedzieliśmy dokładnie tyle, ile przed przyjazdem.

- Chodźmy podziękować wielebnemu - zaproponował Ryan, wyciągając z kieszeni klucze. Wisiały na dużym, plastikowym krążku i nie były to kluczyki od jego wypożyczonego samochodu.

- Po co, do diabła? - zapytałam. Byłam głodna, było mi gorąco i chciałam już jechać.

- To będzie w dobrym tonie.

Wzniosłam oczy ku niebu, ale Ryan był już w połowie podwórka. Zapukał do drzwi i porozmawiał z facetem z białą brwią. Za chwilę pojawił się Owens. Ryan coś do niego powiedział i wyciągnął rękę, trzech mężczyźni jak marionetki przykucnęli i szybko się wyprostowali. Ryan znowu coś powiedział i odszedł w kierunku samochodu.

Po lunchu znowu odwiedziliśmy kilka aptek, a potem pojechaliśmy na spotkanie z szeryfem. Pokazałam Ryanowi pomieszczenia archiwum, potem przeszliśmy do budynku agencji prawnych. Czarny mężczyzna w kamizelce i kapeluszu filcowym jeździł po trawniku na małym traktorze, a jego chude nogi wystawały na boki jak odnóża konika polnego.

- Jak się państwo mają? - pozdrowił nas, przykładając jeden palec do rądo.

- Świetnie. - Wciągnęłam w płuca powietrze przesycone zapachem świeżo skoszonej trawy i żałowałam, że to nie jest prawda.

Kiedy weszliśmy do biura, Baker rozmawiał przez telefon. Gestem wskazał nam krzesła, powiedział jeszcze kilka słów i odłożył słuchawkę.

- No więc co słyhać? - zapytał.

- Nic nie słyhać - odparł Ryan. - Nikt nic nie wie.

- No to jak jeszcze moglibyśmy wam pomóc?

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Ryan wyjął plastikową torebkę i położył ją na biurku Bakera. W środku znajdował się czerwony, plastikowy krążek.

- Możecie sprawdzić na tym odciski palców. Szeryf popatrzył na niego.

- Przez przypadek to upuściłem. Owens był na tyle miły, by to podnieść.

Baker się zawahał, uśmiechnął i pokręcił głową.

- Pan wie, że to może się nie przydać do niczego.

- Wiem, ale może dowiemy się, kim jest ten czarodziej,

Baker odłożył torebkę na bok.

- Co jeszcze?

- Może podsłuch?

- Nie ma mowy. Za mało wiemy.

- Nakaz przeszukania?

- Jaka przyczyna?

- A te telefony?

- Za mało.

- Myślałem, że wystarczy.

Ryan westchnął głośno i wyprostował nogi.

- To podejść z innej strony. Zaczę od dowodów własności i ksiąg podatkowych, zobaczymy, do kogo należy ten wiejski klub na Adier Lyona. Sprawdzę, kto płaci rachunki. Porozmawiam z listonoszami, zobaczymy, kto prenumeruje Hustlera. Sprawdzę numer ubezpieczenia Owensa, co robił wcześniej, takie rzeczy. Pewnie ma prawo jazdy, więc coś na pewno znajdy Jeżeli wielebny ma coś nielegalnego na sumieniu, to go dostanę. Może tro chę poobserwuję, obejrzę sobie przyjeżdżające i odjeżdżające samochody. sprawdzę tablice rejestracyjne. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że się trochę pokręcę po okolicy?

- Może pan zostać w Beaufort, jak długo pan będzie chciał. Wyznaczy panu do pomocy detektywa. A jakie są pani plany, doktor Brennan?

- Wkrótce wyjeżdżam. Muszę przygotować zajęcia dla studentów i zająć się sprawą z Murtry dla pana Colkera.

- Baxter się ucieszy. Dzwonił, żeby powiedzieć, że doktor Hardaway chciałby z panią jak najszybciej porozmawiać. Dzwonił dzisiaj już trzy razy. Może skorzysta pani z mojego telefonu i do niego zadzwoni?

Nikt nie może powiedzieć, że nie potrafię zrozumieć aluzji.

- Oczywiście.

Baker poprosił Ivy Lee, by połączyła mnie z Hardawayem. Zaraz potem zadzwonił telefon i podniosłam słuchawkę.

Patolog skończył już swoją pracę. Był w stanie określić płeć ciała z dna grobu i określił rasę jako prawdopodobnie białą. Uważał, że przyczyna śmierci były rany cięte, ale

zbyt duży stopień rozkładu uniemożliwił dokładniejsze określenie ich rodzaju.

Dół był wystarczająco płytki, aby dostały się do niego owady, które prawdopodobnie przeszły przez ciało, które leżało wyżej. Przyczyniły się do tego również liczne rany otwarte. Wewnątrz czaszki i klatki piersiowej znalazł ogromne ilości larw muchy. Twarz była nierozpoznawalna i nie mógł określić wieku. Wydawało mu się, że znalazł odciski, które mogłyby się przydać.

W międzyczasie Ryan i Baker rozmawiali o Owensie.

Hardaway mówił dalej. Ciało górne było w stanie większego rozkładu, i chociaż zostało jeszcze trochę tkanki łącznej. Nie mógł wiele z tym zrobić prosił mnie o zrobienie pełnej analizy.

Powiedziałam, by wysłał mi czaszkę, kości biodrowe, obojczyki i piersiowe końce trzeciego, czwartego i piątego żebra dolnego ciała. I cały szkielet Kornego. Poprosiłam także o zdjęcia rentgenowskie obu ofiar, kopię jego raportu i pełen zestaw zdjęć z autopsji.

Na końcu wyjaśniłam mu, jak przetworzyć kości. Znał całą procedurę i obiecał, że wszystko znajdzie się w moim laboratorium w Charlotte w piątek.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na zegarek. Jeżeli chciałam zrobić cokolwiek przed wyjazdem na konferencję do Oakland, to musiałam się ruszać.

Poszliśmy z Ryanem na parking, gdzie tego ranka zostawiłam samochód. Słońce mocno grzało i cień dawał przyjemny chłód. Otworzyłam drzwi i oparłam rękę na górnej krawędzi.

- Zjedzmy coś - zaproponował Ryan.

- Jasne. A potem założę bikini i zrobimy kilka zdjęć dla New York Timesa.

- Od kilku dni traktujesz mnie jak gumę wyplutą na chodnik. Teraz, kiedy o tym myślę, to zdaje mi się, że coś cię od kilku tygodni gryzie. Trudno. Mnie to nie przeszkadza.

Objął dłonią moją brodę i popatrzył mi w oczy.

- Ale chcę, żebyś wiedziała jedno. To, co się stało wczoraj wieczorem, to nie była tylko chemia. Zależy mi na tobie i czułem się szczęśliwy będąc tak blisko ciebie. Nie żałuję, że to się stało. I nie mogę obiecać, że nie spróbuję znowu. Pamiętaj, mogę być wiatrem, ale to ty kontrolujesz latawiec. Jedź ostrożnie.

Puścił moją brodę i poszedł do swojego samochodu. Otworzył drzwi, rzucił marynarkę na siedzenie dla pasażera i odwrócił się w moją stronę.

- A tak przy okazji, nigdy mi nie mówiłaś, dlaczego wątpisz, że ofiary Murtry to narkotykowi handlarze.

Na chwilę mnie zatkało. W jednej chwili chciałam zostać i być daleko od niego.

Nagle powróciłam na ziemię.

- O co ci chodzi?

- O te ciała z wyspy. Dlaczego nie sądzisz, że mogą mieć coś wspólnego z narkotykami?

- Bo obie to kobiety.

W czasie jazdy słuchałam kilku kaset, bo wieści z Wobegon mnie nie zainteresowały. Miałam milion pytań i znałam bardzo mało odpowiedzi. Czy Anna Goyette wróciła do domu? Kim były kobiety pochowane na wyspie Murtry? Czego dowiem się badając ich kości? Kto zabił Heidi i jej dzieci? Jaki związek ma St-Jovite z komuną na Świętej Helenie? Kim był Dom Owens? Gdzie wybyła Kathryn? Gdzie, do diabła, jest Harry?

Myślałam o milionie rzeczy, które musiałam zrobić. I chciałam. Od kiedy wyjechałam z Montrealu, nie przeczytałam nic o Elisabeth Nicolet.

O ósmej trzydzieści byłam w Charlotte. Podczas mojej nieobecności roślinność w Sharon Hali przebrała się w swój najpiękniejszy wiosenny strój. Azalie i derenie rozkwitły, a grusze i dzikie jabłonki jeszcze nie przekwitły. W powietrzu pachniało sosnowymi igłami i korą. Weszłam do mieszkania i wszystko było tak, jak tydzień wcześniej. Tykał zegar. Palila się lampka wskazująca, że są wiadomości. W lodówce było pusto.

Miski Birdiego stały na swoich miejscach pod oknem. Dziwne, że Pete ich nie opróżnił. Nieporządny pod każdym innym względem, mój odseparowany mąż był bardzo skrupulatny, jeżeli chodziło o jedzenie. Sprawdziłam, czy kot nie czai się gdzieś pod krzesłem albo w szafie. Nic nigdzie.

Zadzwoiłam do Pete'a, ale, jak poprzedniego razu, nie było go w domu. Nie było też Harry w mieszkaniu w Montrealu. Myśląc, że może pojechała do domu, zadzwoniłam pod numer w Teksasie. Nikt nie odebrał.

Rozpakowałam się, przygotowałam sobie kanapkę z tuńczykiem i zjadłam ją z piklami z koperkiem i chipsami oglądając koniec meczu Hornetsów. O dziesiątej wyłączyłam telewizor i znowu zadzwoniłam do Pete'a. Wciąż go nie było. Pomyślałam, żeby pojechać do niego po kota, ale w końcu zdecydowałam, że mogę to zrobić rano.

Wzięłam prysznic, potem poszłam do łóżka z kopiami dziennika Bólanł gera i znowu znalazłam się w dziewiętnastowiecznym Montrealu. Przerwa nie pomogła mi lepiej zrozumieć Louis-Philipe'a, godzinę później oczy mi się same zamykały. Wyłączyłam światło i zwinęłam się w kłębek z nadzieją, że długi sen przywróci mi spokój.

Dwie godziny później siedziałam na łóżku z bijącym sercem, nie wiedząc dlaczego. Przyciskałam koc do piersi, ledwie mogłam oddychać, starając się zidentyfikować niebezpieczeństwo, które wyrwało mnie ze snu. Cisza. Świeciła tylko tarcza budzika przy

łóżku.

Dźwięk tłuczonego szkła zjeżył mi włosy na głowie. Poziom adrenaliny poszybował w górę. Przed oczami mignął mi obraz innego włamania, gadzie oczy, błysk noża w świetle księżyca. Myśl przemknęła przez mój umysł. Znowu! Trzask! Bum! Tak, znowu!

Hałas nie dobiegał z zewnątrz! To było na dole! W moim mieszkaniu! Co mogłam zrobić? Zamknąć się w sypialni. Sprawdzić, co to było. Zadzwoić na policję.

Nagle poczułam dym. Cholera!

Odrzuciłam koc i przemknęłam przez pokój, szukając rozsądnych myśli pod warstwą przerażenia. Broń. Potrzebowałam broni. Czego mogłam użyć? Dlaczego nie chciałam trzymać pistoletu?

Podeszłam do komody i wyjęłam dużą muszlę, którą znalazłam na Outer Banks. Nie mogłabym nią zabić, ale koniec mógłby przebić skórę i zranić. Objęłam ją palcami, ostry koniec wystawiłam do przodu.

Prawie nie oddychając podeszłam do drzwi, wolną ręką przesuwając po znajomych powierzchniach, jak niewidomy czytający Braille'em. Komoda. Klamka. Hol.

Na szczycie schodów znieruchomiałam i spróbowałam dojrzeć cokolwiek w ciemności. Krew szumiała mi w uszach, ścisnęłam muszlę i nasłuchiwałam. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Jeżeli tam ktoś faktycznie był, to powinnam zostać na górze. Telefon. Jeśli na dole się pali, to muszę się wydostać na zewnątrz.

Wzięłam oddech, postawiłam stopę na najwyższym stopniu, stój. Teraz drugi. Trzeci. Kolana ugięte, muszla na wysokości ramienia, szłam na dół. Ostry zapach był coraz mocniejszy. Dym. Benzyna. I coś jeszcze. Coś znajomego.

Zatrzymałam się na dole, w umyśle odtwarzając scenę sprzed roku w Montrealu. Wtedy był w środku, morderca, czekając, kiedy zaatakować.

*To się nie zdarzy drugi raz! Zadzwoń pod 911! Wyjdź na zewnątrz!*

Obchodząc poręcz dookoła zajrzałam do jadalni. Ciemność. Teraz do salonu. Ciemność, ale jakby inna.

Dalsza część pokoju w otaczającej ciemności jakby jaśniała brązowo. Kominek, krzesła królowej Anny, wszystkie meble i obrazy leciutko świeciły, niczym przedmioty w mirażu. Przez drzwi kuchenne dostrzegłam pomarańczowe światło tańczące przed lodówką.

Piiiiii!

Serce mi podskoczyło, kiedy ciszę przerwał wysoki, wyjący dźwięk. Drgnęłam i muszla uderzyła w ścianę. Drżąc przywarłam do ściany.

*Ten dźwięk to wykrywacz dymu!*



Czekałam, czy coś się poruszy. Tylko ciemność i niesamowite migotanie.

*Dom się pali. Uciekaj!*

Z walącym dziko sercem i krótkim oddechem rzuciłam się w kierunku kuchni. Ogień trząsał na samym środku, wypełniając pomieszczenie dymem i odbijając się w każdej lśniącej powierzchni.

Drżącą ręką wymacałam włącznik i zapaliłam światło. Dziko rozejrzałam się dookoła. Płonący stos leżał na środku podłogi. Płomienie się nie rozprzestrzeniały.

Odłożyłam muszlę i brzegiem koszuli zasłaniając sobie nos i usta pochyliłam się i poszłam do spiżarni. Z górnej półki zdjęłam małą gaśnicę. W płucach miałam pełno dymu i w oczach łzy, ale udało mi się wcisnąć rączkę. Gaśnica ledwie syknęła.

*Cholera!*

Kaszłąc i krztusząc się znowu wcisnęłam. Znowu syknięcie, ale tym razem z wylotu trysnął strumień dwutlenku węgla i białego proszku.

*Oblęd!*

Skierowałam strumień na płomienie i po minucie ogień był ugaszony. Alarm nadal był, wciskając się w uszy i w mózg.

Otworzyłam tylne drzwi i okno nad zlewem, podeszłam do stołu. Nie musiałam otwierać okna nad nim. Szyby zostały zbite, a szkło i drewniane drzazgi leżały na parapecie i podłodze. Delikatne podmuchy wiatru poruszały zasłonami w obie strony.

Okrażając stos na podłodze włączyłam wentylator na suficie, chwyciłam ręcznik i zaczęłam nim machać, by przewietrzyć pomieszczenie. Powietrze powoli się oczyszczało.

Wytarłam oczy i skoncentrowałam się na kontrolowaniu oddechu.

*Trzeba przewietrzyć!*

Alarm ciągle był.

Przerwałam machanie ręcznikiem i rozejrzałam się. Pod stołem leżała kostka miału węglowego, druga oparta była o szafkę pod zlewem. Między nimi znajdowały się zwęglone pozostałości stosu. Woń dymu i benzyny wypełniała kuchnię. Była jeszcze jedna, znajoma.

Nogi mi drżały, kiedy podchodziłam do tłącego się stosu. Wpatrywałam się w niego nic nie rozumiejąc; właśnie wtedy alarm ucichł. Cisza była aż nienaturalna.

*Zadzwoń pod 911.*

Nie musiałam. Sięgając po telefon usłyszałam gdzieś daleko wyjące syreny. Były coraz głośniejsze, bardzo głośne, nagle cisza. Chwilę później w drzwiach stanął strażak.

- Nic pani nie jest?

Pokręciłam głową i objęłam się rękami, świadoma swojego niekompletnego ubioru.

- Pani sąsiadka nas zawiadomiła. - Jego pasek pod brodą kołysał się.

- Aha. - Zapomniałam o mojej koszuli. Znowu byłam w St-Jovite.

- Opanowała pani ogień?

Skinięcie głową. St-Jovite. Jak impuls.

- Czy mogę sprawdzić?

Odsunęłam się.

Załatwił to jednym spojrzeniem.

- Paskudny psikus. Domyśla się pani, kto to mógł tutaj przywlec?

Potrząsnęłam głową.

- Wydaje mi się, że zbili szybę wrzucając te kostki, a potem to tu wrzucili. - Podeszedł do tłącego się stosu. - Musieli to zamoczyć w benzynie, podpalić i wrzucić.

Słyszałam, co do mnie mówi, ale nie mogłam wykrztusić słowa. Nie potrafiłam wyartykułować tego, co mój umysł próbował sprecyzować: niewyraźnej myśli czającej się w mózgu.

Strażak wyjął zza pasa łopatkę, otworzył ją i wetknął w stertę na podłodze. Czarne drobinki uniosły się w górę i osiadły z powrotem na stosie. Podsunął łopatkę pod całość, podrzucił i odchylił.

- Wygląda jak worek z juty. Nie wiem, co może być w środku. Poskrobał przedmiot końcem łopatki i znowu kawałeczki poszybowały do góry. Szturchnął mocniej. St-Jovite. Pokój do autopsji numer trzy. Przypomniałam sobie coś i zrobiło mi się zimno.

Trzęsącymi się rękami otworzyłam szufladę i wyjęłam nożyczki. Nie przejmując się już moim strojem, przykucnęłam i rozciąłam worek.

Zwłoki były małe, plecy wygięte w łuk, nogi skurczone pod wpływem temperatury płomieni. Zobaczyłam jedno wyschnięte oko i małą szczękę z poczerniałymi zębami. Przeczucie, że zawartość worka wywoła przerażenie, sprawiło, że zrobiło mi się słabo.

*Nie! Proszę, nie!*

Odsunęłam się, nie mogąc znieść zapachu spalonego ciała i sierści. Między tylnymi nogami zobaczyłam zakręcony i poczerniały ogon z prześwitującymi kręgami kręgosłupa.

Cięłam dalej, a łzy ciekły mi po policzkach. Tuż przy węźle dostrzegłam włosy, spalone, ale miejscami białe.

Do połowy opróżnione miski,

- Nieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee!

Słyszałam głos, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest mój.

- Nie! Nie! Nie! Birdie. Proszę, Boże, nie!

Poczułam czyjeś dłonie na moich ramionach, potem na rękach, ktoś zabrał mi nożyczki, delikatnie pomógł mi wstać. Głosy.

Nagle znalazłam się w salonie, przykryta kołdrą. Płakałam, trzęsłam się, bolało mnie całe ciało.

Nie wiem, jak długo płakałam, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam sąsiadkę. Podawała mi filiżankę z herbatą.

- Co to jest? - Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała.

- Mięta.

- Dziękuję. - Popiłam letni płyn. - Która jest godzina?

- Kilka minut po drugiej. - Miała na sobie kapcie i trenecz, który nie zakrywał jej flanelowej koszuli. Ledwie ją znałam; machaliśmy sobie czasami przez trawnik albo wymienialiśmy pozdrowienia na spacerze,

- Przykro mi, że musiała pani wstawać w środku nocy...

- Pani Brennan, proszę. Jesteśmy sąsiadkami. Na pewno zrobiłaby pani to samo dla mnie.

Wzięłam jeszcze jeden łyk. Moje ręce były nadal lodowate, choć już tak nie drżały.

- Czy strażacy jeszcze są?

- Wyszli już. Powiedzieli, że może pani wypełnić raport, kiedy poczuje się już lepiej.

- Czy zabrali... - Głos mi się załamał i oczy zaszyły łzami.

- Zabrali. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić?

- Nie, dziękuję. Już dobrze. Była pani dla mnie bardzo miła.

- Jest jeszcze trochę bałaganu. Przybiliśmy deskę do ramy okna. Nie wygląda elegancko, ale przynajmniej nie będzie wiało.

- Bardzo dziękuję. Ja...

- Proszę, niech się pani postara zasnąć. Rano będzie lepiej.

Pomyślałam o Birdiem i przestraszyłam się nadejścia poranka. W desperackiej nadziei podniosłam słuchawkę i wykreciłam numer Pete'a. Nikt nie podnosił słuchawki.

- Da sobie pani radę? Może pomogę pani pójść na górę?

- Nie. Dziękuję. Poradzę sobie.

Kiedy wyszła, wczółgałam się do łóżka i płacz utulił mnie do snu.

Obudziłam się z przecuciem, że coś było nie tak. Coś się zmieniło. Coś straciłam. Nagle oprzytomniałam i przypomniałam sobie o wszystkim.

To był ciepły, wiosenny poranek. Przez okno widziałam niebieskie niebo i słońce,

powietrze przesycone było zapachem kwiatów. Ale urok dnia nie był w stanie wyciągnąć mnie z depresji.

Zadzwoiłam do straży pożarnej i powiedziano mi, że dowody zostały wysłane do laboratorium kryminalnego. Ocieżała, zajęłam się zwykłymi porannymi czynnościami. Ubrałam się, nałożyłam makijaż, uczesałam włosy i pojechałam do miasta.

W worku był tylko kot. Bez obroży. Bez identyfikatora. Do jednej z kostek przyczepiono ręcznie wypisaną kartkę. Przeczytałam ją przez plastik woreczka.

Następnym razem to nie będzie kot.

- I co teraz? - zapytałam Rona Gilimana, dyrektora laboratorium kryminalnego. To był wysoki, przystojny mężczyzna o srebrnych włosach i z niefortunną szczerbą między górnymi jedykami.

- Sprawdziliśmy już odciski. Nic, ani na kartce, ani na kostkach. Wyślemy do ciebie zespół, ale wiesz tak dobrze jak ja, że dużo nie znajdą. Okno kuchni znajduje się tak blisko ulicy, że sprawcy szybko je wybili, zapalili worek i wrzucili wszystko do środka z zewnątrz. Oczywiście, poszukamy śladów stóp i popytamy mieszkańców, ale mało prawdopodobne, żeby o wpół do drugiej nad ranem ktoś z sąsiadów nie spał.

- Szkoda, że nie mieszkam na Wilkinson Boulevard.

- Kłopoty cię lubią bez względu na to, gdzie mieszkasz.

Ron i ja od lat pracowaliśmy razem. Wiedział o seryjnym mordercy, który włamał się kiedyś do mojego mieszkania w Montrealu.

- Każę przeszukać twoją kuchnię, ale skoro tamci nie weszli do środka, nie będzie żadnych śladów. Zakładam, że nic nie dotykałaś.

- Nie. - Od zeszłej nocy nawet się do kuchni nie zbliżyłam. Nie mogłam znieść widoku misek Birdiego.

- Pracujesz nad czymś, co mogłoby kogoś zdenerwować? Opowiedziałam mu o morderstwach w Ouebecu i o zwłokach z wyspy Murtry.

- Jak sądzisz, jak dostali twojego kota?

- Może uciekł, kiedy Pete wszedł, aby go nakarmić. On tak robi. - Ból. - Robił.

Nie płacz. Nie wąż się płakać.

- Albo...

- Tak?

- Nie jestem pewna. W zeszłym tygodniu pomyślałam, że ktoś mógł włamać się do mojego gabinetu na uniwersytecie. No, może nie włamał. Mogłam zostawić nie zamknięte

drzwi.

- Jakiś student?

- Raczej studentka... - Opisałam mu cały incydent. - Klucze do domu zostały w mojej torebce, ale mogła zrobić odcisk.

- Wyglądasz na nieco roztrzęsioną.

- Trochę. Czuję się dobrze. Przez chwilę nic nie mówił. A potem:

- Tempe, słysząc o tym pomyślałem, że to może jacyś rozczarowani studenci. - Podrapał się po nosie. - Ale to może być coś więcej niż brzydki kawał. Uważaj na siebie. Może powiedz Pete'owi.

- Nie chcę tego robić. Poczuliby się zobligowany do pilnowania mnie jak dziecka, a on nie ma na to czasu. Nigdy nie miał.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, dałam Ronowi klucz do Annexu, podpisałam raport z wypadku i wyszłam.

Ruch był nieduży, ale wydawało mi się, że na uniwersytet jadę dłużej niż zwykle. Lodowata ręka ścisnęła mnie za serce i nie chciała puścić.

Czułam to cały dzień. W toku obowiązków prześladowały mnie obrazy mojego zamordowanego kota. Mały Birdie machający przednimi łapkami. Już większy, rozłożony na grzbiecie pod kanapą. Kreślący ósemki między moimi kostkami. Wpatrzony we mnie i czekający na resztki moich płatków śniadaniowych. Smutek, który towarzyszył mi przez kilka ostatnich tygodni, przerodził się w głęboką melancholię.

Kiedy skończyłam dyżur, poszłam pobiegać do kompleksu sportowego. Wyciskałam z siebie siódme poty w nadziei, że zmęczenie fizyczne zagłuszy ból w sercu i napięcie ciała.

Kiedy tak biegałam, myśli skierowały się na inny tor. Na słowa Rona Gillmana. Zabijanie zwierząt jest okrutne, ale to domena amatorów. Czy to faktycznie był tylko jakiś nieszczęśliwy student? Czy śmierć Birdiego mogła być prawdziwą groźbą? Kto groził? Czy miało to związek z napaścią na ulicy w Montrealu? Ze sprawą na Murtry? Czy zostałam wciągnięta w coś, z ogromu czego nie zdawałam sobie sprawy?

Nie zwalniałam tempa i za każdym okrążeniem napięcie opuszczało moje ciało. Po sześciu kilometrach padłam na trawę. Dysząc ciężko przyglądałam się małej tęczce, którą stworzyły krople zraszacza. Udało się. Mój umysł był znowu jasny.

Kiedy puls i oddech wyrównały się, poszłam do szatni, wzięłam prysznic i przebrałam się w czyste ubranie. Już w lepszym nastroju wspierałam się po niskim wzniesieniu do Colvard Building.

To uczucie nie trwało długo.

Telefon wskazywał nową wiadomość. Wysłuchałam jej.

Cholera!

Znowu dzwoniła Kathryn. Jak poprzednio, nie zostawiła żadnej informacji, tylko wiadomość, że dzwoniła. Przewinęłam taśmę i wysłuchałam znowu. Wydawała się zdyszana, a w jej pośpiesznie wypowiedzianych słowach brzmiało napięcie.

Odsłuchałam wiadomość znowu i kolejny raz, ale nie mogłam się zorientować, co działo się w tle. Mówiła głosem stłumionym, jakby ze środka ciasnego pomieszczenia. Wyobraziłam ją sobie, ściskającą w dłoni słuchawkę, szepczącą, niespokojnie rozglądającą się dookoła.

Czy popadłam w paranoję? Czy wypadek ostatniej nocy wywoływał te szalone obrazy? A może Kathryn naprawdę coś groziło?

Słońce prześwitując przez żaluzje rzucało na moje biurko podłużne cienie. Gdzieś na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Pomysł się wykrystalizował w mojej głowie.

Sięgnęłam po telefon.

Jestem ci wdzięczna za to, że znalazłeś dla mnie czas mimo tak późnej pory. I tak się dziwię, że jeszcze jesteś w kampusie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że antropolodzy pracują ciężiej niż socjologowie?

- Ależ skąd - zaśmiałam się, sadowiac się na czarnym krześle z plastiku, które mi wskazał. - Red, chciałabym się ciebie poradzić. Co możesz mi powiedzieć o miejscowych sektach?

- Co masz na myśli mówiąc sekta?

Red Skyler kiwał się na boki w swoim fotelu za biurkiem. Chociaż posiwiął, brunatna broda jeszcze się trzymała. Zmrużonymi oczami przyglądał mi się zza okularów w metalowych oprawkach.

- Organizacje o skrajnych przekonaniach. Sekty Sądu Ostatecznego, koła satanistyczne.

Uśmiechnął się i gestem zachęcił do kontynuowania.

- Rodzina Mansonów. Hare Krishna. Świątynia Ludu... No wiesz. Sekty.

- Używasz wielkich słów. To, co dla ciebie jest sekta, dla kogoś innego może być religią. Albo rodziną. Albo partią polityczną.

Przypomniała mi się Daisy Jeannotte. Jej też nie podobał się ten termin, ale na tym kończyły się podobieństwa. Wtedy siedziałam naprzeciwko drobnej kobiety w jej ogromnym gabinecie. Teraz miałam przed sobą dużego faceta w miejscu tak małym i zatłoczonym, że czułam się klaustrofobicznie.

- Dobrze. A więc co to jest sekta?

- Sekty nie są tylko grupami wariatów, na których czele stoją przedziwni liderzy. Według mnie są to organizacje, które mają ze sobą kilka cech wspólnych.

- Tak. - Oparłam się na krześle.

- Sekta formuje się wokół charyzmatycznego osobnika, który coś obiecuje. Osobnik ten twierdzi, że posiada pewną specjalną wiedzę. Czasami jest to dostęp do starożytnych sekretów, innym razem jest to zupełnie nowe odkrycie, w które tylko on lub ona jest wtajemniczony lub wtajemniczona. Czasami jest to i jedno, i drugie. Lider proponuje, że podzieli się informacjami z tymi, którzy pójdą za nim. Niektórzy oferują utopię. Albo wyjście. Po prostu przyjdźcie, pójdźcie za mną. Ja podejmę decyzje. Wszystko będzie dobrze.

- Czym się różnią od księży czy rabinów?

- W przypadku sekty jest to charyzmatyczny lider, który w końcu staje się przedmiotem oddania; w niektórych przypadkach robi z siebie bóstwo. A kiedy tak się dzieje, zaczyna on mieć niezwykłą kontrolę nad życiem jego zwolenników.

Zdjął okulary i przetarł szkła kawałkiem zielonego materiału, który wyjął z kieszeni. Potem je z powrotem założył, starannie zakładając za uszami.

- Sekty są totalistyczne, autorytarne. Lider jest najwyższy i nie lubi dzielić się władzą. Jego moralność staje się jedyną do zaakceptowania teologią. Jedynym akceptowanym zachowaniem. I, jak już powiedziałem, wszyscy obdarzają głębokim szacunkiem jego, nie boskie istoty czy abstrakcyjne zasady.

Nie przerywałam mu.

- Często istnieje podwójna etyka. Członkowie mają być uczciwi i mają się kochać, ale oszukiwać i unikać ludzi z zewnątrz. Główne religie stosują jeden rodzaj zasad dla wszystkich.

- Jak lider zyskuje taką kontrolę?

- To kolejny ważny element. Poprzez zmianę myślenia. Liderzy sekt korzystają z różnorodnych psychologicznych procesów do manipulowania swoimi ludźmi. Niektórzy są łagodni, inni wykorzystują idealizm swych zwolenników.

Wolałam mu nie przerywać.

- Moim zdaniem można wyróżnić dwa rodzaje sekt, choć obie oczekują zmiany myślenia. Szeroko reklamowane "programy świadomościowe" - w powietrzu nakreślił cudzysłów - robią użytek z technik perswazji. Oni trzymają ludzi przy sobie nakłaniając ich do chodzenia na coraz to inne kursy. Są też jednak sekty, których członkiem zostaje się na całe życie. Takie grupy, korzystając z psychologicznej i społecznej perswazji, wywołują ogromne zmiany w postawach. W końcu zaczynają sprawować pełną kontrolę nad życiem swoich członków. Manipulują, oszukują i wykorzystują.

Przetrawiłam to.

- Jak działa zmiana myślenia?

- Zaczyna się od destabilizacji własnego ja osoby. Na pewno mówisz o tym na zajęciach z antropologii. Odseparować. Zdekonstruować. Zrekonstruować.

- Ja jestem antropologiem fizycznym.

- No dobrze. Nowi członkowie uwalniani są spod wszelkich wpływów, a potem nakłaniani do kwestionowania wszystkiego, w co do tej pory wierzyli. Przekonuje się ich, by ponownie zinterpretowali świat i swoje własne, dotychczasowe życie. Każdej osobie stwarza



się nową rzeczywistość, tym samym uzależniając ją od organizacji i jej ideologii.

Przypomniałam sobie kursy kulturowej antropologii, na które chodziłam po dyplomie.

- Wiem, że jest coś takiego jak *rite de passage*. Że w niektórych kulturach dzieci są na jakiś czas izolowane i poddawane treningowi. Że ma to na celu umacniać idee, z którymi dziecko wzrastało. Ale ty mówisz o zmuszaniu ludzi do odrzucenia tych wartości, do zrezygnowania z wszystkiego, w co wierzą. Jak to się robi?

- Sekta kontroluje czas i otoczenie nowicjusza. Dieta. Sen. Praca. Odpoczynek. Pieniądze. Wszystko. Wywołuje poczucie zależności, bezsilności, kiedy jest się poza grupą. W tym momencie wzbudza nową moralność, system logiczny, do którego stosuje się cała grupa. Świat pod dyktando lidera. To zdecydowanie zamknięty system. Nie dopuszcza się żadnej krytyki, żadnego narzekania. Grupa porzuca stare zachowania i postawy, krok po kroku zastępuje je swoimi własnymi zachowaniami i postawami.

- Dlaczego ludzie się na to zgadzają?

- Proces jest na tyle stopniowy, że nikt nie jest świadom tego, co się dzieje. Przechodzi się przez serię niewielkich etapów, a każdy z nich wydaje się nieszkodliwy. Inni zapuszczają włosy. Ty zapuszczasz włosy. Inni mówią cicho, więc i ty ściszasz głos. Wszyscy potulnie słuchają lidera, nie zadają pytań i ty robisz to samo. Masz poczucie bycia akceptowanym i aprobowanym przez grupę. Nowicjusz nie czuje, że ten program działa w dwie strony.

- Czy w końcu zaczynają się orientować?

- Zwykle dzieje się tak, że nowych członków nakłania się do zerwania kontaktów z rodziną i przyjaciółmi, do zerwania starych więzi. Czasami zabiera się ich w jakieś izolowane miejsca. Na farmy. Do komun. Do domków letniskowych. Taka izolacja, zarówno fizyczna, jak i społeczna, osłabia ich normalny system wsparcia i zwiększa poczucie osobistej bezsilności i potrzeby bycia akceptowanym przez grupę. To także sprawia, że nie są w stanie ocenić tego, co im się mówi. Wiara we własną umiejętność oceny i postrzegania słabnie. W końcu nie są w stanie podjąć jakiegokolwiek samodzielnego działania.

Pomyślałam o Owensie i jego grupie na Świętej Helenie.

- No to już wiem, jaką sekta ma kontrolę, jeżeli mieszka się z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale co z członkami, którzy pracują poza siedzibą?

- To proste. Wszyscy dostają instrukcje, by intonować pieśni i medytować, kiedy nie pracują. W czasie przerw na lunch czy kawę. Umysł koncentruje się na zachowaniach kierowanych przez sektę. A poza pracą cały czas poświęcany jest organizacji.

- Ale co ich przyciąga? Co kieruje człowiekiem, który odrzuca swoją przeszłość i

oddaje się sekcje?

Nie mogłam objąć tego umysłem. Czy Kathryn i inni też byli automatami, których każdy krok był kontrolowany?

- Istnieje system kar i nagród. Jeżeli ktoś zachowuje się, mówi i myśli odpowiednio, jest kochany przez lidera i całą grupę. I, oczywiście, będzie zbawiony. Oświecony. Zabrzany do innego świata. Cokolwiek się obiecuje.

- A co oni obiecują?

- Wszystko. Nie wszystkie sekty są religijne. Ludzie myślą, że są, bo w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych wiele takich grup zarejestrowało się jako religijne dla ulg podatkowych. Istnieją różne rodzaje sekt, obiecują one różne korzyści. Zdrowie. Upadek rządu. Podróż w kosmos. Nieśmiertelność.

- Nadal uważam, że tylko wariat dałby się na to nabrać.

- Wcale nie. - Pokręcił głową. - Nie tylko wąska grupa ludzi daje się w to wciągnąć. Badania dowodzą, że prawie dwie trzecie respondentów pochodziło z normalnych rodzin i wykazywało zachowanie typowe dla swojej grupy wiekowej w momencie wstępowania do sekty.

Zapatrzyłam się w nieduży dywan we wzory plemienia Nawajo pod moimi stopami. Nie rozumiałam tego. Dlaczego tak się działo? Co mi tutaj mąciło obraz?

- Czy twoje badania wyjaśniają, dlaczego ludzie poszukują takich organizacji?

- Raczej nie. To one szukają ludzi. I jak już mówiłem, ci liderzy potrafią być naprawdę uroczy i przekonujący.

Dom Owens pasował mi do tego opisu. Kim on był? Ideologiem spełniającym swoje zachcianki przy pomocy podatnych na wpływy zwolenników? Czy może tylko prorokiem-entuzjastą próbującym wyhodować organiczną fasolę?

Znowu pomyślałam o Daisy Jeannotte. Miała rację? Czy opinia publiczna niepotrzebnie dała się zastraszyć wyznawcom szatana i prorokom przepowiadającym nadejście Sądu Ostatecznego?

- Ile sekt istnieje w Stanach Zjednoczonych? - zapytałam.

- W zależności od definicji - uśmiechnął się drwiąco i rozłożył ręce - od trzech do pięciu tysięcy.

- Żartujesz sobie.

- Jedna z moich koleżanek obliczyła, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat aż dwadzieścia milionów ludzi miało jakiś kontakt z sektami. Ona uważa, że zawsze jest to mniej więcej dwa do pięciu milionów.

- Zgadzasz się z tym? - Zdziwił mnie.

- Trudno powiedzieć. Niektóre z grup zwiększają swoją liczebność zaliczając w poczet swoich członków nawet tych, którzy kiedykolwiek pojawili się na spotkaniu, czy też prosili o informacje. Inne są bardzo tajemnicze i bardzo starają się nie zwracać na siebie uwagi. Policja odkrywa istnienie niektórych z nich dopiero wtedy, kiedy mają jakieś kłopoty albo kiedy jakiś rozczarowany zwolennik odchodzi i składa skargę. Mniejsze z nich trudno jest nawet wytropić.

- Słyszałeś kiedyś o Domie Owensie?

Pokręcił głową.

- A jak się nazywa grupa?

- Oni nie używają nazwy.

Na drugim końcu korytarza ktoś włączył drukarkę.

- Czy policja obserwuje jakieś organizacje w Karolinach?

- To nie moja dziedzina, Tempe. Ja jestem socjologiem. Mogę ci powiedzieć, jak one działają, ale niekoniecznie kto jest aktualnie przeświatlany. Ale jeżeli to dla ciebie ważne, mogę spróbować się dowiedzieć.

- Ja tego po prostu nie rozumiem. Red. Jak ludzie mogą być tak łatwowierni?

- Kusząca jest myśl, że należy się do elity. Jest się wybranym. Większość sekt uczy swoich członków, że tylko oni są oświeceni, a wszyscy inni pominięci. W pewien sposób gorsi. To działa na ludzi,

- Red, czy te grupy stosują przemoc?

- Większość nie, ale są wyjątki. Były takie w Jonestown, w Waco, w Bramach Niebios. Najwyraźniej ich członkom nie szło najlepiej. Pamiętasz sektę Rajneesh? Chcieli zatruć zasoby wodne w jakimś mieście w Oregonie i grozili urzędnikom hrabstwa. A Synanon? Ci porządni mieszkańcy podrzucili grzechotnika do skrzynki na listy prawnika, który podał ich do sądu. Facet ledwie uszedł z życiem.

Coś tam sobie przypominałam.

- A co z małymi grupami, z tymi, które się ukrywają?

- Większość jest nieszkodliwa, ale niektóre są wymyślne i potencjalnie niebezpieczne. Tylko kilka z nich posunęło się za daleko w ostatnich latach. Czy to ma coś wspólnego ze sprawą?

- Tak. Nie. Nie jestem pewna. - Zadarłam sobie skórę paznokcia na kciuku.

Zawahał się.

- Czy chodzi o Katy?

- Co?

- Czy ona się w coś wplątała?

- Nie, nie, nic takiego. Naprawdę. Tu chodzi o sprawę. Natknęłam się na komunę w Beaufort i nie daje mi to spokoju.

Rozdrapana skórka zaczęła krwawić.

- Dom Owens, mówisz?

Kiwnęłam głową.

- Nie zawsze rzeczy są naprawdę takie, jak nam się zdaje.

- Nie zawsze.

- Jeżeli chcesz, mogę wykonać kilka telefonów.

- Byłabym ci wdzięczna.

- Chcesz plaster?

Opuściłam ręce i wstałam.

- Nie, dzięki. Już uciekam. Bardzo mi pomogłeś.

- Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś miała jeszcze jakieś pytania.

Wróciłam do mojego gabinetu, usiadłam i patrzyłam na wydłużone cienie w pokoju; wciąż męczyła mnie ta niesprecyzowana myśl. W budynku było bardzo cicho.

Czy to z powodu Daisy Jeannotte? Zapomniałam zapytać Reda, czy ją zna. Czy to o nią chodziło?

Nie.

Cóż to była za myśl, która plątała się po labiryncie mojego umysłu? Dlaczego nie potrafiłam nadać jej kształtu? Co chciała mi powiedzieć moja podświadomość?

Popatrzyłam na małą kolekcję kryminalów, którymi wymieniam się czasami z kolegami. Jak autorzy na to mówią? Metoda "Gdybym to wiedział". Czy to było to? Czy zbliżała się jakaś tragedia, bo nie potrafiłam odkryć wiadomości w zakamarkach myśli?

Jaka tragedia? Kolejna śmierć w Quebecu? Jeszcze jedna w Beaufort? Coś grozi Kathryn? Znowu ktoś mnie zaatakuje, ale tym razem konsekwencje będą poważniejsze?

Gdzieś zadzwonił telefon, dzwonił i dzwonił, nagle przerwał, kiedy włączył się automat. Cisza.

Znowu spróbowałam skontaktować się z Pete'em. Nadal nikt nie odpowiadał. Pewnie znowu gdzieś wysłuchiwał zeznań. Nieważne. Birdiego i tak tam nie było.

Wstałam i zaczęłam porządkować papiery, potem zajęłam się układaniem książek. Wiedziałam, że to był sposób na odłożenie chwili, kiedy będę musiała wejść do pustego

domu, ale nie mogłam na to nic poradzić. Myśl o powrocie do domu była nie do zniesienia.

Dziesięć minut nieprzerwanej pracy. Nie myśleć. Aż nagle:

- Do diabła, Birdie!

Rzuciłam kolejną książkę na biurko i padłam na krzesło.

- Dlaczego musiałeś tam być? Tak mi przykro. Bardzo, bardzo mi przykro, Bird...

Położyłam głowę na blacie i rozplakałam się.

Czwartek okazał się zwodniczo przyjemny.

Rano spotkały mnie dwie małe niespodzianki. Agenci mojego towarzystwa ubezpieczeniowego nie robili żadnych problemów. A dwaj fachowcy od napraw, jakich znalazłam, byli wolni i mogli zacząć pracę od zaraz.

W ciągu dnia prowadziłam zajęcia i przejrzałam swój referat na konferencję. Po południu Ron Giliman powiadomił mnie, że zespół zajmujący się zabezpieczaniem śladów w miejscach zbrodni nie znalazł w mojej kuchni nic godnego uwagi. Nie zdziwiło mnie to. Poprosił patrole, by uważały na moje mieszkanie.

Dostałam też wiadomość od Sama. Nie było nic nowego, ale on sam był coraz bardziej przekonany, że zwłoki zostały wywiezione na wyspę przez dilerów narkotykowych. Uważał to za swoje osobiste wyzwanie i wykopał swoją starą dwunastkę, i trzymał ją pod łóżkiem.

Wracając z uniwersytetu do domu wstąpiłam do megasamu w centrum handlowym Southpark i wybrałam tylko to, co lubiałam jeść najbardziej. Potem poszłam poćwiczyć i w Annexie byłam koło wpół do siódmej. Okno zostało wymienione i jeden z pracowników właśnie kończył wygładzanie podłogi. Wszystko w kuchni pokryte było białym, drobnym proszkiem.

Wyczyściłam kuchenkę i blaty, potem przygotowałam sobie kraby i sałatkę z kozim serem, zjadłam oglądając powtórkę "Murphy Brown". Twarda A babka. Postanowiłam, że będę taka jak ona.

Wieczorem znowu przejrzałam mój referat, obejrzałam mecz Hornetsów i rozmyślałam o moim zeznaniu podatkowym. Obiecałam sobie, że nim też się zajmę. Ale nie w tym tygodniu. Zasnęłam o jedenastej, z kopiami dziennika Louis-Philippe'a rozrzuconymi na łóżku.

Piątek był dziełem szatana. Właśnie tego dnia poczułam, że zbliża się coś okropnego.

Szczątki z Murtry przyjechały z Charleston wcześniej rano. O wpół do dziesiątej, w rękawiczkach i okularach stałam w moim laboratorium. Na jednym ze stołów leżała czaszka i kawałki kości, które Hardaway wyjął podczas sekcji dolnego ciała. Na drugim leżał cały szkielet. Technicy na uczelni medycznej świetnie się spisali. Wszystkie kości były oczyszczone i w całości.

Zaczęłam od zwłok z dna grobu. Choć w dużym stopniu uległy rozkładowi, zostało jeszcze dosyć miękkiej tkanki, by można było przeprowadzić pełną autopsję. Płeć i rasa były oczywiste, miałam tylko określić wiek. Zostawiłam sobie raport patologa i zdjęcia na później, nie chciałam, by w jakikolwiek sposób wpłynęły na moją opinię.

Założyłam zdjęcia rentgenowskie na przeglądarkę. Nic niezwykłego. Na zdjęciach czaszki wyraźnie było widać wykształcone wszystkie trzydzieści dwa zęby i ich korzenie. Nie było żadnych plomb, koron, mostków czy ubytków. Odnotowałam to na formularzu sprawy.

Podeszłam do pierwszego stołu i przyjrzałam się czaszce. Szczelina u jej podstawy była w pełni zarośnięta. To była osoba dorosła.

Uważnie obejrzałam końcówki żeber i powierzchnie, gdzie połówki miednicy łączyły się z przodu, tworząc spojenia łonowe. Na żebrach zauważyłam nieznaczne wgłębienia w miejscach, gdzie chrząstka łączyła je z mostkiem. W poprzek powierzchni spojeniowych kości łonowych biegły faliste wypukłości, a na zewnętrznym brzegu każdej z nich widać było drobniutkie guzki kostne.

Kończówki obojczyków tuż przy mostku były zrosnięte. Górne brzegi obu płaskich części kości biodrowych zachowały drobne linie oddzielenia.

Sprawdziłam moje modele i histogramy, zanotowałam swoje spostrzeżenia. Kobieta w chwili śmierci mogła mieć między dwadzieścia a dwadzieścia osiem lat. Hardaway prosił o pełną analizę górnych zwłok. Tym razem też zaczęłam od obejrzenia zdjęć rentgenowskich. Znowu nie znalazłam nic niezwykłego prócz idealnego uzębienia.

Podejrzewałam, że ta ofiara też była kobietą, tak powiedziałam Ryanowi. Układając kości zauważyłam gładką czaszkę i delikatny układ kości twarzy. Szeroka, krótka miednica z typowo kobiecą częścią łonową potwierdziła moje wcześniejsze przypuszczenia.

Wiekem była zbliżona do tej pierwszej, chociaż na spojeniach łonowych wyraźnie odznaczały się wypukłości, ale nie było drobnych guzków kostnych.

Ta ofiara była nieco młodsza, mogła być przed dwudziestką albo nieco po.

Aby ustalić pochodzenie, wróciłam do czaszki. Klasyczny układ w środkowej części twarzy, zwłaszcza nos: wysokie sklepienie między oczami, wąskie wejście, wydatna część dolna i grzbietowa.

Wykonałam kilka pomiarów, później chciałam porównać je ze statystyką, ale i tak już wiedziałam, że to była biała kobieta.

Zmierzyłam kości długie, wprowadziłam dane do komputera i przejrzałam pliki porównawcze. Właśnie wpisywałam pomiary do formularza, kiedy zadzwonił telefon.

- Jeżeli zostanę tu jeszcze jeden dzień, to zupełnie cofnę się językowo - usłyszałam głos Ryana.

- To łap autobus na północ.
- Myślałem, że po prostu taka jesteś, ale teraz widzę, że to nie twoja wina.
- Nie można pozbyć się własnych korzeni.
- No.
- Dowiedziałeś się czegoś?
- Dziś rano widziałem świetną naklejkę na zderzaku.

Bez komentarza.

- Jezus cię kocha. Wszyscy inni mają cię za dupka.
- Dzwonisz do mnie, żeby mi o tym powiedzieć?
- To była naklejka na zderzaku.
- Jesteśmy mocno religijni, jak widać.

Spojrzałam na zegarek. Kwadrans po drugiej. Zdałam sobie sprawę, że jestem strasznie głodna i sięgnęłam po banana i ciasto, które zabrałam z domu.

- Poobserwowałem trochę gniazdko Doma. I nic. W czwartek rano troje wiernych wsiadło do furgonetki i odjechali. Poza tym nikt ani nie wyjeżdżał, ani nie przyjeżdżał.

- A Kathryn?
- Jej nie widziałem,
- Sprawdziłeś tablice rejestracyjne?
- Tak, szefie. Obie furgonetki są zarejestrowane na Doma Owensa na adres Adier

Lyons.

- Czy on ma prawo jazdy?
- Wydane przez stan Palmetto w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Żadnej wzmianki, że to kontynuacja. Najwyraźniej wielebny przyszedł wtedy, bo właśnie zdał egzamin. Ubezpieczenie płaci na czas. Gotówką. Żadnych opóźnień. Żadnych aresztowań czy wezwań do sądu.

- Inne rachunki? - Staralam się nie szeleścić celofanem.
- Telefon, elektryczność i woda. Te też płaci gotówką.
- Ma numer ubezpieczenia?

- Przyznany w osiemdziesiątym siódmym. Ale nie ma nic o żadnych wpłatach czy prośbach o zasiłek.

- Osiemdziesiąty siódmy? To co robił wcześniej?
- Ciekawe pytanie, doktor Brennan.



- A poczta?

- Oni z nikim nie korespondują. Dostają zwykłe ulotki, jak każdy, i rachunki, to wszystko. Owens nie ma skrytki pocztowej, ale mogłoby być coś pod innym nazwiskiem. Poobserwowałem trochę pocztę, ale nie rozpoznałem nikogo z nich.

W drzwiach pojawił się student, ale potrząsnęłam głową.

- A co z odciskami na twoich kluczach?

- Wszystkie śliczne, ale pudło. Dom Owens to grzeczny chłopiec.

Zapadła między nami krótka cisza.

- Tam mieszkają dzieci. Co z opieką społeczną?

- Niezła jesteś, Brennan.

- Dużo czasu spędzam oglądając telewizję.

- I to sprawdziłem. Jakies półtora roku temu dzwoniła tam ich sąsiadka, pani Joseph Espinoza, niespokojna o dzieci. Wysłali więc pracownika. Czytałem raport. Zastała czysty dom, uśmiechnięte i dobrze odżywione dzieci, wszystkie poniżej wieku szkolnego. Nie widziała powodu do interwencji, ale zaleciła następną wizytę za pół roku. Nie miała miejsca.

- Rozmawiałeś z tą sąsiadką?

- Nie żyje.

- A co z posiadłością?

- No, jest jedna rzecz... Minęło kilka sekund.

-Tak?

- Całe środowe popołudnie przeglądałem akty własności i księgi podatkowe.

Znowu zamilkł.

- Chcesz mnie wkurzyć? - podsunęłam.

- To miejsce posiada barwną przeszłość. Czy wiesz, że w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia powstała tam szkoła i pozostała aż do końca wieku? Jedna z pierwszych szkół finansowanych z funduszy publicznych w Ameryce Północnej tylko dla czarnych uczniów.

- O tym nie wiedziałam. - Otworzyłam dietetyczną colę.

- A Baker miał rację. Od lat trzydziestych aż do siedemdziesiątych to był obóz rybacki. Kiedy właścicielka umarła, przeszło to na własność jej krewnych mieszkających w Georgii. Chyba nie lubili owoców morza. Albo mieli dosyć płacenia podatków za posiadłość. W końcu sprzedali ją w osiemdziesiątym ósmym.

Tym razem go nie poganiałam.

- Kupującym był niejaki J.R. Guillion.

Przez ułamek sekundy nie potrafiłam skojarzyć nazwiska z osobą.

- Jacques Guillion?

- Oui, madame.

- Ten sam Jacques Guillion? - Powiedziałam to tak głośno, że przechodzący korytarzem student spojrział na mnie.

- Prawdopodobnie. Podatki płaci...

- Czekałem z Citicorp w Nowym Jorku.

- Tak jest.

- Jasna cholera.

- Świetnie to ujęłaś.

Byłam nieco wytrącona z równowagi. Właściciel posiadłości na Adler Lyons posiadał też spalony dom w St-Jovite.

- Rozmawiałeś z nim?

- Monsieur Guillion nadal jest niedostępny.

- Co?

- Nie został odnaleziony.

- Niech to diabli. Naprawdę istnieje jakiś związek.

- Na to wygląda.

Zaterkotał dzwonek.

- Jeszcze jedno.

Korytarz zaludnił się studentami przechodzącymi na kolejne zajęcia.

- Z czystej przekory wysłałem dane do Teksasu. Nie mają nic na temat wielebnego Owensa, ale zgadnij, kto tam jest ranczerem?

- Nie!

- Monsieur J.R. Guillion. Dwa akry w hrabstwie Fort Bend. Podatki płaci...

- Czekałami bankowymi!

- Pójdę tą drogą, ale teraz tamtejszy szeryf też trochę się porozgląda. I żandarmeria postara się wykurzyć Guilliona z kryjówki. Zostanę tu jeszcze kilka dni i przycisnę Owensa.

- Poszukaj Kathryn. Dzwoniła do mnie, ale znowu mnie nie zastała. Ona na pewno coś wie.

- Znajdę ją, jeżeli tu jest.

- Może jej coś grozić.

- Dlaczego tak sądzisz?

Chciałam mu opowiedzieć o mojej ostatniej rozmowie dotyczącej sekt, ale to było

tylko zbieranie informacji i nie byłam pewna, czy miało to cokolwiek wspólnego ze sprawą. Nawet jeżeli Dom Owens był liderem jakiejś sekty, nie miał takiej charyzmy jak Jim Jones, tego byłam pewna.

- Nie wiem. Mam takie przeczucie. Wydawała się podenerwowana, kiedy dzwoniła.

- Panna Kathryn wywarła na mnie wrażenie niezbyt bystrej.

- Jest po prostu inna.

- A ta jej przyjaciółka El też nie jest chyba za bardzo inteligentna... Co tak przycichłaś?

Zawahałam się, ale opowiedziałam mu o mojej przygodzie.

- Skurwysyn. Przykro mi, Brennan. Bardzo lubiłem tego kociaka. Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Nie.

- Dostałaś jakąś ochronę?

- Często patrolują sąsiedztwo. Jest okej.

- Nie chodź po zmroku.

- Dziś rano przysłali szczątki z Murtry. Mam dużo pracy w laboratorium.

- Jeżeli to ma jakiś związek z narkotykami, to możesz się narażać jakimś oprychom.

- Odkryłeś Amerykę, Ryan. - Wrzuciłam skórkę od banana i opakowanie od ciasta do śmieci. - Obie ofiary to były młode, białe, kobiety, jak przypuszczałam.

- Niezbyt pasuje do handlarzy narkotykami.

- No nie.

- Ale nie możemy tego wykluczyć. Niektórzy z tych facetów używają , kobiety jak prezerwatywy. Te młode damy mogły się znaleźć w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

- Zgadzam się.

- Przyczyna śmierci?

- Jeszcze nie skończyłam.

- Do roboty, tygrysie. Ale pamiętaj, że będziemy cię potrzebować w sprawie z St-Jovite, kiedy dostanę tych drani.

- Jakich drani?

- Jeszcze nie wiem, ale ich dostanę.

Rozłączyliśmy się i zapatrzyłam się na mój raport. Potem wstałam i przeszłam się po laboratorium. Potem usiadłam. Potem znowu się przeszłam.

Przed oczami wciąż miałam obrazy z St-Jovite. Białe ciała dzieci, z powiekami i

paznokciami w kolorze bladego błękitu. Przestrzelona czaszka. Podcięte gardła, ręce pokryte ranami zadanymi, kiedy ofiara chciała się bronić. Zwęglone ciała, z poskręcanyimi i wykrzywionymi kończynami. Co łączyło , śmierci w Quebecu z miejscem na wyspie Świętej Heleny? Dlaczego właśnie dzieci i delikatne kobiety? Kim był Guillion? Co było w Teksasie? W jaką to potworność wplątała się Heidi i jej rodzina?

Skoncentruj się, Brennan. Te młode kobiety w twoim laboratorium też nie żyją. Zostaw sprawę morderstw w Quebecu Ryanowi i skończ tę sprawę. Zaslugują na to. Dowiedz się, kiedy zmarły. I w jaki sposób.

Założyłam kolejną parę rękawiczek i przejrzałam każdą kość pod szkłem powiększającym. Nie znalazłam nic, co pomogłoby ustalić przyczynę śmierci. Żadnych śladów tępego narzędzia. Żadnych wlotów czy wylotów kuli. Żadnej rany zadanej nożem. Żadnych pęknięć gnykowych, które wskazywałyby na uduszenie.

Jedynie uszkodzenia spowodowane były przez zwierzęta żerujące na ciele.

Kiedy odłożyłam ostatnią kostkę stopy, spod kręgosłupa wyszedł mały, czarny żuczek. Patrzyłam na niego i przypominałam sobie, jak pewnego popołudnia Birdie znalazł w mojej kuchni w Montrealu chrząszcza. Bawił się nim godzinami, zanim mu się nie znudziło.

Do oczu napłynęły mi łzy, ale się nie dałam.

Wzięłam żuczka i włożyłam go do plastikowego pojemnika. Żadnych śmierci. Wypuszczę go, kiedy wyjdę.

Okej, żuczku. Jak długo one nie żyją? Popracujemy nad tym. Sprawdziłam, która godzina. Czwarta trzydzieści. Wystarczająco późno. Przejrzałam spis telefonów, znalazłam numer i wykręciłam. Pięć stref czasowych stąd ktoś podniósł słuchawkę.

- Doktor West.

- Doktor Lou West?

- Tak.

- A nie Kapitan Kam? Cisza.

- Ten od puszek...

- To raczej tuńczyk. To ty, Tempe?

Wyobraziłam go sobie: gęste, siwe włosy i broda otaczające twarz zawsze opaloną hawajskim słońcem. Na wiele lat przed naszym spotkaniem znalazła go japońska agencja i zatrudniła do reklam tuńczyka w puszkach. Ze swoim kolczykiem w uchu i końskim ogonkiem świetnie pasował do wizerunku kapitana, którego szukali. Japończycy kochali Kapitana Kama. Chociaż bezlitośnie z niego kpiliśmy, nikt z naszych wspólnych znajomych nie widział tych reklam.

- Może byś tak rzucił robaki i słał tuńczyka na cały etat?

Lou miał doktorat z biologii i wykładał na uniwersytecie na Hawajach. Według mnie był najlepszym entomologiem sądowym w kraju.

- Nie za bardzo. - Zaśmiał się. - Mundur mnie dusi.

- Możesz to robić nago.

- Japończycy chyba nie są na to gotowi.

- A czy to cię może powstrzymać?

Razem z Lou i kilkoma innymi specjalistami sądowymi prowadzimy kurs na Akademii FBI w Quantico w Wirginii. Nasza grupa składa się z patologów, entomologów, antropologów, botaników i ekspertów od spraw ziemi, większość z przeszłością akademicką. Kiedyś jakiś zatwardziały w swoim konserwatyzmie agent stwierdził, że kolczyk Lou jest nie na miejscu. Lou wysłuchał go cierpliwie, a następnego dnia zamiast małego kółeczka ze złota ujrzeliśmy długie pióro ozdobione według tradycji Indian Cherokee koralikami i małym, srebrnym dzwoneczkiem.

- Dostałem twoje robaczki.

- Dotarły w całości?

- Nietknięte. Świetnie je zebrałaś. W obu Karolinach występuje ponad pięćset dwadzieścia gatunków owadów towarzyszących procesowi rozkładu. Przesłałaś mi większość z nich.

- Co możesz mi powiedzieć?

- Chcesz usłyszeć wszystkie wnioski?

- Jasne.

- Przede wszystkim, twoje ofiary zostały prawdopodobnie zamordowane w ciągu dnia. A w każdym razie ciała wystawiono na trochę na światło dnia przed zakopaniem. Znalazłem poczwarki *Sarcophaga bullata*.

- Mów do mnie po ludzku.

- To gatunek muchy. Zebrałaś puste i pełne poczwarki z obu ciał.

- I?

- *Sarcophagidae* nie są takie ruchliwe po zachodzie słońca. Jeżeli położysz przy nich ciało, to mogą złożyć larwy, ale w nocy nie są aktywne.

- Złożyć larwy?

- Owady składają albo larwy, albo jaja.

- Owady składają larwy?

- To jest ich osiągnięcie. *Sarcophagidae* jako grupa składają larwy. Ta strategia

pozwała im wyprzedzić inne robaki i chroni przed drapieżnikami żywiącymi się jajami.

- No to dlaczego nie wszystkie to robią?

- Ma to i swoje ujemne strony. Samice potrafią złożyć więcej jaj niż larw. W ten sposób osiągnięta zostaje równowaga.

- Życie wymaga kompromisów.

- No właśnie. Podejrzewam, że ciała leżały też na powierzchni ziemi, przynajmniej trochę. Sarcophagidae nie lubią wchodzić tak szybko jak inne grupy, na przykład *Calliphoridae*.

- To ma sens. One zostały zabite na wyspie albo ktoś przewiózł tam ciała łodzią,

- Tak czy inaczej, prawdopodobnie zostały zamordowane w ciągu dnia, potem leżały na zewnątrz i na powierzchni ziemi, zanim je pogrzebano,

- A co z innymi gatunkami?

- Znowu chcesz wszystko?

- Zdecydowanie.

- W przypadku obu ofiar natychmiastowe pogrzebanie odwlekłoby inwazję owadów. Jednak kiedy dotarły do górnego ciała, *Calliphoridae* nie zwlekały ze złożeniem jaj.

- *Calliphoridae*?

- Muchy plujkowate. Zazwyczaj pojawiają się kilka minut po śmierci, razem ze swoimi przyjaciółmi, muchami mięsnymi. Oba gatunki świetnie latają.

- Super.

- Zebrałaś co najmniej dwa gatunki much plujkowatych: *Cochliomyia*...

- Pozostańmy może przy nazwach pospolitych.

- OK. Dostałem larwy w trzech stadiach larwalnych i nietknięte, puste powłoki larwalne przynajmniej dwóch gatunków much plujkowatych.

- Co to znaczy?

- Już wykładam. Zacznę od cyklu życiowego muchy. Podobnie jak my, dorosłe muchy zajmują się znalezieniem odpowiedniego miejsca dla swoich młodych. Zwłoki są do tego idealne. Chronione środowisko. Mnóstwo pokarmu. Świetne otoczenie dla młodych osobników. Zwłoki to wielka atrakcja, plujkowate i muchy mięsne mogą się pojawić kilka minut po zgonie. Samica albo natychmiast złoży jaja, albo pożywi się nieco płynami wytwarzającymi się w szczątkach, a potem złoży jaja.

- Przyjemne.

- Chwila, nawet nie wiesz, ile tam jest białka! W przypadku urazu ciała wejdą tamtędy, jeżeli nie, wykorzystają otwory: oczy, nos, usta, odbyty...

- Widzę to oczami wyobraźni.
- Plujkowate składają ogromne gromady jaj, które zupełnie wypełniają naturalne otwory ciała i rany. Skoro tam było dosyć chłodno, więc w tym grobie mogło nie być ich aż tak wiele.
- No dobrze, młode się wykluwają, na scenę wychodzą larwy.
- O właśnie. Akt drugi. Larwy są świetne. Z przodu posiadają parę haczyków gębowych, których używają przy odżywianiu i poruszaniu się. Oddychają przez małe, płaskie strukturki z tyłu.
- Czyli tyłkami.
- W pewnym sensie. W każdym razie, z równocześnie złożonych jaj równocześnie wychodzą młode. Razem się też odżywiają, poruszając się w masie po całym ciełe. Takie grupowe odżywianie powoduje roznoszenie bakterii i produkcję enzymów trawiennych, które pozwalają larwom na skonsumowanie większości tkanki miękkiej zwłok. To przebiega bardzo sprawnie. Larwy szybko dojrzewają i kiedy osiągają maksymalne rozmiary, bardzo zmienia się ich zachowanie. Przestają się odżywiać i zaczynają szukać suchszych miejsc, zwykle już poza ciałem.
- Czyli akt trzeci.
- Tak. Zakopują się do ziemi, ich zewnętrzna powłoka twardnieje i przekształca się w ochronne okrycie. Od teraz są poczwarką. Wyglądają jak małe pilleczki. Larwy pozostają w środku do czasu, kiedy ich komórki się przeobrażają, wtedy wychodzą jako dorosłe muchy.
- To dlatego te puste powłoki są takie ważne?
- Tak. Pamiętasz muchy mięsne?
- *Sarcophagidae*. Składające larwy.
- Bardzo dobrze. One zwykle dojrzewają pierwsze. I tak zabiera im to od szesnastu do dwudziestu czterech dni, przy temperaturze około dwudziestu stopni. W warunkach, jakie mi opisałaś, zabrałoby im to nieco więcej czasu.
- Tak. Tam nie było aż tak ciepło.
- Ale obecność pustych powłok oznacza, że niektóre muchy mięsne zakończyły swój rozwój.
- Można powiedzieć, że olały powłoki.
- Plujkowatym dojrzewanie zajmuje od czternastu do dwudziestu pięciu dni, czasem trochę dłużej, tak jak w mokrym środowisku na twojej wyspie.
- To by się zgadzało.
- Zebrałaś jeszcze coś, co zapewne będzie larwą *Muscidae*, czyli muchy domowej i jej

krewniaków. Te gatunki zazwyczaj pokazują się dopiero od pięciu do siedmiu dni po zgonie. Wolą zaczekać na, jak my to mówimy, fazę “późne świeże” albo “wczesne spuchnięte”. Aha, były też muchy sernice.

Muchy sernice to owady, które skaczą. Nauczyłam się je ignorować w czasie pracy nad zwłokami, chociaż nie przyszło mi to łatwo.

- Moje ulubione.

- Wszyscy mają prawo do życia, doktor Brennan.

- Chyba należy je podziwiać, skoro potrafią skakać na odległość dziewięć razy dłuższą od długości ich ciała.

- Zmierzyłaś?

- To przybliżone obliczenie.

- Niezwykle użytecznym stworzeniem, jeżeli chodzi o ustalanie przybliżonego czasu zgonu, jest czarna mucha końska. Zwykle pojawiają się nie prędzej niż dwadzieścia dni po śmierci i raczej są konsekwentne, nawet w przypadku zakopanych szczątków.

- Były tam?

- Tak.

- Co jeszcze?

- Było mniej chrząszczy niż zwykle w takim wypadku, prawdopodobnie przez mokre otoczenie. Ale pojawiły się typowe formy drapieżne, żerujące ostro na larwach i innych miękkich formach.

- A więc ile czasu minęło od śmierci według ciebie?

- Powiedziałbym, że jakieś trzy do czterech tygodni.

- W przypadku obu ciał?

- Zmierzyłaś metr dwadzieścia od dna grobu, dziewięćdziesiąt centymetrów od górnego ciała. Przedyskutowaliśmy zachowanie much mięsnych przed zakopaniem ciała, to tłumaczy obecność pustych powłok, które znalazłaś na i nad dolnym ciałem. W niektórych były dorosłe osobniki, w połowie na zewnątrz. W wyjściu na zewnątrz pewnie przeszkodziła im ziemia. Były tam też *Piophilidae*.

- Czyli?

- Muchy sernice. Znalazłem też kilka much trumiennych w próbce ziemi, którą pobrałaś z dna dolnego ciała, i kilka larw w samym ciele. Te gatunki zagłębiają się w ciało do złożenia jaj. Poruszenie ziemi w grobie i obecność górnego ciała ułatwiły im wejście. Zapomniałem ci wspomnieć, że na górnym ciele też je znalazłem.

- A próbki ziemi się przydały?



- Bardzo. Pewnie nie będziesz chciała usłyszeć o wszystkich stworzeniach, które karmią się larwami i materiałami rozkładowymi, ale znalazłem jedną formę, która może się przydać przy ustalaniu czasu zgonu. Badając ziemię zebrałem kilka roztoczy, których obecność wskazywałaby na minimum trzy tygodnie.

- A więc trzy lub cztery tygodnie dla obu ciał.

- To moje wstępne obliczenia.

- Bardzo mi pomogłeś, Lou. Jesteście niesamowici.

- Czy to pasuje do stanu, w jakim znajdują się szczątki?

- Idealnie.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałbym wspomnieć. Kiedy to usłyszałam, zimna ręka ścisnęła mnie za serce.

Przepraszam cię, Lou. Mógłbyś to powtórzyć?

- To nic nowego. W związku ze zwiększoną ilością zgonów związanych z narkotykami, podjęte zostały badania obecności farmaceutyków w owadach żerujących na zwłokach. Nie muszę ci mówić, że czasami mija trochę czasu, zanim ciała zostają odnalezione, więc nie zawsze udaje się uzyskać materiał do analizy toksykologicznej. No wiesz, krew, mocz, tkanki organów.

- Dlatego larwy testowane są na obecność narkotyków?

- Można, ale my mieliśmy więcej szczęścia z tymi pustymi powłokami. Prawdopodobnie z powodu dłuższego czasu odżywiania. Zajęliśmy się też wylinami i kałem chrząszczy...

- To znaczy?

- Zrzucone pancerze i wydzieliny. Ale i tak najwięcej narkotyków znajdujemy w poczwarkach much. To pewnie ma związek z żywieniowymi preferencjami. Chrząszcze wolą suche pokrycia, muchy miękkie tkanki. Tam właśnie jest największa koncentracja narkotyku.

- Co znaleziono?

- Lista jest długa. Kokaina, heroina, metaamfetamina, amitryptylina, nortyptylina. Ostatnio pracujemy z 3,4-metylenedioxymetaamfetaminą.

- Ma to jakąś normalną nazwę?

- Najpopularniejsza to ecstasy.

- I takie rzeczy znajdujecie w poczwarkach?

- Odizolowaliśmy i narkotyki, i ich metabolity.

- Jak?

- Metoda ekstrakcji jest podobna do tej, której używa się w patologii, trzeba tylko rozłożyć twardą chitynowo-proteinową formę poczwarki i wyliny, aby uwolnić toksyny. Robi się to krusząc osłonki, a potem używając albo mocnego kwasu, albo zasady. Następnie, po dopasowaniu pH, korzysta się z typowych technik. Najpierw ekstrakcja zasady, po niej chromatografia płynu i spektrometria całości. Wyodrębnienie jonów wskazuje, co jest w próbce i ile tego jest.

Przełknęłam ślinę.

- I ty mi mówisz, że znaleźliście flunitrazepam w poczwarkach ode mnie?

- Te z górnego ciała miały flunitrazepam i jego dwa metabolity,

desmetylflunitrazepam i 7-aminoflunitrazepam. Skoncentrowanie narkotyku macierzystego było o wiele silniejsze niż metabolitów.

- Co by oznaczało raczej silne narażenie na działanie.

- Dokładnie.

Podziękowałam mu i pożegnaliśmy się.

Przez chwilę nie mogłam się poruszyć. Szokujące odkrycie sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze i bałam się, że zwymiotuję. A może to przez to zjedzone wcześniej ciasto.

Flunitrazepam.

To słowo wreszcie pobudziło moją pamięć.

Flunitrazepam.

Rohypnol.

To właśnie to cały czas próbował mi podsunąć mój umysł.

Drżącymi rękami wykręciłam numer hotelu Lord Cartaret. Nie było go w pokoju. Zadzwoiłam znowu i zostawiłam swój numer na jego pagerze.

Czekałam, a mój współczulny układ nerwowy wysłał mi ostrzeżenie i kazał się bać. Czego? Rohypnolu. Rzuciłam się na dzwoniący telefon. Student. Na krótko.

Linia znowu była wolna i znowu czekałam, a towarzyszył mi strach. Rohypnol. Narkotyk, który zwykle towarzyszy gwałtom na randce.

Lód ścinał mnie od środka. Krew się burzyła. Miałam mroczki przed oczami.

Ryan zadzwonił po jedenastu minutach,

- Chyba znalazłam inny związek.

- Czego z czym?

Spokojnie. Nie pozwól, by szok przeszkodził ci jasno myśleć.

- Między morderstwami na wyspie Murtry i w St-Jovite.

Opowiedziałam mu o rozmowie z Lou Western.

- Jedna z kobiet na Murtry miała w tkankach ogromne ilości Rohypnolu.

- Dokładnie tak, jak ciała w sypialni na górze w domu w St-Jovite.

- Tak.

Kiedy Lou wspomniał nazwę narkotyku, przypomniało mi się coś jeszcze. Las na północy. Spalona drewniana chata. Polana, krąg przykrytych ciał. Ludzie w mundurach. Nosze. Karetki.

- Pamiętasz klasztor Solar Temple?

- Tych kopniętych czcicieli, którzy gromadnie złożyli się w ofierze?

- Tak. Sześćdziesiąt cztery ofiary w Europie. Dziesięć w Ouebecu. Bardzo się

staralam, by głos mi się nie załamał.

- Kilka tych chat eksplodowało i spłonęło.

- Tak. Myślałem o tym.

- W obu miejscach stwierdzono obecność Rohypnolu. Wiele ofiar wzięło narkotyki krótko przed śmiercią. Cisza.

- Myślisz, że Owens kontynuuje tradycję Temple?

- Kto wie.

- A może oni handlują? Handlują czym? Życiem ludzkim?

- Niewykluczone.

Na chwilę oboje zamilkliśmy.

- Porozmawiam z chłopakami, którzy tam pracowali. W międzyczasie zamierzam dalej uprzykrzać życie Owensowi.

- Jest coś jeszcze...

Coś w słuchawce cicho zamruczało.

- Słuchasz?

- Słucham.

- West twierdzi, że te kobiety na wyspie zmarły trzy lub cztery tygodnie temu.

Słyszałam w słuchawce własny oddech.

- Pożar w St-Jovite miał miejsce dziesiątego marca. A jutro jest pierwszy.

Ryan oddał się matematyce, a w słuchawce znowu mruczało.

- Święty Jezu. Trzy tygodnie temu.

- Czuję, że wydarzy się coś okropnego, Ryan.

- Bez odbioru.

I się wyłączył.

Kiedy oglądam się w przeszłość, zawsze myślę, że po tej rozmowie wypadki zaczęły się toczyć szybciej, nabrały prędkości i oszalały, by ostatecznie przejść w wir, który pochłonął wszystko, łącznie ze mną.

Tego wieczora długo pracowałam. Hardaway też. Zadzwoił, kiedy wyjmowałam z koperty jego raport z autopsji.

Podalam mu profil górnego ciała i moje ustalenia co do wieku drugiego.

- To by się zgadzało - stwierdził. - Miała dwadzieścia pięć lat.

- Macie dowód tożsamości?

- Udało nam się zebrać jeden czytelny odcisk. W miejscowych i stanowych

kartotekach nic nie było, więc wysłany został do FBI. Też nic nie znaleźli. Jednak, dziwna sprawa. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, może dlatego że wiem, że pani tam pracuje. Jeden gość z biura zaproponował, że może sprawdzilibyśmy w kartotekach policji kanadyjskiej. Pomyślałem sobie, a co tam, czemu nie. Niech mnie diabli, jeżeli to nie Kanadyjka.

- I czegoś się o niej dowiedzieliście?

- Chwileczkę.

Zaskrzypiały sprężyny i zaszeleścił papier.

- Dostaliśmy to dziś wieczorem. Nazywa się Jennifer Cannon. Biała. Wzrost sto sześćdziesiąt dwa centymetry. Sześćdziesiąt pięć kilogramów. Brązowe włosy. Oczy zielone. Panna. Ostatni raz widziano ją... - Liczył przez chwilę. - ...dwa lata, trzy miesiące temu.

- Skąd pochodzi?

- Zobaczymy. - Cisza. - Calgary. Gdzie to jest?

- Na zachodzie. Kto zgłosił zaginięcie?

- Sylvia Cannon. Adres w Calgary, to na pewno będzie matka. Dałam mu numer pagera Ryana i poprosiłam, by do niego zadzwonił.

- Kiedy będzie pan z nim rozmawiał, proszę mu powiedzieć, by do mnie przedzwonił. Jeżeli nie będzie mnie tutaj, to będę w domu.

Włożyłam kości z Murtry do pudełka i zamknęłam je na klucz w szafce. Potem zebrałam dyskietkę, formularz sprawy, raport Hardaway'a z autopsji wraz ze zdjęciami i mój raport do teczki, zamknęłam laboratorium i wyszłam.

\* \* \*

Campus był pusty, noc cicha i wilgotna. Spece od prognozy pogody powiedzieliby, że niezwykle ciepła. Mocno pachniało świeżo skoszoną trawą i nadciągającym deszczem. Z oddali dobiegł odgłos grzmotu i wyobraziłam sobie burzę, jak idzie przez góry Smocze albo Piemont.

Po drodze do domu wstąpiłam po coś na wynos do Selwyn Pub. Wracających z pracy było już o tej porze niewielu, a młodzież z Oueens College jeszcze nie zdążyła zająć terenu na resztę wieczoru. Sarge, współwłaściciel, z pochodzenia Irlandczyk, siedział na swoim ulubionym stołku w rogu i rozprawiał o sporcie i polityce, podczas gdy barman Neal zajmował się nalewaniem piwa z beczki. Sarge bardzo chciał podyskutować o karze śmierci, a raczej wyrazić swoją opinię na ów temat, ale nie byłam w nastroju. Wzięłam swojego cheeseburgera i wyszłam.

Pierwsze krople spadły na magnolie, kiedy wkładałam klucz do drzwi. Powitało mnie

jedynie tykanie zegara.

Ryan zadzwonił przed dziesiątą.

Sylvia Cannon nie mieszkała pod adresem podanym w raporcie osoby zaginionej od ponad dwóch lat. Ani pod tym, który podała na pocztę i pod który miała być wysyłana korespondencja.

Sąsiedzi nie pamiętali żadnego męża, tylko tę jedną córkę. Według nich Sylvia była osobą cichą i raczej stroniącą od ludzi. Nikt nie wiedział, gdzie pracowała ani gdzie pojechała. Jedna kobieta uważała, że gdzieś blisko mieszkał jej brat. Wydział policji w Calgary usilnie jej szukał.

Leżąc już w łóżku wsłuchiwałam się w ciężkie krople deszczu padające na dach i na liście. Burza grzmiała i rozświetlała błyskawicami niebo i na jego tle sylwetkę Sharon Hali. Wentylator na suficie przywiał chłód nocy i zapach petunii i mokrej osłony na okno.

Uwielbiam burze. Kocham surową siłę całego ich spektaklu: Hydromechanika! Woltaż! Uderzenie! Matka Natura ma swoje dominium i wszyscy czekają na jej zachcianki.

Podziwiałam show, a potem wstałam i podeszłam do okna. Zasłona była mokra i na parapecie już zebrała się woda. Zamknęłam lewe okno na zasuwę i trzymając prawe skrzydło odetchnęłam głęboko. Burza wywołała lawinę wspomnień z dzieciństwa. Letnie noce. Robaczki świętojańskie. Spanie razem z Harry na werandzie u babci.

Skup się na tym, powiedziałam do siebie. Wsłuchaj się w te wspomnienia, a nie w głosy zmarłych wypełniające twój umysł.

Pojawiła się błyskawica, wstrzymałam oddech. Czy coś nie poruszyło się pod płótem? Kolejny błysk.

Wpatrywałam się, ale nic nie widziałam.

Czy to możliwe, że to tylko moja wyobraźnia?

Starałam się cokolwiek zobaczyć w ciemnościach. Zielony trawnik i żywopłot. Szare alejki. Blade petunie na ciemnym tle sosnowych pni i bluszczu.

Nic się nie ruszało.

Świat znowu pojaśniał i głośny trzask przerwał ciszę nocy.

Z krzaków wyskoczył biały kształt i przebiegł przez trawnik. Zniknął, zanim mogłam go zidentyfikować.

Bicie serca czułam aż w głowie. Odchyliłam okno i oparłam się o jego osłonę, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął. Deszcz kompletnie zmoczył mi szlafrok i na całym ciele miałam gęsią skórkę.

Cała się trzęsłam, ale nie przestałam wpatrywać.

Nic się nie ruszało.

Zapomniałam o oknie i zbiegłam ze schodów. Właśnie miałam otworzyć tylne drzwi, kiedy zadzwonił telefon i serce podeszło mi do gardła.

O Boże. Co znowu?

Chwyciłam słuchawkę.

- Przepraszam, Tempe.

Spojrzałam na zegarek.

Za dwadzieścia druga.

Dlaczego moja sąsiadka do mnie dzwoni?

- ...on musiał tam wejść w środę, kiedy tam sprzątałam. Wie pani, tam nic nie ma. Właśnie tam byłam, chciałam sprawdzić, ta burza, a on wyskoczył. Wołałam, ale uciekł. Pomyślałam, że powinnam pani powiedzieć...

Upuściłam słuchawkę, otworzyłam kuchenne drzwi i wybiegłam na zewnątrz.

- Bird, tu jestem - zawołałam. - Chodź, kotku. Zeszłam z patio. Moje włosy natychmiast zrobiły się mokre, a koszula przyłgnęła do ciała jak mokra chusteczka z papieru.

- Birdie! Jesteś tam?

Kolejna błyskawica oświetliła ścieżki, krzewy, ogródki i budynki,

- Birdie! - krzyczałam. - Bird!

Ciężkie krople deszczu padały na liście nad moją głową.

Krzyknęłam jeszcze raz.

Nic.

Wołałam go po imieniu, raz za razem, wariatka grasująca na terenie Sharon Hill. Po chwili nie mogłam opanować drżenia.

I wtedy go dostrzegłam.

Krył się pod krzakiem, ze spuszczoną głową, uszami ustawionymi do przodu pod dziwnym kątem. Futerko miał mokre i zmierzwione, prześwitywała przez nie blada skóra, jak pęknięcia na starym obrazie.

Podeszłam do niego i kucnęłam. Wyglądał tak, jakby ktoś go w czymś zamoczył i wytarzał w sosnowych igłach, kawałkach kory i zadeptanej roślinności, które okleiły jego głowę i grzbiet.

- Bird? - Mówiłam cicho, wyciągając ku niemu rękę.

Podniósł głowę i przyjrzał mi się okrągłymi, żółtymi oczami. Znowu błysnęło. Kot wstał, wygiął grzbiet i wydał swoje "mrrrrp". Wyciągnęłam ku niemu rękę.

- Chodź, Bird. - wyszeptalam.

Zawahał się, ale podszedł do mnie, połasił się do mojego uda i powtórzył “mrrrrrp”.

Wzięłam go na ręce, mocno przytuliłam i biegiem wróciłam do kuchni. Z przednimi łapkami na moim ramieniu, przywarł do mnie jak mała małpka do swojej mamy. Przez przemoczony szlafrok czułam na skórze jego pazurki.

Dziesięć minut później kończyłam go wycierać. Biała sierść była na kilku ręcznikach i unosiła się w powietrzu. Ani razu nie zaprotestował.

Zjadł miskę jedzenia i cały spodek lodów waniliowych, nim zaniósłam go do łóżka. Wczołgał się pod kołdrę i wyciągając łapy przytulił się do mojej nogi. Przeciągnął się i poczułam, jak napina całe ciało, potem ułożył się na materacu. Jego sierść była nadal wilgotna, ale już o tym nie myślałam. Mój kot wrócił.

- Kocham cię, Bird - rzuciłam w noc.

Usnęłam przy dźwiękach stłumionego kociego mrużenia i bębniącego deszczu.



Następnego dnia była sobota, dzień wolny od zajęć na uniwersytecie. Zaplanowałam sobie, że poczytam raport Hardaway'a, a potem napiszę swój w sprawie ofiar z Murtry. Później chciałam kupić w centrum ogrodniczym kwiaty i przesadzić je do dużych donic, które trzymam na patio. Ogrodnictwo na poczekaniu, jeden z moich wielu talentów. Następnie długa rozmowa z Katy, czas dla kota, referat i wieczór z Elisabeth Nicolet.

Ale nie tak potoczyły się sprawy.

Kiedy się obudziłam, Birdiego już nie było. Zawołałam go, ale nie przyszedł, założyłam więc szorty i koszulkę i zesłam na dół, by go poszukać. Szlak był prosty. Opróżnił swoją miskę i zasnął na płamie słońca na kanapie w salonie.

Leżał na grzbiecie, z wyciągniętymi tylnymi łapami, przednie złożył na brzuchu. Przez chwilę mu się przyglądałam, uśmiechając się jak dziecko w gwiazdkowy poranek. Potem poszłam do kuchni, zrobiłam kawę i z bajgłem i z Observerem w ręku usiadłam przy kuchennym stole.

W Myers Park znaleziono pchniętą nożem żonę jakiegoś lekarza. Pit bull zaatakował dziecko. Rodzice domagali się uspienia zwierzęcia, a właściciel był oburzony. Hornetsi wygrali z Golden State sto jeden do osiemdziesięciu siedmiu.

Zerknęłam na prognozę pogody. Dla Charlotte zapowiadali słońce i dwadzieścia trzy stopnie ciepła. Przejrzałam temperatury na świecie. W piątek w Montrealu słupek rtęci sięgnął dziewięć stopni. My, Południowcy, możemy być szczęśliwi.

Przeczytałam całą gazetę. Artykuły redakcyjne. Ogłoszenia. Reklamy farmaceutyczne. Lubię tak robić w weekend, a przez kilka ostatnich tygodni nie miałam okazji. Jak ćpun na głodzie, pochłaniałam każde słowo drukowane.

Kiedy skończyłam, zebrałam naczynia ze stołu i poszłam po moją teczkę. Zdjęcia z autopsji położyłam po lewej stronie, a raport Hardaway'a przed sobą. Długopis wypisał mi się po kilku linijkach notatek. Wstałam więc i poszłam do salonu po drugi.

Widok osoby stojącej na werandzie przyspieszył bicie mojego serca. Nie miałam pojęcia, kto to jest ani jak długo tam stoi.

Ten ktoś się akurat obrócił, podszedł do okna i zajrzał przez nie. Nasze oczy się spotkały i w pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć w to, co widzę.

Natychmiast podeszłam do drzwi i je otworzyłam.

Stała z wypchniętymi do przodu biodrami, z rękami zaciśniętymi na paskach plecaka.

Brzeg spódnicy sięgał prawie kostek stóp obutych w wysokie buty na grubej podeszwie. W świetle porannego słońca jej włosy lśniły miedzią.

Słodki Jezu, pomyślałam. Co teraz?

Kathryn przemówiła pierwsza.

- Muszę porozmawiać. Ja...

- Tak, oczywiście. Wejdz, proszę. - Odsunęłam się i wyciągnęłam rękę. - Pozwól mi wziąć twój plecak.

Weszła do środka, zsunęła plecak z ramion i upuściła go na podłogę, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Ja wiem, narzucam się pani i to...

- Kathryn, nie mów głupstw. Miło mi cię widzieć. Po prostu tak mnie zaskoczyłaś, że przez chwilę nie wiedziałam, co się dzieje.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Może byś coś zjadła?

Nie musiała nic mówić.

Objęłam ją ramieniem i posadziłam przy kuchennym stole. Wcale nie protestowała. Zebrałam zdjęcia i raport na jedną stronę stołu.

Kiedy opiekąłem dla niej bajgia, smarowałam go śmietankowym serem i nalewałam do szklanki sok pomarańczowy, ukradkiem spoglądałam na mojego gościa. Kathryn utkwiała wzrok w blacie stołu, a rękami wygładzała niewidoczne fałdki na serwetce, którą przed nią położyłam. Jej palce splatały i rozplatały frędzelki, prostując każdą kępkę i układając równolegle do pozostałych.

Z ciekawości aż mnie ścisnęło w dołku. Jak ona się tu dostała? Uciekła? Gdzie jest Carlie? Zaczekałam z pytaniami, zanim nie zjadła.

Kiedy skończyła i odmówiła dokładki, posprzątałam ze stołu i usiadłam obok niej.

- No dobrze. Jak mnie znalazłaś? - Poklepałam ją po ręce i uśmiechnęłam się zachęcająco.

- Pani dała mi swoją wizytówkę. - Wyjęła ją z kieszeni i położyła na stole. Palce powędrowały z powrotem do serwetki. - Dzwoniłam pod numer w Beaufort kilka razy, ale pani nigdy nie było. Wreszcie odebrał jakiś pan i powiedział, że wróciła pani do Charlotte.

- To był Sam Rayburn. Mieszkałam na jego łodzi.

- W każdym razie zdecydowałam się wyjechać z Beaufort. - Podniosła na mnie wzrok, a zaraz potem znowu spuściła. - Przyjechałam tu autostopem i poszłam na uniwersytet, ale zabrało mi to więcej czasu, niż myślałam. Kiedy dotarłam do kampusu, pani

już wyszła. Znajoma mnie przenocowała, a dziś rano podwiozła mnie do pani po drodze do pracy.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

- Ona to sprawdziła w jakiejś książce.

- Rozumiem. - Mojego adresu na pewno nie było w uniwersyteckiej książce telefonicznej. - Cieszę się, że tu jesteś.

Skinęła głową. Wyglądała na wykończoną. Miała zaczerwienione oczy i ciemne cienie pod nimi.

- Oddzwoniłabym do ciebie, ale nie zostawiłaś żadnego numeru. Kiedy razem z detektywem Ryanem byliśmy u was we wtorek, nie widzieliśmy tam ciebie.

- Byłam tam, ale... - Jej głos się załamał.

Poczekalam.

Birdie pojawił się w drzwiach i wycofał się, zniechęcony napięciem. Zegar wybił połowę godziny. Palce Kathryn nie puszczały frędzli. Wreszcie nie wytrzymałam.

- Kathryn, gdzie jest Carrie? - Położyłam swoje dłonie na jej.

Spojrzała na mnie. Oczy miała puste, bez wyrazu.

- Oni się nim zajmują. - Zabrzmiała jak dziecko, które odpiera oskarżenie.

- To znaczy kto?

Uwolniła swoje ręce, oparła na stole łokcie i potarła skronie. Znowu patrzyła na serwetkę.

- Czy Carrie jest na Świętej Helenie?

Znowu skinęła,

- Chciałaś go tam zostawić?

Pokręciła głową i znowu sięgnęła do skroni.

- Czy z małym wszystko w porządku?

- To jest moje dziecko! Moje!

Zdziwiła mnie tym nagłym wybuchem.

- Umiem się nim zająć. - Kiedy uniosła głowę, na obu policzkach błysnęły łzy. Jej oczy wpatrywały się w moje.

- A kto twierdzi, że nie?

- Jestem jego matką. - Głos jej drżał. Z jakiego powodu? Z wyczerpania? Strachu?

Urazy?

- Kto opiekuje się Carlie'em?

- A jeżeli nie mam racji? Jeżeli to wszystko prawda? - Znowu patrzyła na stół.

- Co ma być tą prawdą?

- Kocham moje dziecko. Chcę dla niego jak najlepiej.

Jej odpowiedzi nie pasowały do moich pytań. Była w jakichś ciemnych miejscach, jakby kolejny raz prowadząc jakąś rozmowę ze sobą. Ale tym razem miało to miejsce w mojej kuchni.

- Oczywiście, że tak.

- Nie chcę, żeby umarł. - Ręce jej drżały, gdy bawiła się frędzelkami serwetki. Tym samym ruchem głaskała główkę dziecka.

- Czy on jest chory? - zapytałam zaniepokojona.

- Nie. Jest idealnie zdrowy. - Słowa były ledwie słyszalne. Na serwetkę spadła łąza.

Bezradnie spojrzałam na małą, ciemną plamkę.

- Kathryn, nie wiem, jak mam ci pomóc. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Zadzwonił telefon, ale nie zwróciłam na to uwagi. Z drugiego pokoju dotarło do mnie kliknięcie, mój głos na sekretarce, potem sygnał, a po nim metaliczny głos. Znowu kliknięcie i cisza.

Kathryn się nie poruszyła. Jakby sparaliżowały ją myśli, przez które była torturowana. W ciszy jej ból był niemal wyczuwalny; czekałam.

Kilka następnych kropelek spadło na niebieskie płótno. Dziesięć. Trzynaście.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Kathryn uniosła głowę. Wytarła oba policzki i zaczesła włosy do tyłu, potem spłotła palce i obie dłonie położyła ostrożnie na samym środku serwetki. Dwa razy odchrząknęła.

- Nie wiem, jak to jest żyć normalnie. - Uśmiechnęła się skromnie. - Dopiero w tym roku stwierdziłam, że nie wiem.

Spuściła wzrok.

- To chyba ma coś wspólnego z narodzinami Charlie'ego. Nigdy nie wątpiłam w nic, zanim się nie urodził. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by zadawać pytania. Uczyłam się w domu, więc to, co wiem... - Kolejny uśmiech.

- Nie wiem wiele o świecie. - Zamyśliła się na moment. - O świecie wiem to, co oni chcą, bym wiedziała.

- Oni?

Tak mocno zacisnęła dłonie, że pobielaly jej kostki.

- Nie powinniśmy rozmawiać o sprawach grupy. - Przełknęła ślinę.

- Oni są moją rodziną. Są moim światem od kiedy skończyłam osiem lat. On jest moim ojcem i doradcą, i nauczycielem, i...

- Dom Owens?

Znowu spojrzała mi w oczy.

- To inteligentny człowiek. Wie wszystko o zdrowiu, rozmnażaniu, ewolucji, zanieczyszczeniach i jak utrzymać równowagę między duchowymi, biologicznymi i kosmicznymi siłami. Widzi i rozumie rzeczy, o których my nie mamy najmniejszego pojęcia. To nie Dom... Ja mu ufam. Nigdy nie skrzywdziłby Carlie'ego. On robi to, co robi, żeby nas chronić. On nas pilnuje. Tylko nie jestem pewna...

Zamknęła oczy i uniosła głowę. Łza spłynęła po szyi. Jej przełyk uniół się i opadł, wzięła głęboki oddech, opuściła brodę i spojrzała mi prosto w oczy.

- Ta dziewczyna. Ta, której szukaliście. Ona tam była.

Ledwie ją słyszałam.

- Heidi Schneider?

- Nie znałam jej nazwiska.

- Powiedz mi, co o niej pamiętasz.

- Heidi dołączyła do grupy gdzieś indziej. Chyba w Teksasie. Mieszkała na Świętej Helenie jakieś dwa lata. Była starsza ode mnie, ale ją lubiłam. Zawsze chętnie ze mną rozmawiała i mi pomagała. Była śmieszna. - Przerwała. - Partnerem Heidi miał być Jason...

- Że co? - Wydawało mi się, że źle słyszę.

- Jej partnerem miał być Jason. Ale ona była zakochana w Brianie, tym chłopaku, który był z nią, kiedy dołączyła do nas. Tym na waszym zdjęciu.

- To Brian Gilbert. - Miałam sucho w ustach.

- Oni się czasem wymykali, by być razem. - Spojrzała na jakiś odległy punkt. - Kiedy Heidi zaszła w ciążę, była przerażona, bo dziecko mogło nie być uświęcone. Próbowwała to ukryć, ale i tak się w końcu dowiedzieli.

- Owens?

Popatrzyła na mnie i zobaczyłam prawdziwy strach.

- To nie jest ważne. To dotyczy każdego.

- Ale co?

- Porządek. - Potarła dłońmi serwetkę i z powrotem złożyła dłonie. - Pewne rzeczy, o których nie wolno mi mówić. Chce pani to usłyszeć? - Spojrzała na mnie i znowu w jej oczach dostrzegłam łzy.

- Mów.

- Pewnego dnia Heidi i Brian nie pojawili się na porannym spotkaniu. Odeszli.

- Dokąd?

- Nie wiem.

- Myślisz, że Owens wysłał kogoś za nimi?

Spojrzała w kierunku okna i zagryzła dolną wargę.

- To nie wszystko. Jednej nocy zeszłej jesieni Carlie obudził się i marudził, więc zeszłam na dół po mleko. Usłyszałam ruch w biurze, potem głos jakiejś kobiety, cichy, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał. Na pewno rozmawiała przez telefon.

- Rozpoznałaś ten głos?

- Tak. To była jedna z kobiet, które pracowały w biurze.

- Co mówiła?

- Mówiła komuś, że ktoś jest okej. Nie słyszałam więcej, poszłam na górę.

- Mów dalej.

- To samo miało miejsce jakieś trzy tygodnie temu, tylko że tym razem to była kłótnia. Ci ludzie byli naprawdę wściekli, ale drzwi były zamknięte i nie słyszałam słów. To był Dom i ta sama kobieta.

Wytarła łzę z policzka wierzchem dłoni. Wciąż unikała mojego wzroku.

- Następnego dnia jej nie było i już nigdy jej nie widziałam. Jej i jeszcze jednej kobiety. Po prostu zniknęły.

- Czy ludzie nie przychodzą i odchodzą?

Spojrzała na mnie.

- Ona pracowała w biurze. To chyba ona odbierała te telefony, o które pytaliście. - Klatka piersiowa opadała i unosiła się, jakby z całych sił powstrzymywała łzy. - I to była najlepsza przyjaciółka Heidi.

Poczułam ucisk w żołądku.

- Miała na imię Jennifer?

Przytaknęła.

Wzięłam głęboki oddech. Zachowaj spokój ze względu na nią.

- Kim była ta druga kobieta?

- Nie jestem pewna. Nie była długo. Chwileczkę. Na imię miała chyba Alice. Albo Annę.

Serce zabiło mi bardzo mocno. Boże, nie.

- Wiesz, skąd ona była?

- Gdzieś z Północy. Nie, może z Europy. Czasami rozmawiała z Jennifer w innym języku.

- Czy myślisz, że Dom Owens kazał zabić Heidi i jej dzieci? Dlatego boisz się o

Carlie'ego?

- Pani nie rozumie. To nie Dom. On próbuje nas chronić i nam tłumaczyć. - Wpatrywała się we mnie w skupieniu, jakby chciała dotrzeć do środka mojego umysłu. - Dom nie wierzy w antychrysta. Chce nas tylko uchronić przed zniszczeniem. - Jej głos zaczął drżeć, krótkie oddechy wypełniały przerwy między słowami. Podniosła się i podeszła do okna. - To nie Dom. To ona. Dom chce dla nas życia wiecznego.

- Kto?

Kathryn chodziła po kuchni jak schwytałe do klatki zwierzę, wykręcając sobie wszystkie palce. Po twarzy płynęły łzy.

- Ale nie teraz. Jest za wcześnie. To nie może być teraz. - Błagalnie.

- Co jest za wcześnie?

- A jeżeli oni się mylą? Może nie ma wystarczającej ilości energii kosmicznej? A może tam nic nie ma? A co, jeżeli Carlie po prostu umrze? Jeżeli moje dziecko umrze?

Zmęczenie. Niepokój. Poczucie winy. Kathryn nie miała już siły im się opierać i zaczęła płakać. I mówić tak chaotycznie, że wiedziałam, iż niczego więcej od niej się nie dowiem.

Podeszłam i objęłam ją obiema rękami.

- Kathryn, musisz odpocząć. Połóż się na chwilę. Potem porozmawiamy

Wydała jakiś niezrozumiały dźwięk i pozwoliła się zaprowadzić na górę do pokoju gościnnego. Wyjęłam ręczniki i zesłam na dół po jej plecak. Kiedy wróciłam, leżała na łóżku z jedną dłonią na czole, z zamkniętymi oczami, a łzy ześlizgiwały się po skroniach i znikwały we włosach.

Zostawiłam plecak na komodzie i zamknęłam żaluzje. Kiedy zamykałam drzwi, mówiła coś cicho, z zamkniętymi oczami, ledwie poruszając ustami.

Już dawno niczyje słowa tak mnie nie przstraszyły.

“Wieczne życie”? Tak powiedziała?

- Tak. - Tak mocno ściszałam słuchawkę, że zabolęły mnie ścięgna nadgarstka.

- Powiedz mi to jeszcze raz.

- “A jeżeli oni odejdą i nas zostawią?” “A jeżeli ja odbieram Carlie'emu wieczne życie?”

Pozwoliłam Redowi rozważyć słowa Kathryn. Kiedy przełożyłam słuchawkę do drugiej ręki, popatrzyłam na odcisk, gdzie skóra spocila się pod plastikiem.

- Nie wiem, Tempe. Ciężko powiedzieć. Jak to stwierdzić, kiedy grupa zaczyna być niebezpieczna? Niektóre z tych marginalnych religijnych ruchów potrafią być wysoce wpływowe. Inne są nieszkodliwe.

- Czy to kwestia proroków?

*A co, jeżeli moje dziecko umrze?*

- Są czynniki, które wpływają na siebie. Przede wszystkim jest sama sekta z jej przekonaniami i rytuałami, z organizacją i, rzecz jasna, z liderem. Są też siły oddziaływające z zewnątrz. Ile wrogości skierowane jest ku członkom? Jak bardzo napiętnowani są oni przez społeczeństwo? A złe traktowanie wcale nie musi odpowiadać prawdzie. Wmówione prześladowanie też może prowadzić do agresji.

*Chce nas tylko uchronić przed zniszczeniem.*

- Jakiego rodzaju przekonań sprawiają, że grupa zaczyna przekraczać dopuszczalne granice?

- To właśnie interesuje mnie u twojej młodej damy. Ona chyba mówi o podróży. O podróży po wieczne życie. To brzmi apokaliptycznie.

*On próbuje nas chronić i nam tłumaczyć.*

- Jak koniec świata.

- Dokładnie. Ostatnie dni. Armagedon.

- To nic nowego. Dlaczego takie postrzeżenie świata musi prowadzić do przemocy? Dlaczego by nie usiąść i poczekać?

- Nie zrozum mnie źle. Nie zawsze tak jest. Ale te grupy wierzą, że ostatnie dni są bliskie, i postrzegają siebie jako osoby, które odegrają kluczową rolę w wydarzeniach, jakie niedługo będą miały miejsce. Oni są tymi wybranymi, którzy zapoczątkują nowy porządek.

*Była przerażona, bo dziecko mogło nie być uświęcone.*



- Powstaje pewien dualizm w procesie myślenia. Oni są dobrzy, a inni beznadziejnie zepsuci i niemoralni. Podobni demonom.

- Jesteś albo ze mną, albo przeciwko mnie.

- No właśnie. Według tych wizji ostatnie dni będzie charakteryzowała przemoc. Niektóre z grup koncentrują się na przetrwaniu, gromadząc broń i zajmując się zakrojoną na szeroką skalę inwigilacją, pełnego zła, porządku społecznego, który im zagraża. Albo antychrysta, szatana, czy kogo tam oni traktują jako zagrożenie.

*Dom nie wierzy w antychrysta.*

- Wierzenia apokaliptyczne są niezwykle zmiennie zwłaszcza wtedy, kiedy głosi je charyzmatyczny przywódca. Koresh twierdził, że jest Bogiem z nominacji.

- Coraz ciekawiej to brzmi.

- Widzisz, jednym z problemów takiego samozwańczego proroka jest to, że musi on być ciągle twórczy i niepowtarzalny. Nie ma żadnego instytucjonalnego poparcia dla jego autorytetu. Nie ma też żadnych instytucjonalnych ograniczeń jego zachowań. To on prowadzi, ale tylko wtedy, kiedy idą za nim jego zwolennicy. Dlatego ci faceci mogą być zmienni. I w granicach swojej władzy mogą robić, co im się podoba. W przypadkach skrajnych, kiedy zagrożony jest ich autorytet, reakcją może być skrajne dyktatorstwo. Zaczynają wymagać dziwnych rzeczy, a inni muszą się dopasować, by wykazać lojalność.

- Na przykład?

- Jim Jones przeprowadzał testy wiary, jak je nazywał. Członkowie Świątyni Ludu byli zmuszani do podpisywania się pod spowiedzią albo znoszenia publicznych zniewag, aby dowieść swojego poświęcenia. Pewien rytuał polegał na wypijaniu nieznanego płynu. Kiedy mówiono uczestnikowi, że to była trucizna, nie wolno mu było ukazywać strachu.

- Czarujące.

- Innym ulubionym rytuałem jest wazektomia. Podobno Synanon kazał niektórym ze swoich męskich zwolenników iść pod nóż.

*Partnerem Heidi miał być Jason.*

- A co z aranżowaniem małżeństw?

- Jouret i DiMambro, Jim Jones, David Koresh, Charles Manson. Oni wszyscy praktykowali kontrolowane łączenie się w grupy. Dieta, seks, aborcja, ubranie, sen. Idiosynkrazja naprawdę nie ma znaczenia. Przywódca nakłada na swoich zwolenników warunki i każe im przestrzegać zasad, i w ten sposób usuwa ich wszelkie zahamowania. W końcu ta bezwzględna akceptacja dziwnych zachowań może sprawić, że przemoc zacznie być czymś powszechnym. Na początku małe akty poświęcenia, pozornie nieszkodliwe

wymagania, jak styl uczesania, medytacje o północy czy seks z mesjaszem. Z czasem te wymagania rosną.

- Wygląda mi to na czczenie szaleństwa.

- Dobrze powiedziane. Ten proces przynosi liderowi jeszcze jedną korzyść. Eliminuje tych, którzy są mniej zaangażowani; po prostu zaczynają mieć dosyć i odchodzą.

- No dobrze. Mamy skrajne grupy, na których czele stoją jacyś wariaci. Co sprawia, że zaczynają w pewnej chwili stosować przemoc? Dlaczego dzisiaj, a nie w przyszłym miesiącu?

*Jest za wcześnie. To nie może być teraz.*

- Większość wybuchów przemocy ma związek z czymś, co socjologowie nazywają "nasilające się napięcie granic".

- Proszę, Red, oszczędź mi żargonu.

- Dobrze. Te skrajne grupy są zwykle zainteresowane dwoma rzeczami: zyskiwaniem członków i ich utrzymaniem. Ale kiedy lider czuje się zagrożony, nacisk kładzie się na coś innego. Czasem przestają przyjmować nowych członków i już obecni zaczynają być dokładniej monitorowani. Wymaganie, aby poddali się ekscentrycznym zasadom, rośnie. Temat fatum powraca coraz częściej. Grupa może być jeszcze bardziej izolowana i jeszcze bardziej paranoiczna. Napięcia między nią a otaczającym środowiskiem, władzami albo egzekutorami prawa nasilają się.

- I to jest to, czego obawiają się ci megalomani?

- Członek, który odchodzi, może być uważany za zdrajcę.

*Obudziliśmy się, a Heidi i Briana nie było.*

- Przywódca może poczuć, że traci kontrolę. Albo jeżeli sekta ma kilka ośrodków i nie może być wszędzie naraz, może uważać, że jego autorytet traci na skutek jego nieobecności. Większy niepokój. Większa izolacja. Większa tyrania. To paranoiczna spirala. I teraz potrzeba jeszcze jakiegoś czynnika z zewnątrz.

- Jak bardzo destrukcyjne musi być to wydarzenie poza grupą?

- Różnie. W Jonestown wystarczyła wizyta kongresmana z jego prasową świtą i ich próba powrotu do Stanów z grupą zdrajców. W Waco potrzebny był nalot Biura do spraw Alkoholów, Papierosów i Broni, przeprowadzony w wojskowym stylu, użycie cenzu i burzenie ścian opancerzonymi pojazdami.

- Skąd ta różnica?

- To ma związek z ideologią i przywództwem. Ośrodek w Jonestown był wewnętrznie bardziej wpływowy niż ten w Waco.

Czułam, że moje palce są bardzo zimne.

- Myślisz, że Owens ma przemoc w swoich planach?

- Na pewno należałoby mu się przyjrzeć. Jeżeli przetrzymuje dziecko twojej przyjaciółki wbrew jej woli, to możesz dostać nakaz.

- To nie jest takie pewne, czy ona zgodziła się zostawić tam małego. Ona bardzo niechętnie mówi o grupie. Była przez tych ludzi wychowywana, od kiedy skończyła osiem lat. Nigdy nie widziałam nikogo tak rozdartego. Ale fakt, że Jennifer Cannon mieszkała w ośrodku Owensa, kiedy została zamordowana, powinien wystarczyć.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

- Czy Heidi i Brian mogli zdenerwować Owensa? - zapytałam. - Czy mógł kazać komuś zabić ich i dzieci?

- Możliwe. I nie zapomnij, że nie tylko oni mogli go wkurzyć. Wygląda na to, że Jennifer mogła ukryć te telefony z Kanady, a potem nie chciała zgodzić się zrobić czegoś, co on chciał, kiedy się o nich dowiedział. No i jeszcze ty.

- Ja?

- Heidi zachodzi w ciążę z Brianem wbrew rozkazom sekty. Potem para się rozdziela. Potem sprawa z Jennifer. Następnie wizyta, którą złożyliście ty i Ryan. Tak przy okazji, to dziwny zbieg okoliczności.

- Dlaczego?

- Ten kongresman, który pojawił się w Gujanie, miał na imię Ryan.

- Jak myślisz. Red, co się teraz stanie? Wszystko ci powiedziałam, spójrz w kryształową kulę, co widzisz?

Przez chwilę nic nie mówił.

- Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że Owens pasuje do wizerunku charyzmatycznego przywódcy, który postrzega siebie jako mesjasza. A jego zwolennicy chyba to zaakceptowali. On może czuć, że traci kontrolę. A wasze śledztwo traktuje jako dodatkowe zagrożenie swojego autorytetu.

Znowu przerwa.

- A ta Kathryn mówi o przejściu w życie wieczne...

Usłyszałam, jak bierze głęboki oddech.

- Biorąc to wszystko pod uwagę, skłonny jestem twierdzić, że przemoc jest w tym przypadku bardzo prawdopodobna.

Rozłączyliśmy się i zadzwoniłam na pager Ryana. Czekając, aż oddzwoni, wróciłam do raportu Hardawaya. Ledwie wyjęłam go z koperty, zadzwonił telefon. Gdybym nie była

taka przejęta, to uważałabym, że to zabawne. Wydawało się, że nie jest mi dane przeczytać ten dokument.

- Musisz budzić ludzi tak rano? - W głosie Ryana brzmiało zmęczenie.

- Ja zawsze wstaję wcześnie. I mam gościa.

- Niech zgadnę. Gregory Peck.

- Dziś rano zjawiała się Kathryn. Twierdzi, że noc spędziła w kampusie uniwersytetu i znalazła mnie przez uniwersytecką książkę telefoniczną.

- To niezbyt mądrze podawać swój adres domowy.

- Ja nie podałam. A Jennifer Cannon mieszkała w posiadłości na Świętej Helenie.

- Cholera.

- Kathryn podsłuchiwała kłótnię między Jennifer a Owensem. A dzień później Jennifer zniknęła.

- Dobra robota, Brennan.

- Zaraz będzie jeszcze lepiej.

Opowiedziałam mu o dostępie Jennifer do telefonu i jej przyjaźni z Heidi. On też miał dla mnie niezwykle wiadomości.

- Gdy rozmawiałeś z Hardawayem, zapytałaś go, kiedy ostatni raz widziano żywą Jennifer Cannon. Nie zapytałaś, gdzie. To nie było w Calgary. Jennifer nie mieszkała tam, od kiedy wyjechała do szkoły. Matka twierdzi, że one utrzymywały bliski kontakt aż do samego zniknięcia Jennifer. Z czasem córka dzwoniła coraz rzadziej, a kiedy rozmawiały, Jennifer odpowiadała wymijająco. Ostatni raz wykręciła do domu na Święto Dziękczynienia dwa lata temu i koniec. Matka dzwoniła do szkoły, do przyjaciół córki, pojechała nawet do kampusu, ale nigdzie się nie dowiedziała, gdzie Jennifer pojechała. Wtedy zgłosiła zaginięcie...

- I?

Wziął głęboki oddech.

- Ostatni raz widziano Jennifer Cannon wychodzącą z kampusu uniwersytetu McGill.

- Nie!

- Tak. Nie podeszła do końcowych egzaminów i opuszczała zajęcia. Po prostu się spakowała i wyjechała.

- Spakowała się?

- Aha. Dlatego policja nie zabrała się zbyt energicznie do poszukiwań. Pozbierała wszystkie swoje rzeczy, zlikwidowała konto bankowe, zostawiła wiadomość właścicielowi mieszkania i zniknęła. To nie wyglądało na porwanie.

Przed oczami stanął mi niewyraźny obraz. Twarz z grzywką. Nerwowy gest. Z

wysiłkiem formułowałam słowa.

- Razem z Jennifer Cannon z posiadłości zniknęła jeszcze jedna kobieta. Kathryn jej nie znała, bo była nowa. - Przełknęłam. - Ona twierdzi, że ta dziewczyna mogła mieć na imię Anna.

- Nie rozumiem.

- Anna Goyette była - poprawiłam się - jest studentką na McGill.

- To często spotykane imię.

- Kathryn słyszała, jak Jennifer i ta dziewczyna rozmawiały w obcym języku.

- Po francusku?

- Nie jestem pewna, czy Kathryn wiedziałaby, że to francuski.

- Myślisz, że drugą ofiarą z Murtry może być Anna Goyette?

Nie odpowiedziałam.

- Brennan, to, że na Świętej Helenie pojawiła się jakaś dziewczyna, na którą mówiono Anna, nie znaczy, że spotkały się tam właśnie koleżanki z McGill. Cannon opuściła uniwersytet ponad dwa lata temu. Goyette ma dziewiętnaście lat. Jeszcze jej tam wtedy nie było.

- To prawda. Ale wszystko inne pasuje.

- No nie wiem. A nawet jeżeli Jennifer Cannon mieszkała u Owensa, to i tak nie musi znaczyć, że on ją zabił.

- Klóćą się. Ona znika. Jej ciało znalezione zostaje w płytkim grobie.

- Może ona albo jej przyjaciółka Anna były pod wpływem narkotyków. Może Owens się dowiedział i je wyrzucił. Nie miały dokąd pójść, więc zwracają się do swoich narkotykowych znajomych. Albo wyruszają z torbą pełną towaru.

- Naprawdę tak myślisz?

- Na pewno wiemy tylko, że Jennifer Cannon wyjechała z Montrealu kilka lat temu i jej ciało znalezione zostało na wyspie Murtry. Mogła spędzić trochę czasu w komunie na Świętej Helenie. Mogła się pokłócić z Owensem.

A nawet jeżeli, to i tak te fakty mogą pasować do rzeczywistości albo i nie.

- Gdzieś musiała przebywać przez ostatnie kilka lat...

- Gdzieś tak.

- Co zamierzasz?

- Najpierw chcę się spotkać z szeryfem Bakerem i zapytać, czy to wystarczy, aby dostać nakaz. Chcę pogonić chłopaków w Teksasie. Chcę wiedzieć wszystko o Owensie. Potem znowu będę obserwował posiadłość. Muszę poznać tego guru na wylot, a nie mam

wiele czasu. Chcą mieć mnie w Montrealu w poniedziałek.

- Ryan, ten facet jest niebezpieczny...

Nie przerywając mi wysłuchał tego, co powiedział mi Red Skyler. Kiedy skończyłam, zapadła dłuższa cisza, podczas której rozważał naszą sytuację pod kątem słów socjologa.

- Zadzwoń do Claudela i zapytam, co ze sprawą Anny Goyette.

- Dzięki, Ryan.

- Pilnuj Kathryn - powiedział poważnie,

- Dobrze,

Nie udało mi się. Kiedy poszłam na górę, dziewczyny już nie było.

Cholera! - powiedziałam głośno do siebie.

Birdie przyszedł za mną na górę. Na dźwięk moich słów znieruchomiał, opuścił łepkę i patrzył na mnie w bezruchu,

- Cholera!

Nikt mi nie odpowiedział.

Ryan miał rację. Kathryn była zmienna. Wiedziałam, że nie mogę zapewnić jej bezpieczeństwa, ani jej, ani dziecku, więc dlaczego czułam się odpowiedzialna?

- Uciekła, Bird. Co mogę teraz zrobić?

Kot nie miał żadnych propozycji, więc zrobiłam to, co zawsze w takich przypadkach: kiedy czuję się niespokojna, zabieram się do pracy.

Wróciłam do kuchni. Drzwi były uchylone i wiatr rozrzucił zdjęcia z autopsji.

Czy na pewno wiatr? Raport Hardawaya leżał tam, gdzie go zostawiłam.

Czy Kathryn obejrzała zdjęcia? Czy to, co zobaczyła, wywołało panikę?

Czując kolejną falę winy usiadłam i ułożyłam zdjęcia.

Oczyszczone z całunu larw i osadów, ciało Jennifer Cannon było w lepszym stanie, niż się spodziewałam. Proces rozkładu zniszczył jej twarz i trzewia, jednak rany w opuchniętym i przebarwionym ciele były nieźle widoczne.

Rany cięte. Setki. Niektóre okrągłe, inne proste, od jednego do siedmiu centymetrów długości. Skupione w okolicach gardła, na klatce piersiowej, na rękach i nogach. Na całym ciele dostrzegłam coś jakby powierzchniowe zadrapania, ale stan skóry nie pozwalał na dokładniejszą obserwację uszkodzeń. Wszędzie w tkance pełno było zakrzepłej krwi.

Zbadałam kilka zbliżeń. Rany na klatce piersiowej miały gładkie, czyste krawędzie, ale pozostałe były poszarpane i nierówne. Głęboka rana cięta biegła naokoło prawego ramienia, odsłaniając poszarpane ciało i rozszczepioną kość.

Potem przyjrzałam się zdjęciom czaszki. Chociaż zaczął się już proces martwicy, większość włosów była na miejscu. Z tyłu czaszki, przez splątane włosy prześwitywała kość, jakby brakowało kawałka skalpu.

Już to kiedyś widziałam. Gdzie?

Odłożyłam zdjęcia i otworzyłam raport Hardawaya.

Dwadzieścia minut później oparłam się wygodnie i zamknęłam oczy.

Prawdopodobna przyczyna śmierci: wykrwawienie wskutek pchnięcia nożem. Rany o

gładkich brzegach na klatce piersiowej spowodowało gładkie ostrze, które naruszyło kilka naczyń krwionośnych. Rozkład uniemożliwił patologowi dokładne określenie powodu innych uszkodzeń.

Resztę dnia spędziłam pracowicie. Napisałam raporty w sprawie Jennifer Cannon i drugiej ofiary z Murtry, potem zajęłam się swoim referatem; cały czas nasłuchiwałam, czy Kathryn nie wraca.

O drugiej zadzwonił Ryan, aby mi powiedzieć, że przypadek Jennifer przekonał sędziego i będzie wydany nakaz przeszukania posiadłości na Świętej Helenie. Pojadą tam z Bakerem, jak tylko dostaną papier.

Ja powiedziałam mu o zniknięciu Kathryn i wysłuchałam jego zapewnień, że to nie moja wina. Powiedziałam mu też o Birdiem.

- Nareszcie jakieś dobre wiadomości.
- Chociaż tyle. Wiesz już coś nowego o Annie Goyette?
- Nie.
- A o Teksasie?
- Nadal czekam. Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem.

Odkładając słuchawkę poczułam futerko ocierające się o moją kostkę, spojrzałam w dół: Birdie kreślił ósemki między moimi stopami.

- Co, Bird, może byśmy coś zjedli?

Mój kot pasjami uwielbia psie zabawki do żucia. Tłumaczyłam mu, że takie rzeczy są dla psów, ale to go nie przekonało.

Z kuchennej szuflady wyjęłam małą kość z surowej skóry i rzuciłam ją do salonu.

Birdie przebiegł przez pokój, odbił się i rzucił na swoją zdobycz. Wyprostował się, złożył kość między przednimi łapkami i zaczął ją obgryzać.

Patrzyłam na to, zastanawiając się, co go tak ciągnie do tego oślizłego kawałka skóry.

Kot najpierw obgryzł jeden róg, a potem obrócił zabawkę i zajął się drugą stroną. Kość wyslizgiwała mu się z obu stron, więc przytrzymał ją sobie i zatopił w niej kły.

Przyglądałam mu się w osłupieniu.

Czy to było to?

Podeszłam do niego, kucnęłam i zabrałam mu zabawkę. Położył mi przednie łapki na kolanach i stając na tylnych próbował odzyskać skarb.

Patrzyłam na pogryziony kawałek skóry i serce biło mi szybciej.

Słodki Jezu.

Pomyślałam o dziwnych ranach w ciele Jennifer Cannon. Powierzchniowe



zadrapania. Rany szarpane.

Pobiegłam do salonu po szkło powiększające, potem z powrotem do kuchni i przetrząsnęłam zdjęcia Hardaway'a. Wybrałam zdjęcia głowy i obejrzałam je pod lupą.

To miejsce nie było spowodowane rozkładem. Kosmyki, które zostały, mocno się trzymały skóry. Usunięty kawałek skóry i włosów był idealnie prostokątny, a jego brzegi były poszarpane.

Ten kawałek został zdarty z głowy.

Pomyślałam, co to może znaczyć.

I jeszcze o czymś.

Czy mogłam być aż taka ślepa? Czy z góry wyrobiona opinia mogła przysłonić mi coś tak oczywistego?

Chwyciłam klucze i torebkę i wybiegłam z domu.

Czterdzieści minut później byłam na uniwersytecie. Kości niezidentyfikowanej ofiary z Murtry leżały jak wyrzut sumienia na moim stole laboratoryjnym.

Jak mogłam być taka nieuważna?

"Nigdy nie zakładajcie, że jest tylko jedna przyczyna". Słowa mojego mentora sprzed wielu lat.

Wpadłam w pułapkę. Kiedy zobaczyłam, jak zniszczone są kości, pomyślałam o szopach i sępach. Nie przyjrzałam się bliżej. Nie zrobiłam pomiarów.

Zrobiłam to teraz.

Chociaż zwierzęta bardzo zniszczyły szkielet, były też rany zadane przed śmiercią.

Dwa otwory w kości potylicznej powiedziały mi najwięcej. Każda miała pięć milimetrów, leżały w odległości trzydziestu pięciu milimetrów od siebie, Nie zrobił ich sęp, a rozstaw był zbyt duży jak na szopa.

To wyglądało na dużego psa. Tak samo jak równoległe biegnące zadrapania na kościach czaszki, podobne otwory w obojczyku i mostku.

Jennifer Cannon i jej koleżanka zostały zaatakowane przez zwierzęta, prawdopodobnie duże psy. Zęby poszarpały ciało i porysowały kości. Kilku silnych ugryzień przebiło zgrubienie z tyłu czaszki. Mój umysł zaskoczył.

Carole Comptois, ofiara z Montrealu, która została powieszona za nadgarstki i torturowana, też była atakowana przez psy. To jest doszukiwanie się związków, Brennan. Tak. To śmieszne. Nie, mówiłam sobie. Nie jest.

Do tej pory sceptycyzm nic dla nich nie zrobił. Nie byłam przekonana co do ataku

zwierząt. Wątpiłam w związek Heidi Schneider z Domem Owensem i nie widziałam nic, co mogłoby łączyć go z Jennifer Cannon. Nie pomogłam Kathryn ani Carlie'emu i nie zrobiłam nic, by odnaleźć Annę Goyette.

Od tej chwili będę szukać związków. Jeżeli istnieje najmniejsza możliwość, że Carole Comptois i kobiety z wyspy Murtry mają ze sobą cokolwiek wspólnego, to ją wezmę pod uwagę.

Zadzwoiłam do Hardaway'a, choć nie spodziewałam się, że będzie tak długo pracował w sobotę. Nie pracował. Ani on, ani LaManche, patolog, który wykonał autopsję Comptois. Obu zostawiłam wiadomości.

Sfrustrowana wzięłam kartkę papieru i zaczęłam spisywać to, co wiedziałam.

Jennifer Cannon i Carole Comptois pochodziły z Montrealu. Obie zmarły po ataku zwierząt.

Na szkielecie ofiary zakopanej z Jennifer Cannon też znalazłam ślady zwierzęcych zębów. Ilość Rohypnolu w jej ciele wskazuje na silne zatrucie.

Rohypnol stwierdzono także u obu ofiar znalezionych razem z Heidi j Schneider i jej rodziną w St-Jovite.

Znaleziono go również w ciałach na miejscu morderstwa/samobójstwa w Solar Temple.

Solar Temple miało swoje ośrodki w Quebecu i w Europie. Z domu w St-Jovite ktoś dzwonił do komuny na wyspie Świętej Heleny.

Obie posiadłości należą do Jacquesa Guilliona, który także miał posiadłość w Teksasie,

Jacques Guillion jest Belgiem.

Jedna z ofiar w St-Jovite, Patrice Simonnet, też była Belgijką.

Heidi Schneider i Brian Gilbert związali się z grupą Owensa w Teksasie i trafili tam, kiedy przyszły na świat ich dzieci. Wyjechali z Teksasu i zostali zamordowani. W St-Jovite.

I oni, i Simonnet zginęli mniej więcej trzy tygodnie temu. Jennifer Cannon i niezidentyfikowana ofiara z Murtry zmarły trzy do czterech tygodni temu.

Carole Comptois zginęła niecałe trzy tygodnie temu. Popatrzyłam na kartkę. Dziesięć. Dziesięć osób zginęło. Może w ten sam dzień. Dzień śmierci... Ofiary znajdowaliśmy dzień po dniu, ale oni wszyscy umarli mniej więcej w tym samym czasie. Kto będzie następny? W jakiz to piekielny krąg zstapiliśmy?

Kiedy wróciłam do domu, zaraz usiadłam przed komputerem, by przejrzeć mój raport

o szkielecie z Murtry i uzupełnić go o opis ran zadanych przez zwierzęta. Potem wydrukowałam go, by spokojnie przeczytać.

Skończyłam, gdy kurant zegara odśpiewał cały refren Westminsteru i wybił sześć razy. Mój żołądek dał mi znać, że od śniadania nic nie jadłam.

Wysłałam na patio i zebrałam trochę bazylii i szczypiorku. Potem pocięłam na kawałki ser, wyjęłam z lodówki jajka i wszystko razem wymieszałam.

Opiekłam kolejnego bajgia, nalałam dietetyczną colę do szklanki i wróciłam do biurka w salonie.

Przeczytałam listę, którą zrobiłam na uniwersytecie, i przyszło mi coś do głowy,

Od zniknięcia Anny Goyette też minęły prawie trzy tygodnie.

Przeszła mi ochota na jedzenie. Odeszłam od biurka, by wylądować na kanapie. Położyłam się i pozwoliłam moim myślom płynąć i tworzyć skojarzenia.

Najpierw pomyślałam o nazwiskach. Schneider. Gilbert. Comptois. Simonnet. Owens. Cannon. Goyette.

Nic.

Wiek. Cztery miesiące. Osiemnaście lat. Dwadzieścia pięć. Osiemdziesiąt.

Żadnego związku. Miejsca. St-Jovite. Wyspa Świętej Heleny.

Związek?

Święci. Czy to może coś znaczyć? Zapisałam, żeby zapytać Ryana, gdzie dokładnie znajduje się posiadłość Guilliona w Teksasie.

Przygryzłam paznokciec kciuka. Dlaczego Ryan tak długo nie dzwoni?

Spojrzałam na półki zajmujące sześć z ośmiu ścianek mojej werandy. Od podłogi do sufitu same książki. To jedyna rzecz, której nie potrafię się pozbyć. Naprawdę musiałabym je przejrzeć i niektóre wyrzucić. Posiadam mnóstwo tekstów, których już nigdy nawet nie otworzę, niektóre jeszcze z czasów studenckich.

Uniwersytet.

Jennifer Cannon. Anna Goyette. Obie studiowały na uniwersytecie Mc-Gill.

Pomyślałam o Daisy Jeannotte i o tym, co mówiła o swojej asystentce.

Popatrzyłam na komputer. Kiedy ekran wygasał, wokół niego węzowymi ruchami zaczynał krążyć kręgosłup. Potem pojawiały się kości długie, następnie żebra, miednica i ekran przybierał czarny kolor. Przedstawienie zaczynało się od nowa, kiedy pojawiała się obracająca się czaszka.

E-mail. Kiedy z Jeannotte wymieniliśmy adresy internetowe, poprosiłam ją, aby skontaktowała się ze mną, jeżeli Anna wróci. Dziś jeszcze nie sprawdzałam, czy mam jakieś

wiadomości.

Zalogowałam, przesłałam swoją pocztę i przebiegłam wzrokiem listę wysyłających. Nie było nic od Jeannotte. Ale mój siostrzeniec Kit przesłał trzy wiadomości. Dwie w zeszłym tygodniu, jedną dziś rano.

Nigdy nie wysyłał mi e-maili.

Otworzyłam ostatnią wiadomość.

Od: khoward

Do: tbrennan

Temat : Harry

*Ciociu Tempe:*

*Dzwoniłem, ale Ciebie nie było. Bardzo się martwię o Harry.*

*Proszę, zadzwoń.*

*Kit*

Od kiedy skończył dwa lata, Kit mówił swojej matce po imieniu. Sami rodzice tego nie pochwalali, ale on nie chciał przestać. Harry po prostu lepiej mu brzmiało.

Przejrzałam dwie pozostałe wiadomości i miałam mieszane uczucia. Bałam się o bezpieczeństwo Harry. Wkurzałam się na jej nonszalancki stosunek do wszystkiego. Współczułam Kitowi. Czułam się winna, bo się z nią nie liczyłam. To pewnie on dzwonił podczas mojej rozmowy z Kathryn.

Poszłam do korytarza i wcisnęłam guzik.

*Cześć, ciociu Tempe. Mówi Kit. Dzwonię z powodu Harry. Kiedy dzwoniłem do twojego mieszkania w Montrealu, nie odebrała i nie mam pojęcia, gdzie ona może być. Wiem, że była tam jeszcze kilka dni temu. Przerwa. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, była jakaś dziwna, nawet jak na nią. Nerwowy śmiech. Czy ona jest nadal w Quebecu? Jeżeli nie, to może wiesz, gdzie? Martwię się. Nigdy taka nie była. Proszę, zadzwoń do mnie. Cześć.*

Mój siostrzeniec stanął mi przed oczami: zielone oczy i jasne włosy. Trudno było uwierzyć, że jego ojcem był Howard Howard. Liczący sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i chudy jak patyk Kit był idealną kopią mojego ojca.

Jeszcze raz odsłuchiwałam wiadomość i zastanowiłam się, czy coś było nie w porządku.

Nie, Brennan.

Ale dlaczego Kit był taki przejęty?

Zadzwoń do niego. Z nią jest wszystko w porządku.

Nacisnęłam przycisk wybierania numerów. Nikt nie odbierał.

Zadzwołam do mojego mieszkania w Montrealu. Nic. Zostawiłam wiadomość.

Może Pete? On chyba jednak nie miał od Harry żadnych wiadomości...?

Oczywiście, że nie. Moją siostrę lubił tak, jak lubi się grzybicę stóp. I ona l o tym wiedziała.

Wystarczy, Brennan. Wracaj do swoich ofiar. Potrzebują ciebie.

Przestałam myśleć o mojej siostrze. Już wcześniej gdzieś zniknęła. Musiałam założyć, że nic jej nie jest.

Wróciłam na kanapę.

Kiedy się obudziłam, leżałam kompletnie ubrana, a na mojej piersi leżał dzwoniący telefon.

- Dzięki za telefon, ciociu Tempe. Ja... Może przesadzam, ale matka wydawała się bardzo przygnębiona, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem. A teraz zniknęła. To do niej niepodobne. Takie przygnębienie.

- Kit, na pewno nic jej nie jest.

- Pewnie masz rację, ale, cóż, mieliśmy plany. Ciągle narzeka, że już nigdy nie spędzamy razem czasu, więc obiecałem, że zabiorę ją w przyszłym tygodniu na łódź. Prawie już skończyłem ją odnawiać i chcieliśmy z Harry popływać po Zatoce przez kilka dni. Jeżeli zmieniła plany, to mogła chociaż zadzwonić.

Znowu zdenerwowała mnie typowa dla niej bezmyślność.

- Ona się skontaktuje z tobą, Kit. Kiedy wyjeżdżałam, była zajęta swoją pracą. Znasz przecież matkę.

- Tak. - Zamilkł na moment. - Ale wtedy wydawała się taka... - Szukał odpowiedniego słowa. - Bez życia. To do niej niepodobne. Przypomniałam sobie ostami wieczór z Harry.

- Może to część jej nowej osobowości. Miły, zewnętrzny spokój. - Moje słowa brzmiały fałszywie nawet dla mnie.

- Tak. Chyba tak. Czy wspominała, że chce gdzieś jechać?

- Nie. Dlaczego?

- Powiedziała coś, co sprawiło, że pomyślałem, że może planowała jakąś podróż. Ale

brzmiało to tak, jakby to nie był jej pomysł albo nie miała ochoty jechać... Kurczę, nie wiem.

Westchnął. Wyobraziłam sobie, jak dłonią przeczesuje włosy do tyłu, potem wodzi nią po czubku głowy. Frustracja Kita.

- Co powiedziała? - Wbrew swojemu postanowieniu zaczęłam odczuwać mały niepokój.

- Dokładnie nie pamiętam. Ale nawet nie zwracała uwagi na to, co ma na sobie albo jak wygląda. Czy to podobne do mojej matki?

Nie, na pewno nie.

- Ciociu Tempe, czy wiesz coś o tej grupie, z którą się związała?

- Znam tylko jej nazwę. Usprawnienie Życia Wewnętrznego, chyba coś takiego. Poczulbyś się lepiej, gdybym zdobyła trochę informacji?

- Aha.

- I zadzwonię do moich sąsiadów w Montrealu, i zapytam, czy jej nie widzieli, dobrze?

- Dobrze.

- Kit, pamiętasz, kiedy ona poznała Strikera?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Pamiętam.

- Jak to wtedy było?

- Pojechała na zawody balonowe, nie było jej przez trzy dni i wróciła jako mężatka.

- A ty byłeś zszokowany tak jak teraz!

- Tak. Ale wtedy zabrała chociaż swoją lokówkę! Poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła. Zostawiłem tam na sekretarce wiadomości, ale, cholera, może coś ją wkurzyło. Kto wie?

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Znowu zadzwoniłam do Montrealu. Harry nie było, zostawiłam więc jeszcze jedną wiadomość.

Leżąc w ciemnościach zadawałam sobie pytania. Dlaczego nie sprawdziłam tej grupy, do której wstąpiła Harry? Bo nie było powodu. Zapisła się na kurs, na który trafiła przez legalną instytucję, i nie było powodu się martwić. Poza tym, śledzenie wszystkich ruchów Harry wymagałoby zatrudnienia detektywa na pełen etat.

Jutro. Jutro wykonam parę telefonów. Już nie dzisiaj. Zakończyłam przesłuchanie.

Poszłam do sypialni, rozebrałam się i wsunęłam pod kołdrę. Potrzebowałam snu. Potrzebowałam wytchnienia od wrzawy dnia.

Wentylator nad moją głową cicho pomrukiwał. Pomyślałam o salonie Doma Owensa

i, choć starałam się je odsunąć, powróciły imiona.

Brian. Heidi. Brian i Heidi byli studentami.

Jennifer Cannon była studentką.

Anna Goyette.

Mój żołądek odwrócił się na drugą stronę.

Harry.

Harry zapisała się na swoje pierwsze seminarium w North Harris County Community College. Harry była studentką.

Inni zostali zamordowani albo zniknęli przebywając w Quebecu.

Moja siostra była w Quebecu.

Czy na pewno?

Gdzie, do diabła, podziewał się Ryan?

Kiedy wreszcie zadzwonił, moja obawa osiągnęła już wymiary strachu.

Zniknęli? Jak to, zniknęli?

Spałam niespokojnie i kiedy Ryan obudził mnie o świcie, już czułam nadchodzący ból głowy.

- Kiedy przyjechaliśmy z nakazem, zastaliśmy pusty dom.

- Dwadzieścia sześć osób tak po prostu zniknęło?

- Owens z jakąś kobietą zatankował obie furgonetki koło siódmej wczoraj rano. Facet ze stacji ich zapamiętał, bo zwykle tak nie robili. Dotarliśmy z Bakerem do komuny gdzieś koło piątej po południu. Gdzieś między siódmą rano a piątą po południu padre i jego stadko wzięli nogi za pas.

- Po prostu odjechali?

- Baker przez radio powiadomił wszystkich oficerów, ale do tej pory nie znaleziono żadnej z furgonetek.

- Na litość boską. - Nie mogłam w to uwierzyć.

- Ale to nie wszystko.

Czekałam.

- W Teksasie zniknęło osiemnaście osób.

Zrobiło mi się zimno.

- Wygląda na to, że w posiadłości Guilliona była druga grupa. Departament szeryfa w hrabstwie Fort Bend obserwował ich przez kilka lat i wreszcie stwierdzili, że trzeba im się bliżej przyjrzeć. Niestety, kiedy przyjechali na miejsce, braci nie było. Znaleźli starego mężczyznę chowającego się pod werandą z cocker spanielem.

- I co im powiedział?

- Aresztowali go, ale jest albo zniechęcony, albo słaby na umyśle, bo prawie nic nie powiedział.

- Może udaje.

Niebo za oknem jaśniało.

- I co teraz?

- Teraz zostawiamy posiadłość na Świętej Helenie i mamy nadzieję, że chłopcy ze stanowej ustalą, dokąd Owens zaprowadził swoich wiernych.

Rzut oka na zegarek. Dziesięć po siódmej, a ja już gryzę paznokcie kciuka.

- A co tam u ciebie?



Opowiedziałam mu o śladach zębów na kościach i o moich podejrzeniach co do Carole Comptois.

- To nie ten sposób działania.

- Jaki sposób działania? Simmonet została zastrzelona, Heidi i jej rodzina pocięci i pchnięci nożem, a co do tych dwóch osób na górze to nie wiemy, jak zginęły. I Cannon, i Comptois atakowały psy i raniono je nożem. To nie zdarza się często.

- Comptois zamordowano w Montrealu. Cannon z przyjaciółką znaleziono tysiąc dziewięćset kilometrów na południe. Myślisz, że ten pies złapał szybki pociąg?

- Nie twierdzę, że to ten sam pies. Ten sam wzór zachowania.

- Z jakiego powodu?

Całą noc zadawałam sobie to pytanie. I kto?

- Jennifer Cannon studiowała na McGill. Anna Goyette również. Heidi i Brian też byli w szkole, kiedy przyłączyli się do grupy Owensa. Mógłbyś sprawdzić, czy Carole Comptois miała coś wspólnego z uniwersytetem? Uczyła się, może pracowała w kolegium?

- To była prostytutka.

- Może wygrała stypendium? - warknęłam. Jego negatywne nastawienie irytowało mnie.

- Dobrze, dobrze. Nie denerwuj się.

- Ryan... - Zawahałam się, bo wydawało mi się, że jeżeli powiem to głośno, to coś strasznego stanie się prawdą. Nie popędzał mnie.

- Moja siostra zapisała się na seminarium w kolegium w Teksasie.

Na linii nadal panowała cisza.

- Jej syn dzwonił do mnie wczoraj, bo nie może się z nią skontaktować. Ja też nie.

- To może być część treningu. No wiesz, takie wycofanie się. A może zastanawia się w samotności nad swoim życiem. Ale jeżeli naprawdę się martwisz, to zadzwoń do tej uczelni.

- Chyba tak.

- Przecież to, że zapisała się w Teksasie, nie znaczy...

- Zdaję sobie sprawę z tego, że przesadzam, ale przestraszyły mnie słowa Kathryn, a teraz Dom Owens gdzieś planuje nie wiadomo co.

- Dorwiemy go.

- Wiem.

- Brennan, jak mam ci to powiedzieć? - Głęboko wciągnął powietrze i wypuścił je z płuc. - Twoja siostra lubi zmiany i jest otwarta na nowe znajomości. Mogła kogoś poznać i

wyjechać z nim na kilka dni.

Bez swojej lokówki? Niepokój wypełniał mnie całą jak zimna, gęsta masa.

\* \* \*

Po rozmowie z Ryanem znowu zadzwoniłam do Harry. Wyobraziłam sobie telefon dzwoniący w moim pustym mieszkaniu. Gdzie ona mogła być o siódmej rano w niedzielę?

Niedziela. Cholera! Na uczelnię mogę zadzwonić dopiero jutro rano.

Zrobiłam kawę i chociaż w Teksasie było prawie godzinę wcześniej, zadzwoniłam do Kita.

Był miły, ale nieco oszołomiony, i nie był w stanie podążać za moim tokiem pytań. Kiedy w końcu zaczął rozumieć, okazało się, że nie wie, czy kurs Harry należał do stałych ofert uniwersytetu. Pamiętał zajęcia z literatury i obiecał, że wstąpi do jej domu i sprawdzi. Nie mogłam usiedzieć na miejscu.

Otworzyłam najpierw Observera, a potem dzienniki Belangera. Próbowałam nawet oglądać niedzielną mszę u ewangelistów. Ani przestępstwa, ani Louis-Philippe, ani wzywianie Jezusa nie przyciągnęły mojej uwagi. Psychicznie czułam się, jakbym podążała drogą donikąd.

Nie miałam na to zbyt wielkiej ochoty, ale przebrałam się w strój do biegania i wyszłam. Niebo było czyste, powietrze klarowne i balsamiczne, kiedy tak jechałam Queens West, a potem drogą na Princeton dotarłam do Freedom Park. Krople potu zmieniły się w strużki, gdy biegłam wzdłuż laguny. Małe kacuszki sunęły po wodzie za swoją mamą, a ich kwakanie rozchodziło się w powietrzu niedzielnego poranka.

Nadal miałam mętlik w głowie, uczestnicy wydarzeń i same wydarzenia wirowały mi w umyśle. Spróbowałam skupić się na uderzeniach moich Nike'ów, na rytmie mojego oddechu, ale cały czas słyszałam zdanie, które powiedział Ryan na końcu naszej rozmowy. Nowe znajomości. Czy miał na myśli ich noc u Hurleya? Czy tym właśnie była nasza przygoda na pokładzie Melanie Tess?

Przemierzyłam park, minęłam klinikę medyczną, potem wbiegłam w wąskie uliczki Myers Park. Biegłam wśród nieskazitelnie utrzymanych ogródków i parkowych trawników, tu i tam dopieszczanych przez równie idealnych właścicieli.

Właśnie minęłam Providence Road, kiedy o mało co nie wpadłam na faceta w jasnobrązowych spodniach, różowej koszuli i wymiętej sportowej kurtce. Niósł podniszczoną teczkę i płócienny worek wypchany slajdami. To był Red Skyler.

- Odwiedzasz ubogich na południowym wschodzie? - zapytałam, próbując złapać oddech. Red mieszkał po drugiej stronie Charlotte, w pobliżu uniwersytetu.

- Dzisiaj mam wykład u metodystów w Myers Park. - Wskazał kompleks z szarego kamienia po drugiej stronie ulicy. - Przyszedłem wcześniej, żeby ustawić slajdy.

- Rozumiem. - Byłam mokra od potu, mokre włosy wisały mi po obu stronach twarzy. Odkleiłam sobie koszulkę od ciała i poruszałam nią, by się ochłodzić.

- Jak tam twoja sprawa?

- Nie za dobrze. Owens i jego grupa zapadli się pod ziemię.

- Ukrywają się?

- Najwyraźniej. Red, mogę cię zapytać o coś, o czym już trochę mówiliśmy?

- Oczywiście.

- Kiedy dyskutowaliśmy o sektach, wspomniałeś o dwóch ich rodzajach. Tyle mówiliśmy o jednym, że zapomniałam spytać o ten drugi.

Obok nas przeszedł facet z pudłem. Obu przydałoby się strzyżenie.

- Mówiłeś, że należą do nich szeroko reklamowane programy rozwijania świadomości.

- Tak. Jeżeli te zmiany myślenia prowadzą do zamykania się w swoich kręgach członków takich kursów. - Postawił torbę na chodniku i podrapał się po nosie.

- I te grupy zapełniają swoje szeregi przekonując jedni drugich, by chodzili na różne kursy?

- Zgadza się. W przeciwieństwie do sekt, te programy nie mają na celu pozyskiwania ludzi na zawsze. Oni ich wykorzystują tak długo, jak tylko ci chodzą na takie kursy. I wciągają innych.

- To dlaczego zaliczasz je do sekt?

- Nie uwierzyłabyś, jaki wpływ mogą mieć te tak zwane programy s-mokreacji. W sumie to jest to samo, behawioralna kontrola przez zmianę myślenia.

- I co się dzieje w czasie tych treningów świadomości?

Red spojrzał na zegarek.

- Kończę za kwadrans jedenasta. Spotkajmy się na śniadaniu i opowiem ci, co wiem.

To się zwykle określa grupowym treningiem świadomości.

Mówiąc to Red polewał swoją kaszę sosem z gotowanej szynki. Siedzieliśmy u Andersena i przez okno widziałam żywoplot i ceglany mur Presbyterian Hospital.

- One mają brzmieć jak seminaria albo kursy na uczelni, ale te sesje mają na celu emocjonalne i psychologiczne pobudzenie uczestników. O tym się nie wspomina w broszurach reklamowych. Ani o tym, że uczestnicy przejdą pranie mózgu i zmuszeni zostaną

do przyjęcia zupełnie nowego sposobu postrzegania świata. - Nadział na widelec kawałek wiejskiej szynki.

- Jak to działa?

- Większość programów trwa cztery albo pięć dni. Pierwszego dnia wyrabia się autorytet lidera. Mnóstwo poniżania i obelg. Następnego dnia czas na nową filozofię. Prowadzący przekonuje uczestników, że ich dotychczasowe życie było gównem i że jedynym wyjściem jest przyjęcie nowego sposobu myślenia.

Teraz kasza.

- Trzeciego dnia zwykle mają miejsce ćwiczenia. Wprowadzanie w trans. Regresja pamięci. Sterowana symbolika. Prowadzący każe wszystkim odgrzebywać rozczarowania, odrzucenia, złe wspomnienia. To ludzi naprawdę rozkłada emocjonalnie. Wtedy następnego dnia wszyscy otwierają się przed grupą, a lider zmienia się z surowego przywódcy w mamę albo tatę. Tak zaczyna się zachęcanie do podjęcia nowej serii kursów. Ostatniego dnia jest wesoło, mnóstwo obejmowania się, tańczenia, muzyki i gier. I nachalna reklama.

Para w spodniach khaki i identycznych koszulkach do gry w golfa usiadła we wnęce na prawo od nas.

- Niebezpieczeństwo kryje się w fakcie, że takie kursy mogą być wyjątkowo stresujące, i psychicznie i psychologicznie. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak intensywne będą. Gdyby wiedzieli, nie zapisywaliby się.

- To ci uczestnicy nie opowiadają później nikomu o programie?

- Każe im się nie rozmawiać o szczegółach, mówi im się, że ich doświadczenie może zniechęcić innych. Mają zachwycać się swoim nowym życiem, ale ukrywać fakt, że musieli stawić czoła wielu trudnościom i że proces czasami wytrącał ich z równowagi.

- Gdzie przeprowadza się rekrutację? - Bałam się, że i tak już znam odpowiedź.

- Wszędzie. Na ulicy. Chodzą od drzwi do drzwi. W szkołach, firmach, klinikach zdrowia. Ogłaszają się w gazetach alternatywnych, magazynach New Age...

- A kolegia i uniwersytety?

- Bardzo żyzny grunt. Na tablicach ogłoszeń, w domach studenckich i w stołówkach, w dniach, kiedy trwa rekrutacja studentów. Niektóre sekty wyznaczają członków, którzy ciągle kręcą się po kampusach i zaczepiają samotnych studentów. Szkoły nie akceptują i nie zachęcają do tego, ale nie mogą prawie nic zrobić. Administracja każe zdejmować ulotki z tablic ogłoszeń, ale one i tak tam powracają.

- Ale to już inna bajka, prawda? Te seminaria nie są związane z tym rodzajem sekt, o których wcześniej mówiliśmy?

- Niekoniecznie. Czasami programy mają na celu również werbowanie do innych organizacji. Idziesz na kurs, mówią ci tam, że poszło ci tak świetnie, że wybrano cię do kontynuowania na wyższym szczeblu albo do spotkania z guru, cokolwiek.

Te słowa zaboląły mnie jak uderzenie prosto w serce. Obiad Harry w domu prowadzącego.

- Red, jacy ludzie na to idą? - Miałam nadzieję, że w głosie nie było jeszcze słycać paniki, która we mnie wzbierała.

- Moje badania wskazują, że są dwa ważne czynniki. -Wyciągnął dwa tłuste palce. - Depresja i zerwany związek.

- Co masz na myśli?

- Ktoś, kto przechodzi zmiany, często jest samotny i zagubiony, a zatem bezbronny.

- Przechodzi zmiany?

- Przejście ze szkoły średniej na studia, kończenie studiów i szukanie pracy. Zerwanie z kimś. Wyrzucenie z pracy.

Słowa Reda rozpląnęły się w gwarze restauracji. Poczułam, że muszę porozmawiać z Kitem.

Zauważyłam, że Red przygląda mi się dziwnie. Wiedziałam, że muszę coś powiedzieć.

- Wydaje mi się, że moja siostra zapisała się na jeden z takich kursów. Usprawnienie Życia Wewnętrznego.

Wzruszył ramionami.

- Jest ich tak wiele. Tego akurat nie znam.

- Teraz zerwała kontakty. Nikt nie może jej znaleźć.

- Tempe, większość tych programów jest nieszkodliwa. Ale powinnaś z nią porozmawiać. W niektórych przypadkach skutki mogą być tragiczne.

W takich przypadkach jak Harry.

Znowu w środku mnie zmieszały się strach i zdenerwowanie.

Podziękowałam Redowi i sama zapłaciłam rachunek. Wyszliśmy z lokalu. Już na chodniku zapytałam go:

- Czy słyszałaś kiedyś o socjologu o nazwisku Jeannotte? Ona bada ruchy religijne.

- Daisy Jeannotte? - Uniósł brwi, a na czole pojawiły mu się bruzdy.

- Spotkałam ją na uniwersytecie McGill kilka tygodni temu i ciekawi mnie, co o niej sądzą jej koledzy. Zawahał się.

- Tak. Słyszałem, że jest w Kanadzie.

- Znasz ją?

- Znałem ją kilka lat temu. - Ściszył głos. - Nie jest zaliczana do wybitnych...

- O? - Przyjrzałam się jego twarzy, ale była bez wyrazu.

- Dzięki ci za szynkę i kaszę, Tempe. Mam nadzieję, że ci się opłaciło. - Jego uśmiech wydał mi się wymuszony.

Dotknęłam jego ramienia.

- Czego ty mi nie mówisz, Red?

Uśmiech zniknął.

- Czy twoja siostra jest studentką Daisy Jeannotte?

- Nie. Dlaczego?

- Kilka lat temu Jeannotte znalazła się w centrum pewnej kontrowersyjnej sprawy. Nie wiem, o co chodziło, i nie chcę rozsiewać plotek. Po prostu bądź ostrożna.

Chciałam go jeszcze o coś zapytać, ale on skinął głową i odszedł w stronę swojego samochodu.

Stałam w słońcu z otwartymi ustami. Co to, u diabła, mogło znaczyć?

Kiedy wróciłam do domu, czekała na mnie wiadomość od Kita. Znalazł katalog kursów, ale nie było tam nic, co przypominałoby warsztaty Harry w Norfh Harris County Community College. Odkrył też ulotkę Usprawnienia Życia Wewnętrznego na biurku matki. Był w niej ślad po pinexce i Kit podejrzewał, że została zdjęta z tablicy ogłoszeń. Zadzwoił pod numer z ulotki. Tego numeru już nie było.

Kurs Harry nie miał nic wspólnego z uczelnią!

Słowa Reda i Ryana zwiększyły tylko moje przerażenie. Nowe związki. Zmiany. Wolny strzelec. Bezbronna.

Przez resztę dnia mechanicznie wykonywałam różne czynności, a jakkolwiek koncentrację burzyły zmartwienie i niezdecydowanie. Kiedy długie cienie zaczęły kłaść się w patio, odebrałam telefon, który zmusił mnie do bardziej zorganizowanego myślenia. Wysłuchałam go zszokowana, a potem podjęłam decyzję.

Zadzwoiłam do szefa mojego departamentu i oznajmiłam mu, że wyjeżdżam wcześniej, niż zaplanowałam. Ponieważ już zgłaszałam swój wyjazd na konferencję antropologii fizycznej, moi studenci stracą tylko jedno dodatkowe zajęcia. Przykro mi, ale muszę jechać.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, poszłam na górę się spakować. Nie do Oakland, ale do Montrealu.

Muszę znaleźć moją siostrę.

Muszę zatrzymać to szaleństwo pędzące z prędkością huraganu.

Kiedy samolot startował, zamknęłam oczy i oparłam się wygodnie, zbyt wykończona kolejną bezsenłą nocą, by zauważyć cokolwiek z mojego otoczenia. Zwykle lubię to uczucie, gdy samolot unosi się w powietrze i widzę, jak świat się zmniejsza, ale nie tym razem. W głowie siedziały mi słowa przestraszonego starego człowieka.

Przeciagnęłam się i moje stopy dotknęły paczki, którą położyłam pod siedzeniem. Bagaż podręczny. Zawsze na widoku.

Obok mnie Ryan przeglądał magazyn amerykańskich linii lotniczych. Nie było samolotu z Savannah, więc pojechał samochodem do Charlotte i złapał samolot o szóstej trzydziści pięć. Na lotnisku dokładnie opowiedział mi, co miało miejsce w Teksasie.

Stary człowiek uciekł, by ochronić swojego psa.

Zupełnie jak Kathryn, pomyślałam, obawiająca się o swoje dziecko.

- Czy powiedział dokładnie, co oni mają zamiar zrobić? - zapytałam Ryana szeptem.

Stewardesa sprawdzała pasy bezpieczeństwa.

Ryan pokręcił głową.

- Ten facet to zombie. Przebywał na rancho, bo dali mu miejsce i pozwolili trzymać psa. Nie należał tak naprawdę do grupy, ale wystarczająco dużo się dowiedział.

Położył gazetę na kolanach.

- Gada coś o energii kosmicznej, aniołach przewodnikach i ognistym oddychaniu.

- A nie unicestwianiu?

Wzruszył ramionami.

- On mówi, że ludzie, z którymi mieszka, nie należą do tego świata. Że walczyli ze złymi siłami i teraz muszą odejść. A Fido musi zostać.

- I schował psa pod werandą.

Ryan skinął głową.

- Kto to jest te złe siły?

- On nie jest pewien.

- I nie może powiedzieć, dokąd idą ci prawi ludzie?

- Na północ. Pamiętaj, dziadek nie należał do grupy.

- Nigdy nie słyszał o Domie Owensie?

- Nie. Ich liderem był ktoś o imieniu Toby.

- Bez nazwiska?



- Nazwiska nie należą do ich świata. Ale on nie tego się boi. Toby najwyraźniej polubił spaniela. On się cholernie boi jakiejś kobiety.

Co powiedziała Kathryn? "To nie Dom. To ona". Przed oczami mignęła mi twarz.

- Kim ona jest?

- On nie zna jej imienia, ale twierdzi, że ta laska powiedziała Toby'emu, że antychryst został zniszczony i zbliża się dzień Sądu Ostatecznego. Wtedy ruszyli w drogę.

- I? - Czułam, że cała jestem zdrętwiała.

- Okazało się, że pies nie jedzie.

- I nic poza tym?

- On mówi, że ona na pewno jest matką przełożoną.

- Kathryn też mówiła o kobiecie.

- Wspomniała imię?

- Nie zapytałam. Nie przyszło mi to wtedy do głowy.

- Co jeszcze powiedziała?

Powtórzyłam mu to, co pamiętałam.

Położył swoją rękę na mojej.

- Tempe, tak naprawdę to prawie nic nie wiemy o tej Kathryn poza tym, że spędziła swoje życie z tamtą grupą. Przychodzi do ciebie i twierdzi, że znalazła cię przez uniwersytet. Chociaż nie podawałaś im swojego adresu domowego. Tego samego dnia czterdziestu trzech z jej najbliższych przyjaciół w dwóch stanach bierze nogi za pas i dziewczyna robi to samo.

To prawda. Ryan ubierał tylko w słowa moje obawy co do tej dziewczyny.

- Nie dowiedziałaś się, kto zrobił ten głupi kawał z kotem?

- Nie. - Zabrałam rękę i zajęłam się paznokciem kciuka.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Nagle coś sobie przypomniałam.

- Kathryn też wspomniała o antychryście.

- Co powiedziała?

- Że Dom nie wierzy w antychrysta.

Ryan zamilkł na dłuższą chwilę. A potem rzekł:

- Rozmawiałem z chłopakami, którzy pracowali nad sprawą śmierci w Solar Temple w Kanadzie. Wiesz, co zaszło w Morin Heights?

- Wiem tylko, że zginęło pięć osób. Byłam wtedy w Charlotte i media amerykańskie zajmowały się akurat Szwajcarią. Sprawa kanadyjska nie była nagłośniona.

- Powiem ci, co się stało. Joseph DiMambro wysłał grupę morderców, żeby zabili dziecko. - Przerwał, aby dać mi trochę czasu na ochłonięcie. - Od Morin Heights zaczęły się

wypadki za granicą. Widocznie narodziny tego dziecka nie spodobały się Najwyższemu Ojcu, który zaczął uważać je za antychrysta. Śmierć malucha pewnie pozwoliła wiernym udać się w ich podróż.

- Jezu Chryste. Myślisz, że Owens jest jednym z tych fanatyków z Solar Temple?

Ryan znowu wzruszył ramionami.

- A może to tylko takie papugowanie. Może dopiero psycholog będzie w stanie powiedzieć, co ten cały bełkot z Adier Lyons znaczy.

W posiadłości na Świętej Helenie znaleziono pracę naukową. I mapę Prowincji Quebec.

- Nie mam bladego pojęcia, który z tych pomyleńców jest przywódcą, ale przez niego niewinni ludzie idą za nim na śmierć. Złapię tego gnoja i sam zrobię z nim porządek.

Kiedy brał do ręki gazetę, dostrzegłam jego zaciśnięte szczęki.

Zamknęłam oczy i spróbowałam się odprężyć, ale myśli nie chciały mi dać chwili wytchnienia.

Harry, energiczna i pełna życia. Harry w dresie i bez makijażu. Sam, wkurzony najazdem na jego wyspę.

Malachy. Mathias. Jennifer Cannon. Carole Comptois. Zwęglone zwłoki kota. Zawartość paczki pod moimi stopami.

Kathryn z błagalnym wzrokiem. Jakbym była w stanie jej pomóc. Jakbym mogła wziąć jej życie w swoje ręce i uczynić je lepszym...

A jeżeli Ryan miał rację? Czy zostałam wrobiona? Czy Kathryn została wysłana z jakiegoś niecnego powodu, którego nie byłam świadoma? Czy Owens był odpowiedzialny za zabicie kota?

Harry mówiła o porządku. Z jej życiem nie działo się nic dobrego i ten porządek miał pomóc jej się pozbierać. Tak samo było z Kathryn. Powiedziała, że porządek dotyczy wszystkich. Brian i Heidi go zakłócili. Jaki porządek? Kosmiczny? Porządek z góry? Porządek z Solar Temple?

Czułam się jak ćma w słoiku, bijąca skrzydłami w szklane ścianki; w głowie zamęt, ale nie można uciec od własnych zamotanych myśli.

Brennan, sama doprowadzasz się do obłądu! Nie możesz zrobić nic na wysokości jedenastu tysięcy metrów.

Zdecydowałam, że może cofnięcie się o sto lat dobrze mi zrobi.

Otworzyłam swoją teczkę, wyjęłam dziennik Belangera i przeskoczyłam do grudnia tysiąc osiemset czterdziestego czwartego, mając nadzieję, że święta wprawia Louisa-

Philippe'a w lepszy nastrój.

Dobry pan doktor zjadł świąteczny obiad w domu rodziny Nicolet, podobała mu się jego nowa fajka, ale nie przypadły mu do gustu plany siostry, która chciała wrócić na scenę. Nie podobało mu się, że Eugenie ma śpiewać w Europie.

Braki humoru nadrabiał nieustępliwością. Imię jego siostry pojawiało się często w pierwszych miesiącach nowego roku. Często zapisywał swoje poglądy. Ale, ku jego irytacji, Eugenie była nieugięta. Wyjeżdżała w kwietniu, miała dać koncerty w Paryżu i Brukseli, potem spędzić lato we Francji i pod koniec lipca wrócić do Montrealu.

Głos poprosił o ustawienie tac i foteli prosto i zapięcie pasów; lądowaliśmy w Pittstburghu.

Godzinę później, znowu w powietrzu, przejrzałam zapiski z wiosny czterdziestego piątego. Louisa-Philippe'a pochłaniały sprawy szpitala i miasta, ale co tydzień odwiedzał swojego szwagra. Najwyraźniej Alain Nicolet nie towarzyszył swojej żonie w podróży po Europie.

Ciekawiło mnie, jak poszło Eugenie. Jej brat najwyraźniej się nie zastanawiał, bo w ciągu tych kilku miesięcy prawie o niej nie pisał. Zainteresowała mnie też pewna data.

Siedemnasty lipca, tysiąc osiemset czterdziestego piątego. Z powodu nieprzewidzianych okoliczności pobyt Eugenie we Francji został przedłużony. Uregulowano pewne sprawy, ale Louis-Philippe nie bardzo orientował się w ich charakterze.

Zapatrzyłam się w biel za oknem. Jakie "nieprzewidziane okoliczności" zatrzymały Eugenie we Francji? Policzyłam sobie. Elisabeth urodziła się w styczniu. O kurczę!

Przez całe lato i jesień Louis-Philippe krótko wspomniał swoją siostrę. Potem list od Eugenie. Że wszystko w porządku.

Kiedy dotknęliśmy kołami pasa na Dorval Airport, Eugenie znowu pojawiła się na stronach Ndziennika. Ona też wróciła do Montrealu. Szesnasty kwietnia, tysiąc osiemset czterdziesty szósty. Jej dziecko miało trzy miesiące.

Jest.

Elisabeth Nicolet urodziła się we Francji. Alain nie mógł być jej ojcem. Więc kto nim był?

Wysiedliśmy nic nie mówiąc. Ryan sprawdził, czy są do niego jakieś wiadomości, a ja czekałam na bagaż. Kiedy wrócił, wyraz jego twarzy powiedział mi, że wiadomości nie są pomyślne.

- Znaleźli furgonetki w pobliżu Charleston.

- Puste.

Przytaknął.

Eugenie i jej córka wróciły do swojej epoki.

Niebo było jasnoszare i w światłach samochodu widać było krople drobnego deszczu, gdy jechaliśmy z Ryanem autostradą numer dwadzieścia. Z tego, co mówił pilot, w Montrealu były trzy stopnie powyżej zera.

Jechaliśmy w milczeniu, wcześniej już ustaliliśmy plan działania. Chciałam pojechać do domu, znaleźć siostrę i uwolnić się od narastającego złego przeczucia. Zamiast tego zgodziłam się zrobić to, o co prosił Ryan. Potem zając się realizacją własnego planu.

Zaparkowaliśmy na parkingu przy Parthenais i ruszyliśmy w kierunku budynku. W powietrzu pachniało słodem z browaru Molsona. Kałuże na nierównym chodniku pokrywała gdziegdzie plama oleju.

Rozstaliśmy się na parterze; ja poszłam do swojego gabinetu. Zdjęłam płaszcz i wykręciłam numer wewnętrzny. Dostali moją wiadomość i mogliśmy zaczynać, jak tylko będę gotowa. Poszłam od razu do laboratorium.

Wzięłam skalpel, linijkę, klej i sześćdziesięciocentymetrowy kawałek gumowej masy i położyłam je na stole. Potem otworzyłam swój pakunek.

Czaszka i dolna szczęka niezidentyfikowanej ofiary z Murtry dotarły na miejsce bez szwanku. Często zastanawiałam się, co myślą sobie operatorzy skanera na lotniskach widząc części szkieletu w moim bagażu. Położyłam czaszkę na podstawce z korka na środku stołu. Potem wycisnęłam klej w staw skroniowo-żuchwowy i umieściłam żuchwę na miejscu.

Gdy klej sechł, znalazłam wykres tkanek występujących u białych Amerykanek. Żuchwa mocno się trzymała, więc ustawiłam czaszkę na uchwycie, ustawiłam wysokość i zabezpieczyłam zaciskami. Puste oczodoły patrzyły prosto w moje oczy, kiedy brałam wymiary, wycinałam siedemnaście gumowych kawałków i przyklejałam je na kościach z przodu czaszki.

Dwadzieścia minut później zabrałam ją do małego pomieszczenia na końcu korytarza. Tabliczka informowała, że wchodzę do *Sekcji d'Imagerie*. Technik powitał mnie i zapewnił, że system został włączony.

Nie tracąc czasu umieściłam czaszkę na kolumnie reprodukcyjnej, ustawiłam obraz w kamerze video i wysłałam go do komputera. Ekran wyświetlił cyfrowy obraz i wybrałam widok od przodu. Potem za pomocą tabliczki graficznej podłączonej do komputera połączyłam ze sobą gumowe punkty na czaszce. Kiedy kierowałam krzyżyki po ekranie, zaczął się wyłaniać makabryczny zarys.

Gdy kontury twarzy już były gotowe, kontynuowałam swoją pracę. Korzystając z układu kości jako przewodnika, wybrałam oczy, uszy, nos i usta z bazy danych programu i wstępnie dopasowałam cechy do czaszki.

Następnie zabrałam się za włosy i dodałam nieco stonowanego stylu. Nie wiedząc nic o ofercie zdecydowałam, że lepiej nie wybierać zbyt charakterystycznych cech. Kiedy byłam wreszcie zadowolona z części składowych dodanych do czaszki, złożyłam wszystko razem, aby moja rekonstrukcja była jak najbardziej realistyczna. Cały proces trwał niecałe dwie godziny.

Oparłam się i popatrzyłam na swoje dzieło.

Z ekranu patrzyła twarz. Zapadnięte oczy, delikatny nos i szeroko rozstawione, wysokie kości policzkowe. Była na swój mechaniczny i zupełnie bez wyrazu sposób ładna. I jakby znajoma. Przełknęłam to. Potem jednym ruchem poprawiłam włosy. Prosto ścięte. Dłuższe po bokach.

Wciągnęłam powietrze. Czy moja zrekonstruowana twarz przypominała Annę Goyette? A może po prostu stworzyłam typową młodą kobietę i zrobiłam jej znajomą fryzurę?

Zmieniłam włosy na poprzedni styl i oceniłam podobieństwo. Tak? Nie? Nie wiem.

Wreszcie otworzyłam menu i na ekranie pojawiły się cztery ramki. Porównałam cykle, poszukując wskazówek co do sprzeczności między tym, co stworzyłam, a czaszką. Po pierwsze, nie zmieniona czaszka i zuchwa. Następnie obraz bez czaszki z samą kością po lewej stronie i fragment całości prawej strony. Po trzecie, przezroczysta wersja twarzy nałożona na zaznaczone punkty kości i tkanki. W końcu przybliżenie twarzy. Powiększyłam ostatni obraz na cały ekran i długo mu się przyglądałam. Nadal nie byłam pewna.

Zapisałam go, wydrukowałam i wróciłam do gabinetu. Wychodząc z budynku zostawiłam kopie na biurku Ryana. Dołączona notka zawierała dwa słowa: Murtry, *Inconnue*. Nieznana. Mój umysł zajęty był czym innym.

Kiedy wyszłam z taksówki, deszcz już nie padał, ale temperatura spadła. Na kałużach utworzyły się cienkie warstewki lodu, a na liniach wysokiego napięcia i gałęziach kryształki.

W mieszkaniu było mroczno i nieruchomo jak w grobie. Zostawiłam płaszcz i torby w korytarzu i poszłam prosto do pokoju gościnnego. Na komodzie leżały porzucane przybory do makijażu Harry. Używała ich dziś rano czy w zeszłym tygodniu? Ubrania. Buty. Suszarka do włosów. Gazety. Przeszukałam pokój, ale nie znalazłam żadnej wskazówki, która powiedziała by mi, gdzie Harry wyjechała albo kiedy wyszła.

Spodziewałam się tego. Nie spodziewałam się jednak niepokoju, który narastał, kiedy chodziłam z pokoju do pokoju.

Sprawdziłam sekretarkę. Żadnych wiadomości.

Uspokój się. Może zadzwoniła do Kita.

Pudło. A w Charlotte?

Ani słowa od Harry, ale dzwonił Red Skyler, by mi powiedzieć, że skontaktował się z Siecią Informacji o Sektach. Nie mieli nic na temat Doma Owensa, ale mieli Usprawnienie Życia Wewnętrznego w kartotece. Według nich organizacja działała legalnie. UŻW istniała w kilku stanach, proponowała seminaria, które nic nie dawały, ale nie były szkodliwe. Porównaj wnętrze swoje i innego człowieka. Bełkot, ale nieszkodliwy i nie powinnam się za bardzo martwić. Jeżeli chcę więcej informacji, mogę zadzwonić do niego albo do SIOS. Zostawił oba numery.

Wysłuchałam i pozostałych wiadomości. Sam prosi o wieści. Kąty zawiadamia o swoim powrocie do Chariottesville.

A więc UŻW było nieszkodliwe i Ryan miał pewnie rację. Harry znowu wyruszyła w świat. Ze złości paliły mnie policzki.

Jak robot powiesiłam płaszcz i zaniiosłam walizkę do sypialni. Potem usiadłam na brzegu łóżka, potarłam skronie i pozwoliłam myślom płynąć. Zegar z wolna odmierzał minuty.

Tych kilka ostatnich tygodni należało do najtrudniejszych w mojej karierze. Tortury i okaleczenia, jakie spotkały te ofiary, były o wiele gorsze niż to, z czym miałam zwykle do czynienia. I już nie pamiętałam, kiedy tyle zgonów miało miejsce w tak krótkim czasie. Jaki był związek między morderstwami na Murtry a tymi w St-Jovite? Czy Carole Comptois zginęła z ręki tego samego potwora? Czy morderstwa w St-Jovite były tylko początkiem? Czy w tym momencie jakiś maniak planował zbrodnię zbyt okropną, by sobie nawet to wyobrazić?

Harry będzie musiała się zmierzyć sama ze sobą.

Wiedziałam już, co zrobię. A w każdym razie gdzie zacząć.

Znowu padało i campus McGill pokrywała cienka, zmarznięta skorupka. Budynki straszyły czarnymi sylwetkami, a ich okna były jedynymi jasnymi punktami w ponurym, mokrym zmierzchu. Tu i tam, w jasnym prostokącie pojawiała się sylwetka, mała pacynka w teatrze cieni.

Chwyciłam klamkę drzwi prowadzących do Birks Hall, zbierając z niej cienką

skorupkę lodu. W budynku było pusto, wszyscy wyszli, chcąc zdażyć przed burzą. Żadnych płaszczy przeciwdeszczowych na wieszakach, żadnych butów pod ścianą. Drukarki i kserokopiarki nie pracowały, tylko krople deszczu pukały w witrażowe okna wysoko nad głową.

Echo moich kroków rozchodziło się wokoło, gdy wchodziłam na drugie piętro. Z głównego korytarza widziałam, że drzwi do gabinetu Jeannotte są zamknięte. Nie sądziłam, że ona tu będzie, ale zdecydowałam, że warto spróbować. Nie spodziewała się mnie, a ludzie czasami mówią dziwne rzeczy, kiedy łapie się ich zniecka.

Skręciłam za róg i między drzwiami a podłogą dostrzegłam cienką linię żółtego światła. Zapukałam, niepewna kogo się mam spodziewać.

Kiedy drzwi się otworzyły, szczęka opadła mi ze zdziwienia.

Miała czerwone oczy, cerę bladą i wymizerowaną. Trochę zeszywniała, kiedy mnie rozpoznała, ale nic nie powiedziała.

- Jak się masz, Anno?

- Dobrze. - Mrugnęła i jej grzywka drgnęła.

- Jestem doktor Brennan. Spotkałyśmy się kilka tygodni temu.

- Wiem.

- Gdy przyszedłam tu po raz drugi, powiedziano mi, że jesteś chora.

- Jestem zdrowa. Przez jakiś czas mnie nie było. I tyle. Chciałam zapytać, gdzie była, ale się powstrzymałam.

- Czy jest doktor Jeannotte?

Pokręciła głową. Nie spiesząc się założyła pasmo włosów za ucho.

- Twoja matka niepokoiła się o ciebie.

Wzruszyła ramionami, wolno i prawie niezauważalnie. Nie zapytała, skąd wiem.

- Pracowałam nad pewną sprawą z twoją ciotką. Też się martwiła.

- Och. - Opuściła głowę i nie widziałam jej twarzy.

Powiedz to.

- Twoja przyjaciółka powiedziała mi, że prawdopodobnie zaangażowałaś się w coś, co cię zdeorganizowało. Przeniosła na mnie wzrok.

- Nie mam przyjaciółek. O kim pani mówi? - Jej głos był cichy i zupełnie pozbawiony emocji.

- Sandy O'Reilly. Zastępowała cię tego dnia.

- Ona chce mi odebrać tę fuchę. Po co pani tu przyszła? Dobre pytanie.

- Chciałam porozmawiać z tobą i doktor Jeannotte.

- Nie ma jej.

- A czy my mogłybyśmy porozmawiać?

- Nic pani nie może dla mnie zrobić. Moje życie to moja sprawa. Zmroziła mnie tą apatią.

- Oczywiście, że tak. Ale miałam nadzieję, że będziesz mi mogła pomóc.

Wyrzwała na korytarz, a potem spojrzała na mnie.

- Pomóc pani? Jak?

- Może napiłybyśmy się kawy?



- Nie.

- To może poszłybyśmy gdzieś?

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę oczami bez wyrazu. Potem skinęła głową, z wieszaka na korytarzu zdjęła kurtkę i zaprowadziła mnie na dół po schodach i na dwór przez tylne drzwi. W zimnym deszczu wspiełyśmy się pod górę do centrum campusu, obeszłyśmy dookoła budynek Redpath Museum i stanęłyśmy pod jego tylnymi drzwiami. Anna wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła drzwi i wprowadziła mnie do ciemnego korytarza. W środku powietrze lekko pachniało pleśnią i zgnilizną.

Weszłyśmy na pierwsze piętro i usiadłyśmy na długiej, drewnianej ławce, otoczone kośćmi stworzeń, które dawno już wymarły. Nad nami wisiał ogromny waleń, ofiara jakiejś plejstocenijskiej katastrofy. W świetle lamp fluorescencyjnych fruwały pyłki kurzu.

- Już nie pracuję w muzeum, ale nadal tu przychodzę, kiedy muszę nad czymś pomyśleć. - Popatrzyła na irlandzkiego łosia. - Te zwierzęta żyły miliony lat i tysiące kilometrów od siebie, a teraz zebrano je w jednym miejscu uniwersytetu, na zawsze nieruchome w czasie i miejscu. To mi się podoba.

- Taak. - Tak też można było postrzegać problem wymierania gatunków. - Stabilność to bardzo rzadka rzecz w dzisiejszym świecie.

Spojrzała na mnie dziwnie, a potem znowu na szkielety. Przyjrzałam się jej profilowi.

- Sandy mówiła o pani, ale ja jej nie słuchałam. - Mówiąc nawet na mnie nie patrzyła.

- Nie jestem pewna, kim pani jest ani czego pani chce.

- Jestem znajomą twojej ciotki.

- Moja ciotka to miła osoba.

- Tak. Twoja mama myślała, że może masz kłopoty. Uśmiechnęła się lekko drwiąco.

Najwyraźniej był to nieco drażliwy dla niej temat.

- Dlaczego przejmuje się pani tym, co myśli moja mama?

- Przejmowałam się tym, że siostra Julianne bardzo przeżywała twoje zniknięcie.

Twoja ciotka nie wie, że to już się wcześniej zdarzało.

Oderwała wzrok od kręgosłupów i skierowała go na mnie.

- Co jeszcze pani wie o mnie? - Dotknęła włosów. Może ten chłód nieco ją ożywił. Może nie czuła tutaj obecności swojej mentorki. Wydawała się nieco żywsza niż w Birks.

- Anno, twoja ciotka błagała mnie, bym cię odnalazła. Nie chciała wtrącać się w twoje życie, ale uspokoić twoją matkę. Nie przekonałam jej.

- Skoro zrobiła pani ze mnie obiekt swoich zainteresowań, to powinna pani wiedzieć, że moja matka to wariatka. Kiedy spóźniam się dziesięć minut, dzwoni na policję.

- Policja twierdzi, że nie było cię nieco dłużej niż dziesięć minut.

Lekko zwęziła oczy.

Dobrze, Brennan. Niech się broni.

- Posłuchaj, nie mam zamiaru się wtrącać. Ale jeżeli mogłabym ci w czymkolwiek pomóc, bardzo chciałabym przynajmniej spróbować.

Czekałam na odpowiedź, ale jej nie usłyszałam.

Odwróć sprawę. Może zaskoczy.

- A może ty mogłabyś pomóc mnie. Wiesz, że pracuję z koronerem i rozwiązanie paru ostatnich przypadków sprawia nam problem. Kilka lat temu młoda kobieta, Jennifer Cannon, zniknęła z Montrealu. Jej ciało zostało znalezione w zeszłym tygodniu w Południowej Karolinie. Była studentką uniwersytetu McGill.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się.

- Znałaś ją?

Była tak milcząca jak otaczające nas zwierzęta.

- Siedemnastego marca niejaka Carole Comptois została zamordowana i porzucona na Ile des Soeurs. Miała osiemnaście lat.

Ręka powędrowała do włosów.

- Jennifer Cannon nie była sama - ciągnęłam. Jej ręka spoczęła na kolanie, ale po chwili znowu dotknęła ucha. - Nie udało nam się zidentyfikować osoby, która została pochowana razem z nią.

Wyciągnęłam kopię komputerowego obrazu twarzy i jej podałam. Wzięła go do ręki nie patrząc mi w twarz.

Kiedy patrzyła na wydruk, kartka lekko drżała.

- Czy to jest prawdziwe?

- Rekonstrukcja twarzy to sztuka, a nie nauka. Nie można zakładać, że do końca odpowiada faktom.

- Zrobiła to pani za pomocą czaszki? - Jej głos drżał.

- Tak.

- Włosy są nie takie. - Ledwie usłyszałam jej słowa.

- Rozpoznajesz tę twarz?

- To jest Amalie Provencher.

- Znasz ją?

- Ona pracuje w centrum doradczym. - Wciąż unikała mojego wzroku.

- Kiedy ją widziałas po raz ostatni?

- Kilka tygodni temu. Może jeszcze dawniej, nie jestem pewna. Nie było mnie.

- Jest studentką?

- Co oni jej zrobili?

Nie byłam pewna, ile mogę jej powiedzieć. Jej zmienne nastroje sprawiły, że nabrałam podejrzeń i zaczęłam się zastanawiać, czy była rozchwiana emocjonalnie, czy brała narkotyki. Nie czekała na moją odpowiedź.

- Oni ją zamordowali?

- Kto, Anno? Jacy "oni"?

Wreszcie na mnie spojrziała. Jej źrenice jaśniały nienaturalnym blaskiem.

- Sandy opowiedziała mi o waszej rozmowie. Coś niby wiedziała, ale nie tak do końca. Jest tu w kampusie grupa, tylko że oni nie mają nic wspólnego z szatanem. A ja nie mam nic wspólnego z nimi. Amalie miała. Poszła pracować do centrum, bo oni jej kazali.

- To tam się spotkałyście?

Przytaknęła i potarła oczy, a palce wytarła w spodnie.

- Kiedy?

- Nie wiem. Chyba jednak trochę wcześniej. Miałam taki dołek, więc pomyślałam, że pójde do centrum. Kiedy tam chodziłam, Amalie zawsze ze mną rozmawiała i wydawała się naprawdę przejęta. Nigdy nie mówiła o sobie i swoich problemach. Naprawdę słuchała, co jej mówiłam. Miałyśmy ze sobą wiele wspólnego i zostałyśmy przyjaciółkami.

Przypomniałam sobie słowa Reda. Rekrutujący dostają instrukcje, by dowiedzieć się jak najwięcej o potencjalnych członkach, przekonać ich, że mają ze sobą wiele wspólnego i zdobyć ich zaufanie.

- Opowiadała o grupie, do której należała, mówiła, że zupełnie zmieniła jej życie. W końcu poszłam na jedno spotkanie. Było okej. - Wzruszyła ramionami. - Ktoś coś mówił, jedliśmy, ćwiczyliśmy oddech i takie tam rzeczy. Nie porwało mnie to, ale poszłam tam jeszcze parę razy, bo wszyscy zachowywali się tak, jakby mnie naprawdę lubili.

Bombardowanie miłością.

- Potem zaprosili mnie na wieś. Zapowiadało się nieźle, więc pojechałam. Graliśmy w różne gry, słuchaliśmy wykładów, śpiewaliśmy i ćwiczyliśmy. Amalie bardzo się to podobało, ale to nie było dla mnie. Według mnie gadali same bzdury i nie wolno było się nie zgadzać. Poza tym, nigdy nie zostawiali mnie samej. Nie miałam dla siebie ani minuty. Chcieli, bym została na jakichś warsztatach, ale kiedy odmówiłam, jakby się wkurzyli. Musiałam być trochę nieprzyjemna, bo nie chcieli odwieźć mnie do miasta. Potem unikałam Amalie, ale czasami ją widywałam.

- Jak się ta grupa nazywa?

- Nie jestem pewna.

- Myślisz, że to oni zabili Amalie? Potarła dłońmi uda.

- Spotkałam tam pewnego faceta. Prowadził zapisy na kurs w jakimś innym miejscu.

Ja wyjechałam, on jeszcze został i nie widziałam go chyba przez rok. Potem wpadłam na niego na koncercie w Ile Notre Dame. Trochę się spotykaliśmy, ale nic z tego nie wyszło. - Znowu wzruszenie ramionami. - W tym czasie on odszedł z grupy i opowiadał jakieś okropne historie o tym, co zaszło. Ale nie za wiele. Był jakiś taki dziwny.

- Jak się nazywał?

- John jakiś tam.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Chyba się wyprowadził. - Otarła łzy.

- Anno, czy doktor Jeannotte jest związana z tą grupą?

- Dlaczego pani o to pyta? - Jej głos załamał się na ostatnim słowie. Dostrzegłam małą, niebieską żyłkę pulsującą jej na szyi.

- Kiedy cię pierwszy raz spotkałam w jej gabinecie, wydawałaś się w jej obecności bardzo zdenerwowana.

- Ona jest dla mnie bardzo dobra. Przebywanie z nią robi mi o niebo lepiej niż jakieś medytacje i ciężkie oddechy. - Prychnęła. - Ale ona też jest wymagająca i cały czas się martwię, że coś zepsuje.

- Rozumiem, że spędzasz z nią dużo czasu.

Wzrokiem znowu powędrowała gdzieś w drugą stronę.

- Wydawało mi się, że chodzi pani o Amalie i tych innych ludzi, którzy nie żyją...

- Anno, czy zgodziłabyś się porozmawiać z kimś? To, co mi powiedziałaś, jest ważne i policja na pewno będzie chciała pójść tym śladem. Sprawę tych morderstw bada detektyw Andrew Ryan. To bardzo miły człowiek i na pewno go polubisz.

Spojrzała na mnie zdezorientowana i obiema rękami założyła włosy za uszy.

- Ja nie mam już nic więcej do powiedzenia. John miałby, ale ja naprawdę nie wiem, dokąd wyjechał.

- A pamiętasz miejsce, gdzie odbyło się to seminarium?

- Na jakiejś farmie. Jechaliśmy furgonetką i nie zwracałam uwagi na drogę, bo zabawiali nas jakąś grą. Kiedy wracaliśmy, to spałam. Ciągłe coś robiliśmy i byłam wykończona. Z wyjątkiem Johna i Amalie nikogo z nich już nigdy nie spotkałam. A teraz pani mówi, że ona...

Na dole ktoś otworzył drzwi i doszedł do nas jakiś głos.

- Kto tam jest?

- Świetnie. Teraz na pewno zabrają mi klucz - szepnęła Anna.

- Nie powinnyśmy tu być?

- Raczej nie. Kiedy przestałam pracować w muzeum, zatrzymałam sobie klucz.

Wspaniale.

- Idź za mną - powiedziałam, podnosząc się z ławki.

- Czy ktoś tam jest? - zawołałam. - Tu jesteśmy.

Usłyszałyśmy kroki na schodach i w drzwiach pojawił się pracownik ochrony. Czapka prawie zasłaniała mu oczy, a przesiąknięta wodą kurtka ledwie zakrywała jego wielki brzuch. Dyszał ciężko i w fioletowym świetle jego zęby miały żółty kolor.

- O Boże, jak dobrze, że pan jest - plotłam. - Wykonywałyśmy szkic *Odocoileus virginianus* i straciłyśmy poczucie czasu. Wszyscy już wyszli w obawie przed mrozem i chyba o nas zapomnieli. Zamknęli nas. - Uśmiechnęłam się niezbyt mądrze. - Właśnie miałam dzwonić do ochrony.

- Nie wolno tu teraz przebywać. Muzeum jest zamknięte - wysapał.

Mój występ najwyraźniej nie zrobił na nim wrażenia.

- Oczywiście. Naprawdę musimy już iść. Jej mąż odchodzi od zmysłów zastanawiając się, dokąd poszła. - Wskazałam Annę, która kiwała głową jak samochodowy piesek-maskotka.

Strażnik przeniósł swój wodnisty wzrok z Anny na mnie i głową kiwnął w stronę schodów.

- No to chodźmy.

Nie marnował czasu.

Deszcz wciąż padał. Krople były jeszcze większe, przypominały cukierki, które razem z Harry kupowałyśmy kiedyś na straganach ulicznych latem. Cały czas o niej myślałam. Gdzie jesteś, Harry?

W Birks Hali Anna popatrzyła na mnie rozbawiona.

- *Odocoileus virginianus*f

- Wpadło mi to do głowy.

- Nie ma jelenia z białym ogonem w muzeum.

Czy uniosły się jej kąciki ust, czy to tylko ta niska temperatura? Tym razem ja wzruszyłam ramionami.

Choć niechętnie, dała mi swój domowy adres i numer telefonu. Kiedy się

rozstawaliśmy, zapewniłam ją, że Ryan wkrótce do niej zadzwoni. Kiedy opuszczałam teren uniwersytetu, coś kazało mi się odwrócić. Anna stała w sklepionym przejściu gotyckiego budynku, w bezruchu, jak jej towarzysze z ery kenozoicznej.

Wróciłam do domu i wybrałam numer pagera Ryana. Kilka minut później zadzwonił telefon. Opowiedziałam mu, że Anna się znalazła, i streściłam naszą rozmowę. Obiecał, że zawiadomi koronera, żeby można było poszukać lekarskich i dentystycznych kart Amalie Provencher. Rozłączyliśmy się zaraz potem, bo chciał jeszcze złapać Annę w gabinecie Jeannotte. Miał do mnie jeszcze zadzwonić i opowiedzieć mi, czego dowiedział się w ciągu dnia.

Na kolację zjadłam sałatkę nicejską z rogalikami, potem zrobiłam sobie długą kąpiel i przebrałam się w stary dres. Wciąż było mi zimno, więc stwierdziłam, że rozpalę w kominku. Skończyły mi się duże kawałki drewna i musiałam użyć zmiętych w kulki gazet obłożonych drewnem na rozpalkę. Zmarznięty deszcz stukał o szyby, kiedy tak rozpalałam ogień wgapiona w płomienie.

Ósma czterdzieści. Wzięłam dzienniki Belangera i przełączyłam na kanał muzyczny w nadziei, że jakiś znany rytm pomoże mi się uspokoić. Zostawione bez kontroli, moje myśli biegały jak koty w nocy, baraszkujące i hałasujące, a mój niepokój osiągnąłby taki poziom, że o spaniu nie byłoby mowy.

Nic z tego. W telewizji starali się jak mogli, ale i tak nie mogłam się skoncentrować.

Zerknęłam na ogień. Płomienie zmieniły się w kilka języczków tańczących wokół kawałka drewna na spodzie. Podeszłam do paleniska, z kilku stron gazet uformowałam kulki i dołożyłam je do ognia.

W tym momencie coś mi się przypomniało.

Gazety!

Zapomniałam o mikrofilmie!

Poszłam do sypialni, wyjęłam kopie, które zrobiłam w bibliotece McGill, i wróciłam z nimi na kanapę. Znalezienie artykułu w La Press zabrało mi dosłownie chwilę.

Pamiętałam, że notatka była niedługa. Dwudziesty kwietnia, tysiąc osiemset czterdziesty piąty, Eugenie Nicolet płynie do Francji. Ma śpiewać w Paryżu i Brukseli, spędzić lato na południu Francji i wrócić do Montrealu w lipcu. Wymieniono nazwiska członków jej świty i podano daty koncertów. Była też krótka historia jej kariery i na koniec zdanie, że wszyscy będą z niecierpliwością oczekiwać jej powrotu.

Na ostatniej kopii były wydarzenia z dwudziestego szóstego kwietnia. Przejrzałam

wszystkie strony do tego dnia, ale nigdzie więcej nie wspomniano imienia Eugenie. Przewertowałam je jeszcze raz dla pewności.

Artykuł pojawił się dwudziestego drugiego kwietnia.

W Paryżu miał pojawić się ktoś jeszcze. Talent tego pana nie objawiał się w śpiewaniu, ale w przemawianiu. Jeździł ze swoimi przemówieniami, w których potępiał handel żywym towarem i zachęcał do handlu z Afryką Zachodnią. Urodzony na Złotym Wybrzeżu, edukację otrzymał w Niemczech i otrzymał tytuł profesora uniwersytetu w Halle. Właśnie kończył cykl wykładów w Szkole Teologii McGill.

Cofnęłam się w czasie. Tysiąc osiemset czterdziesty piąty. Niewolnictwo kwitło w Stanach Zjednoczonych, ale zostało zabronione we Francji i Anglii. Kanada nadal była brytyjską kolonią. Kościół i grupy misjonarskie błagały Afrykanów, by zaprzestali eksportu swoich braci i sióstr i zamiast tego zachęcały Europę do włączenia się do legalnego handlu z Afryką Zachodnią. Jak oni to nazywali? "Handel legalny".

Przeczytałam nazwisko pasażera z rosnącym podnieceniem.

I nazwę statku.

Eugenie Nicolet i Abo Gabassa płynęli do Europy tym samym statkiem.

Wstałam, by dołożyć do ognia.

Czy to było to? Czy odkryłam tajemnicę ukrywaną przez półtora wieku? Eugenie Nicolet i Abo Gabassa? Romans?

Włożyłam buty, podeszłam do oszklonych drzwi i je otworzyłam. Drzwi przymarzły. Pociągnęłam mocniej i lodowa warstwa puściła.

Drewno ułożone w stos też przymarzło i chwilę trwało, zanim przy pomocy rydla ogrodowego udało mi się oddzielić jeden kawałek. Trzęsąca się z zimna i pokryta drobinkami lodu wróciłam do środka. Kiedy podchodziłam do kominka, usłyszałam jakiś dźwięk i znieruchomiałam.

Dzwonek u moich drzwi nie dzwoni, ale wydaje z siebie coś na kształt ćwierkania. Właśnie to zrobił, potem nagle przestał, jakby ktoś zrezygnował.

Rzuciłam drewno i pobiegłam do skrzynki przy drzwiach i przycisnęłam guzik wideo. Na ekraniku dostrzegłam znajomą postać znikającą w drzwiach wejściowych.

Chwyciłam klucze, wybiegłam do holu i otworzyłam drzwi przedsiionka. Drzwi zewnętrzne właśnie się zamykały. Nacisnęłam klamkę i szeroko je otworzyłam.

Na schodach leżała Daisy Jeannotte.

Poruszyła się, zanim ją dotknęłam. Powoli uniosła się na rękach, obróciła i usiadła tyłem do mnie.

- Nic ci się nie stało? - W gardle miałam tak sucho, że sama nie poznałam własnego wysokiego głosu.

Drgnęła na dźwięk moich słów i odwróciła się.

- Ten lód jest zdradliwy. Pośliznęłam się, ale nic mi się nie stało.

Wyciągnęłam rękę i bez protestu pozwoliła mi sobie pomóc. Cała się trzęsła i wcale nie wyglądała najlepiej.

- Wejdz, proszę do środka, zrobię herbatę.

- Nie. Nie mogę zostać. Ktoś na mnie czeka. Nie powinnam wychodzić w taką koszmarną pogodę, ale muszę z tobą porozmawiać.

- Wejdz choć na chwilę, tu jest zimno.

- Nie. Dziękuję. - Jej głos był tak zimny jak powietrze.

Zawiązała szalik i popatrzyła mi prosto w oczy. Za jej plecami drobinki lodu świeciły w świetle latarni. Gałęzie drzew lśniły czernią w mroźnym powietrzu.

- Przyszłam powiedzieć, byś zostawiła moją studentkę w spokoju. Próbowałam ci pomóc, ale chyba nadużywasz mojej uprzejmości. Nie wolno ci prześladować tych młodych ludzi w ten sposób. A podawanie mojego numeru policji w celu niepokojenia mojej asystentki jest nie do pomyślenia.

Dłonią w rękawiczce potarła oko, zostawiając ciemną smugę biegnącą w poprzek policzka.

Złość zapłonęła jak zapalka. Rękami objęłam się w talii i przez materiał czułam własne paznokcie wpijające się w ciało.

- O czym ty, do cholery, mówisz? Ja nie przesiaduję Anny - warknęłam. - To nie jest żaden projekt! Ludzie są mordowani! Co najmniej dziesięć osób nie żyje! Bóg wie, ile jeszcze zginie!

Odrobinki lodu uderzały mnie w czoło i ramiona, ale ich nie czułam. Jej słowa mnie rozwścieczyły i wyładowywałam całą złość i frustrację, które narastały we mnie w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Jennifer Cannon i Amalie Provencher były studentkami McGill. Ktoś je zamordował. Nie tylko zamordował. Nie. Tym ludziom to nie wystarczyło. Ci maniacy



rzucili je zwierzętom, patrzyli na rozszarpywane ciała i roztrzaskiwane czaszki.

Mówiłam dalej, nie kontrolując własnego głosu. Zauważyłam, że przechodząca para przyspieszyła mimo oblodzonego chodnika.

- Ktoś pociął nożem i okaleczył całą rodzinę, zastrzelił starszą kobietę dwieście kilometrów stąd. I dzieci! Zabili dwoje małych dzieci! Osiemnastoletnia dziewczyna zadżgana i porzucona na starej łajbie. Oni nie żyją, zrozum to, zamordowani przez grupę wariatów, którzy uważają, że uosabiają moralność.

Mimo przenikliwego zimna, było mi gorąco.

- Pozwól mi jeszcze coś powiedzieć. - Wyciągnęłam w jej kierunku drżący palec. - Znajdę tych obłudnych drani i przerwę ten proces, bez względu na to, ilu ministrantów, radców prawnych czy głosicieli słowa bożego będę musiała nękać! I twoich studentów! I ciebie może też!

Twarz Jeannotte wyglądała upiornie w ciemnościach, rozmazany tusz do rzęs zmienił ją w makabryczną maskę. Nad lewym okiem przyczepiła się grudka tuszu, rzucając cień i sprawiając, że prawe wyglądało dziwnie jasno.

Opuściłam palec i ręką znowu objęłam się w pasie. Powiedziałam zbyt wiele. Gniew zaczynał mi przechodzić i robiło mi się coraz zimniej.

Ulica była pusta i zupełnie cicha. Słyszałam swój przyspieszony oddech.

Nie wiem, co spodziewałam się usłyszeć, ale na pewno nie było to pytanie, które wyszło z jej ust.

- Dlaczego używasz takich obrazów?

- Że co? - Nie podobał jej się mój styl?

- Głosiciele słowa bożego, ministranci. Skąd takie odniesienia?

- Bo uważam, że te zbrodnie zostały popełnione przez fanatyków religijnych.

Jeannotte wcale się nie poruszyła. Kiedy mówiła, jej głos był zimniejszy niż ta noc, a jej słowa mroziły mnie bardziej niż pogoda.

- Tracisz grunt pod nogami, Brennan. Ostrzegam, daj sobie z tym spokój. - Bezbarwne oczy utkwiała w moich. - Jeżeli dalej będziesz się upierać przy swoim, ja będę zmuszona działać.

Na ulicy pojawił się samochód, podjechał i zatrzymał się. Kiedy skręcał, światła zatoczyły szeroki łuk, omiotły budynek i przez ułamek sekundy oświetliły jej twarz.

Zdrętwiałam, a moje paznokcie wbiły się głębiej w skórę.

O Boże.

To nie była iluzja cieni. Jej prawe oko było niesamowicie jasne. Pozbawione

makijażu, brew i rzęsy jaśniały w ruchomym świetle reflektorów.

Mogła dostrzec coś w mojej twarzy, bo poprawiła szalik, odwróciła się i zeszła ze schodów. Nie spojrzała do tyłu.

Kiedy weszłam do środka, światelko wiadomości migало jak zwariowane. Ryan. Drżącymi rękami wykręciłam numer.

- Jeannotte jest zamieszana - oznajmiłam bez wstępu. - Właśnie tu była i kazała mi się nie wtrącać. Twój telefon do Anny musiał ją wkurzyć. Słuchaj, kiedy byliśmy drugi raz na Świętej Helenie, był tam facet z białą smugą na twarzy, pamiętasz go?

- Tak. Chudy jak strach na wróble, wysoki. Wszedł do pokoju i rozmawiał z Owensem. - Ryan był wykończony.

- Jeannotte ma taką samą depigmentację, to samo oko. Nie widać tego, bo zwykle zakrywa to makijażem.

- A pasemko włosów?

- Nie wiem, pewnie je farbują. Słuchaj, oni muszą mieć ze sobą coś wspólnego. To jest zbyt niezwykle, żeby mogło być przypadkowe.

- Może są spokrewnieni?

- Nie przyjrzałam się wtedy zbyt uważnie, ale ten facet był chyba zbyt młody jak na jej ojca i zbyt stary jak na syna.

- Jeżeli ona jest z gór Tennessee, to tam są ograniczone możliwości genetyczne.

- Bardzo śmieszne. - Nie byłam w nastroju na takie prymitywne żarty.

- A może to cały klan ze wspólnym genem.

- Ryan, to poważna sprawa.

- No wiesz, różne paski i różne wzory. - Zaczął się wygłupiać. - Jeżeli twój pasek jest taki sam jak twojej siostry, to może jesteś... Paski. Coś sobie przypomniałam.

- Co powiedziałaś?

- Wzory, czyli to, co...

- Przestanieś wreszcie! Właśnie o czymś pomyślałam. Pamiętasz, co ojciec Heidi powiedział o facecie, który do nich przyjechał?

Nic nie odpowiedział.

- Powiedział, że facet wyglądał jak skunks. Cholerny skunks.

- Cholera. Może tatuś nie używał przenośni.

Gdzieś w tle dzwonił telefon. Nikt go nie odbierał.

- Myślisz, że Owens wysłał tego w paski do Teksasu? - zapytał Ryan.

- Nie, nie Owens. Kathryn i ten stary człowiek mówili o kobiecie. To pewnie była Jeannotte. Ona pewnie kieruje wszystkim stąd i ma przybocznych w innych miejscach. Myślę też, że ona prowadzi rekrutację w kampusie za pomocą jakiegoś cyklu seminariów.

- Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć?

Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, opisałam jej zachowanie względem asystentki i zapytałam, czego dowiedział się od Anny.

- Niewiele. Jest coś śmierzącego i ona to ukrywa. Strasznie chwiejna osoba.

- Ja myślę, że ona może brać narkotyki. Telefon znowu zaczął dzwonić.

- Sam tam jesteś? - Poza dzwoniącym telefonem, pokój ekipy wydawał się nienaturalnie cichy.

- Wszyscy wyszli w obawie przed tą cholerną pogodą. Masz jakieś problemy?

- Jakie na przykład?

- Nie słuchasz wiadomości? Przez ten lód wszystko staje. Zamknęli lotnisko, dużo mniejszych dróg jest nieprzejezdnych. Linie wysokiego napięcia trzaskają jak suche spaghetti, całe południowe wybrzeże jest ciemne i zimne. Ojcowie miasta zaczynają się martwić o swoich obywateli. I złodziei.

- Ze mną jak dotąd wszystko w porządku. Czy ludzie Bakera znaleźli coś, co łączyłoby Świętą Helenę z grupą z Teksasu?

- Raczej nie. Ten stary z psem mówił dużo o spotkaniu ze swoim aniołem stróżem. Owens i jego ludzie mieli pewnie taki sam pomysł. Wszystko przez te ich dzienniki.

- Dzienniki?

- Tak. Najwyraźniej niektórzy z wiernych czuli wenę twórczą.

- I?

Powoli wciągnął i wypuścił powietrze.

- No mów, do cholery!

- Według jakiegoś eksperta stamtąd, to na pewno ma związek z apokalipsą i to właśnie się teraz dzieje. Przygotowują się na coś wielkiego. Szeryf Baker nie ryzykuje. Zwołał federalnych.

- Nie mają żadnej wskazówki co do celu? Mam na myśli ten ziemski.

- Mają spotkać swojego anioła stróża i przejść w lepsze miejsce. I my czymś takim musimy się zajmować! Oni są dobrze zorganizowani. Ta podróż była planowana od bardzo dawna.

- Jeannotte! Musisz ją usidlić! To ona! Ona jest tym aniołem stróżem!

Zdawałam sobie sprawę, że mówię jak pomyłona, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Okej. Zgadzą się. Czas przycisnąć panią Daisy. Kiedy się rozstałyście?

- Piętnaście minut temu.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem. Powiedziała tylko, że ma z kimś spotkanie.

- Dobrze, znajdę ją, Brennan. Jeżeli masz co do niej rację, to ta mała pani profesor to bardzo niebezpieczna kobieta. Nie rób nic, słyszysz, nic sama. Wiem, że niepokoisz się o Harry, ale jeśli i ona dała się w to wciągnąć, to jedynie fachowcy będą w stanie ją wyciągnąć. Rozumiesz?

- A żeby mogę umyć? Czy to też zbyt ryzykowne? - odgryzłam się.

Takie zachowanie zawsze mnie denerwowało.

- Wiesz, o co mi chodzi. Znajdź sobie jakieś świece. Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem.

Odłożyłam słuchawkę i podeszłam do oszklonych drzwi. Potrzebowałam więcej przestrzeni wokół siebie i odsunęłam zasłonę. Podwórko wyglądało jak mitologiczny ogród z drzewami i krzewami uwięzionymi w lodowej skorupie. Podobnie wyglądały balkony, kominy i mury z cegły.

Znalazłam świece, zapalki i latarkę, potem wyciągnęłam radio i słuchawki z mojej torby, którą noszę na salę gimnastyczną, i położyłam wszystko na blacie w kuchni. Wróciłam do salonu, usadowiłam się na kanapie i włączyłam wiadomości CTV.

Ryan miał rację. Burza była jednym z ważniejszych tematów. Unie wysokiego napięcia zostały uszkodzone w kilku miejscach w prowincji i nie wiadomo było, kiedy zostaną naprawione. Temperatura nadal spadała i nadciągały dalsze opady.

Włożyłam kurtkę i trzy razy obróciłam po drewno. Jeżeli wyłączą prąd, to będę miała chociaż ciepło. Potem wyciągnęłam dodatkowe koce i zaniósłam je na łóżko. Kiedy wróciłam do salonu, jakiś poważny prezenter informował o uroczystościach, które zostały odwołane.

Znajomy rytuał, w dziwny sposób nawet dodający otuchy. Kiedy na Południu zapowiadany jest śnieg, szkoły są zamykane, zamiera życie publiczne i doprowadzeni do szaleństwa mieszkańcy opróżniają sklepowe półki z towaru. Zamiecie zwykle nie nadchodzi, a nawet jeżeli trochę śniegu spadnie, to i tak następnego dnia znika. W Montrealu ludzie przygotowują się metodycznie, nie gorączkowo, w atmosferze "przeżyjemy".

Moje przygotowania zajęły mi kwadrans. Telewizja wypełniła mi kolejne dziesięć minut. Na krótkie wychnienie. Kiedy ją wyłączyłam, wrócił niepokój. Poczułam, że utknęłam, jak motyl na szpilce. On miał rację. Nie mogłam nic zrobić, a ta bezsilność tym bardziej mnie niepokoiła.

Zajęłam się normalnymi wieczornymi czynnościami w nadziei, że wstrzymają ponure myśli choć na chwilę. Nic z tego. Kiedy tylko wpełzłam do łóżka, zaczęło się od nowa.

Harry. Dlaczego jej nie wysłuchałam? Jak mogłam być tak zajęta tylko sobą? Dokąd pojechała? Dlaczego nie zadzwoniła do syna? Dlaczego nie zadzwoniła do mnie?

Daisy Jeannotte. Z kim miała się spotkać? Jaki zwariowany kurs prowadziła? Ile niewinnych dusz zamierzała zabrać ze sobą?

Heidi Schneider. Kto czuł się aż tak zagrożony przez jej dzieci, że uciekł się do brutalnego morderstwa? Czy ich śmierć zapowiadała dalsze zabijanie?

Jennifer Cannon. Amalie Provencher. Carole Comptois. Czy ich śmierć też była częścią tego szaleństwa? Jakie demoniczne zasady naruszyły? Czy taka była choreografia jakiegoś piekielnego rytuału? Czy moją siostrę czekał ten sam los?

Na dźwięk telefonu podskoczyłam i zrzuciłam latarkę. Modliłam się, żeby to był Ryan. I żeby miał Jeannotte. Ale w słuchawce usłyszałam głos siostrzeńca.

- Kurczę, ciociu Tempe. Chyba wszystko spieprzyłem. Zadzwoniła. Znalazłem to na innej kasecie.

- Jakiej innej kasecie?

- Mam jedną z tych starych sekretarek na małe kasetki. Jedna z nich nie chciała się przewijać, więc włożyłem nową. Nie myślałem o niej aż do chwili, kiedy przyszła do mnie koleżanka. Byłem na nią trochę wkurzony, bo w zeszłym tygodniu mieliśmy gdzieś razem wyskoczyć, ale gdy po nią wtedy poszedłem, nie było jej w domu. I dlatego dzisiaj wieczorem nie chciałem z nią gadać, ale upierała się, że zostawiła wiadomość. Pokłóciliśmy się, więc znalazłem tę starą kasetę i ją włączyłem. Faktycznie, była jej wiadomość, ale była też jedna od Harry. Zupełnie na końcu.

- I co mówiła twoja matka?

- Wydawała się wkurzona. Znasz ją, ciociu. Ale chyba też się czegoś bała. Była na jakiejś farmie czy coś w tym rodzaju i chciała stamtąd wyjechać, tylko że nikt nie miał ochoty odwieźć ją do Montrealu. Więc chyba nadal jest w Kanadzie.

- Coś jeszcze mówiła? - Moje serce biło tak mocno, że Kit pewnie je słyszał.

- Powiedziała, że wszystko jest straszne i chciała wracać. Potem taśma się skończyła, a może Harry się rozłączyła. Nie jestem pewien. Wiadomość się po prostu skończyła.

- Kiedy dzwoniła?

- Pam wykręciła w poniedziałek. Wiadomość Harry była następna.

- Nie masz datownika?

- Ta sekretarka to prawie antyk.

- A kiedy zmieniłeś kasetę?

- Chyba w środę albo w czwartek, nie bardzo pamiętam. Ale na pewno przed weekendem.

- Kit, pomyśl!

Na linii coś zahuczało.

- To było w czwartek. Byłem na łodzi i wróciłem do domu zmęczony, kasetę nie chciała się przewinać, więc ją wyjąłem. To wtedy włożyłem nową. Cholera, to znaczy, że ona dzwoniła co najmniej cztery dni temu, może nawet sześć. Boże, mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku. Jak na nią, to była nieźle spanikowana.

- Chyba wiem, z kim ona tam jest. Będzie dobrze, - Sama nie wierzyłam w to, co mówię.

- Daj mi znać, jak tylko z nią porozmawiasz. Powiedz, że fatalnie się z tego powodu czuję. Po prostu wtedy nie pomyślałem...

Podeszłam do okna i przyłożyłam twarz do szyby. Lód zmienił uliczne latarnie w małe słoneczka, a okna sąsiadów w świecące prostokąty. Pomyślałam o siostrze, gdzieś tam, w tej burzy i łzy spływały mi po policzkach.

Wróciłam do łóżka, włączyłam lampę i czekałam już tylko na telefon od Ryana.

Czasami światła przygasały, migotały i z powrotem jasno się zapalały. Minęło tysiąc lat. Telefon milczał.

Zasnąłam. Sen przyniósł objawienie.

Stoję i patrzę na stary kościół. Jest zima, na drzewach nie ma liści. Chociaż niebo jest zaciągnięte chmurami, gałęzie rzucają pajęczyny cieni na ściany z szarego kamienia. W powietrzu pachnie śniegiem i panuje przedburzowa cisza. Z daleka widzę zamrożone jezioro.

Otwierają się drzwi i w łagodnym, żółtym świetle lampy staje postać. Waha się, a potem rusza w moim kierunku, pochylając głowę idzie pod wiatr. Podchodzi bliżej i widzę, że to kobieta. Twarz ma przysłoniętą i ubrana jest w długą, czarną suknię.

Kiedy jest już blisko, pojawiają się pierwsze płatki śniegu. Trzyma w ręku świecę i teraz widzę, że pochyła się, bo chce osłonić płomień. Ciekawe, że jeszcze nie zgasł.

Kobieta zatrzymuje się i ruchem głowy każe mi iść za sobą. Woalka cała pokryta jest śniegiem. Wyteżam wzrok, chcąc rozpoznać jej twarz, ale obraz się rozmazuje, jak kamyki na dnie głębokiej wody.

Zawraca, ja chcę iść za nią.

Ona idzie wciąż dalej i dalej. Mój niepokój narasta i próbuję ją gonić, ale ciało nie chce mnie słuchać. Nogi są ciężkie i idę bardzo wolno. Ona znika w drzwiach. Wołam ją, ale nie mogę wydać żadnego dźwięku.

Wreszcie i ja wchodzę do kościoła, w środku panuje mrok. Ściany z kamienia, klepisko pod stopami. Wysoko nad głową w ciemności toną okna. Widać przez nie płatki śniegu unoszące się w powietrzu jak dym.

Nie pamiętam, dlaczego przyszedłam do kościoła. Czuję się winna, bo wiem, że to było coś ważnego. Ktoś mnie tu przysłał, ale nie pamiętam, kto to był.

Przedzieram się przez mrok, spoglądam na swoje stopy i widzę, że są bose. Wstydzę się, bo nie pamiętam, gdzie zostawiłam buty. Chcę wyjść, ale zgubiłam drogę. Czuję, że jeżeli nie wykonam swojego zadania, to nie będę mogła stąd wyjść.

Nagle słyszę przytłumione głosy i odwracam się w tamtym kierunku. Coś leży na ziemi, ale jest bardzo niewyraźne; miraż, którego nie mogę rozpoznać. Ruszam w tamtym kierunku, a cienie rozchodzą się i stają się pojedynczymi przedmiotami.

Krąg kokonów. Przyglądam im się z góry. Są zbyt małe jak na ciała, ale mają ich kształty.

Biorę jeden i zaczynam odwijać. Słyszę przytłumione brzęczenie. Odchylam tkaninę, ze środka wylatują muchy i lecą w stronę okna. Szyby są zamrożone, patrzę, jak owady

wspinają się po nich, choć muchy nie lubią zimna.

Patrzę znowu na kokon, nie spieszę się, bo wiem, że to nie jest ciało. Zwłok się w ten sposób nie owija i nie układa.

Myliłam się, to są zwłoki. I rozpoznaję twarz. Patrzy na mnie Amalie Provencher, twarz niczym rysunek w szarym kolorze.

Nadal nie mogę się spieszyć. Kolejno odwijam każde z zawiniątek, z każdego wylatują muchy i kierują się w stronę okna. Twarze mają biały kolor, oczy w czymś utkwione, ale nie znam ich. Jedną z nich jednak rozpoznaję.

Wiem, że to jest dziecko, zanim odwijam materiał. Jest o wiele mniejsze od pozostałych. Nie chcę patrzeć, ale nie mogę się cofnąć.

Nie! Zapieram się, ale to nic nie daje.

Carlie leży na brzuchu, z dłońmi zwiniętymi w piąstki.

Jest ich jeszcze dwoje, malutkich, leżą obok siebie.

Chcę krzyknąć, ale nie mogę.

Czuję dłoń na swojej ręce. Patrzę w górę i widzę moją przewodniczkę. Zmieniła się, a może po prostu wyraźniej ją widać.

To jest zakonnica, ma postrzępiony i pokryty pleśnią habit. Kiedy się rusza, słychać uderzające o siebie paciorki różańca, czuć woń mokrej ziemi i zgnilizny.

Podnoszę wzrok, kakaową cerę pokrywają czerwone wrzody, z których coś się sączy. To Elisabeth Nicolet.

- Kim jesteś? - pytam ją w moich myślach, ale ona odpowiada.

- Cała w szacie najczarniejszej.

Nic nie rozumiem.

- Dlaczego tu jesteś?

- Jestem niechętną oblubienicą Chrystusa.

Pojawia się druga postać. Stoi w niszy, mrok okrywa jej twarz i sprawia, że włosy są matowoszare. Patrzy w moje oczy i mówi coś, ale te słowa do mnie nie dochodzą.

- Harry! - krzyczę do niej, ale i mój głos jest cichy i słaby.

Harry nie słyszy. Wyciąga obie ręce i rusza ustami, czarny owal w widmie twarzy.

Znowu krzyczę i znowu mnie nie słychać.

Ona mówi, słyszę ją, choć bardzo słabo, jakby znajdowała się po drugiej stronie jeziora.

- Pomóż mi. Ja umieram.

- Nie! - Chcę biec, ale nie mogę ruszyć z miejsca.



Harry wchodzi do korytarza, którego wcześniej nie widziałam. Nad nim widzę napis: ANIOŁ STRÓŻ. Harry zmienia się w cień i wtapia się w ciemność.

Znowu ją wołam, ale już nie wraca. Chcę iść do niej, ale moje ciało jest nieruchome, po policzkach płyną mi tylko łzy.

Moja towarzyszka się zmienia. Z pleców wyrastają jej skrzydła pokryte ciemnymi piórami, a twarz robi się blada i pokrywa się głębokimi rysami. Oczy zmieniają się w kawałki kamienia. Patrzę w nie, tęczęwki, brwi i rzęsy, tracą kolor. We włosach pojawia się białe pasmo i biegnie do tyłu, oddzielając kawałek skalpu i wyrzucając go wysoko w powietrze. Tkanka upada na podłogę, a na nią siada rój much z okna.

- Nie wolno zapominać o porządku. - Głos dochodzi zewsząd i znikąd.

Nagle krajobraz zmienia się i jestem na Południu. Długie promienie słońca prześwietlają przez hiszpański mech na drzewach i ogromne cienie tańczą między nimi. Jest gorąco, a ja macham łopata. Pocę się wybierając ziemię w kolorze wyschłej krwi i rzucam ją na kopiec za moimi plecami.

Łopata uderza w coś i odsuwam ziemię, ostrożnie odkrywając znalezisko. Ma białą sierść zlepioną ceglastą gliną. Dalej odkopuję. Ręka z długimi, czerwonymi paznokciami. Odsuwam ziemię wzdłuż ręki. Frędzle kowbojskiej kurtki. Wszystko drga w upale.

Widzę twarz Harry i krzyczę.

Z bijącym dziko sercem i zlana potem usiadłam na łóżku. Chwilę potrwało, nim doszłam do siebie.

Montreal. Sypialnia. Burza śnieżna.

Światło się nadal paliło i w pokoju było cicho. Sprawdziłam godzinę. Trzecia czterdzieści dwie.

Uspokój się. Sen to tylko sen. Odzwierciedla obawy i niepokoje ale nie rzeczywistość.

A potem kolejna myśl. Telefon Ryana. Przespałam go?

Odrzuciłam kołdrę i poszłam do salonu. Żadna lampka na sekretarce się nie paliła.

Wróciłam do sypialni i zdjęłam mokre od potu rzeczy. Ubrałam się w dzinsy i gruby sweter.

Nie wydawało mi się, bym znowu zdołała zasnąć, więc nastawiłam wodę. Było mi niedobrze od tego snu. Nie chciałam do niego wracać, ale te koszmarne wizje sprawiły, że coś się w moim umyśle ruszyło i musiałam to rozpracować. Zrobiłam herbatę i usadowiłam się na kanapie.

Moje sny z reguły nie są ani cudownie piękne, ani straszne, czy też groteskowe. Mogłabym je podzielić na dwa rodzaje.

Najczęściej nie mogę wykręcić numeru telefonu, nie widzę drogi albo nie mogę złapać samolotu. Muszę zdawać jakiś egzamin, a nie chodziłam na zajęcia. Małe piwo: zwykły niepokój.

Rzadziej się zdarza, żeby przesłanie stanowiło jakiś problem. Moja podświadomość przesiewa to, co ta świadoma część zgromadziła, i tworzy z tego surrealistyczny obraz. Pozostaje wtedy zinterpretowanie tego, co moja psychika próbuje mi powiedzieć.

Ten koszmar był zagadkowy. Zamknęłam oczy i zaczęłam się zastanawiać, co mogłabym rozszyfrować. Obrazy przebiegały mi przez głowę, jak mignięcia, kiedy idzie się obok płotu.

Komputerowa twarz Amalie Povencher.

Zwłoki dzieci.

Uskrzydłona Daisy Jeannotte. Pamiętam, co mówiłam Ryanowi. Czy ona była prawdziwym aniołem śmierci?

Kościół. Przypominał klasztor w Lac Memphremagog. Dlaczego właśnie to?

Elisabeth Nicolet.

Błagająca o pomoc, a potem znikająca w ciemnym tunelu Harry. Harry, zakopana z Birdiem. Czy jej naprawdę coś groziło?

Niechętna oblubienica. Co to, do cholery, znaczyło? Czy Elisabeth była w zakonie wbrew swojej woli? Czy to była część jej świętej prawdy?

Dzwonek do drzwi przerwał mi dalsze rozmyślania. Przyjaciół czy wróg, pomyślałam podchodząc do wideofonu.

Na ekranie ukazała się wysoka, tyczkowata postać Ryana. Wpuściłam go do środka i przez wizjer patrzyłam, jak idzie korytarzem. Wyglądał, jakby właśnie przeszedł Szlak Łez.

- Musisz być wykończony.

- To była długa noc i nadal pracujemy po godzinach. Przez tę burzę jestem sam.

Wytarł buty i rozpiął kurtkę. Zdjął czapkę i na podłogę posypały się drobinki lodu. Nie zapytał, dlaczego jestem ubrana o czwartej rano, a ja nie pytałam, skąd ta wizyta.

- Baker znalazł Kathryn. W ostatniej chwili zmieniła zdanie i uwolniła się od Owensa.

- A co z dzieckiem? - Moje serce oszalało.

- Też je mają.

- Gdzie?

- Masz kawę?

- Jasne.

Rzucił czapkę na stolik w holu i poszedł za mną do kuchni. Mówił, a ja miałam kawę i nalewalam wodę.

- Ukrywała się z jakimś facetem o nazwisku Espinoza. Pamiętasz tę sąsiadkę, która zadzwoniła do opieki społecznej?

- Myślałam, że ona nie żyje.

- Zgadza się. To jest jej syn. On należy do sekty, ale ma normalną pracę i mieszka w domu swojej mamusi.

- Jak Kathryn odzyskała Carliego?

- On cały czas tam był. Rozumiesz teraz? Ktoś zaprowadził furgonetki do Charleston, a grupa zatrzymała się w domu Espinozy. Oni nie ruszyli się z wyspy. Dopiero kiedy trochę przycichło, wyjechali.

- Jak?

- Rozdzielili się i każdy wybrał inny sposób. Niektórzy zabrali się łodzią, inni zostali przewiezieni furgonetkami i w bagażnikach samochodów. Owens musi mieć niezłą organizację. A my, palanci, obserwowaliśmy tylko furgonetki...

Podalam mu parujący kubek.

- Kathryn miała jechać z Espinoza i jakimś jeszcze facetem, ale namówiła ich, by zostali.

- Gdzie jest ten drugi facet?

- Espinoza milczy jak grób, kiedy go o to pytamy.

- Dokąd oni wszyscy pojechali? - Miałam ściśnięte gardło. Przecież dobrze znałam odpowiedź.

- Oni są chyba tutaj.

Nic nie powiedziałam.

- Kathryn nie jest pewna, dokąd zmierzali, ale wie, że na pewno mieli przekroczyć granicę. Podróżują dwójkami i trójkami i mają jechać drogami, które nie są patrolowane.

- Gdzie?

- Twierdzi, że słyszała o Yermont. Patrole na autostradach i służby imigracyjne zostały powiadomione, ale już jest pewnie za późno. Minęły trzy dni, a Kanada to nie Libia, jeżeli chodzi o szczelność granic.

Popił kawę.

- Kathryn mówi, że nie dociekała tego, bo nigdy nie wierzyła, że oni naprawdę pojadą. Ale co do jednej rzeczy jest pewna. Kiedy znajdą tego anioła stróża, to wszyscy

umrą.

Zaczęłam wycierać już wytarty blat

Przez chwilę milczeliśmy.

- Czy twoja siostra się odezwała?

Mój żołądek znowu zwariował.

- Nie.

Kiedy zaczął mówić, jego głos był cichszy:

- Chłopcy Bakera znaleźli coś na Świętej Helenie.

- Co?

Przeszył mnie strach.

- List do Owensa. Ktoś o imieniu Daniel pisze o Usprawnieniu Życia Wewnętrznego.

- Poczułam dłoń na moim ramieniu. - Wygląda na to, że ta organizacja była im podległa albo też ludzie Owensa do niej przeniknęli. Ta część nie jest zbyt jasna, ale pewne jest, że używali UŻW do rekrutacji.

- Mój Boże.

- List napisany został jakieś dwa miesiące temu, ale nie wiadomo, skąd przyszedł. I jest zbyt ogólnikowy. Niby coś ma być gdzieś dostarczone i ten Daniel obiecuje, że się tym zajmie.

- Jak? - Ledwie mogłam mówić.

- Nie wiadomo. Nic innego tam nie ma. Tylko tyle. Przypomniał mi się mój sen i strach ściął krew w moich żyłach.

- Oni mają Harry! - powiedziałam drżącymi ustami. - Muszę ją odszukać!

- Znajdziemy ją.

Powiedziałam mu o telefonie Kita.

- Jasna cholera.

- Jak to jest możliwe, że ci ludzie są przez lata niewidoczni, potem odkrywamy ich istnienie, a oni znikają? - pytałam drżącym głosem.

Ryan odstawił kubek i oburącz obrócił mnie przodem do siebie. Tak mocno ścisnęłam w dłoni gąbkę, że wydawała ciche syczące dźwięki.

- Trudno wpaść na ich ślad, bo oni mają ogromne źródło tajnych dochodów. Operują jedynie gotówką i nic nie wskazuje na to, że są zaangażowani w coś nielegalnego.

- Z wyjątkiem morderstw! - Chciałam mu się wyrwać, ale trzymał mnie zbyt mocno.

- Chcę ci powiedzieć, że nie można ich powiązać ani z narkotykami, ani z kradzieżami czy przekrętami z kartami kredytowymi. Płacą gotówką i nie ma dowodów na

popęlnienie zbrodni, tak właśnie powstaje luka. - Patrzył groźnie. - Ale spieprzyli sprawę włączając na mój teren i mam zamiar ich dopaść.

Uwolniłam się z jego uścisku i rzuciłam gąbkę na drugi koniec kuchni.

- Co powiedziała Jeannotte?

- Pojechałem do jej biura, potem do domu. Nie było jej ani tu, ani tu.

Nie zapomnij, że sam nad tym pracuję. Ta burza sparaliżowała całą prowincję.

- A czego dowiedziałeś się o Jennifer Cannon i Amalie Provencher?

- Na uniwersytecie bredzą coś o naruszaniu prywatności studentów. Nie wydadzą nic bez nakazu sądowego.

Tego było już za dużo. Minęłam go i poszłam do sypialni. Kiedy pojawił się w drzwiach, właśnie zakładałam wełniane skarpety.

- Co ty wyprawiasz?

- Muszę zapytać Annę Goyette o parę spraw, a potem zamierzam znaleźć moją siostrę.

- Hola, bohaterko. Na zewnątrz wszystko pokrywa warstwa lodu.

- Poradzę sobie.

- Tą swoją mazdą?

Tak się trzęsłam, że nie mogłam zawiązać butów. Starannie odwiązałam supeł i jeszcze raz przeciągnęłam sznurowadło przez dziurki. Potem zrobiłam to samo z drugim butem, wstałam i obróciłam się w stronę Ryana.

- Nie zamierzam tak siedzieć i pozwolić tym fanatykom zamordować Harry. Może i mają obsesję na punkcie samobójstwa, ale jej do tego nie zmuszą. Z tobą czy bez ciebie, mam zamiar ją odnaleźć, Ryan. I to teraz!

Przez chwilę po prostu się na mnie gapił. Potem głęboko wciągnął powietrze, wypuścił je przez nos i otworzył usta, by coś powiedzieć.

Właśnie wtedy światło zamigotało, przygasło i po chwili zgasło zupełnie.

Podłogę w jeepie Ryana pokrywał rozmokły śnieg. Wycieraczki chodziły w tę i z powrotem, czasem obsuwając się na bryłce lodu. W wachlarzach czystych kawałków szyb widziałam miliony srebrzystych iskierek rzucanych przez światło naszych reflektorów.

Dzielnica Censer-Yille była ciemna i opustoszała. Nie paliły się tu ani latarnie uliczne, ani światła w oknach, nie było żadnych neonów czy sygnalizacji świetlnej. Jedynymi pojazdami na drodze były policyjne wozy patrolowe. Żółta taśma oddzielała chodniki biegnące przy wysokościowcach, z których mogły spadać kawałki lodu. Ciekawe, ile ludzi spróbuje iść dzisiaj do pracy. Od czasu do czasu słychać było huk - to zamrznięta tafla roztrzaskiwała się na chodniku. Krajobraz dookoła przypominał mi Sarajewo, które oglądałam w wiadomościach, i wyobraziłam sobie moich sąsiadów uwięzionych w zimnych i ciemnych pokojach.

Ryan jechał bardzo ostrożnie; usztywnił ramiona i dłońmi kurczowo trzymał kierownicę. Jechaliśmy wolno i równo, stopniowo zwiększając prędkość i zwalniając dobry kawałek przed skrzyżowaniami. Mimo to czasem zarzucało tyłem samochodu. Miał rację przyjeżdżając jeepem. Koła samochodów policyjnych raczej się ślizgały niż toczyły.

Wlekiśmy się rue Guy, potem skręciliśmy na wschód w Docteur-Penfield. Budynek Montreal General nad nami jaśniał światłem swojego własnego generatora. Dłoń prawej ręki zacisnęłam na uchwycie, a lewą zwinęłam w pięść.

- Zimno jak cholera. Dlaczego nie pada śnieg? - zapytałam wkurzona. Nie potrafiłam ukryć napięcia i strachu.

Ryan nie oderwał oczu od jezdni.

- W radiu mówili, że coś tam się dzieje na odwrót i na wysokości chmur jest cieplej niż na ziemi. To wszystko spada w postaci deszczu, ale tu na dole zamarza. Waga tego lodu rozkłada elektrownie.

- Kiedy ma to ustąpić?

- Gość od pogody twierdzi, że utknęło i nie idzie w żadną stronę.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na dźwiękach. Nadmuchi. Wycieraczki. Wiatr. Moje bijące serce.

Samochód skręcił gwałtownie i otworzyłam oczy. Puściłam zacisniętą dłoń i włączyłam radio. Głos był uroczysty, ale dodawał otuchy. Większa część prowincji nie miała prądu, a w Hydro-Ouebec całe trzy tysiące pracowników było w pracy. Będą pracować na

okrągło, ale nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy linie zostaną naprawione.

Transformator obsługujący Centre-Ville nie wytrzymał przeładowania, ale miał zostać naprawiony jako pierwszy. Filtry nie działały i radzono mieszkańcom, by gotowali wodę.

Pomyślałam, że ciężko żyć bez prądu.

Otwierano schroniska, a policjanci mieli chodzić po domach i szukać zaginionych starszych osób. Wiele dróg zamknięto i kierowcom radzono, by zostali w domach.

Wyłączyłam radio, desperacko żałując, że nie jestem w domu. Z siostrą. Myśl o Harry spowodowała pulsowanie za lewym okiem.

Zignoruj ból głowy, Brennan, i pomyśl. Na nic się nie przydasz, jeżeli nie będziesz się w stanie skupić.

Rodzina Goyette mieszkała w dzielnicy zwanej Plateau, więc najpierw pojechaliśmy na północ, potem na wschód drogą des Pins. Na wzgórzu światłami jaśniał Royal Victoria Hospital. Poniżej nas w ciemnościach tonął uniwersytet McGill, za nim miasto i wybrzeże, gdzie jedynym widocznym miejscem było Place Ville-Marie.

Ryan skręcił na północ na St-Denis. Zwykle pełno tu kupujących i turystów, teraz na ulicach nie było nic z wyjątkiem lodu i wiatru. Wszystko pokrywała półprzezroczysta warstwa, zacierając nazwy butików i barów.

Na Mont-Royal znowu skierowaliśmy się na wschód, a na Christophe Colomb na południe, a wieki później zatrzymaliśmy się przed budynkiem, którego adres podała mi Anna. To był typowy dla Montrealu dom mieszczący trzy mieszkania, z podjazdem i wąskimi, metalowymi schodami sięgającymi pierwszego piętra. Ryan ustawił jeepa maską do krawężnika i zostawił go na ulicy.

Kiedy wyszłam z samochodu, lód ukłuł mnie w policzki i oczy zaszyły mi łzami. Z opuszczonymi głowami dotarliśmy do budynku i wspięliśmy się po zamarzniętych schodach. Dzwonka nie dało się przycisnąć, więc zapukałam do drzwi. Po chwili zasłona się poruszyła i ukazała się twarz Anny. Przez zamarznąłą szybę widać było, jak przecząco kręci głową.

- Otwórz drzwi, Anno! - krzyknęłam.

Pokręciła jeszcze mocniej, ale ja nie miałam ochoty na negocjacje.

*Otwórz te cholerne drzwi!*

Stała nieruchomo, tylko ręka powędrowała do ucha. Zrobiła krok do tyłu i pomyślałam, że odejdzie od drzwi. Ale usłyszałam przekręcanie klucza i drzwi się nieco uchylły.

Nie czekałam. Pchnęłam je mocno i byliśmy z Ryanem w środku, zanim zdążyła

zaprotestować.

Anna odsunęła się i stała ze skrzyżowanymi rękami. Na małym, drewnianym stoliku paliła się lampa naftowa, rzucając drżące cienie na ściany wąskiego holu.

- Dlaczego mnie pani po prostu nie zostawi w spokoju? - W tym świetle jej oczy wydawały się ogromne.

- Potrzebuję twojej pomocy, Anno.

- Ja w niczym nie mogę pani pomóc.

- Ależ możesz.

- Jej powiedziałam to samo. Nie mogę tego zrobić. Oni mnie znajdą.

Głos jej drżał i widziałam na jej twarzy prawdziwy strach. Ten widok coś mi przypomniał. Widziałam to już kiedyś. Przyjaciółka, zastraszona przez faceta, która za nią chodził i cały czas obserwował. Przekonałam ją, że on jej nic nie zrobi, i ona przeze mnie zginęła.

- Komu powiedziałaś? - Zastanawiałam się, gdzie może być jej matka.

- Doktor Jeannotte.

- Była tutaj?

Przytaknęła.

- Kiedy?

- Kilka godzin temu. Obudziła mnie.

- Czego chciała?

Spojrzała na Ryana, potem wbiła wzrok w podłogę.

- Zadawała dziwne pytania. Czy widziałam kogoś z grupy Amalie. Chyba jechała na wieś, tam, gdzie były warsztaty. Ja... ona mnie uderzyła. Nigdy nikt mnie tak nie uderzył. Jakby oszalała. Nigdy jej takiej nie widziałam.

W jej głosie słyszałam cierpienie i wstyd, jakby ten atak był z jej winy. Wyglądała na taką małą i bezbronną w ciemnościach, że podeszłam do niej i objęłam ją.

- Nie obwiniaj siebie, Anno.

Poczułam, że jej ramiona drżą, pogłaskałam ją po włosach. Błyszczały w świetle lampy.

- Pomogłabym jej, ale naprawdę nie pamiętałam. Ja... to nie był najlepszy czas dla mnie.

- Wiem, ale chciałabym, abyś na chwilę do tego wróciła i postarała się sobie przypomnieć. Pomyśl, co pamiętasz o miejscu, w którym byłaś.

- Próbowałam. Ja nie pamiętam.



Chciałam nią potrząsnąć, wytrząsnąć informacje, które ratowałyby moją siostrę. Przypomniałam sobie kurs psychologii dziecka. Żadnych abstrakcji, zadawaj konkretne pytania. Delikatnie odciągnęłam ją na długość ramienia i uniosłam ręką brodę.

- Kiedy pojechałaś na warsztaty, to wyjechałaś ze szkoły?

- Nie. Oni tutaj po mnie przyjechali.

- W którą stronę skręciliście z twojej ulicy?

- Nie wiem.

- Pamiętasz, jak wyjechaliście z miasta?

- Nie.

Żadnych abstrakcji, Brennan.

- Przejeżdżaliście przez most?

Zmrużyła oczy i kiwnęła głową.

- Przez który?

- Nie wiem. Zaraz, pamiętam wyspę z mnóstwem wysokich budynków.

- Ile des Soeurs - podsunął Ryan.

- Tak. - Otworzyła szerzej oczy. - Ktoś zażartował na temat zakonnicy żyjących w apartamentach. No, że soeurs, znaczy: siostry.

- Most Champlain - powiedział Ryan.

- Jak daleko była ta farma?

- Ja nie...

- Jak długo byłaś w furgonetce?

- Jakies czterdzieści pięć minut. Gdy dojechaliśmy na miejsce, kierowca chwalił się, że dojazd zabrał mu mniej niż godzinę.

- Co zobaczyłaś, kiedy wyszłaś z samochodu?

Znowu w oczach miała zwątpienie. Potem zaczęła wolno mówić, jakby brała udział w badaniach na skojarzenia:

- Zanim się zatrzymaliśmy, widziałam dużą wieżę z mnóstwem kabli, anten i talerzy. Potem mały domek. Ktoś pewnie wybudował go dla swoich dzieci, żeby miały się gdzie schować czekając na autobus. Pamiętam, że pomyślałam, że jest zrobiony z piernika i polukrowany.

W tym momencie tuż za Anną pojawiła się twarz; bez makijażu, lśniąca i blada w tańczącym świetle.

- Kim jesteście? Dlaczego przychodzicie w środku nocy? - krzyknęła. I nie czekając na odpowiedź chwyciła Annę za rękę i wepchnęła ją za siebie. - Zostawcie moją córkę w

spokoju.

- Pani Goyette, mam podstawy sądzić, że życie kilku osób jest w niebezpieczeństwie. Anna może nam pomóc ich uratować.

- Ona nie czuje się dobrze. Idźcie już. - Wskazała nam drzwi. - Bo inaczej zadzwonię na policję...

Upiorna twarz. Przyćmione światło. Hol przypominający tunel. Znowu byłam w moim śnie i nagle sobie przypomniałam. Wiedziałam i musiałam się tam dostać!

Ryan zaczął coś mówić, ale mu przerwałam.

- Dziękuję. Pani córka bardzo nam pomogła - zdołałam powiedzieć.

Patrzył na mnie z wściekłością, kiedy wypchnęłam go na zewnątrz. Prawie przewróciłam się i spadłam ze schodów. Nie czułam już zimna, kiedy stałam przy jeepie i czekałam, aż pożegna się z panią Goyette, założy czapkę i zejdzie na dół.

- Co, do diabła...

- Daj mi mapę, Ryan.

- Ta mała wariatka chyba...

- Masz tę cholerną mapę prowincji? - syknęłam.

Bez słowa okrążył samochód i oboje wsiedliśmy do środka. Wyjął mapę z kieszeni na drzwiach kierowcy, a ja wyciągnęłam latarkę z plecaka. Kiedy rozkładałam płachtę, zapuścił silnik, a potem wyszedł, by oczyścić szybę.

Znalazłam Montreal, potem most Champlain nad rzeką Świętego Wawrzyńca i wschodnią szosę numer 10. Kciukiem przebyłam trasę, którą przejechałam do Lac Memphremagog. Przed oczami znowu stanął mi stary kościół. I grób. I znak, do połowy zakryty przez śnieg.

Powiodłam palcem wzdłuż autostrady, obliczając, ile czasu zajęło jej przejechanie. Widziałam tablice z nazwami mijanych miejscowości.

Marieville. St-Gregoire. Ste-Angele-de-Monnoir.

Kiedy to zobaczyłam, serce mi stanęło.

Proszę, Boże, nie pozwól nam się spóźnić.

Opuściłam okno i wrzasnęłam w ciemność.

Skrobanie ustało i drzwi się otworzyły. Ryan rzucił skrobaczkę na tylne siedzenie i wsunął się za kierownicę. Podałam mu mapę i latarkę. Bez słowa wskazałam mały punkcik w kwadracie, który odgięłam. Przyjrzał mu się, a jego oddech wypełniał przestrzeń obłoczkami pary.

- Jasna cholera. - Z jego rzęsy spłynął stopiony kryształek lodu.

- To ma sens. Ange Gardien. To nie jest osoba, ale miejsce. Oni się mają spotkać w Ange Gardien. To powinno być jakieś czterdzieści pięć minut jazdy stąd.

- Jak na to wpadłaś?

Nie miałam ochoty opowiadać mu o moim śnie.

- Przypomniałam sobie tablicę, którą mijałam po drodze do Lac Mem-phrómagog. Jedźmy.

- Brennan...

- Ryan, powiem to jeszcze raz. Mam zamiar uratować moją siostrę. -Musiałam się bardzo starać, żeby głos mi się nie załamał. - Jadę z tobą albo bez ciebie. Możesz mnie zabrać do domu albo do Ange Gardien.

Zawahał się.

- Kurwa! - Wyszedł z samochodu, pochylił oparcie swojego fotela i zaczął czegoś szukać z tyłu. Kiedy zamknął drzwi, zobaczyłam, jak wkłada coś do kieszeni i zamyka na zamek. Potem powrócił do skrobania szyby.

Po minucie był znowu w środku. Nie mówiąc ani słowa zapiał pas, wrzucił bieg i ruszył. Koła się zakreśliły, ale samochód nie posunął się do przodu. Zmienił na wsteczny, potem szybko na pierwszy. Samochód się zakołysał, kiedy znowu zmienił na wsteczny i z powrotem na pierwszy. Koła chwyciły i ruszyliśmy wolno.

Nie powiedziałam nic, kiedy wóz sunął na południe po Christophe Colomb, potem Rachel na zachód. Na St-Denis Ryan skręcił na południe - jechał dokładnie tą trasą, którą przed chwilą przejechaliśmy.

Cholera. Wiózł mnie do domu. Zrobiło mi się zimno na myśl, że sama pojedę do Ange Gardien. Zamknęłam oczy i odchyliłam się na fotelu, by uporządkować te myśli. Masz łańcuchy, Brennan. Założysz je i będziesz tak kierować jak Ryan. Tchórz Ryan.

Nagła cisza zakłóciła moje rozmyślenia. Otworzyłam oczy i ujrzałam kompletną ciemność. Lód już nie pukał w szybę.

- Gdzie my jesteśmy?

- W tunelu Ville-Marie.

Ryan pędził przez ten tunel jak statek kosmiczny mknący w przestrzeni kosmosu. Kiedy zjechaliśmy na drogę prowadzącą na most Champlain, czułam i ulgę, i obawę.

Jednak! Ange Gardien.

Dziesięć lat świetlnych później przekraczaliśmy rzekę Świętego Wawrzyńca. Woda wyglądała na nienaturalnie gęstą, a budynki tle des Soeurs czarnymi sylwetkami odcinały się na niebie bardzo wczesnego poranka. Choć iluminacja była wyłączona, poznawałam je.

Nortel. Kodak. Honeywell. Aż się chciało zaszyć do ich eleganckich biur, zamiast w szaleństwo przed nami.

Atmosfera w jeepie gęstniała. Ryan skupił się na prowadzeniu, ja znowu przygryzałam paznokieć kciuka. Patrzyłam przez okno nie chcąc myśleć o tym, co będzie.

Jechaliśmy przez zimne i posępne tereny, w perspektywie zamarznętej planety. Dalej na wschód ilość lodu wyraźnie się zwiększyła, okradając świat z faktury i barw. Krawędzie były zamazane, przedmioty zdawały się zlewać w jedno, jak części gipsowej rzeźby.

Tablice informacyjne, znaki i billboardy były niewyraźne, a informacje i granice nieczytelne. Gdziekolwiek widać było smugi dymu unoszące się z kominów, poza tym wszystko zamarzło. Tuż nad rzeką Richelieu droga zakręcała i zobaczyłam porzucony samochód leżący na dachu. Ze zderzaków i opon zwieszały się sople.

Jechaliśmy tak już prawie dwie godziny, kiedy zobaczyłam ten znak. Był świt, niebo przechodziło z czerni w mroczną szarość. Przez warstwę lodu ujrzałam strzałkę i litery *nge Gardi*.

- Tam.

Ryan zdjął nogę z gazu i zjechał na boczną drogę. Kiedy dotarliśmy nią do skrzyżowania w kształcie litery T, zahamował i jeep stanął.

- Gdzie teraz?

Wzięłam skrobaczkę, wysiadłam i ruszyłam w kierunku znaku; pośliznęłam się tylko raz i stłukłam sobie kolano. Wiatr szarpał moimi włosami i ciskał w oczy lodowymi kulkami. Nad głową wył w gałęziach i podejrzanie grzechotał liniami wysokiego napięcia.

Rzuciłam się na warstwę lodu na znaku jak obłąkana. W końcu ją zdrapałam, ale walczyłam dalej, aż plastik był już kompletnie zjechał. Drapałam dalej używając do tego celu drewnianej rączki i w końcu pojawiły się litery i strzałka.

Kiedy wracałam do samochodu poczułam, że z moim lewym kolaniem dzieje się coś bardzo niedobrego.

- W tę stronę - wskazałam. Nawet nie przeprosiłam za zniszczenie skrobaczki.

Kiedy Ryan skręcił, zarzuciło tyłem i zakręciliśmy się ostro. Poleciałam do przodu. Cudem złapałam podłokietnik.

Ryan odzyskał kontrolę, ja spokój.

- Po twojej stronie nie ma hamulca i dlatego.

- Przeboleję.

- To jest dystrykt Rouville. Tu niedaleko jest posterunek policji. Najpierw tam pojedziemy.

Chociaż szkoda mi było czasu, nie zaprotestowałam. Jeżeli pchaliśmy się w gniazdo os, to wiedziałam, że będziemy potrzebować posiłków. I chociaż jeep był dobry na lód, to nie miał radia.

Pięć minut później dojechaliśmy do wieży. Albo raczej do tego, co z niej zostało. Metal złamał się pod ciężarem lodu, poskręcane belki i dźwigary leżały rozrzucone jak kawałki ogromnego kompletu klocków do budowania.

Zaraz za przewróconą wieżą droga skręcała w lewo. Za zakrętem dostrzegłam piernikowy domek Anny.

- Jest, Ryan! Skręć tutaj!

- Albo robimy to po mojemu, albo wcale. - Jechał dalej nie zwalniając. Prawie się zagotowałam. Tylko żadnych kłótni.

- Robi się jasno. A może oni zdecydowali się działać o świcie? - Pomyślałam o Harry, nafaszerowanej narkotykami i bezsilnej, i o fanatykach rozpalających ogień i modlących się do swojego boga. Albo spuszcających psy na ofiarne owieczki.

- Najpierw sprawdzimy.

- Ale może być za późno! - Ręce mi się trzęsły. Nie mogłam tego znieść. Moja siostra może być tuż tuż. Wzburzona, obróciłam się do niego plecami.

O wszystkim zadecydowało drzewo.

Nie przejechaliśmy czterystu metrów, kiedy dotarliśmy do ogromnej, zwalonej sosny, blokującej całą drogę. Jej korzenie aż wyszły z ziemi. Padające drzewo zerwało też linie wysokiego napięcia. W tym kierunku nie mogliśmy jechać.

Ryan uderzył kierownicę dłonią.

- A to nas drzewko załatwiło!

- To jest sosna. - Serce mi biło jak zwariowane.

Popatrzył na mnie i wcale mu nie było do śmiechu. Wiatr na zewnątrz wył i rzucał lodem w szyby. Widziałam, jak szczęki Ryana na przemian zaciskały się i rozluźniały.

- Zrobimy to po mojemu, Brennan. Jeżeli powiem ci, żebyś czekała w samochodzie, to ma tak być. Jasne?

Skinęłam głową. Zgodziłabym się na wszystko.

Zawróciliśmy i skręciliśmy w prawo przed wieżą. Droga była wąska i pełna drzew, niektóre leżały przewrócone, inne były przechylone. Ryan kluczył między nimi. Po obu stronach korony topoli, jesionów i brzoź obciążały skorupy lodu.

Tuż za domkiem z piernika zaczął się płot z podwójnych żerdzi. Ryan zwolnił i jechał tuż przy nim. W kilku miejscach zwalone drzewa zrobiły wyrwy w płocie. Wtedy

zobaczyłam pierwszą żywą istotę od wyjazdu z miasta.

Samochód stał z maską w rowie, koła się kręciły, wokół unosiła się chmura spalin. Drzwi kierowcy były otwarte i widać było jedną nogę wystawioną na zewnątrz.

Ryan zahamował i zaparkował.

- Zostań tutaj.

Już zaczęłam protestować, ale dałam spokój.

Wysiadł i podszedł do samochodu. Ze swojego miejsca nie widziałam, czy kierowcą była kobieta, czy mężczyzna. Kiedy zaczęli rozmawiać, opuściłam okno, ale i tak nie mogłam zrozumieć, co mówili. Z ust Ryana buchały kłęby pary. Chwilę potem wrócił do samochodu.

- Niezbyt pomocny osobnik.

- Co powiedział?

- *Oui i non*. Mieszka tu niedaleko, ale ten kretyń nie zauważyłby, gdyby Czyngischan wprowadził się do domu obok.

Pojechaliśmy dalej aż do miejsca, gdzie płot kończył się zwirowym podjazdem. Ryan zatrzymał i wyłączył silnik.

Przed walącym się domkiem stały dwie furgonetki i sześć samochodów osobowych. Wyglądały jak okrągłe garby albo zamrożone hipopotamy w szarej rzece. Z okapu i parapetów budynku kapał lód, nic nie było widać przez mleczne szyby.

Ryan obrócił się w moją stronę.

- Teraz posłuchaj. Jeżeli to jest to miejsce, będziemy tu tak mile widziani jak jadowny wąż. - Dotknął mojego policzka. - Obiecuj mi, że zostaniesz w wozie.

- Ja...

Jego palec spoczął na moich ustach.

- Zostań tutaj. - Jego oczy były w tym świetle oślepiająco niebieskie.

- Ale to bzdura - wymamrotałam.

Cofnął rękę i skierował palec w moją stronę.

- Zaczekaj w samochodzie.

Założył rękawiczki i wyszedł na zewnątrz. Kiedy zamknął drzwi, sięgnęłam po rękawiczki. Zaczekam dwie minuty.

To, co się potem zdarzyło, wraca jako pojedyncze obrazy, wspomnienia podzielone w czasie. Niby widziałam, ale mój umysł wszystkiego nie przyjmował. Zebrałam wspomnienia i powkładałam w osobne ramki.

Ryan przeszedł może z sześć kroków, kiedy usłyszałam huk i jego ciało drgnęło.

Wyrzucił ręce do góry i zaczął się odwracać. Drugi huk i drugie drgnięcie, potem upadł i leżał bez ruchu.

- Ryan! - krzyknęłam otwierając drzwi. Kiedy wyskoczyłam z samochodu, poczułam uderzenie w nogę i moje kolano ugięło się. - Andy! - krzyczałam do bezwładnej postaci.

Wewnątrz mojej czaszki nastąpił błysk i pogrążyłam się w ciemność gęstsza od lodu.

Kiedy odzyskałam przytomność, wciąż otaczała mnie ciemność. Czułam ból. Usiadłam powoli, ciągle nie widząc nic w ciemnościach. Bardzo bolała mnie głowa i myślałam, że zwymiotuję. Ból nasilił się, gdy ugięłam nogi w kolanach i zwiesiłam między nimi głowę.

Po chwili mdłości minęły. Nasłuchiwałam. Słyszałam tylko bicie serca. Chciałam spojrzeć na ręce, ale tonęły w ciemnościach. Wciągnęłam powietrze. Spróchniałe drewno i wilgotna ziemia.

Ostrożnie wyciągnęłam rękę.

Siedziałam na klepisku. Z tyłu i po obu stronach wyczuwałam nierówną powierzchnię ściany z okrągłych kamieni. Jakies piętnaście centymetrów nad głową moja ręka namacała drewno.

Walcząc z paniką oddychałam płytko i pośpiesznie.

Jestem w pułapce! Muszę stąd wyjść!

*Nieeeeeeeeeeeeeeeeeeeee!*

Krzyk został w mojej głowie. Nie straciłam całkowicie kontroli.

Zamknęłam oczy i spróbowałam kontrolować krótkie oddechy. Splatając palce starałam się koncentrować na jednej rzeczy.

*Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.*

Panika z wolna ustąpiła. Ukłękłam na kolanach i wyciągnęłam rękę prosto przed siebie. Na nic nie trafiłam. Ból w lewym kolanie sprawił, że oczy zaszyły mi łzami, ale na kolanach przeszłam do przodu w atramentową czerń. Pół metra. Metr, dwa. Trzy metry.

Nie napotykałam na żadną przeszkodę i przerażenie nieco osłabło. Lepiej być w tunelu niż w kamiennej klatce.

Usiadłam i spróbowałam wejść w kontakt z funkcjonującą częścią mojego mózgu. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, jak długo ani jak się tam znalazłam.

Zacząłam rekonstruować wydarzenia. Harry. Domek. Samochód.

Ryan! Boże, mój Boże, o Boże!

*Nie, proszę! Proszę, nie Ryan!*

Ścisnęło mnie w żołądku i w ustach pojawił się gorzki smak. Przełknęłam.

Kto strzelił do Ryana? Kto mnie tu przyniósł? Gdzie jest Harry?

Pulsowało mi w głowie i zaczynałam drętwieć z zimna. Niedobrze. Muszę coś zrobić.



Wzięłam głęboki oddech i uklękłam znowu na kolanach.

Centymetr po centymetrze przeszłam na kolanach całą długość. Zgubiłam rękawiczki, a zimne podłoże spowodowało drętwienie rąk i poobijało moją uszkodzoną rzepekę. Myślałam o bólu aż do chwili, kiedy dotknęłam tej stopy

Wzdrygnęłam się i moja głowa uderzyła w drewno, a w gardle uwiązł krzyk.

Niech to szlag, Brennan, weź się w garść. Zajmujesz się miejscami zbrodni zawodowo, nie jesteś histeryczną obserwatorką.

Przykucnęłam, nadal sparaliżowana strachem. Nie przez tę ograniczoną przestrzeń, ale przez tę rzecz, z którą ją dzieliłam. Wieki mijały, kiedy czekałam na jakiś znak życia. Nikt nic nie mówi, nikt się nie rusza. Oddychałam głęboko, potem ruszyłam trochę do przodu i znowu dotknęłam stopy.

Miała na sobie but, mały, ze sznurowadłami jak moje. Znalazłam drugą i pomacałam wzdłuż nogi w górę. Ciało leżało na boku. Ostrożnie położyłam je na wznak i kontynuowałam badania. Brzeg. Guziki. Gardło mi się ścisnęło, kiedy rozpoznałam to ubranie. Wiedziałam, kto to jest, zanim dotknęłam twarzy.

Ale to niemożliwe! To nie miało sensu.

Zdjęłam szalik i dotknęłam włosów. Tak. Daisy Jeannotte.

Jezu, Boże! Co tu się działo?

*Ruszaj się!* Rozkazała część mojego mózgu.

Posunęłam się naprzód na jednym kolanie i jednej ręce, z dłonią tuż przy ścianie. Palcami dotknęłam pajęczyn i rzeczy, o których nie chciałam myśleć. Pod ścianami leżały gruzy, czułam je posuwając się powoli po tunelu.

Jakiś metr dalej ciemność odrobinę pojaśniała. Dotknęłam czegoś ręką i posuwałam ją wzdłuż. Drewniane poręcze. Podpory. Spojrzałam w górę i dostrzegłam prostokąt słabego, żółtego światła. Schody prowadzące do góry

Weszłam na nie, wsłuchując się w dźwięki na każdym z nich. Trzy schody doprowadziły mnie do sufitu. Wyczułam pokrywę, ale kiedy ją pchnęłam, ani drgnęła.

Przyłożyłam do niej ucho i kiedy usłyszałam szczekanie psów, poziom adrenaliny gwałtownie skoczył do góry. Dźwięk dochodził z daleka i był stłumiony, ale czułam, że zwierzęta były podekscytowane. Czyjś głos wydał komendę, cisza i znowu ujadanie.

Dokładnie nade mną nikt się nie poruszał i nic nie mówił.

Popchnęłam płytę ramieniem, trochę się przesunęła, ale nie otworzyła. Przez jedną ze szczelin przechodziło trochę światła i dostrzegłam tam jakiś cień, po prawo. Szczelina była zbyt wąska, bym mogła włożyć palec. Sfrustrowana wcisnęłam palec tak daleko jak mogłam

i przeciągnęłam nim wzdłuż. Drzazgi wchodziły mi w ciało i w paznokcie, ale i tak nie mogłam nic osiągnąć. Szczelina wzdłuż brzegów była zbyt wąska.

*Cholera!*

Pomyślałam o mojej siostrze, o psach i o Jennifer Cannon. Potem o sobie, o psach i o Jennifer Cannon. Z zimna straciłam czucie w palcach, wsunęłam je do kieszeni. Namacałam coś twardego i płaskiego. Zdziwiona wyjęłam ten przedmiot i przyłożyłam do szczeliny.

*Złamane ostrze skrobaczki!*

*Proszę!*

Modląc się w duchu wcisnęłam je w szczelinę. Pasowało! Przesunęłam dalej. Wydawało mi się, że hałas słychać w odległości kilku kilometrów.

Znieruchomiałam i wsłuchałam się. Nic się nade mną nie działo. Prawie nie oddychając, ciągnęłam dalej. Na kilka centymetrów od czegoś, co wydawało mi się zasuwą, ostrze wymknęło mi się z ręki i wpadło w ciemność.

*Cholera! Cholera ! Skurwysyn!*

Zeszłam ostrożnie ze schodów podpierając się na rękach i usiadłam na podłodze. Przeklinając własną niezręczność, zaczęłam ostrożnie przeszukiwać podłogę. Niedługo trwało, nim znalazłam ostrze.

I znowu na schody. Teraz zaczęła mnie boleć noga. Obiema rękami włożyłam ostrze w szczelinę i nacisnęłam na zasuwę. Ani drgnęła. Wyjęłam je i włożyłam ponownie, teraz pojechałam w obie strony.

Coś trzasnęło. Wsłuchałam się. Cisza. Popchnęłam ramieniem i pokrywa się uniosła. Trzymając ją w obu rękach uniosłam wyżej, potem odłożyłam na podłogę nad moją głowę. Z bijącym dziko sercem włożyłam w otwór głowę i rozejrzałam się dookoła.

Pokój oświetlała jedna lampa naftowa. To była chyba spiżarnia. Półki na ścianach, na niektórych stały pudełka i puszki. Góry kartonów złożono po kątach z przodu, po lewej i prawej stronie. Kiedy spojrzałam do tyłu, przebiegł mnie potężny dreszcz.

Tuziny pojemników z propanem stały pod ścianą, błyszcząc emalią w świetle lampy. Przypomniałam sobie jakieś propagandowe zdjęcie z wojny, przedstawiające broń ułożoną w równych rzędach. Trzęsąc się cała opuściłam się i przysiadłam na górnym stopniu.

*Jak mogłam ich powstrzymać?*

Spojrzałam w dół schodów. Kwadrat światła leżał na podłodze piwnicy, oświetlając twarz Daisy Jeannotte. Popatrzyłam na nieruchome rysy.

*- Kim ty jesteś? - wymamrotałam. - Wydawało mi się, że to twoje przedstawienie.*

*Zupełny bezruch.*

Odetchnęłam kilka razy i wtargnęłam do spiżarni. Ulga, jaką czułam uciekając z tunelu, mieszała się ze strachem; co będzie dalej?

Za spiżarnią znajdowała się wielka kuchnia. Pokuśtykałam do drzwi, przykleiłam się do ściany i wsłuchałam się w dźwięki. Skrzypienie drewna. Wiatr i lód. Skrzypienie zamarzniętych gałęzi.

Wstrzymując oddech weszłam do długiego, ciemnego holu.

Burza ucichła. Czułam kurz, dym z palącego się drewna i stary dywan. Kulejąc i trzymając się ściany poszłam dalej. W tej części domu nie było żadnego światła.

*Gdzie jesteś, Harry?*

Podeszłam do drzwi i pochyliłam się. Nic. Kolana mi drżały i zaczęłam się zastanawiać, jak daleko zajdę. Wtedy usłyszałam przytłumione głosy.

*Ukryj się!* To krzyknęły najmniejsze części mózgu.

Gałka się przekręciła, a ja wsunęłam się w ciemność.

W pokoju pachniało wilgocią i kwiatami, które zbyt długo zostawiono wazonie. W pewnej chwili włosy zjeżyły mi się na głowie. Ktoś się poruszył? Znowu wstrzymałam oddech i wsłuchałam się w dźwięki.

Coś oddychało!

W ustach miałam sucho; przełknęłam ślinę i wyteżyłam słuch. Słysząc tylko regularne oddechy. Powoli ruszyłam do przodu, aż zobaczyłam wyłaniające się z ciemności przedmioty. Łóżko. Ludzka postać. Nocny stolik ze szklanką wody i buteleczką z tabletkami.

Jeszcze dwa kroki i zobaczyłam blond włosy na patchworku.

Czy to możliwe? Czy moje modlitwy zostały aż tak szybko wysłuchane?

Podeszłam bliżej i obróciłam głowę, by zobaczyć twarz.

- Harry! - Boże, tak. To była Harry.

Poruszyła głową i jęknęła.

Wyciągnęłam rękę po tabletki i ktoś złapał mnie od tyłu. Poczułam rękę na gardle, ściskającą tchawicę i odcinającą mi powietrze. Zobaczyłam pierścionek. Czarny prostokąt z wyciętym krzyżem egipskim i karbowanymi brzegami. Kiedy się wyrывałam i drapałam paznokciami, przypomniałam sobie ranę w miękkim, białym ciele. Wiedziałam, że te ręce nie zawahają się odebrać mi życie.

Chciałam krzyknąć, ale morderca Malachy'ego miał taki uchwyt, który ścisnął mi gardło i tłumił jakikolwiek dźwięk. Nagle wykręcił mi głowę na bok i przycisnął do kościstej piersi stracha na wróble. W zmętniałej ciemności dostrzegłam jedno jasne oko, jasną smugę

we włosach. Nie mogłam oddychać. Płuca chciały eksplodować, puls wariował, traciłam przytomność.

Usłyszałam głosy, ale świat odpływał. Ból w kolanie zmalął i odrętwienie zawładnęło umysłem. Gdzieś mnie wleczono. Moje ramię w coś uderzyło. Miękkie podłoże. Znowu twarde. Przeszliśmy przez jakieś drzwi, dłoń wciąż na mojej tchawicy.

Pochwyciły mnie czyjeś ręce i coś szorstkiego przeszło przez nadgarstki. Uniesiono mi ręce, ale nikt już nie przyciskał głowy, nie ścisnął gardła i mogłam oddychać! Usłyszałam jęk wydobywający się z mojego własnego gardła, kiedy płuca nabrały cennego powietrza.

Znowu byłam przytomna i ból powrócił.

Bolało mnie gardło i oddychałam z trudem. Ramiona i łokcie wyciągnięte, a ręce nad głową zimne i bez czucia.

*Zapomnij o ciele. Użyj mózgu.*

Byłam w dużym pokoju, widuje się takie w gospodach i domkach myśliwskich. Ogromna podłoga z desek i ściany z dużych belek, oświetlony tylko świecami. Na wprost podwójne drzwi. Kamienny komin na lewo. Panoramiczne okno po prawej. Zapamiętałam widok.

Usłyszałam gdzieś z tyłu głosy i przesunęłam jedno ramię do przodu, drugie do tyłu i wspierałam się na palcach. Moje ciało skręciło się i przez ułamek sekundy widziałam ich, zanim liny nie przekreśliły mnie z powrotem. Rozpoznałam włosy i oko tego mężczyzny. Kto był z nim?

Głosy umilkły, potem znowu je usłyszałam, ale tym razem były cichsze. Kroki i cisza. Na pewno nie byłam sama. Wstrzymałam oddech i czekałam na ich powrót.

Kiedy stanęła przede mną, byłam przestraszona, ale nie zszokowana. Dziś warkocze spięła na głowie i nie wisały po obu stronach głowy jak wtedy, gdy chodziła po ulicach Beaufort z Kathryn i Carlie'em.

Wyciągnęła rękę i otarła łzę z mojego policzka.

- Boisz się? - Miała zimne i twarde spojrzenie.

Strach nakręci ją jak podwórzowego psa!

- Nie, Elle. Ani ciebie, ani twojej bandy świrów. - Ból gardła utrudniał mi mówienie.

Przesunęła palcem po moim nosie i przez usta. Miała szorstką skórę.

- Żadna Elle. *Je suis Elle*. Ja jestem Ona. Kobięca siła.

Rozpoznałam ten głęboki głos.

- Najwyższa kapłanka śmierci! - parsknęłam.

- Trzeba było dać nam spokój.

- Trzeba było dać spokój mojej siostrze.
- Potrzebujemy jej.
- Nie wystarczają wam inni? A może zabijanie tak cię ekscytuje?

*Niech mówi. Zyskasz na czasie.*

- Karcimy nieustępliwych.
- To dlatego zabiliście Daisy Jeannotte?

- Jeannotte. - Jej głos przepełniała pogarda. -Ta zjadliwa, wtrącająca się do wszystkiego idiotka. W końcu da mu spokój.

*Co trzeba powiedzieć, by podtrzymać tę rozmowę?*

- Ona nie chciała tylko, żeby jej brat umarł.
- Daniel będzie żyć wiecznie.
- Jak Jennifer i Amalie?
- Ich słabość mogła nas powstrzymywać.
- A więc wybieracie słabych i patrzycie, jak są rozszarpywani na strzępy?

W jej oczach było coś, czego nie potrafiłam zinterpretować. Gorycz? Żal?

Oczekiwanie?

- Wyciągnęłam je z dna i pokazałam, jak przeżyć. Same wybrały.
- A co takiego zrobiła Heidi Schneider? Za bardzo kochała męża i dzieci?

Patrzyła zimno.

- Wskazałam jej drogę, a ona i tak wydała na ten świat zło! Podwójne!
- Jak antychryst.
- Tak! - wyszczała.

*Pomyśl! Co mówiła w Beaufort?*

- Mówiłaś, że śmierć to przejście w procesie rozwoju. Wychowujecie mordując dzieci i stare kobiety?

- Nie wolno pozwolić na zepsucie w nowym porządku.
- Dzieci Heidi miały cztery miesiące! - Strach i złość zmieniły mój głos.
- One były zdeprawowane!
- To były dzieci! - Chciałam się na nią rzucić, ale liny trzymały mocno.

Za drzwiami słychać było innych ludzi. Pomyślałam o dzieciach z posiadłości na Świętej Helenie i pierś zaczęła mi falować.

*Gdzie jest Daniel Jeannotte?*

- Ile dzieci zabiłaś razem ze swoim towarzyszem? Jej oczy prawie niedostrzegalnie zwięzły się.

*Niech mówi.*

- Zamierzasz poprosić wszystkich swoich ludzi, by umarli?

Nadal nic nie mówiła.

- Po co ci moja siostra? Straciłaś pomysły na motywowanie innych? - Mój głos drżał i był co najmniej o dwie oktawy wyższy.

- Zajmie czyjeś miejsce.

- Ona nie wierzy w wasz Armagedon.

- Świat zmierza ku końcowi.

- Kiedy go ostatnio oglądałam, wszystko było w porządku.

- Zabijacie sekwoje i robicie z nich papier toaletowy, a do rzek i oceanów wlewacie truciznę. Czy to jest w porządku? - Jej twarz była tak blisko mojej, że widziałam drobne żyłki pulsujące na jej skroniach.

- Zabij siebie, jeżeli musisz, ale pozwól innym wybierać.

- Trzeba zachować porządek. Liczbę dopuszczonych.

- Naprawdę? I wszyscy są tutaj?

Odsunęła twarz, ale nic nie odpowiedziała. Coś błyszczało w jej oku, jak światło uciekające od zbitego szkła.

- Nie wszyscy przyjdą, Elle.

Nie odwracała oczu.

- Kathryn nie ma zamiaru umierać dla ciebie. Ona jest daleko stąd, bezpieczna ze swoim dzieckiem.

- Kłamiesz!

- Ma gdzieś twój kosmiczny przydział.

- Znaki mówią swoje. Czas apokalipsy jest bliski i wszyscy powstaniami z prochów!

Jej oczy były jak czarne dziury w tańczącym świetle. Wiedziałam, co to jest za spojrzenie. Obłąd.

Już miałam odpowiedzieć, kiedy usłyszałam warczenie i ujadanie psów. Dźwięk dochodził z głębi domu.

Poruszyłam się rozpaczliwie, ale liny tylko się zacieśniły. Mój oddech zmienił się w szalone łapanie powietrza. To był odruch, bezmyślna walka.

Nie mogłam tego zrobić! Nie mogłam się uwolnić! A nawet jeśli mi się udało? Byłam wśród nich.

- Proszę - powiedziałam błagalnie.

Tylko patrzyła zimnym wzrokiem.

Wyrwał mi się szloch, szczekanie było głośniejsze. Nadal się szarpałam. Nie poddam się, nawet kiedy sytuacja będzie beznadziejna.

Co zrobili inni? Widziałam poszarpane ciało i przebite zębami czaszki. Szczekanie przeszło w warczenie. Psy były bardzo blisko. Zapanował nade mną niekontrolowany strach.

Okręciłam się, by coś zobaczyć, i rzuciłam okiem na okno. Moje serce stanęło. Czy na zewnątrz ktoś był?

*Nie zwróć jej uwagi na okno!*

Opuściłam wzrok i obróciłam się w stronę Elle, nadal walcząc, ale teraz myślałam o tym, co działo się na zewnątrz. Czy mogłam mieć nadzieję na uratowanie?

Patrzyła na mnie bez słowa. Minęła sekunda. Dwie. Pięć. Znowu przekręciłam się w prawo i rzuciłam okiem.

Przez lód dostrzegłam cień poruszający się od lewej do prawej.

*Odwróć jej uwagę!*

Utkwiłam w niej wzrok. Okno było po jej lewej stronie.

Szczekanie było głośne. Narastało.

*Powiedz coś!*

- Harry nie wierzy w...

Drzwi otworzyły się z hukiem i usłyszałam głębokie głosy.

- Policja!

Buty zadudniły na podłodze.

- *Haut les mains!* Ręce do góry!

Warczenie i ujadanie. Strzały. Krzyk.

Elle najpierw wykrzywiła usta, a potem zacisnęła je mocno. Z fałd sukni wyciągnęła pistolet i wycelowała w coś, co znajdowało się za mną.

Jak tylko spuściła ze mnie wzrok, złapałam liny, poddałam biodra do przodu, kopnęłam i wygięłam się w jej stronę. Ból przeszył mi ramiona i nadgarstki, gdy ciało poszło do przodu. Kopnęłam ją jednak w rękę. Pistolet przeleciał przez pokój i zniknął z mojego pola widzenia.

Stopy uderzyły w podłogę i ulżyły napięciu w górnych kończynach. Kiedy spojrzałam w górę, Elle stała nieruchomo, a wylot lufy policyjnego pistoletu wycelowany był w jej pierś. Jeden ciemny warkocz opadł i wisiał na czole jak szarfa.

Poczułam na plecach czyjeś ręce i usłyszałam, że ktoś coś do mnie mówi. Po chwili byłam wolna i nieznanne silne ręce powiodły mnie na kanapę.

- *Calmez-vous, madame. Tout va bien.*

Moje ręce były ciężkie, a kolana miękkie. Chciałam się położyć i zasnąć na zawsze, ale z wysiłkiem wstałam.

- *Ma soeur!* Muszę znaleźć moją siostrę

- *Tout est bien, madame.* - Ręce przycisnęły mnie do poduszek.

Więcej butów. Drzwi. Wykrzykiwanie rozkazów. Widziałam Elle i Daniela Jeannotte odprowadzanych z kajdankami na rękach.

- Gdzie jest Ryan? Znacie Andrew Ryana?

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze.

Spróbowałam się uwolnić.

- Czy z Ryanem wszystko w porządku?

- Tylko spokojnie.

Nagle obok mnie zjawiała się Harry, w półmroku widziałam jej szeroko otwarte oczy.

- Boję się - wymamrotała grubym, niewyraźnym głosem.

- Już dobrze. - Objęłam ją swoimi zdrętwiałymi rękami. - Zabieram cię do domu.

Jej głowa opadła na moje ramię, ja przyłożyłam do niej swoją. I przez chwilę tak siedziałyśmy. Potem zbierając wspomnienia ze szkoły, zamknęłam oczy, złożyłam dłonie przed sobą i cicho płacząc modliłam się do Boga, by darował życie Andrew Ryanowi.



Tydzień później siedziałam na swoim patio w Charlotte z trzydziestoma sześcioma pracami egzaminacyjnymi po mojej prawej i trzydziestoma siedmioma na stole przede mną. Niebo było niebieskie, jak to w Karolinie, a podwórko w kolorze soczystej zieleni. Siedzący na magnolii przedrzeźniacz dawał z siebie wszystko.

- Wybitnie przeciętna praca - zauważyłam, pisząc "trzy plus" na niebieskiej okładce i kilkakrotnie zakreślając kółka wokół oceny. Birdie spojrzął, przeciągnął się i zeskoczył z kanapy.

Moje kolano się ładnie goiło. Małe włoskowate pęknięcie rzepki było niczym w porównaniu z ranami zadanymi mojej psychy. Po wypadkach w Ange Gardien kilka dni spędziłam w Quebecu, wzdrygając się na każdy dźwięk i cień, a zwłaszcza na szczekające psy. Potem wróciłam do Charlotte, do studentów. Wypełniałam te dni różnymi zajęciami, ale noce były ciężkie. W ciemnościach mój umysł wariował, powracając do obrazów, które odpędzał dzień. Kilka nocy przespałam z zapaloną lampą.

Zadzwonił telefon i sięgnęłam po słuchawkę. Czekałam na ten telefon.

- *Bonjour*, doktor Brennan. *Comment ca va?*

- *Ca va bien*, siostrze Julianne. Jak się ma Anna?

- Lekarstwa chyba pomagają. - Ściszyła głos. - Nie wiem nic o zaburzeniu dwubiegunowym, ale lekarz dał mi mnóstwo materiałów i teraz się uczę. Jakoś nie wyczułam tej jej depresji. Myślałam, że miała humory, bo tak twierdziła jej matka. Czasami bywała przygnębiona, nagle stawała się pełna energii i czuła się ze sobą świetnie. Nie wiedziałam, że to było, jak to się mówi...?

- Stadium maniakalne?

- C'est ca. Tak szybko zmieniała nastroje.

- Cieszę się, że już się lepiej czuje.

- Tak, chwała Bogu. Śmierć profesor Jeannotte bardzo ją poruszyła. Doktor Brennan, dla dobra Anny, czy mogłaby mi pani powiedzieć, co się stało z tą kobietą?

Wzięłam głęboki oddech. Co powiedzieć?

- Wszystko przez to, że profesor Jeannotte bardzo kochała swojego brata. Daniel Jeannotte przez całe życie organizował jedną sektę za drugą. Daisy wierzyła, że miał dobre zamiary, ale złe społeczeństwo go potępiało. Jej kariera w Amerykańskiej Akademii skończyła się, kiedy rodzice złożyli na uniwersytecie skargę, że kierowała studentów na

konferencje i warsztaty Daniela. Przestała uczyć i zajęła się pracą naukową i pisaniem, i przyjechała do Kanady. Przez lata jeszcze pomagała bratu.

Kiedy Daniel skumał się z Elle, Daisy zaczęła wątpić. Uważała, że Elle to psychopatka i między obiema kobietami zaczęła się walka o lojalność Daniela. Daisy chciała chronić brata, ale bała się czegoś katastroficznego.

Jeannotte wiedziała, że Daniel i grupa Elle działali aktywnie w kampusie, chociaż uniwersytet starał się ich usunąć. Więc kiedy Anna trafiła do nich, Daisy chciała ich obserwować za pomocą Anny.

Sama nie zajmowała się rekrutacją dla grupy. Ale dowiedziała się, że członkowie sekty przeniknęli do centrum doradczego, szukając nowych studentów, którym okazywali ogromną życzliwość. W ten sposób zwerbowali moją siostrę w college'u w Teksasie. To tym bardziej poruszyło Daisy, bo bała się, że ktoś przypomni jej epizod z przeszłości.

- Kto to jest ta Elle?

- Naprawdę nazywa się Sylvie Boudrais. Nie znamy całej jej historii. Ma czterdzieści cztery lata, urodziła się w Baie Comeau z matki pochodzącej z północy Ameryki Północnej i ojca urodzonego w Quebecu. Jej matka zmarła, kiedy Sylvie miała czternaście lat, a ojciec był alkoholikiem. Bił ją regularnie i zmuszał do prostytucji w wieku czternastu lat. Nigdy nie skończyła szkoły średniej, ale ma wysoki iloraz inteligencji.

Zniknęła po opuszczeniu szkoły, potem w połowie lat siedemdziesiątych pojawiła się w Quebecu i proponowała psychiczne uzdrowienia za niewielką cenę. Zebrała wokół siebie niewielką grupę i w końcu została liderką grupy, która osiedliła się w domku myśliwskim niedaleko Ste-Anne-de-Beaupre. Potrzebowali pieniędzy i pojawiły się problemy z nieletnimi członkami. Czternastolatka zaszła w ciążę i rodzice poszli na policję.

Grupa się rozwiązała i Boudrais wyjechała. Związała się na jakiś czas z sektą Niebiańska Droga w Montrealu, ale nie została z nimi. Podobnie jak Daniel Jeannotte, jeździła od grupy do grupy i tak w latach osiemdziesiątych pojawiła się w Belgii, gdzie głosiła kombinację szamanizmu i spirytualizmu New Age. Zgromadziła wokół siebie grupę zwolenników, wśród nich był pewien bogaty człowiek, Jacques Guillion.

Spotkali się już wcześniej przez Niebiańską Drogę i teraz wydawał się idealnym rozwiązaniem problemu braku gotówki, na jaki cierpiała cała grupa. Guillion dał się oczarować i w końcu sprzedał swoje posiadłości i oddał im wszystkie aktywa.

- I nikt nie protestował?

- Podatki były płacone, a Guillion nie miał rodziny, więc nikt o nic nie pytał.

- *Mon Dieu.*

- W połowie lat osiemdziesiątych grupa wyjechała z Belgii i dotarła do Stanów. Założyli komunę w Fort Bend Country w Teksasie, a Guillion przez kilka lat kursował między Ameryką a Europą, prawdopodobnie zajmując się przelewaniem pieniędzy. Ostatni raz wjechał do Stanów dwa lata temu.

- Co się z nim stało? - zapytała cichym i drżącym głosem.

- Policja sądzi, że zakopano go gdzieś na ranchu.

Usłyszałam w słuchawce szelest materiału.

- Brat Jeannotte spotkał Boudrais w Teksasie i podobno ona go urzekła. Już wtedy mówiła na siebie Elle. Tam też pojawił się Dom Owens.

- To ten z Południowej Karoliny?

- Tak. Bawił się trochę w mistycyzm i organiczne uzdrawianie. Odwiedził rancho w Fort Bend i zadurzył się w Elle. Zaprosił ją do posiadłości na wyspie Świętej Heleny w Południowej Karolinie, a ona objęła kontrolę nad jego grupą.

- Wszystko wydaje się takie nieszkodliwe. Zioła, zaklęcia i medycyna holistyczna. Jak to się przerodziło w przemoc i śmierć?

Jak można wytłumaczyć szaleństwo? Nie chciałam jej opowiadać o ocenie psychiatrycznej, która leżała na moim biurku, ani o chaotycznych notatkach na temat samobójstw, które znaleziono w Ange Garden.

- Boudrais dużo czytała, zwłaszcza o filozofii i ekologii. Nabrała przekonania, że Ziemia zostanie zniszczona, ale przedtem ona ocali swoich zwolenników. Uważała, że jest aniołem stróżem tych, którzy są z nią, i domek w Ange Gardien był miejscem, gdzie miała się zacząć podróż.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Czy oni w to naprawdę wierzyli?

- Nie mam pojęcia. Ellie chyba sama nie bardzo wierzyła w swoje umiejętności jako mówcy. Częściowo polegała na narkotykach.

Kolejna przerwa.

- Myśli pani, że oni wierzyli jej wystarczająco mocno, by być gotowymi na śmierć?

- Pomyślałam o Kathryn. I o Harry.

- Nie wszyscy.

- To grzech śmiertelny aranżować śmierć, czy nawet trzymać czyjaś duszę jak jeńca.

Idealne podsumowanie.

- Czy czytała siostra informację dotyczącą Elisabeth Nicolet, którą przysłałam?

Tym razem cisza, która zapadła po drugiej stronie, była dłuższa. Potem usłyszałam

głębokie westchnięcie.

- Tak.

- Znalazłam wiele informacji na temat Abo Gabassa. Był szanowanym filozofem i mówcą, znanym w całej Europie, Afryce i Ameryce Północnej i zasłużonym w walce o zakończenie handlu niewolnikami.

- Rozumiem.

- On i Eugenie Nicolet płynęli tym samym statkiem. Eugenie wróciła do Kanady z nowo narodzoną córeczką. - Wzięłam oddech.- Kości nie kłamią, siostrzo Julienne. I nie wydają opinii. Od momentu, kiedy zobaczyłam czaszkę Elisabeth, wiedziałam, że w jej żyłach płynęła krew innej rasy.

- Ale to nie znaczy, że była prześladowana...

- Oczywiście, że nie.

Kolejna przerwa. Potem zaczęła wolno mówić.

- Zgadza się z tym, że nieślubne dziecko nie zostałoby dobrze przyjęte w kręgach rodziny Nicolet. A zwłaszcza dziecko z domieszką krwi czarnego człowieka. Może Eugenie uważała, że klasztor był dla córki najlepszym wyjściem.

- Możliwe. I może Elisabeth nie wybrała sama swojego losu, ale to nie umniejsza jej zaangażowania. Według dokumentów jej praca w czasie epidemii była heroiczna. Swoimi wysiłkami mogła uratować życie tysięcy ludzi... Siostrzo, czy są jacyś inni święci z Ameryki Północnej, którzy mieli Indian, Afrykańczyków czy Azjatów wśród swoich przodków?

- No, nie jestem pewna. - W jej głosie zabrzmiała nowa nuta.

- Jakim wspaniałym wzorem mogłaby być Elisabeth dla ludzi wiary, którzy są prześladowani, bo nie są biali.

- Tak. Tak, muszę porozmawiać z ojcem Menard.

- Mogę zapytać o coś jeszcze, siostrzo?

- Bien sur.

- Elisabeth pojawiła się w moim śnie i powiedziała coś, czego nie rozumiem. Gdy zapytałam ją, kim jest, odparła: "Cała w szacie najczarniejszej".

- "Chodź, siostrzo, Bogu oddana; Cicha, skromna, niezachwiana; Cała w szacie najczarniejszej; Z majestatem przekrocz wejście". John Milton, II *Penseroso*.

- Mózg to zdumiewające archiwum - powiedziałam śmiejąc się. - Tak dawno to czytałam.

- Chciałaby pani usłyszeć mój ulubiony cytat?

- Oczywiście.

To była cudowna myśl.

Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, spojrzałam na zegarek. Czas iść.

W samochodzie włączałam i wyłączałam radio, przysłuchiwałam się stukaniom w tablicy rozdzielczej albo bębniłam palcami.

Zmiana świateł na skrzyżowaniu Woodlawn i Billy Graham Parkway trwała całe wieki.

To był twój pomysł, Brennan.

Zgadza się. Ale czy był dobry?

Dotarłam na lotnisko i poszłam od razu do punktu odbioru bagażu.

Ryan wieszał torbę na lewym ramieniu. Prawa ręka wisiała na temblaku i ruszał się nieco sztywno. Ale wyglądał dobrze. Bardzo dobrze.

Przyjechał tutaj, by wyzdrowieć. To wszystko.

Pomachałam i zawołałam go. Uśmiechnął się i wskazał dużą torbę nadjeżdżającą na taśmie.

Kiwnęłam głową i zaczęłam w myśli segregować klucze, ustalać, który zaczepię na osobnym kółku.

- *Bonjour* wszystkim.

Lekko go uścisnęłam w sposób, w jaki ludzie zwykle witają swoich teściów. Odsunął się i tymi cholernie niebieskimi oczami zmierzył mnie z góry na dół.

- Ładnie wyglądasz.

Miałam na sobie dzinsy i koszulkę, nadal chodziłam o kulach.

- Jak ci minęła podróż?

- Stewardesie zrobiło się mnie żal i miała na mnie oko.

Nie dziwiłam się.

Po drodze do domu zapytałam, co mu było.

- Trzy złamane żebra i przebite płuco. Reszta kuł trafiała w mięśnie. Nic wielkiego, straciłem tylko trochę krwi.

Zoperowanie tego "nic wielkiego" zabrało cztery godziny.

- Boli?

- Tylko kiedy oddycham.

Kiedy dojechaliśmy do Annexu, pokazałam mu pokój gościnny i poszłam do kuchni po mrożoną herbatę.

Kilka minut później przyszedł do mnie na patio. Słońce świeciło przez gałęzie magnolii, a przedrzeźniacza zastąpiła grupka ćwierkających wróbli.

- Ładnie wyglądasz - powiedziałam wręczając mu szklankę. Ryan przebrał się w szorty i koszulkę. Skóra na jego nogach miała kolor surowego dorsza, a grube skarpety otaczały kostki.

- Zimowałeś w Nowej Funiandii?
- Opalanie powoduje czerniaka.
- Chyba założę okulary przeciwsłoneczne.

Rozmawialiśmy już o tym, co zdarzyło się w Ange Gardien. Dyskutowaliśmy w szpitalu, potem przez telefon, kiedy więcej rzeczy wyszło na jaw.

Ze swojego telefonu komórkowego zadzwonił na posterunek policji w Rouville, gdy zdrapywałam lód ze znaku. Kiedy się tam nie zjawiliśmy, oficer dyżurny wysłał ludzi, by oczyścili drogę, i policja mogła podjąć poszukiwania. Oni znaleźli nieprzytomnego Ryana i wezwali posiłki i karetkę.

- A więc twoja siostra ma już dosyć kosmicznego uzdrawiania?

- Chyba tak. - Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. - Była tu kilka dni i pojechała do Teksasu. Wkrótce pewnie znowu da się w coś wciągnąć.

Zajęliśmy się herbatą.

- Czytałeś opinię psychiatrów?

- Iluzyjna identyfikacja ze znaczącymi elementami pretensjonalności i paranoi. Co to, do diaska, znaczy?

Zadałam sobie niedawno to samo pytanie i odpowiedzi poszukałam w psychiatrycznej literaturze.

- Iluzja antychrysta. Ludzie postrzegają siebie lub innych w kategoriach demonów. W przypadku Elle iluzja została przeniesiona na dzieci Heidi. Czytała o materii i antymaterii i uwierzyła, że wszystko musi istnieć w równowadze. Powiedziała, że jedno z dzieci było antychrystem, a drugie rodzajem kosmicznego wsparcia. Nadal tyle mówi?

- Jak naćpana. Przyznaje się do wysłania morderców, którzy mieli zabić dzieci, do St-Jovite. Simonnet próbowała im przeszkodzić, więc ją zastrzelili. Potem wstrzyknęli jej narkotyki i zaczęli podpalać.

Pomyślałam o starszej pani, której kości badałam.

- Simonnet na pewno próbowała ochronić Heidi i Briana. Stąd te telefony na Świętą Helenę, potem jej wyprawa do Teksasu, do domu Schneiderów, zaraz po wizycie Daniela Jeannotte. - Moje palce zostawiały owalne ślady na szklance z herbatą. - Ale dlaczego

Simonnet dzwoniła na wyspę po wyjeździe Heidi i Briana stamtąd?

- Heidi nadal kontaktowała się z Jennifer Cannon, a Simonnet do niej dzwoniła po nowe wieści. Gdy Elle się dowiedziała, kazała zabić Cannon.

- Te same egzorcyzmy z psami, nożami i wrzątkiem kazała odprawić, kiedy Carole Comptois zaszła w ciążę.

Nadal wzdrygałam się na samo wspomnienie.

- A czy Comptois pracowała wtedy jako prostytutka?

- Rzuciła to. Jak na ironię, to jeden z byłych klientów przedstawił ją Elle. Chociaż Comptois mieszkała z grupą, nie zerwała kontaktów ze światem, bo ojcem dziecka był ktoś spoza grupy, a więc nieakceptowany dawca spermy. To dlatego Elle kazała ją torturować.

- A Amalie Provencher?

- To jest niejasne. Amalie mogła wejść im w drogę podczas eliminowania Jennifer.

- Elle wierzyła, że potrzebuje siły pięćdziesięciu sześciu dusz do zebrania mocy do ostatecznego przejścia. Nie przewidziała, że straci Comptois. Dlatego potrzebowała Harry.

- Dlaczego pięćdziesięciu sześciu?

- To ma coś wspólnego z pięćdziesięcioma sześcioma otworami Aubreya w Stonehenge.

- A co to są otwory Aubreya?

- Małe doły, które wykopywano i od razu wypełniano. Prawdopodobnie służyły do przepowiadania zaćmienia księżyca. Elle ubarwiła swoje iluzje różnymi rodzajami ezoteryki.

Popiłam herbatę.

- Miała obsesję na punkcie równowagi. Materia i antymateria. Kontrolowane łączenie w pary. Dokładnie pięćdziesiąt sześć osób. Wybrała Ange Gardien nie tylko ze względu na nazwę, ale dlatego, że leży dokładnie w połowie drogi między komunami w Teksasie i Południowej Karolinie. Niezwykły zbieg okoliczności, prawda?

- Niby co?

- Moja siostra mieszka w Teksasie. Ja pracuję w Quebecu i jestem związana z Karolinami. Gdziekolwiek bym nie pojechała, wszędzie Elle miała swoje wpływy. Niesamowity zasięg. Jak myślisz, ile osób jest związanych z sektami?

- Trudno powiedzieć.

Z sąsiedniego patio doszły nas dźwięki muzyki Vivaldiego.

- A jak twój przyjaciel Sam przyjął wiadomość, że jeden z jego pracowników przywiózł ciała na wyspę?

- Był wstrząśnięty. - Przypomniałam sobie zdenerwowanie Joeya przy samochodzie z

wodą, kiedy wyszliśmy z miejsca, gdzie zakopane były ciała. - Joey Espinoza pracował dla Sama przez dwa lata.

- Tak. Należał do grupy Owensa, ale mieszkał w domu matki. To ona zadzwoniła do opieki społecznej. To chyba on jest ojcem Carlie'ego. Dlatego Kathryn uciekła do niego, kiedy wszystko zaczęło być nie tak, jak powinno. I chyba nie wiedziała nic o morderstwach.

- Gdzie oni teraz są?

- Kathryn z dzieckiem jest u kuzynki. Joey spowiada się przed szeryfem Bakerem.

- Czy ktoś został oskarżony?

- Elle i Daniel zostali oskarżeni o trzy morderstwa pierwszego stopnia:

Jennifer Cannon, Amalie Provencher i Carole Comptois. Ryan zerwał liść magnolii i przeciągnął nim po udzie.

- Co jeszcze było w opinii?

- Według wyznaczonego przez sąd psychiatry, Elle cierpi na rozległą psychozę wieloiluzyjną. Jest przekonana, że wkrótce nastąpi apokalipsa w kształcie ogromnej katastrofy ekologicznej, a jej przeznaczeniem jest zachowanie ludzkości poprzez przewiezienie grupy daleko od apokalipsy.

- Dokąd się wybierali?

- Nie chce powiedzieć. Ale nie ma ciebie na liście pasażerów.

- Jak ludzie dają się w to wciągnąć? - Ryan powtórzył pytanie, które zadałam Redowi Skylerowi.

- Grupa wciągała takich, którzy byli rozczarowani osobami ze swojego otoczenia i zafascynowani akceptacją grupy. Tu doznawali poczucia wartości i ważności, dostawali proste odpowiedzi na wszystkie pytania, z niewielką ilością terapii narkotykowej.

Lekki wiatr poruszył gałęziami magnolii, przynosząc zapach mokrej trawy. Ryan nie mówił.

- Elle może i jest wariatką, ale inteligentną i wyjątkowo przekonującą. Nawet po tym wszystkim jej zwolennicy pozostali jej wierni. Ona mówi, a oni milczą.

- Tak. - Uniósł zabandażowaną rękę do piersi. - Tak, jest sprytna. Nigdy nie chciała dużej grupy. Wolą mniejszą, ale złożoną z lojalnych członków. Właśnie to i pieniądze Guilliona pozwoliły jej pozostać w ukryciu. Przez cały czas nie zrobiła ani jednego fałszywego kroku.

- A co z kotem? To było brutalne, ale głupie.

- To był Dom Owens. Elle go wyznaczyła, żeby cię przystopować. On twierdzi, że nie lubi robić krzywdy fizycznej, więc rozkazał kilku zwolennikom, którzy są studentami w



Charlotte, zrobić coś, co by cię odstraszyło. Oni wymyślili ten kawał z kotem. Wzięli biedaka ze schroniska.

- Jak mnie znaleźli?

- Jeden z nich ukradł z twojego biura rachunek czy coś takiego. Był na nim twój domowy adres.

Pociągnął łyk herbaty.

- A tak przy okazji, twoja przygoda w dniu świętego Patryka w Montrealu też została wymyślona przez studenta.

- Skąd o tym wiesz?

Uśmiechnął się i pomachał szklanką.

- Jeannotte martwiła się o swoich studentów, ale i oni troszczyli się o nią. Jeden z nich zobaczył ją zdenerwowaną i doszedł do wniosku, że to przez twoje wizyty. Zdecydował się więc postraszyć cię osobiście.

Zmieniłam temat:

- Czy uważasz, że Owens był zamieszany w zamordowanie Jennifer i Amalie?

- On zaprzecza. Twierdzi, że po rozmowie z Jennifer na temat telefonów opowiedział o nich Elle. A potem Elle podobno powiedziała mu, że ona i Daniel zabierają Jennifer i Amalie z powrotem do Kanady.

- Dlaczego Owensa nie było w Ange Gardien?

- Postanowił się wycofać. Albo przestraszył się tego, co mogła zrobić Elle, bo nie wiedział, gdzie się podziali Joey, Kathryn i Carlie, albo nie bardzo wierzył w kosmiczne przejście. Tak czy inaczej, z pieniędzy Guilliona zostało ponad dwieście tysięcy dolarów, więc zabrał je i pojechał na zachód, podczas gdy wszyscy jechali na północ. Amerykańscy federalni złapali go w komunie w Arizonie. Elle nie miałyby swoich pięćdziesięciu sześciu dusz nawet z Harry...

- Jesteś głodny?

- Zjedzmy coś.

Zrobiliśmy sałatkę i przygotowaliśmy kebaby nadziewając kawałki kurczaka i warzywa na szpikulce. Słońce schowało się za horyzont i zapadający zmierzch wypełnił drzewa i ziemię ciemnymi cieniami. Jedliśmy na patio, rozmawialiśmy i patrzyliśmy na nadciągającą noc. Nasza rozmowa nieuchronnie schodziła na tematy Elle i morderstw.

- Podejrzewam, że Daisy Jeannotte czuła, że może sprzeciwić się bratu i zmusić go do przerwania tego szaleństwa...?

- Tak, ale Elle szybciej to wyczuła i kazała Danielowi ją usunąć i wrzucić do tunelu,

do którego wtrącili potem ciebie. Uważali cię za mniejsze niebezpieczeństwo, więc po prostu dostałaś w głowę i wylądowałaś w piwnicy. Kiedy się nie poddałaś i stamtąd uciekłaś przysparzając więcej kłopotów, Elle się wściekła i chciała poddać cię tym samym egzorcyzmom co Jennifer i Amalie.

- Daniel pomógł Elle zabić Jennifer i Amalie i jest głównym podejrzanym w sprawie morderstwa Carole Comptois. Kim byli mordercy z St-Jovite?

- Możliwe, że się nigdy nie dowiemy. Nikt o tym jeszcze nie opowiadał.

Ryan dokończył swoją herbatę i oparł się. Świerszcze zastąpiły ptaki. Gdzieś daleko zawyła w mroku syrena. Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się.

- Pamiętasz moją ekshumację w Lać Memphremagog?

- Tej świętej?

- Jedną z zakonnice w tym klasztorze jest ciotka Anny Goyette... Opowiedziałam mu o Elisabeth Nicolet. I dodałam:

- One wszystkie były w pewien sposób więźniarkami. Harry. Kathryn. Elisabeth.

- Elle. Anna. One też. Więzienie przybiera różne formy.

- Siostra Julienne zacytowała mi coś. W "Nędznikach" Victor Hugo porównuje klasztor do przyrządu optycznego, przez który można przelotnie ujrzeć nieskończoność...

Świerszcze cykały.

- Ale tu, Ryan, to chyba nie była kwestia nieskończoności, raczej przełomu tysiącleci... Myślisz, że gdzieś tam są inni, którzy teraz właśnie głoszą apokalipsę i planują grupową śmierć?

Przez chwilę nie odpowiadał. Nad nami szumiała magnolia.

- Zawsze będą mistyczni wariaci igrający z iluzją, desperacją, niską samooceną albo strachem, promujący swoje własne cele. Ale jeżeli jeden z nich odwiedzi moje miasto, to odpowiedź będzie prosta. Objawienie według Ryana!

Patrzyłam na spadający liść.

- A ty, Brennan? Pomożesz mi?

Był ciemną postacią na tle nieba. Nie widziałam jego oczu, ale byłam pewna, że patrzy prosto na mnie.

Wyciągnęłam rękę po jego dłoń.